

POLAK W CARSKIM MUNDURZE

POLACY – SYBERIA. XVIII–XIX WIEK
TOM 1

Kolegium Redakcyjne

Jacek Legieć (Kielce) – przewodniczący, Swietłana Mulina (Omsk)
– zastępca przewodniczącego, Anna Krich (Omsk), Irina Nam (Tomszk)
Wiesław Caban (Kielce), Stanisław Wiech (Kielce)
Sergiusz Leończyk (Siedlce – Abakan)

POŁAK W CARSKIM MUNDURZE

*Wspomnienia
Aleksandra Skolimowskiego
(1817 – 1895)*

Wstęp, opracowanie i redakcja
Wiesław Caban, Jerzy Szczepański

Przekład z rosyjskiego Łukasz Guldón
przy współpracy Wiesława Cabana i Jerzego Szczepańskiego



Wydawnictwo
Uniwersytetu Jana Kochanowskiego
Kielce 2015

Recenzent
prof. dr hab. Wiktoria Śliwowska

Opracowanie redakcyjne
Małgorzata Piątkowska

Korekta
Ewa Budziosz

Projekt okładki
Anna Domańska

Skład komputerowy
Józef Bąkowski

Copyright ©by Wydawnictwo Uniwersytetu Jana Kochanowskiego, Kielce 2015

ISBN 978-83-7133-618-8

Wydawnictwo Uniwersytetu Jana Kochanowskiego
25-369 Kielce, ul. Żeromskiego 5
tel. (41) 349-72-65
fax (41) 349-72-69
<http://www.ujk.edu.pl/wyd>
e-mail: wyd@ujk.edu.pl

Spis treści

Od Redakcji – <i>Jacek Legieć, Świetłana Mulina</i>	7
От редакционной коллегии – <i>Яцек Легеч, Светлана Мулина</i>	9
Wstęp	11

Aleksander Skolimowski, Wspomnienia

Przedmowa	27
Rodowód, dzieciństwo i wychowanie	28
Moja służba wojenna od 4 września 1838 do 24 czerwca 1870 roku	66
Zapiski z roku 1872 spisane we wsi Michajłowskoje	180
Rozpoczęto w Warszawie w 1874 roku	197
Życie w stanie spoczynku	220
Indeks osób	227
Indeks nazw geograficznych	235
Spis ilustracji	239

Od Redakcji

W kwietniu 2014 roku Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego zespołowi zorganizowanemu przy Instytucie Historii Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach przyznało finansowanie projektu badawczego w ramach Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki – Moduł 1.2 (Umowa nr 0098/NPRH3/H12/82/2014), kierownik prof. dr hab. Wiesław Caban.

Projekt „Polscy zesłańcy na Syberii Zachodniej w drugiej połowie XVIII–XIX wieku w oczach Rosjan i ludności syberyjskiej” realizowany jest we współpracy z Omskim Państwowym Agrarnym Uniwersytetem im. Piotra Stołypina. W skład zespołu badawczego wchodzi historycy zatrudnieni w Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach oraz rosyjscy (Omsk, Tomsk, Jekaterynburg).

W ramach projektu przeprowadzane są obszerne kwerendy źródłowe w archiwach rosyjskich – zarówno centralnych (Moskwa, Petersburg), jak i regionalnych (Omsk, Tobolsk, Tomsk, Nowosybirsk). Prowadzone są też badania w archiwach i bibliotekach Kazachstanu, zwłaszcza w Ałma Acie, w XIX wieku bowiem północna część dzisiejszego Kazachstanu zaliczana była do Syberii Zachodniej. Kwerenda obejmuje również najważniejsze archiwa i biblioteki w Polsce.

Efektom realizacji projektu są konferencje, publikacje opracowań naukowych, wydawnictwa źródłowe charakteryzujące wzajemne relacje między polskimi zesłańcami a mieszkańcami Syberii. Na podstawie wyników wstępnych prac przeprowadzonych w Petersburgu, Moskwie i Tomsku uznano za konieczne przygotowanie do publikacji serii nieznanych pamiątek i dokumentów poświęconych zesłańczym losom Polaków na Syberii. Źródła te publikowane będą w ramach serii wydawniczej „Polacy – Syberia. XVIII–XIX wiek”. Komitet redakcyjny serii stanowią: Jacek Legieć (Kielce) – przewodniczący, Swietłana Mulina (Omsk) – zastępca przewodniczącego, oraz członkowie: Anna Krich (Omsk), Iraida Nam (Tomsk), Wiesław Caban (Kielce), Stanisław Wiech (Kielce), Sergiusz Leończyk (Siedlce – Abakan).

Wydawnictwo *Polak w carskim mundurze. Wspomnienia Aleksandra Skolimowskiego (1817–1895)*, w opracowaniu Wiesława Cabana i Jerzego Szczepańskiego, daje początek serii wydawniczej. W przygotowaniu znajduje się tom *Źródła Polacy w guberni tomskiej w XIX wieku (wokół zagadnień życia religijnego)*, w opracowaniu Wasilija Chaniewicza.

Jacek Legieć
Swietłana Mulina

От редакционной коллегии

В апреле 2014 года Министерство науки и высшего образования Республики Польша признало коллективу, организованному при Институте истории Университета Яна Кохановского в Кельце, финансирование исследовательского проекта в рамках Национальной программы развития гуманитаристики – Модуль 1.2 (Договор № 0098/NPRH3/H12/82/2014), руководитель Веслав Цабан, доктор исторических наук, профессор.

Проект «Польские ссыльные в Западной Сибири во второй половине XVIII–XIX веке в глазах россияни сибирского населения» реализуется в сотрудничестве с Омским государственным аграрным университетом им. П. А. Столыпина. В состав исследовательского коллектива входят историки работающие в Университете Яна Кохановского в Кельце, а также российские ученые из Омска, Томска и Екатеринбурга.

В рамках проекта будет осуществляться обширный поиск источников в российских архивах – как центральных (Москва, Петербург), так и региональных (Омск, Тобольск, Томск, Новосибирск). Также будут проведены исследования в архивах и библиотеках Республики Казахстан, особенно г. Алматы, потому что в XIX веке северная часть современного Казахстана входила в состав Западной Сибири. Исследования охватят и другие важнейшие архивы и государственные библиотеки.

Результатом реализации проекта будут конференции, публикации научных исследований, издание источников, характеризующих взаимоотношения между польскими ссыльными и жителями Сибири. На основе предварительной работы, проделанной в Санкт-Петербурге, Москве и Томске, признали необходимым подготовить к изданию серию неизвестных дневников и документов, посвященных судьбам ссыльных поляков в Сибири. Эти источники будут опубликованы в рамках издательской серии: «Поляки – Сибирь. XVIII – XIX век». Редакционный комитет серии составляют: Яцек Легеч (Кельце) – председатель; Светлана Мулина (Омск) – заместитель председателя, Анна Крих (Омск), Ираида Нам (Томск), Веслав Цабан и Станислав Вех (Кельце), Сергей Леончик (Седльце – Абакан).

Издание *Поляк в царском мундире. Воспоминания Александра Сколимовского 1817–1895* в обработке Веслава Цабана и Ежи Щепаньского дает начало издательской серии. В процессе подготовки находится том источников *Поляки в Томской губернии в XIX веке. Вокруг вопросов религиозной жизни* в обработке Василия Ханевича.

Яцек Легеч
Светлана Мулина

PAMIĘCI KSIĘDZA
DANIELA OLSZEWSKIEGO

Wstęp

Współczesna wiedza na temat służby Polaków w armii carskiej w XIX wieku jest ciągle niewystarczająca. O ile, jak się wydaje, kwestie związane ze służbą rekrutów z Królestwa Polskiego są w miarę rozpoznane¹, o tyle stan badań na temat służby Polaków w carskim korpusie oficerskim jest ciągle na etapie początkowym².

W XIX wieku korpus oficerski armii rosyjskiej się rozbudowywał, gdyż wzrastała liczebność armii. Zwykle przyjmuje się, że na początku lat dwudziestych tegoż stulecia korpus oficerski liczył około 30 000 osób, a tuż przed I wojną światową (1914) osiągnął prawie 49 000³. Wolno zatem przyjąć, że w tym okresie przez carski korpus oficerski przewinęło się około 20 000 Polaków lub osób polskiego pochodzenia. Wstępnie można uznać, że w tej liczbie Polacy lub osoby polskiego pochodzenia z Ziem Zabrzanych stanowiły około 60%, z Królestwa Polskiego około 30% i z centralnych guberni Imperium Rosyjskiego około 10%⁴.

¹ Por.: W. Caban, *Służba rekrutów z Królestwa Polskiego w armii carskiej w latach 1831–1873*, Warszawa 2001, ss. 269; J. Legieć, *Służba rekrutów z Królestwa Polskiego w armii rosyjskiej w latach 1874–1913*, Kielce 2013, ss. 273.

² Piętnaście lat temu W. Śliwowska i W. Caban na międzynarodowym sympozjum biografistyki polonijnej w Mons (SHAPE) przedstawili referat zawierający postulaty badawcze w zakresie służby Polaków w carskim korpusie oficerskim. Postulaty te, niestety, są aktualne do dzisiaj. Por.: W. Śliwowska, W. Caban, *Polacy w carskim korpusie oficerskim w latach 1832–1873. Stan i potrzeby badań*, w: *Polacy i osoby polskiego pochodzenia w siłach zbrojnych i policji państw obcych*, red. A. i Z. Judycki, Toruń 2001, s. 484–495.

³ Por.: C. B. Волков, *Русский офицерский корпус*, Москва 1993, s. 318–320.

⁴ Szerzej zob.: W. Caban, *W służbie imperium, czy ofiary imperium? Polacy w carskim korpusie oficerskim w XIX wieku*, w: *Ofiary imperium. Imperia jako ofiary. 44 spojrzenia*, red. A. Nowak, Warszawa 2010, s. 216–217.

Od 2000 roku ukazały się zaledwie dwie prace zwarte i kilkanaście drobniejszych publikacji poświęconych problematyce związanej ze służbą wojskową w korpusie oficerskim około 20 000 Polaków lub osób polskiego pochodzenia⁵. Opierając się na tych pracach, można jedynie w miarę pełniej wypowiedzieć się na temat motywów wstępowania Polaków do szkół wojskowych przygotowujących kadre oficerską i przedstawić kariery wojskowe pojedynczych osób. Do tej kwestii jeszcze wrócimy, bo w tym miejscu wypada podzielić się z czytelnikiem swoistego rodzaju refleksjami nad przyczynami tak niewielkiego zainteresowania historyków zajmujących się XIX stuleciem problematyką służby Polaków w carskim korpusie oficerskim, mimo że po zmianach politycznych w 1990 roku dostęp do archiwów rosyjskich jest łatwiejszy. Otóż podejmowanie badań w tym zakresie jest niezwykle utrudnione, właśnie przez problemy związane z korzystaniem z archiwów rosyjskich, zwłaszcza zaś z Rosyjskiego Państwowego Wojskowo-Historycznego Archiwum w Moskwie (RGWIA). Tutaj bowiem znajdują się akta personalne zawierające charakterystykę przebiegu służby wojskowej. Bez skrupulatnej analizy tych akt pod kątem ustalenia, kto był Polakiem, kto miał tylko polskie pochodzenie, a kto mimo polskobrzmiącego nazwiska był prawosławnym i Rosjaninem od wielu pokoleń, wszelkie dalsze próby podejmowania tej tematyki nie mają większego sensu. Ani jeden historyk, ani nawet kilkusobowy zespół, nie jest w stanie zweryfikować około 20 000 akt personalnych, bo regulamin pracy w tymże archiwum jest tak ustalony, że – przykładowo – w ciągu tygodnia historyk może się zapoznać z aktami osobowymi (*posłuźnyje spiski*) najwyżej 10 oficerów. I w tym przypadku trzeba mówić o wielkim szczęściu. Ten ból znają nie tylko polscy historycy, lecz także nasi rosyjscy koledzy. Załóżmy, że uda się przeanalizować akta personalne tylko Polaków, którzy doszli do stopnia generała⁶; wówczas kolejną barierą, jaką wypadnie pokonać, będzie dotarcie do ich

⁵ M. Kulik, *Polacy wśród wyższych oficerów armii rosyjskiej Warszawskiego Okręgu Wojskowego (1865–1914)*, Warszawa 2008; S. Czerep, *Generalowie i admirałowie polskiego pochodzenia w armii rosyjskiej 1914–1917*, Białystok 2014; W. Caban, *Mity wokół służby Polaków w armii rosyjskiej w XIX wieku*, w: *Mity i legendy w polskiej historii wojskowości*, red. W. Caban, J. Smoliński, przy współpracy J. Żaka, t. 1, Kielce 2014, s. 200–207. Tamże odwołania do innych publikacji W. Cabana.

⁶ Przez cały XIX w. przestrzegano zasady, że Polacy w rosyjskim korpusie oficerskim nie mogli przekroczyć 20% składu kadry oficerskiej. Nie oznaczało to, że wskaźnik ów rozkładał się równomiernie dla poszczególnych grup. Polacy najłatwiej awansowali w kategorii oficerów młodszych, czyli do stopnia kapitana włącznie. Dla Polaka katolika awans na majora i pułkownika podlegał różnym obostrzeniom, ale możliwym do pokonania. Najtrudniej było uzyskać stopień generalski. W tej kategorii Polacy nie przekraczali 10% składu i zajmowali stanowiska głównie w sądownictwie wojskowym lub byli wykładowcami w szkołach wyższych.

spuścizny piśmienniczej, głównie korespondencji rodzinnej, wspomnień lub pamiętników⁷. Nie jest to wcale łatwe. Zdaje się, że niewielkie efekty przyniosą poszukiwania tego typu wspomnień w rosyjskich archiwach. W każdym razie do takiego wniosku dochodzimy po kwerendzie archiwalnej i bibliotecznej prowadzonej w Petersburgu w latach 2013–2014⁸. Tego typu źródeł trzeba szukać w kolekcjach osobowych (*licznyje fondy*) należących do Rosjan, z którymi właśnie Polacy lub osoby polskiego pochodzenia utrzymywały bliskie kontakty towarzyskie. W takiej sytuacji o odkryciach decyduje przypadek.

Część spuścizny piśmienniczej znajduje się nadal w rękach prywatnych, a świadczy o tym niedawno wydany dziennik rosyjskiego oficera Władysława Tomaszewicza, który opracował Tadeusz Epsztajn⁹, a także pamiętniki Jana Stelli-Sawickiego (pułkownika Strusia) z czasów powstania styczniowego, przygotowane do druku przez Marka Stellę-Sawickiego¹⁰. Przez jakiś czas w zbiorach prywatnych znajdowały się wspomnienia Aleksandra Skolimowskiego, ale o tym jeszcze będzie mowa. Wszystko to razem nie sprzyja podejmowaniu tej tematyki.

Czytelnik wspomnień napisanych przez Polaka, który nosił carski mundur, stawiał sobie będzie pytanie, czym kierował się kilkunastoletni chłopiec, decydując się na wybór kariery wojskowej? Odpowiedzi na to pytanie jest kilka.

Na pierwszym miejscu trzeba wymienić sytuację materialną rodzin uboższej szlachty ziemiańskiej. Dla wielu z nich wysłanie syna do szkoły wojskowej było jedynym sposobem zapewnienia potomkowi środków do życia.

⁷ Najłatwiej jest dotrzeć do wspomnień dotyczących udziału w wybranych kampaniach wojennych, bo publikowane one były w czasopismach historycznych. Tego typu wspomnienia przydatne są głównie do odtwarzania przebiegu tej albo innej wyprawy przeciw ludom kaukaskim lub ludom mieszkającym na stepach Azji Środkowo-Wschodniej. W tego typu wspomnieniach historyk nie znajdzie interesujących go przykładowo wiadomości na temat wzajemnych relacji między oficerami polskiego pochodzenia a Rosjanami ani o tym, jak był postrzegany w środowisku Polak katolik noszący rosyjski mundur; *Мой век, или история ген. Маевского*, oprac. Н. С. Маевский, „Русская старина” 1873, t. 8, z. 8 – август, s. 125–167; z. 9 – сентябрь, s. 253–305; z. 10 – октябрь, s. 427–464; z. 11 – ноябрь, s. 754–781.

⁸ Kwerendę tę prowadziliśmy już w trakcie realizacji tematu badawczego „Pamiętniki i kolekcje listów polskich autorów z Ziem Zabrzanych w latach 1795–1918” realizowanego w ramach Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki (nr umowy 0083/NPRH2/H11/2012).

⁹ W. Tomaszewicz, *Dziennik oficera rosyjskiego z kampanii węgierskiej 1849 roku*, opracował, wstępem i przypisami opatrzył T. Epsztajn, Warszawa 2010.

¹⁰ Wspominając o tym, dodać trzeba, że rodzina opublikowała ten pamiętnik bez zaobania o odpowiednie opracowanie edytorskie. Por.: J. Stelli-Sawicki, *Pułkownik Struś. Rozwiane marzenia. Moje wspomnienia 1831–1910*, oprac. M. Stelli-Sawicki, Londyn 2011.

Nauka w szkołach była bezpłatna, a kariera oficera zapewniała w miarę dostatnie życie. Nic więc dziwnego, że kandydatów nie brakowało. Znane są liczne przypadki, kiedy to szukano płatnej protekcji, aby umieścić syna w odpowiedniej szkole wojskowej.

Drugą grupę rekrutów do armii carskiej stanowili ci, którzy mieli sentyment do munduru. Należy jednak zaznaczyć, że zaciąganie do służby wojskowej w większym stopniu występowało przed powstaniem listopadowym (zwłaszcza jeśli chodzi o gubernie zachodnie), kiedy to polityka represji wobec Polaków nie przybrała jeszcze większych rozmiarów. Pewna część młodzieży wyrastała też w atmosferze opowieści o wielkich dokonaniach Polaków, którzy pod wodzą Aleksandra I pokonali Napoleona I. Mit złotej szpady, wręczanej wielu Polakom na pamiątkę wojny 1812 roku, też robił swoje i młodzi ludzie czuli sentyment również do rosyjskiego munduru.

Znaczącą część młodzieży wywodzącej się ze szlachty ziemiańskiej, zwłaszcza z guberni zachodnich Cesarstwa Rosyjskiego, została zmuszona do służby wojskowej. Otóż po upadku powstania listopadowego władze poszczególnych guberni wydawały różnego rodzaju rozporządzenia, w których nakazywano polskim ziemianom podejmowanie pracy w administracji państwowej lub wstępowanie na służbę wojskową. Wreszcie w 1852 roku został wydany cały pakiet ustaw w tej sprawie. Obowiązywała zasada, że najstarszy syn podejmie pracę w administracji rządowej lub pójdzie do wojska. Skalę tego zjawiska trudno ocenić.

Czwartą grupę, dość liczną, stanowili ci, którzy do szkół wojskowych wybierali się z pełną świadomością, licząc na to, że nabędą odpowiedniego doświadczenia i w zbliżającym się konflikcie militarnym w Europie będą mogli służyć Polsce. Taka motywacja pojawiła się dopiero w końcu XIX wieku, kiedy na kontynencie europejskim zarysowały się wyraźnie dwa przeciwstawne bloki militarne.

Piątą grupę, najmniej liczną, stanowiły osoby chcące wystąpić w roli Konrada Wallenroda. Sądzimy, że należy wykazać dużo powściągliwości wobec przypisywania wallenrodyzmu, zwłaszcza chłopcom mającym 9–12 lat, których rodzice oddawali do szkół kadeckich. Niewątpliwie w głowach niektórych podrastających kadetów takie pomysły mogły się roić, zwłaszcza wówczas, gdy udało im się zebrać we wspólne kółko w czasie letnich obozów, kiedy to dyscyplina ulegała pewnemu rozluźnieniu. Jednak z chwilą przejścia w szeregi kadry oficerskiej i – co za tym idzie – po zaznajomieniu się z potęgą militarną Rosji ten typ myślenia zanikał. W każdym razie historycy, a także historycy literatury mają problem z wytypowaniem osoby, która by tę rolę odgrywała¹¹.

¹¹ Por.: M. Janion, *Życie pośmiertne Konrada Wallenroda*, Warszawa 1990.

W przypadku Aleksandra Skolimowskiego o decyzji obrania przez niego kariery wojskowej z pewnością zadecydowała sytuacja materialna rodziny. Urodził się on w 1817 roku w Skolimowie-Wojnowie w rodzinie szlachty zasłaniańskiej, tak licznej na Podlasiu w okolicach Siedlec. Jego rodzicami byli Jan i Katarzyna z domu Nowosielska. Ojciec naszego bohatera jako dziecko utracił wzrok, a jego matka zmarła, gdy miał zaledwie sześć lat. W tej sytuacji jego wychowaniem od ósmego roku życia zajął się znany pedagog – ksiądz Rafał Skolimowski. To on zadbał, aby Aleksander odebrał właściwe wykształcenie. W 1835 roku ukończył gimnazjum i w wyniku decyzji stryja Rafała udał się do Petersburga do korpusu kadetów, gdzie nauka była bezpłatna. Nie można wykluczyć, że do Pułku Szlacheckiego dostał się dzięki protekcji stryja. We „Wspomnieniach” nie ma o tym mowy, lecz jest wzmianka, że stryj Rafał utrzymywał bliskie kontakty z adiutantami namiestnika Iwana Paskiewicza, a to już daje sporo do myślenia. Ponadto trzeba pamiętać, że do tak elitarnej szkoły wojskowej, jaką był Pułk Szlachecki w Petersburgu, na ogół nikt się nie dostawał, jeśli nie miał odpowiedniej protekcji. Wyjątek stanowiły bardzo zdolne i pracowite osoby, lecz Skolimowski do takich nie należał. Sam przyznawał, że przejawiał dużo więcej skłonności do wszelkiego rodzaju psot, niż do nauki. Stryj Rafał niejednokrotnie ubolewał nad tym i powiadał, że gdyby nie był hultajem, to mógłby osiągnąć w życiu bardzo dużo.

W czasie nauki w gimnazjum Aleksander był świadkiem Nocy Listopadowej i wszelkich następstw, jakie ona przyniosła. Skolimowski wyraźnie dystansował się od tych wydarzeń. Pisał o nich z perspektywy 40 lat, a więc nie była to bezpośrednia reakcja na to wszystko, co się wydarzyło w latach 1830–1831. Niewątpliwie wieloletnia służba w armii rosyjskiej zweryfikowała jego poglądy na możliwość odzyskania przez Polaków niepodległości. Nie można też wykluczyć wpływu stryja Rafała na oceny powstania listopadowego wyrażane przez Aleksandra. Skolimowski po latach krytycznie i z pewną dozą ironii wypowiadał się o swoich rówieśnikach, którzy zaciągnęli się do Gwardii Narodowej. Manifestację z 15 sierpnia 1831 roku zorganizowaną przez Towarzystwo Patriotyczne nazwał „kontrewolucją zorganizowaną przez opryszków”. Jego zdaniem mieszkańcy Warszawy z zadowoleniem przyjęli wejście wojsk rosyjskich na Pragę.

Zaraz po zameldowaniu się w Pułku Szlacheckim Skolimowski doznał szoku, gdyż był świadkiem kary chłosty, jaką publicznie wymierzano kadetowi za uderzenie w twarz oficera. Kadet otrzymał 200 mocnych uderzeń i zalał się krwią. Skolimowski przyznał, że po raz pierwszy widział taki incydent, że nigdy nie był świadkiem tak strasznie wymierzonej kary i do końca życia jej nie zapomni. Natomiast samego pobytu w Pułku Szlacheckim nie wspominał najgorzej, a jeśli tylko miał okazję, to podkreślał, że otrzymał dobre przygotowanie do dowodzenia wojskiem.

Po zdaniu ostatnich egzaminów otrzymał awans na chorążego i we wrześniu 1838 roku rozpoczął służbę w 5. batalionie Dnieprowskiego Pułku Piechoty. Skolimowski wiedział, że sztab tegoż pułku mieścił się w Warszawie, lecz nie był świadom faktu, że poszczególne bataliony pułku były rozlokowane w różnych miejscach Imperium Rosyjskiego. Mając możliwość wyboru odpowiedniego oddziału, wskazał na jeden z batalionów pułku dnieprowskiego, w przekonaniu, że trafi do Warszawy. Okazało się, że batalion, do którego został skierowany, stacjonował w Penzie. Zrozpaczony Skolimowski musiał więc udać się, zamiast do Warszawy, do Penzy. Przez następne kilkanaście lat przemieszczał się wraz ze swoim oddziałem po centralnych guberniach Imperium Rosyjskiego. Czas młodego oficera upływał na ćwiczeniach, przeglądach i marszach. Jedynym urozmaiceniem były bale i różnego rodzaju spotkania towarzyskie organizowane przez miejscowych ziemian i wysokich urzędników szczebla powiatowego lub gubernialnego. Skolimowski korzystał z nich chętnie, również dlatego, że była to jedyna możliwość znalezienia odpowiedniej kandydatki na żonę.

W 1849 roku jego oddział został włączony w skład dywizji skierowanej do uśmierzenia rewolucji węgierskiej. Dywizja przesunęła się do południowo-zachodnich obszarów Imperium Rosyjskiego, lecz ostatecznie do wymarszu na Węgry nie doszło. Jego oddział znowu przemieszczał się po centralnych obszarach Imperium Rosyjskiego i nastąpił powrót do ćwiczeń, przeglądów wojska i marszów, bardzo często pozorowanych i bezcelowych. Nie widział on w tym wszystkim głębszego sensu i martwił się o swoje dalsze awanse oraz o to, czy znajdzie odpowiednią kandydatkę na żonę. Z awansami nie było chyba tak źle, bo od momentu rozpoczęcia służby, tj. od 1838 roku, do 1849 roku Skolimowski dosłużył się stopnia majora.

W 1852 roku otrzymał rozkaz przeprowadzenia żołnierzy z 2. artyleryjskiej dywizji do Warszawy w celu wzmocnienia garnizonu warszawskiego. Przeglądu przyprowadzonego przez Skolimowskiego oddziału dokonał sam namiestnik Paskiewicz. Inspekcja wypadła pomyślnie i Skolimowski otrzymał nagrodę pieniężną w wysokości półrocznej pensji. Ponadto pozwolono mu na odwiedzenie najbliższych w Warszawie i w okolicach Siedlec. Rodzina przyjęła go bardzo serdecznie, a pożegnania były długie i smutne.

Podczas pobytu w Warszawie do Skolimowskiego doszła wiadomość, że jego batalion został przeniesiony na linię orenburską. Przed wyjazdem do Orenburga zaręczył się z Anetą Suską, córką Franciszka, zamieszkałego wtedy we wsi Michajłowskoje, leżącej na trasie ze Smoleńska do Moskwy, niedaleko miasta Dorogobuż. Trudno ustalić, kiedy i w jakich okolicznościach Franciszek Suski osiadł w Michajłowskoje. Wiadomo, że wcześniej był zarządcą majątku księcia Nikołaja Jusupowa i że Suscy to rodzina katolicka, która przeniosła się do centralnych guberni rosyjskich z Wołynia w trudnych

do ustalenia okolicznościach. Dzieci Franciszka Suskiego nie znały już języka polskiego. Nie znał również języka polskiego brat Franciszka, Romuald Suski, który był wysokim urzędnikiem w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Charakterystyczne, że Skolimowscy obracali się w kręgach rodzin polskiego pochodzenia i katolickiego wyznania.

Pierwsze zetknięcie z Orenburgiem, oddalonym od Moskwy około 1400 wiorst, wywarło na Skolimowskim dobre wrażenie. Szybko pozalałował w sztabie formalności i powrócił do Michajłowskoje, aby zawrzeć związek małżeński z Anetą Suską. Ślub odbył się w kościele katolickim w Smoleńsku. Po ślubie żona postanowiła jechać wraz z mężem do Orenburga. Pobyt w tym miejscu był krótki, gdyż Skolimowski otrzymał rozkaz przeniesienia się do Orska, który był twierdzą na linii orenburskiej. Tutaj urodził się ich syn Aleksander, który zmarł w wieku niespełna dwóch lat. Z początkiem 1854 roku Skolimowski otrzymał rozkaz objęcia dowództwa nad Fortem Perowskiego, który chronił wojska rosyjskie przed napadami Kokańców. Fort Perowskiego (dawny Ak-Mechet) był oddalony od Orenburga o około 1500 wiorst. W latach 1854–1865 Skolimowski pełnił różne wysokie funkcje na linii orenburskiej i był tym samym świadkiem tego wszystkiego, co było związane z prowadzeniem przez Rosjan podboju ludów stepowych. Szkolił żołnierzy i brał udział w inspekcjach poszczególnych fortów. Był również uczestnikiem, a zarazem ofiarą toczących się tu intryg między poszczególnymi oficerami. Wydaje się, że nie popełnimy błędu, stwierdzając, że był jedynym do lat sześćdziesiątych XIX wieku Polakiem, który zajmował tak wysokie stanowiska na tym strategicznym obszarze Imperium Rosyjskiego.

Tam też zetknął się z zesłańcami. Wprawdzie pisał o nich niewiele, lecz za to z wyraźną sympatią¹². Ciekawe, że wspominając Tarasa Szewczenkę i Aleksieja Pleszczejewa, nie wymienił nazwisk polskich zesłańców odbywających karną służbę wojskową, z którymi przecież niewątpliwie się kontaktował.

Losy Aleksandra Skolimowskiego dzieliła jego żona. Mieszkali w bardzo prymitywnych warunkach. Były to bowiem pomieszczenia zbudowane przez żołnierzy z darniny, a raczej z gliny. W takich warunkach przychodziły na świat kolejne dzieci Skolimowskich, a mianowicie trzy córki (Masza, Lena

¹² „Wszyscy ci młodzi ludzie byli przyjęci przeze mnie bardzo dobrze i w przyszłości razem spędzaliśmy codziennie wieczory. Szczerze i otwarcie powiem, że towarzystwo ich i częste rozmowy z nimi dały mi dużo i wyraźnie ociepłyły moje serce. Wszyscy oni rozspali się po bezmierniej Rosji. Wielu z nich już zmarło, ale wspominam ich wszystkich i w tej chwili czuję jakieś ciepło w sercu i dziękuję losowi, że pozwolił mi zetknąć się z tymi wyjątkowymi i nieszczęśliwymi osobami. Niektórych z nich udało mi się spotkać po powrocie do Rosji oraz w okresie wyjazdu do Warszawy. Spotkania te były bardzo przyjemne i radosne, i tak właśnie odpłacili mi za to wszystko, co ja mogłem dla nich zrobić”.

i Anna) oraz trzech synów (Rafał i Mikołaj oraz córka Anna zmarli krótko po urodzeniu). Po porodzie ostatniego dziecka Jana (Wanusz) Anna z Suskich poważnie się rozchorowała i o mało nie zakończyło się to jej śmiercią.

Aleksander Skolimowski na linii orenburskiej przebywał do 1866 roku. Padł on jednak ofiarą intryg, w których tle znalazło się jego polskie pochodzenie i wyznanie katolickie. W 1864 roku wpłynął na niego donos, jakoby dopuścił się przestępstwa natury politycznej. Rozpoczęły się śledztwa. Jednocześnie zaproponowano mu przejście na prawosławie i obiecano awanse. Skolimowski odrzucił te propozycje i ostatecznie w stopniu pułkownika opuścił Orenburg. W lutym 1866 roku został przeniesiony do piechoty armijnej i zaliczono go do wojsk zapasowych. Odtąd poświęcał wiele czasu, aby oczyścić się z zarzutów przestępstwa politycznego i bliżej nieokreślonego niedopełnienia obowiązków na linii orenburskiej. Nie było to takie proste, gdyż w latach sześćdziesiątych XIX wieku trwała nagonka na Polaków, zwłaszcza na tych, którzy służyli w armii. Skolimowski, aby oczyścić się z zarzutów, za które groziło mu nawet syberyjskie zesłanie, postarał się o audiencję u samego Dmitrija Milutina, ministra wojny. Generał Milutin przyjął go uprzejmie i nawet rękę uściśnął, lecz na wszystkie jego prośby odpowiedział tylko, „że więcej zrobić nie może”.

W okresie oczekiwania na rozstrzygnięcie sprawy, Skolimowski doznał znaczącego uszczerbku na zdrowiu. Ostatecznie jednak sprawa zakończyła się dla niego pomyślnie. W 1870 roku został zwolniony z wojska, a jednocześnie awansowany na stopień generała-majora z pełnym uposażeniem. Nie jesteśmy w stanie objaśnić całego zamieszania powstałego w wyniku napisania donosu, ponieważ sam Skolimowski pisał na ten temat dość ogólnie, a żadnych informacji nie odnotowuje z kolei oficjalny *posłuźnyj spisok*.

Po zakończeniu służby Aleksander Skolimowski wraz z żoną i trojgiem dzieci zamieszkali w domu Franciszka Suskiego w Michajłowskoje. Na przełomie sierpnia i września 1870 roku Skolimowski odwiedził Warszawę i rodzinny Skolimów-Wojnów. Pozałatwiał sprawy rodzinno-spadkowe i wrócił do Michajłowskoje. Skolimowscy zajęli się teraz kształceniem dzieci, co pobyt na linii orenburskiej uniemożliwiał. Córki Maria i Eleonora dostały się do Instytutu Pawłowskiego w Petersburgu, a syn Jan – do korpusu kadeckiego do Orła.

We wspomnieniach kilkakrotnie pojawia się wątek powrotu Skolimowskiego w rodzinne strony. Czy rzeczywiście wrócił, jak planował, do Warszawy wraz z żoną, a dzieci zostały w Rosji, trudno powiedzieć. Faktem jest, że w 1872 roku był znowu w Warszawie, odnotował to bowiem we wspomnieniach i tam pisał kolejne ich fragmenty. Był też w 1874 roku i tam pisał kolejną część wspomnień. Zmarł prawdopodobnie w 1895 roku. Informację tę zaczerpnęliśmy z katalogu Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie, gdzie znajduje się oryginał wspomnień.

Decyzja o napisaniu wspomnień zapadła i została zrealizowana w wyniku dwóch przesłanek. Pierwsza – to wielka i niekwestionowana tęsknota za ojczyzną oraz związana z tym chęć pielęgnowania więzi dzieci Skolimowskiego z krajem ojczystym. Wydaje się to dziwne, a nawet wręcz niewiarygodne – generał w służbie rosyjskiej dający we wspomnieniach dowód tak wielkiego przywiązania do Polski!

Drugą przesłanką – powiązaną z pierwszą – było pragnienie stworzenia czegoś w rodzaju testamentu duchowego, a zarazem przesłania dla swych dzieci, w którym chciał zawrzeć najgłębsze przemyślenia i wskazówki dla nich na dalsze życie w kontekście jego doświadczeń i wspomnień. Dlatego tyle w pamiętniku dydaktyzmu i wyjaśnień związanych z jego życiem i wyborami, za którymi, według niego, stał sam Bóg. To ta warstwa pamiętnika pozwala ujrzeć duchowe rozterki dotyczące życia Polaka w środowisku i armii rosyjskiej. Zacytujmy obszerniejszy fragment wspomnień, bo wydaje się, że w nim najpełniej są przedstawione motywy ich powstania:

Nie próżność czy też jakieś inne pobudki zmusiły mnie do spisania wydarzeń mojego życia, tym bardziej, że nie zapisały się one niczym szczególnym. Pierwsza myśl o napisaniu tego wszystkiego narodziła się u mnie wtedy, kiedy zakończywszy służbę wojskową i będąc już w pełni wolnym, w myślach zwróciłem się ku przeszłości. Wtedy uznałem, że o ojczyźnie swojej i moich krewnych miałem bardzo słabe pojęcie. Jeszcze za małoletności pozostawiłem ojczyznę na ponad 35 lat, przebywając w odległych od niej miejscach, i dlatego niemal wszystko zapomniałem. Z moich przodków żaden nie pozostawił po sobie notatek, a pełna nieświadomość przeszłości ugniatała moje serce. W takim też właśnie nastroju pojechałem do ojczyzny we wrześniu 1870 roku i z pomocą Boga przypominałem sobie rodzinne miejsca. Znalazłem niektórych krewnych, a od nich dowiedziałem się tego, co jest święte i drogie każdemu przyzwoitemu człowiekowi. Wszystko, co ujrzałem i usłyszałem, ożywiło moje wspomnienia i rozmyślenia o mojej młodości, ucieszyło mnie to bardzo i ożywiało zbliżającą się już starość. [...]

Dziękuję Bogu, że pozwolił mi jeszcze odwiedzić kraj rodzinny, teraz ojczyznę i miłość do niej zachowam na wieki. Gdy to piszę, dzieci nasze są na wychowaniu w Petersburgu, a u nas bywają tylko na wakacjach. Są jeszcze mało dojrzałe i z opowieści moich niewiele zostanie w ich pamięci. Nie jestem już zbyt młody, a opowieści o przebytych ciężkich doświadczeniach może doczekają się czasów, kiedy dzieci moje zrozumieją to i zapiszą w swojej pamięci, by przekazać potomnym. Wszystko to skłoniło mnie do opisanego swojego życia na pamiątkę dla dzieci, po to, aby nie zostawić ich w takiej niewiedzy, w jakiej ja żyłem do lat swojej starości. Jeśli umarłbym wcześniej, dzieci nie znałyby ojczyzny ojca swego i najbliższych krewnych.

Dla Was to drogie dzieci moje: Masza, Lena i Waniusza, piszę te słowa. Czytajcie je z uwagą i wszystko to, czemu dobre i nieskazitelne serca wasze będą

współczuć, pozostawcie na zawsze w swojej pamięci, wspominając prawdziwie kochającego i błogosławiącego Was ojca Aleksandra Skolimowskiego.

Skolimowski nie czuł się Rosjaninem i nie chciał, aby jego dzieci zapomniały o polskości i o religii katolickiej, w której były wychowywane. Jednym zdaniem, wspomnienia były przesłaniem dla potomnych. I – co bardzo istotne – są świadectwem wielkiej wrażliwości autora, która pozwoliła mu pisać o sprawach pomijanych przez innych pamiętnikarzy wywodzących się z kręgu byłych wojskowych rosyjskich.

Wspomnienia Aleksandra Skolimowskiego, liczące trzy bruliony, zostały spisane w języku rosyjskim w latach 1871–1874, bo dzieci języka polskiego nie znały, a przecież dla nich były one przeznaczone. Pisał je na przemian w Michajłowskoje i w Warszawie. Zasadnicza część powstała w Michajłowskoje. Z treści wynika, że autor miał zamiar zapisać jeszcze jeden, czwarty brulion. Ostatnie jego zapiski dotyczą 1872 roku, ale sam Skolimowski pisał o swej pracy nad wspomnieniami jeszcze w 1874 roku, kiedy był w Warszawie. Do końca nie wiadomo, czy ów czwarty brulion zaginął, czy nie powstał. Obracamy się tu w kręgu hipotez, a raczej przypuszczeń. Można zakładać, że ów czwarty brulion powstał w Warszawie, jeśli generał tu powrócił lub tylko rodzinne miasto odwiedził. Jest to wielce prawdopodobne, bo z tekstu wspomnień wynika, że bardzo tęsknił do rodzinnych stron.

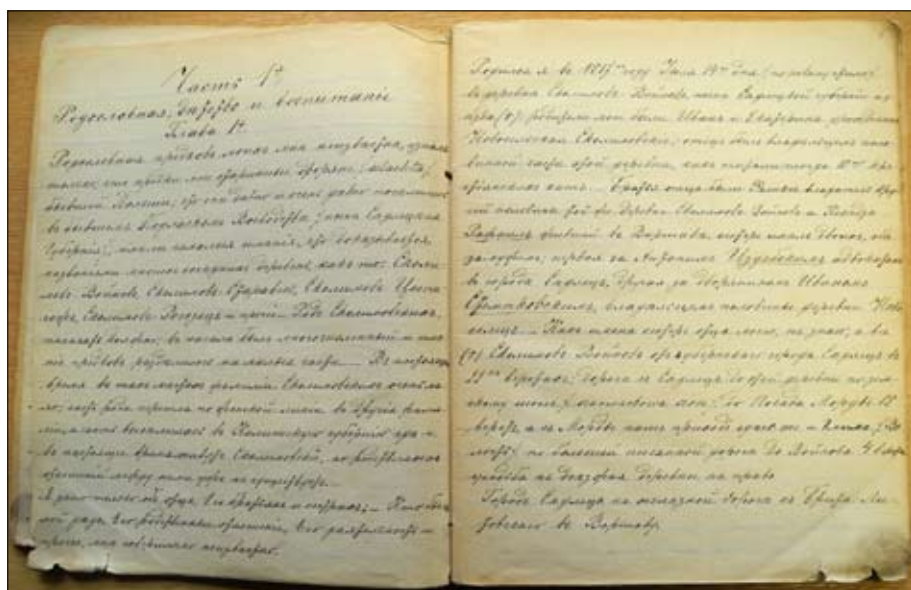
Jedyną informację o czwartej części zaczerpnęliśmy z katalogu rękopisów Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie¹³, lecz nie potrafimy jej zweryfikować. Trzy bruliony rękopisu w bliżej nieznanych okolicznościach zostały po II wojnie światowej przekazane do archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie przez Wandę Czapską-Jordan¹⁴ (1906–1994). Niestety, brak jest przy tym jakiegokolwiek dokumentacji dotyczącej przekazania pamiętników, która mogłaby wyjaśnić, kto był darczyńcą i okoliczności temu towarzyszące¹⁵. Również nic na ten temat nie potrafi powiedzieć żyjąca w Warszawie rodzina Skolimowskich.

Aleksander Skolimowski podzielił swoje wspomnienia zasadniczo na trzy części, w których kolejno opisał okres dzieciństwa spędzonego w rodzinnym Skolimowie-Wojnowie i lata nauki w Warszawie, następnie przedsta-

¹³ *Guide to the Archives of the Polish Institute and Sikorski Museum*, red. W. Milewski, A. Suchcitz, A. Gorczycki, t. 1, London 1985, część: „Private Collections”, s. 264–265, poz. 226, kol. 268.

¹⁴ Autorka pracy: *WRN. PPS pod okupacją niemiecką 1939–1945*, Londyn 1976.

¹⁵ Ponadto w zbiorach archiwum znajduje się mikrofilm tłumaczenia wspomnień na język polski. Niestety, nieznanemu autorowi tego przekładu usilnie starał się poprawić nie tylko styl, lecz także sposób myślenia autora. Z tego względu wspomnienia trzeba było jeszcze raz przetłumaczyć z języka rosyjskiego na polski i poddać adiustacji.



1. Autograf wspomnień Aleksandra Skolimowskiego (początkowe strony, bez numeracji). Fot. J. Szczepański

wił przebieg służby wojennej od 4 września 1838 do 24 czerwca 1870 roku oraz „Życie w stanie spoczynku”. Objętościowo i merytorycznie największą część pamiętnika stanowią fragmenty poświęcone służbie wojskowej. Liczą one około trzech czwartych objętości wspomnień. W obrębie tej partii tekstu można wyróżnić parę obszarów tematycznych. Są to: pobyt w Pułku Szlacheckim, organizacja przemarszów i zakwaterowania wojska, szkolenie i dowodzenie, służba w Kraju Orenburskim, marsze i walki w stepach Azji Średniej, wreszcie zaś opisy, z reguły skrywane w innych relacjach pamiętnikarskich, a dotyczące pijaństwa i korupcji kadry oficerskiej. Takich informacji nie znajdziemy we wspomnieniach rosyjskich oficerów, którym trudno było się przyznać do udziału w częstych pijatykach oraz w oszukiwaniu chłopów podczas kwaterowania wojska w ich chatach. Rosyjski oficer pisał niemal wyłącznie o wielkich sukcesach swego oddziału i podkomendnych. Zresztą inne wspomnienia nie zostałyby opublikowane w czasopiśmie rosyjskich w XIX wieku.

Najciekawszy fragment odnosi się do służby Skolimowskiego na linii orenburskiej, bo jako wysokiej rangi oficer utożsamiający się z polskością ukazał sytuację, jaka panowała w wojskach rosyjskich prowadzących podbój Azji Środkowo-Wschodniej. Relacje o tych podbojach zostały już odnotowane w pamiętnikach Polaków zesłanych do karnej służby wojskowej, lecz

były to relacje zwykłych żołnierzy, którzy brali udział w wyprawach, licząc na awanse i perspektywę uwolnienia ze służby¹⁶. Nie mieli zatem aż tak szerokiej wiedzy, jaką dysponował Aleksander Skolimowski, który przez pewien czas był między innymi komendantem Fortu Perowskiego.

Aleksander Skolimowski pisał specyficznym stylem i językiem. Przy lekturze oryginału stosunkowo szybko można się zorientować, że nigdy nie opanował on biegle języka rosyjskiego, a jego ojczystym językiem pozostał polski. Jednak wspomnienia pisał dla swoich dzieci. Dlatego na przykład znalazły się w nim niegramatyczne, a nawet wręcz błędne zwroty; nagminnie też pisał polskie wyrazy alfabetem rosyjskim. Generał spisywał wspomnienia po upływie lat, zatem rekonstruował wydarzenia z pamięci. Dlatego też często wątki i problemy nie zachowują chronologii, a gramatyczne czasy są używane niekonsekwentnie. W takiej sytuacji tłumacz miał trudne zadanie, a przy redakcji tekstu nie zawsze dawało się wszystkie usterki poprawić; czasem świadomie zdecydowaliśmy się na zachowanie archaizmów i rusycyzmów, obawiając się, aby ingerencja w tekst nie była zbyt radykalna.

Charakterystyczne dla Skolimowskiego było również często budowanie długich, rozwlekłych i „piętrowych” zdań. I znów, obawiając się nadmiernej ingerencji w tekst, nie zawsze te mankamenty usuwaliśmy. Dlatego w tekście świadomie został niekiedy zachowany nieco dziwaczny styl, będący mieszaną zwrotów rosyjskich i polskich, charakterystyczny dla Skolimowskiego. Daje się też zauważyć swoisty humor, a nawet sarkazm autora¹⁷.

Imiona powszechnie znanych osób zostały zapisane w wersji spolszczonej, inne zaś w oryginalnej. Problem pojawił się z zapisem nazwiska Perowskij i Trubeckoj. W tym przypadku zdecydowaliśmy się na spolszczone zapisy: Perowski i Trubecki.

Pojawiły się też problemy z zapisami nazw. Skolimowski dla określenia fortów posługiwał się zarówno numeracją, jak i pełnymi określeniami. Przykładowo, raz pisał fort 1, a innym razem Fort Nr 1. Ujednoliliśmy pisownię, przyjmując zapisy z wielkiej litery. Z zapisami: Fort Nr 1 oraz Fort Perowskiego, też były pewne problemy. Z analogicznymi kłopotami borykali się wiele lat wcześniej autorzy publikacji o Polakach w Kazachstanie i tłumacze tej interesującej pracy na język polski¹⁸. Jednak najwięcej problemów spra-

¹⁶ Szerzej zob.: W. Śliwowska, *Polacy na linii orenburskiej (pierwsza połowa XIX wieku)*, w: *Polacy w Kazachstanie. Historia i współczesność*, red. S. Ciesielski, A. Kuczyński, Wrocław 1996, s. 69–79.

¹⁷ Np.: „Pokazane nam mieszkanie wyglądało na obórkę dla bydła, w sam raz dla człowieka”.

¹⁸ G. Sapargalijew, W. A. Djakow, *Polacy w Kazachstanie w XIX wieku*, tłum. A. Trombala, J. Plater, Warszawa 1982.

wiła identyfikacja osób najbliższych Aleksandrowi Skolimowskiemu. Autor wspomnień bowiem zapisywał imiona w formie zdrobniałej lub spieszczonej, używanej tylko w kręgu rodzinnym. W dalszych partiach tekstu pojawiały się wprawdzie nazwiska, lecz czasem trudno było ustalić, do którego imienia się odnoszą.

Jest naturalne, że opracowując i przygotowując do wydania wspomnienia, staraliśmy się poznać motywy postępowania autora oraz towarzyszące mu przy pisaniu wspomnień – jego „duszę”. Pracując nad redakcją tego pamiętnika, doświadczyliśmy też wiele satysfakcji z poznawania nowych obszarów badawczych związanych z losami Polaków w Imperium Rosyjskim w XIX wieku.

Nie mniej satysfakcji przyniosła nam współpraca z rosyjskimi bibliografami, zwłaszcza z Nikitą Jelisiejewem Lwowiczem z Rosyjskiej Biblioteki Narodowej w Sankt-Petersburgu.

Aleksander Skolimowski

Wspomnienia



Przedmowa

Nie próżność czy też jakieś inne pobudki zmusiły mnie do spisania wydarzeń mojego życia, tym bardziej, że nie zapisały się one niczym szczególnym. Pierwsza myśl o napisaniu tego wszystkiego narodziła się u mnie wtedy, kiedy zakończywszy służbę wojskową i będąc już w pełni wolnym, w myślach zwróciłem się ku przeszłości. Wtedy uznałem, że o ojczyźnie swojej i moich krewnych miałem bardzo słabe pojęcie. Jeszcze za małoletności pozostawiłem ojczyznę na ponad 35 lat, przebywając w odległych od niej miejscach, i dlatego niemal wszystko zapomniałem. Z moich przodków żaden nie pozostawił po sobie notatek, a pełna nieświadomość przeszłości ugniatała moje serce.

W takim też właśnie nastroju pojechałem do ojczyzny we wrześniu 1870 roku i z pomocą Boga przypomniałem sobie rodzinne miejsca. Znalazłem niektórych krewnych, a od nich dowiedziałem się tego, co jest święte i drogie każdemu przyzwoitemu człowiekowi. Wszystko, co ujrzałem i usłyszałem, ożywiło moje wspomnienia i rozmyślania o mojej młodości, ucieszyło mnie to bardzo i ożywiało zbliżającą się już starość.

Po powrocie do swojego spokojnego zakątka razem z moją drogą żoną, z nieustannych opowieści o moich krewnych oraz o wszystkim, co ujrzałem i usłyszałem, nabraliśmy nowych sił, a ja coraz bardziej i bardziej uświadamiałem sobie, co zostało zapomniane.

Dziękuję Bogu, że pozwolił mi jeszcze odwiedzić kraj rodzinny; teraz ojczyznę i miłość do niej zachowam na wieki. Gdy to piszę, dzieci nasze są na wychowaniu w Petersburgu, a u nas bywają tylko na wakacjach. Są jeszcze mało dojrzałe i z opowieści moich niewiele zostanie w ich pamięci. Nie jestem już zbyt młody, a opowieści o przebytych ciężkich doświadczeniach może doczekają się czasów, kiedy dzieci moje zrozumieją to i zapiszą w swojej pamięci, by przekazać potomnym. Wszystko to skłoniło mnie do opisanie swojego życia na pamiątkę dla dzieci, po to, aby nie zostawić ich w takiej niewiedzy, w jakiej ja żyłem do lat swojej starości. Jeśli umarłbym wcześniej, dzieci nie znałyby ojczyzny ojca swego i najbliższych krewnych.

Dla was to drogie dzieci moje: Masza, Lena i Waniusza, piszę te słowa. Czytajcie je z uwagą i wszystko to, czemu dobre i nieskazitelne serca wasze będą współczuć, pozostawcie na zawsze mnie w swojej pamięci, wspominając prawdziwie kochającego i błogosławiącego was ojca Aleksandra Skolimowskiego.

Dnia 22 stycznia 1871 roku w guberni smoleńskiej powiatu jelnńskiego¹ w majątku Franciszka Suskiego syna Józefa, wieś Michajłowskoje².

Rodowód, dzieciństwo i wychowanie

Rodowód przodków moich nie jest mi znany; wiem tylko, że byli oni starą szlachtą w dawnej Polsce i że bardzo dawno osiedlili się w województwie podlaskim (obecnie gubernia siedlecka). Posiadali niemały majątek, o czym świadczą nazwy licznych sąsiednich wsi, jak na przykład: Skolimów-Wojnów, Skolimów-Starowieś, Skolimów-Czesnigorz, Skolimów-Rogoziec³ i inne. Ród Skolimowskich⁴, jak należy sądzić, był na początku bardzo liczny i dobra przodków rozbite były na małe części. Obecnie w tych miejscach rodzin Skolimowskich jest bardzo mało; część rodu w linii żeńskiej przeszła do innych rodzin, a część przesiedliła się do guberni kaliskiej, gdzie obecnie żyją Skolimowscy, ale więzi rodzinne między nimi już nie istnieją. Znane mi są tylko dzieje ojca, jego braci i siostr; kim był mój dziad, jego rodzinne koligacje i działalność, są mi zupełnie nieznane.

Urodziłem się w 1817 roku dnia 14 lipca (według nowego stylu⁵) we wsi Skolimów-Wojnów, obecnie [w] guberni i powiecie siedleckim. Rodzicami moimi byli Jan i Katarzyna, urodzona Nowosielska. Ojciec był właścicielem połowy wsi, jak liczono wtedy, składającej się z dziesięciu chłopskich chat. Braćmi ojca byli: Feliks – właściciel drugiej połowy tejże wsi Skolimów-Wojnów, i ksiądz Rafał mieszkający w Warszawie⁶. Ojciec miał dwie siostry,

¹ Jelnia – miasto powiatowe w guberni smoleńskiej.

² Wieś Michajłowskoje (według mapy z 1855 r. nazywała się Michajłowka) leży przy starej drodze ze Smoleńska do Moskwy, o 22 wiorsty przed Dorogobużem.

³ Skolimów – okolica zamieszkała przez zaściankową szlachtę (powiat siedlecki, parafia Mordy). W okolicy Skolimowa leżą: Skolimów-Stara Wieś, Skolimów-Ptaszki, Skolimów-Rogoziec, Skolimów-Wojnów i Skolimów-Cierpigórz; *Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich* (dalej: *SGKP*), t. 10, Warszawa 1880, s. 689. W tekście wspomnień autor często zapisywał nazwę wsi rodzinnej z pominięciem jej pierwszego członu jako Wojnów.

⁴ Najobszerniejszy *Herbarz Polski* Adama Bonieckiego wielokrotnie informuje o rodzie Skolimowskich; zob. Indeks nazwisk w: *Herbarz Polski Adama Bonieckiego*, oprac. S. Konarski, Warszawa 1993, s. 106.

⁵ Czyli według kalendarza gregoriańskiego. Różnica kalendarza gregoriańskiego i juliańskiego stosowanego w Rosji wynosiła w XIX w. 12 dni.

⁶ Rafał Skolimowski (1781–1848), ksiądz, pedagog, matematyk. Urodził się w Skolimowie-Wojnowie, święcenia kapłańskie otrzymał w seminarium duchownym w Janowie

obie zamężne. Pierwsza była żoną Antoniego Izdebskiego, adwokata w mieście Siedlce, druga szlachcica Jana Stępkowskiego⁷, właściciela połowy wsi Nowosielec⁸. Imion sióstr ojca mego nie znam, wszystkie one zmarły. Skolimów-Wojnów oddalony jest od miasta Siedlce o 22 wiorsty⁹. Droga z Siedlec do tej wioski prowadzi szarwarkową szosą do osady Mordy¹⁰ oddalonej o 18 wiorst, a z Mordy, gdzie nasza parafia i gmina, dużą piaszczystą drogą, liczącą cztery wiorsty, prowadzi do Wojnowa, gdzie nie dojeżdżając do niego, z prawej strony jest zagroda.

Miasto Siedlce¹¹ położone jest na trasie linii kolejowej z Brześcia Litewskiego do Warszawy.

Moja niewiedza o ojczyźnie spowodowana była tym, że w wieku ośmiu lat byłem wywieziony do stryja do Warszawy. W domu bywałem tylko na wakacjach, i to nie co roku, a w wieku siedemnastu lat wysłano mnie do Petersburga. Przez ostatnie piętnaście lat nie korespondowałem z rodziną.

Podlaskim około 1805 r. Od 1809 r. uczył religii, historii i matematyki. Studiował matematykę w Berlinie i Paryżu. Po powrocie został profesorem matematyki na Uniwersytecie Warszawskim i w 1820 r. uzyskał stopień doktora filozofii. W tym czasie porzucił kapłaństwo i wstąpił do loży masońskiej „Götting von Eleusis”. Prawdopodobnie z tego powodu utracił katedrę na Uniwersytecie. Otrzymał ponownie stanowisko profesora matematyki i religii. Od 1825 r. pełnił ponadto stanowisko profesora filozofii w seminarium głównym św. Krzyża w Warszawie, a następnie w Akademii Duchownej. Był autorem trzynastotomowego dzieła matematycznego, z którego tylko część ogłosił w Warszawie w 1820 r. Ponadto w latach 1823–1824 opublikował dwa podręczniki dla uczniów Wojskowej Szkoły Aplikacyjnej (*Kurs rachunku wyższego* i *Naukę mechaniki i hydrauliki*). Według wspomnień uczniów należał do najwybitniejszych wykładowców Akademii Duchownej. W 1840 r. przeszedł na emeryturę, lecz dalej piastował stanowiska kościelne i pełnił funkcje duszpasterskie. Wszystko oddawał biednym; utrzymywał sieroty i biednych uczniów. Zmarł w Warszawie 14 kwietnia 1848 r. i pochowany został na cmentarzu Powązkowskim w katakumbach. Odznaczony był Orderem Włodzimierza 4. klasy; W. Piotrowski, *Skolimowski Rafał*, w: *Polski Słownik Biograficzny* (dalej: *PSB*), t. 38, Warszawa–Kraków 1998, s. 236. Najobszerniejszy życiorys jest dziełem Kazimierza Władysława Wójcickiego (*Cmentarz Powązkowski pod Warszawą*, t. 2, Warszawa 1856, s. 166–169). Autor dobrze znał księdza Skolimowskiego. Według niego ocalenie od śmierci podczas zarwania się pod nim mostu na Wiśle w 1820 r. spowodowało, że porzucił lożę masońską, wrócił do wiary i stanu kapłańskiego. Po przejściu na emeryturę pracował nad podręcznikiem filozofii, który ostatecznie pozostał w rękopisie. Zob. też: S. Szenic, *Cmentarz Powązkowski 1790–1850. Zmarli i ich rodziny*, Warszawa 1979, s. 392–394.

⁷ W wersji rosyjskiej Stępkowski.

⁸ Nowosielec – wieś w powiecie konstantynowskim.

⁹ Wiorsta (wiersta) = 1066,8 m.

¹⁰ Mordy – osada miejska, przed 1867 r. miasteczko. W 1827 r. było tam 166 domów i 1145 mieszkańców; *SGKP*, t. 6, Warszawa 1895, s. 675–677.

¹¹ Siedlce – miasto liczące w 1827 r. 302 domy i 4414 mieszkańców; *SGKP*, t. 10, s. 497–503.

Ojciec mój w wieku sześciu lat stracił wzrok; zrobiła mu się tak zwana „ciemna woda”¹² i żadne środki, których nie szczędził dziadek, nie pomogły mu odzyskać wzroku. Pomimo to uczył się w szkołach drohiczyńskich¹³, a szkoły te w końcu minionego stulecia były sławne ze swojego nauczania. Mimo ślepoty słuchał wykładów i przy zadziwiającej pamięci i pojmowaniu, z pomocą braci, uczył się lekcji. Nawet arytmetykę umiał porządnie i ze swobodą rozwiązywał złożone zadania. Miał też pojęcie o geometrii, której uczył go na wykonanych z drewna figurach. Dobrze znał język łaciński i przednio grał na skrzypcach. Jego powierzchowność, jak go pamiętam, gdy miał [pięćdziesiąt] lat, była w pełni przyjemna. Był powyżej średniego wzrostu, trzymał się prosto, oczy miał kasztanowe, przejrzyste. Kiedy milczał, były one mało świadome, ale kiedy mówił i słuchał, wydawały się wyrażać myśl. Tylko duże i szerokie brwi, a w głównej mierze długie rzęsy, nadawały jego twarzy osobliwy wygląd. Posiadał nadzwyczajną pamięć, słuch, dotyk i powonienie. Ojciec u siebie w domu chodził, pracował i mówił jak każdy widzący człowiek. Wielu mieszkańców myślało, że on choć trochę widzi. Miał jednak tylko pojęcie o kolorze zielonym, który jako jedyny zachował się w jego pamięci. Ja sam w dzieciństwie nie byłem przekonany co do jego pełnej ślepoty i w jego obecności zachowywałem się zawsze przyzwoicie.

W domu ojciec miał wydzielony pokój z jednym oknem na sad, wszystko w nim było mu dobrze znane. Zdecydowanie podchodził do wszystkiego, brał, używał, znowu odstawiał i przestawiał. Golił się sam i zawsze nocą, która jak pamiętam, zastępowała mu dzień. Kiedy wszyscy czuwali, on spał, ale zwykle niewiele. Słyszał najmniejszy szum w sadzie, w szczególności kiedy dojrzewały plony, i posyłał wtedy kogoś, aby gonić psotników. Raz w tygodniu sprzątany był jego pokój, przy czym zawsze był obecny i sprawdzał rękami, czy wszystko jest na swoim miejscu. W monetach wyznawał się nie gorzej aniżeli widzący, poznawał nawet banknoty, których wówczas było niewiele. Starał się jednak nie trzymać ich przy sobie. Kiedy nadchodziła noc i wszystko się uspokajało, ojciec cichutko chodził po domu, wychodził na dwór do spichlerzy i do obory bez jakiegoś celu. W samym domu chodził z laseczką, którą pomachiwał przed sobą, i wtedy jego chód był śmiały i pewny. Była to niewątpliwie prawda, że ojciec mój niczego nie widział. Wszystkie jego działania dowodzą jego nadzwyczajnej pamięci i niecodziennej inteligencji. Jeśli raz usłyszał głos człowieka, to spotkawszy się z nim, nawet po długim czasie, po pierwszym słowie rozpoznawał go i rozmawiał jak ze znajomym.

¹² Ciemna woda – prawdopodobnie jaskra.

¹³ Drohiczyn – od 1520 r. do czasu rozbiorów stolica województwa podlaskiego. Zasłynął ze znakomitych szkół: prowadzonej przez franciszkanów szkółki i jezuickiej szkoły, która od 1747 r. uzyskała rangę kolegium (Collegium Nobilium).

Każdego przybyłego do niego gościa witał, przyjmował, usadzał, częstował tabaką, którą sam wachał. Jednym zdaniem, wszystko tak jak widzący, a ponieważ oczy jego były cały czas zwrócone na gościa, to wielu myślało, że to, co słyszeli o ślepotcie ojca, jest wymysłem.

Ojciec kochał mnie bardzo. Kiedy przyjeżdżałem na wakacje, po pierwszym słowie wypowiedzianym w sieni poznawał mnie i wychodził na spotkanie. Gdy byliśmy sami, dotykał mnie palcami, którymi długo wodził po twarzy. Uczyl mnie modlić się po łacinie i niekiedy przymuszał do czytania w tym języku. Z tego ostatniego nie byłem zadowolony, po pierwsze dlatego, że słabo czytałem, a po drugie dlatego, że lubiłem szaleć i biegać po lesie, pełnym wszelkich pokus. Aby jak najprędzej odrobić czytanie, skracałem czytane wiersze, umyślnie niektóre omijałem, ale fortel się nie udawał. Ojciec wstrzymywał czytanie i ponownie kazał czytać od kropki. Wszystko to złościło mnie i zadziwiała zarazem – jak ślepy może zauważyć moje oszustwo. Dopiero później zrozumiałem, że ojciec, znając język i nie znajdując sensu, orientował się, o co chodzi, a ja, czytając jak papuga, sądziłem, że to się uda.

Taki defekt jak ślepotą nie przeszkodził ojcu mojemu założyć rodziny. W trzydziestym trzecim roku życia ożenił się z córką pana Nowosielskiego, właściciela części wsi Nowosielec, panną Katarzyną w wieku siedemnastu lat. Wieś Nowosielec położona była około [dziesięciu] wiorst od Skolimowa-Wojnowa; tam mieszkała siostra ojca Stępkowska i to z pewnością sprzyjało zbliżeniu ojca i matki. Dzieci mieli dużo, ale ja znałem tylko czworo: najstarsza siostra moja miała na imię Agnieszka, potem brat Adam, dalej siostra Zofia i na koniec ja, ostatni z urodzonych dzieci. Agnieszka była o [piętnaście] lat starsza ode mnie, po niej był wkrótce Adam, a Zofia o wiele młodsza od obojga. Ze świadectwa urodzenia wynika, że w czasie chrztu mojego w miasteczku Mordy ojciec mój miał [czterdzieści dziewięć], a matka [trzydzieści trzy] lata.

Matkę straciłem w wieku sześciu lat i jej nie pamiętam. W pamięci mojej pozostał jedynie pogrzeb. Kiedy wynoszono jej ciało z domu, wybiegłem na dwór za trumną. Nieprzytomnego wniesiono mnie z powrotem do pokoju, ale w domu nie mogłem się uspokoić. Siostra Agnieszka często i dużo mówiła mi o naszej matce. Była to zacna, mądra, energiczna, pracowita i bardzo wierząca kobieta. Zajmowała się całym domem i gospodarstwem, przy bierności ojca. Matka miała piękną powierzchowność, była ładnie zbudowana, z długimi przepięknymi włosami. Charakter miała nadzwyczaj spokojny, rozsądne podejście do spraw i niezłomną wolę. Natomiast ojciec był również zacnym, dobrym i bogobojnym, ale nie miał stanowczości w swym charakterze i bywał gwałtowny. Ich życie było zgodne, przy wzajemnym szacunku i miłości. Wszystko to dzięki matce, typowej przedstawicielki kobiet dawnej Polski.

Mój dom rodzinny znajdował się o pół wiorsty od wsi Skolimów-Wojnow, przez którą przechodzi duża droga z Siedlec do Brześcia. Nie dojeżdżając do

wioski, aleją na prawo był zjazd do domu. Dom tylną fasadą zwrócony był ku drodze, a za domem duży sad z trzema sadzawkami, wtedy jeszcze pełnymi ryb. Dom drewniany był kryty słomą, sień dzieliła go na dwie połowy; na lewo znajdowały się pokoje mieszkalne, na prawo kuchnia, izba czeladna i gospodarcza, od połowy połączone ciepłym pokojem utworzonym z tylnej części sieni. Przed domem po prawej stronie znajdowała się studnia, na lewo ptaszarnia, na wprost spichlerz i przy nim maślarnia. Dalej od nich stała obora dla bydła i stodoła. Za stodołą zaczynał się wielki las, obfitujący w grzyby, orzechy i różne jagody. Za sadem od wielkiej drogi w odległości około dwóch wiorst widać wieś Skolimów-Stara Wieś. Na lewo od dużej drogi i w takiej też odległości znajdowała się wieś Głuchów. Idąc w prawo przez naszą wioskę, widać było Skolimów-Ciespigorz i Zawadę. Drogę na wprost obsadzono starymi wierzbami, na prawo znajdowała się zagroda stryja Feliksa, a za nią wspomniany wcześniej wielki las. Opisana wioska szczególnie malowniczego wyglądu nie miała. Była to nizinna równina, bez jakichkolwiek nawet niewielkich wzniesień, przez co w czasie słoty czuło się wilgoć. Mimo to miejsce owe sprzyjało i było wygodne dla potrzeb gospodarskich i hodowli bydła.

Brat Adam zmarł jeszcze za życia matki. Miał szesnaście lat, kończył szkoły i uczył się znakomicie, będąc nadzwyczaj skromnym, posłusznym i rozwiniętym chłopcem, w którym jako jedynym spośród rodzeństwa matka pokładała nadzieję, i dlatego śmierć Adama tak ją poraziła. Brata Adama i jego śmierci nie pamiętam, ale jego choroba pozostawiła u mnie niezapomniany ślad. W kryzysie choroby doktor przepisał krople, które wpuszczaliśmy do szklanki wody po dwie i podawaliśmy choremu. To lekarstwo w małej buteleczce z kolorową etykietką stało na oknie, a ja, mając wtedy trzy lata, wlałem na krzesło, wziąłem flaszeczkę, odkręciłem ją i wylałem ciecz na swoje czoło. Z bólu zacząłem krzyczeć; wtedy przybiegła matka, wzięła psotnika na ręce i kołysząc, przytuliła do piersi. Zauważywszy, że ubranie jej zaczęło się tlić, a czoło moje i część powieki poczerniały, tak się przeraziła, że straciła przytomność. Prerażenie wszystkich było nie do opisania, długo nie mogli mnie uciszyć. Okazało się, iż w buteleczce znajdował się kwas siarkowy, który mocno poparzył moje czoło oraz poważnie uszkodził brwi i rzęsy. Opowiadali mi potem, że cierpiałem długo i boleśnie, dopóki wszystko się nie zagoiło. Zostały duże blizny, które co prawda z biegiem lat zanikły, ale do dziś pozostała po nich nieznaczna szrama, która podczas pocierania czerwienieje.

Śmierć matki nastąpiła nagle na skutek przeziębienia; nieszczęście to poraziło ojca jak grom. Zagubił się mocno i stan jego był przerażający. Nie potrafił niczego zrobić sam, a pomoc i dobre słowo nie pojawiły się zbyt szybko. Mieszkający w tej wiosce brat ojca Feliks był hulaką i człowiekiem całkowicie beztroskim, a żona jego była pustą kobietą. To właśnie najbliżsi krewni, z którymi za życia matki nie było żadnej harmonii, i oni to zdecydowali się

na pomoc, doradzanie i pocieszanie ojca. Wraz z kompaniami stali się stałymi gośćmi w naszym domu; wkrótce zaczęły się uczty, uciechy i nawet orgie. Ojciec niestety nie miał na tyle stanowczości, aby skończyć z tym wszystkim. Siostra Agnieszka cierpiała ogromnie. Gospodarstwo waliło się, a my dzieci pozostawialiśmy bez żadnego oparcia.

Ratunkiem okazał się stryj, ksiądz Rafał¹⁴. Dowiedziawszy się o wszystkim od siostry Stępkowskiej, przyjechał z Warszawy, usunął Feliksa, ogarnął gospodarstwo, umieścił w domu naszym starszą szlachciankę, a Stępkowską poprosił o pieczę nad wszystkim. Stryj Rafał cieszył się dużym uznaniem w całej rodzinie, dlatego też Feliks posłusznie zostawił ojca, a w domu ponownie zapanowała cisza i spokój. Jednak tęsknota za matką przytłaczała ojca. Aby ulżyć mu w nieszczęściu, stryj Rafał razem ze Stępkowską postanowili wydać siostrę Agnieszkę za mąż, stawiając warunek, że przyszły zięć zamieszka przy teściu.

Niezbyt daleko mieszkał niezamożny szlachcic Raczyński. Jego starszy syn Karol miał opinię skromnego, przyzwoitego i gospodarnego młodego człowieka. Wykształcenia dużego nie posiadał, umiał tylko czytać, pisać i znał arytmetykę. Na tegoż to Karola Raczyńskiego padł wybór na męża dla Agnieszki. Spodobał się jej, na lepszego więc oczekiwać nie było potrzeby. Sprawa ułożyła się szybko i po oświadczeniach ojciec oddał nowożeńcom całą swoją gospodarkę w zarząd. Sytuacja szybko się poprawiła, ojciec się uspokoił, a kiedy Bóg dał mu wnuka, to jego rodzinny kąt stał się rajem, a wnukiem opiekował się lepiej od każdej niani, dlatego że nie spał w nocy.

W domu rodzinnym przebywałem do ósmego roku życia. Co działo się tam później, nie wiem, a to, co opowiedziane zostało wyżej, znam od Agnieszki, której miłość do mnie była tak prawdziwa. Troszczyła się o mnie jak druga matka, a wspomnienie jej, teraz już zmarłej, zawsze boleścią kładzie się na sercu moim.

Stryj ksiądz Rafał już od dawna mieszkał w Warszawie. Otrzymał on wyższe wykształcenie, uzupełnione w Paryżu. Jeszcze przed moim urodzeniem stryj był profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, profesorem Akademii Duchownej i profesorem głównej szkoły wojskowej istniejących wtedy wojsk polskich, zwanej Szkołą Aplikacyjną¹⁵. Zdawałoby się dziwne, jak osoba duchowna mogła wykładać w szkole wojskowej najważniejszy tam przedmiot – matematykę wyższą. Rzeczywiście, wielu się temu dziwiło, ale znawcy sprawy i wyższa administracja w pełni doceniali płynące z tego korzyści. Sam

¹⁴ Ksiądz Rafał Skolimowski; zob. przypis 6.

¹⁵ Wojskowa Szkoła Aplikacyjna w Warszawie, istniejąca w latach 1820–1830 przy ul. Miodowej; szerzej zob.: W. Tokarz, *Armja Królestwa Polskiego (1815–1830)*, Piotrków 1917, s. 277–279.

cesarzewicz Konstanty Pawłowicz¹⁶ cenił zdolności stryja i zaprosił go do wygłoszenia wykładu dla swojego ulubionego wychowanka Aleksandra, jego naturalnego syna. Stryj opowiadał potem o wydarzeniu podczas tego wykładu w pałacu. Wcześniej rozbolewały go i spuchły nogi. Doktor doradzał pozostanie w domu, lecz stryj, nie chcąc opuścić wykładu, uznawszy to za niewskazane, polecił kupić ciepłe buty i wyruszył do pałacu. Tu dopiero zauważył, że buty były kupione w rosyjskim sklepie, dlatego towar wydzielал silny zapach dziegci. Okoliczność ta była dla niego niezręczna, ale zająwszy się pracą i mając uważnego słuchacza w Aleksandrze, zupełnie o tym zapomniał. Na nieszczęście do pokoju wszedł wielki książę. Po przywitaniu się i wymianie kilku słów ze stryjem, zaczął wahać i marszczyć się. Wtedy stryj Rafał uznał, że musi wyjaśnić przyczynę i przeprosić. Książę się wesoło roześmiał i dodając otuchy skonfundowanemu stryjowi, powiedział z uśmiechem: „To nic, to nic, ja jestem wielkim patriotą, zapach ten powinien być dla mnie przyjemny”.

Stryjowi mojemu przytrafiło się w związku z wykładaniem w szkole wojskowej zdarzenie, które, dziękować Bogu, miało szczęśliwy koniec. Wkrótce po wstąpieniu na tron carski imperatora Mikołaja Pawłowicza¹⁷, raczył on odwiedzić Warszawę i oglądając wiele tamtejszych zakładów naukowych, przybył do szkoły wojskowej w tym czasie, kiedy stryj prowadził wykład. Po obejrzeniu budynku i gabinetów car wszedł do audytorium, gdzie dowiedział się, że trwa wykład z matematyki, którą szczególnie lubił i zajmował się, zwrócił się więc do brata Konstantego Pawłowicza o kontynuowanie wykładu.

Stryj Rafał wszedł na katedrę. Tu zatrzymamy się i opiszemy jego powierzchowność. Stryj miał wówczas około pięćdziesięciu lat, był niewysokiego wzrostu, przygarbiony i nadzwyczaj chuderlawy. Na głowie łysina, na nosie z boku nieduża brodawka, która w żaden sposób nie dodawała mu urody. Był ubrany w zwyczajne odzienie duchownego, długą sutannę, i wszystko to nie przemawiało zbyt na korzyść jego wyglądu. Nieszczęsny i pognębiony ksiądz na katedrze głównej szkoły wojskowej wydawał się pożałowania godnym. Stryj Rafał wiedział, że car nie mówi po polsku, zwrócił się więc do Konstantego Pawłowicza z pytaniem, w jakim języku należy dalej prowadzić wykład, i zgodnie z wolą cara zaproponowano mu język francuski. Twarz cara i całej jego świty wyrażały zdziwienie.

Należy mniemać, że wszystko to ożywiło w nim zdolności umysłowe. Wyprostował się bowiem, wyraz twarzy rozjaśnił się, a oczy pały. Trafił bowiem w swoją ulubioną dziedzinę nauki i stał się wyrocznią wysokich prawd. Poczował się także do obrony nauki, a też i siebie. W wykładzie tym prze-

¹⁶ Wielki książę Konstanty (1779–1831), wódz naczelny wojska polskiego, brat Aleksandra I i Mikołaja I.

¹⁷ Mikołaj I (1796–1855), car Rosji i król polski.

szedł siebie samego. W auli panowała cisza, i to martwa cisza aż do końca wykładu, kiedy to emocje opanowały słuchaczy. Cesarz podziękował swemu bratu, stryja Rafała zaszczycił wieloma pochlebnymi słowami i powinszował szkole, iż ma tak dostojnego profesora. Dodam tu, że stryj Rafał był człowiekiem największego humanizmu i kochał każdego bliźniego, tak jak nakazywał to Chrystus. Za pracę profesora otrzymywał on po sześć tysięcy złotych polskich z każdej instytucji. Ponadto jako kapelan w szkole wojskowej miał dodatkowo trzy tysiące złotych, czyli razem stanowiło to sumę dwudziestu jeden zł[otych] p[olskich], równoznacznych trzem tysiącom stu pięćdziesięciu rublom rocznie¹⁸ – suma jak na tamte czasy ogromna. Wszystkie pieniądze, jakie dostawał, szły na wychowanie dzieci nie tylko należących do rodziny, ale też i obcych chłopców. Miał on pod swoją opieką stale piętnastu chłopców. Koszty nauki, utrzymanie, odzież, usługa, nadzór, wszystko to było opłacane przez stryja.

Ten też dobroczyńca wziął mnie pod swoją opiekę i dał wychowanie, aby nie pozostawić sieroty w ignorancji i na los szczęścia. Małych, takich jak ja chłopców zwykle nie brał, dla mnie jedyne zrobił wyjątek. Przyjmował zwykle tych, którzy mieli już jedenaście lat i więcej, aby po ukończeniu nauk w szkole mogli oni studiować dalej na uniwersytecie. W tym czasie szkoły w Polsce były dostępne dla każdego i liczba szkół czteroletnich była duża; zwano je powiatowymi. Wpisowe roczne w tych szkołach, jak też w szkołach wojewódzkich sześcioklasowych, wynosiło zaledwie osiemnaście złotych, wpłatę zaś rozłożono na półroczą. W Uniwersytecie Warszawskim wpisowe wynosiło w pierwszym roku sto, a w następnych latach pięćdziesiąt złotych.

Przed wyjazdem ze wsi żartowano ze mnie, opowiadając, że do Warszawy należy wjechać po dużym i bardzo długim moście na Wiśle, oddzielającym Pragę od Warszawy, i że na tym moście stale siedzi stara baba i że każdy chłopiec jadący do Warszawy po raz pierwszy powinien ją pocałować trzy razy. Chłopiec nie może się schować, bo ta wiedźma wywęszy, i że to wszystko jest okropne, tym bardziej, że na moście przewija się sporo osób etc., etc. Te opowiadania niepokoiły mnie okropnie, a perspektywa nauki pod nieuchronnym pręgierzem różg wytworzyła we mnie lęk przed podróżą do tego stopnia, że tuż przed wyjazdem do Warszawy płakałem i rozpaczałem.

Wreszcie przybył do nas wuj Stępkowski, z którym miałem wyruszyć w drogę. Wiózł on również do Warszawy dwóch swych synów, będących od dawna na wychowaniu u stryja Rafała i wracających po wakacjach. Sylwester miał wówczas szesnaście lat, Rafał zaś był o rok młodszy. Rozpacz moja była okropna, chowałem się do lasu, błagałem ojca, siostrę, szwagra. Nic to nie po-

¹⁸ 1 złoty = 15 kopiejek.

mogło. Zabrali mnie jak barana, wsadzili do powozu i ruszyli w drogę. Działo się to w roku 1825.

Podczas jazdy powoli zacząłem się uspokajać. To była przecież moja pierwsza w życiu podróż. Zaciekał mnie sam powóz. Czegoś takiego nie widziałem uprzednio. W samej rzeczy powóz był nadzwyczajny i rzadko spotykany, a że potem jeździłem nim często, więc pozwolę sobie opisać go szczegółowo. Nawet na te czasy wydawał się dziwny. Był to ogromny rydwan, prawie jak arka Noego, do której pakowało się mnóstwo rzeczy ożywionych i martwych. Nadwozie miało formę łodzi koloru żółtego, i wszystkie śruby i sworznie dawały koncert muzyki przy każdym poruszeniu się wozu. Powóz ten wydawał mi się szczytem pańskiego smaku i zamożności. U siebie w domu nie mieliśmy nic podobnego. Posiadaliśmy jedynie porządną „natyczankę”¹⁹. Dlatego do wuja Stępkowskiego poczułem nadzwyczajny respekt i poważanie. Przeglądając mu się z bliska i uważnie, znajdowałem go majestatycznym, bo był to dużego wzrostu grubasak o bujnych wąsach i popielatych włosach; starszy jegomość ubrany w staropolski kontusz, którego dotychczas nie widziałem. Synowie jego, moi kuzyni, wydali mi się wielkimi elegantami. Obawiałem się do nich przemówić, spoglądałem jedynie spode łba, jak dzikie zwierzątko.

Nie bacząc na to, że Siedlce są odległe od domu dwadzieścia dwie wiorsty, wóz nasz, zaprzężony w cztery chude koniki, ciągnął się aż dwa dni. Nocowaliśmy więc w połowie drogi w leśnej karczynie. Nie istniały wówczas bite drogi. Koła grzęzły więc głęboko w piasku i błocie.

W Siedlcach zatrzymaliśmy się u wujostwa Izdebskich, którzy właściwie mieszkali nie w samym mieście, lecz na przedmieściu zwanym Starowieś. Mieszkali oni we własnym domu, bardzo ładnym, czymś w rodzaju małej fortecy ogrodzonej wysokim drewnianym parkanem, ze sterczącymi u góry gwoździami. Brama wjazdowa była mocna, dom zaś otoczony dość głębokim rowem, przez który przerzucono mostek prowadzący do ganku. Most ten przeznaczony był tylko dla użytku pieszych, natomiast dla powozów przy wjeździe przez bramę przynoszono każdorazowo specjalny rozbierany pomost, który natychmiast zabierano z powrotem po przejeździe wozu.

Wuj Izdebski również był grubasem – wąsatym i w kontuszu. Nadzwyczaj dobry i rozumny staruszek; lubił swych krewnych i dużo im pomagał jako wówczas jeden z lepszych adwokatów. Wujenka również była przemilą starowiną; od pierwszego spotkania ułaskawiła mnie, toteż polubiłem ją bardzo.

Dwudniowy pobyt nasz u Izdebskich był dla nas przyjemny. Na trzeci dzień ruszyliśmy w dalszą drogę do Warszawy, oddalonej o osiemdziesiąt dwie wiorsty. Poruszaliśmy się dość prędko, gdyż mieliśmy doskonałą szosę,

¹⁹ Natyczanka – rodzaj powozu.

po której za przejazd pobierano na każdym przystanku pewną kwotę myta. Dla odpoczynku i dla karmienia koni były doskonale karczmy, prawdziwe hotele. Ludzi wszędzie moc, tak że zapomniałem o moim strachu przed wiedźmą. Wreszcie dojechaliśmy do Grochowa, ostatniego przystanku przed Warszawą. W Grochowie znajdowała się fabryka najlepszych polskich likierów.

Kuzyn Sylwester był zawsze wielkim psotnikiem. Wiedział on, że miałem nieco grosza danego mi na pocieszenie przez siostrę Agnieszkę i że niezmiernie bałem się tej wiedźmy na moście warszawskim. Stał się więc bardzo uprzejmy i po długim wstępie namówił mnie do wypicia likieru, aby potem mieć odwagę. Z rana przed wyjazdem poszliśmy do sklepiku, gdzie wypilem kieliszek rzeczywiście znakomitego likieru, częstując naturalnie dobrego doradcę. Jednak likier, zamiast dodać odwagi, bardziej jeszcze powiększył mój strach. Czułem się podehmielony, co naturalnie zauważył wuj, i dowiedziawszy się, o co chodzi, dał reprimendę Sylwestrowi. Sylwester, rozgniewany na mnie za szczerość, postanowił zemstę i zaczął opowiadać, jak to on całował wiedźmę, jak ze strachu i wstydu ledwo nie rzucił się do rzeki, jak wszyscy na moście śmiali się etc. Ból głowy i zdwojony strach jeszcze bardziej zwiększały moją rozpacz. Gdy byliśmy już na Pradze, Sylwester mówił mi szeptem: „A tu wkrótce most i wiedźma”. Schowałem się z płaczem za Feliksem. W jaki sposób przebyliśmy most, jak dotarliśmy do mieszkania stryja Rafała, jak mnie wprowadzili do środka, nic z tego nie pamiętam, gdyż byłem zupełnie omdlały. O tym wszystkim dowiedziałem się później od tegoż samego Sylwestra, który nie mógł obejść się bez psot. Długi czas byłem pośmiewiskiem z powodu tej historii z babą na moście warszawskim.

Takiego to, na wpół dzikiego chłopca, stryj Rafał przyjął na wychowanie i od razu otoczył mnie swoją dobrocią i opieką. Mieszkał on wtedy na ulicy Krakowskie Przedmieście, najlepszej wtedy i teraz, w domu kupca Dobrycza²⁰. To był drugi lub trzeci dom od Placu Zamkowego z kolumną Zygmunta. Nowe, niewidziane dotąd przeze mnie otoczenie, wysokie i wielkie pokoje, schody, okna, zawsze duży ruch ludzi i powozów na ulicy, nieustanny zgiełk i szum, liczne towarzystwo chłopców; wszystko to z początku otumaniało mnie, ale wkrótce powróciłem do swej żywości i nawet stałem się psotnikiem, aczkolwiek zawsze byłem posłusznym chłopcem. W tym czasie u stryja znajdowało się [piętnas]tu wychowanków, w większości krewniaków. Pomiędzy krewniakami byli dwaj Stępkowscy, dwóch Izdebskich, [Ignacy] Nowosielski,

²⁰ Według Wiktorii Śliwowskiej był to Stefan Dobrycz, kupiec korzenny, spolonizowany Serb. Jego syn, także Stefan (1819–1881), w 1846 r. został skazany za udział w spisku na dożywotnie ciężkie roboty w kopalniach nerczyńskich; W. Śliwowska, *Zesłańcy polscy w Imperium Rosyjskim w pierwszej połowie XIX wieku. Słownik biograficzny*, Warszawa 1998, s. 135–137.

[Jan] Kamieński, [Wenant] Lipiński, [Paweł] Rzewuski, Roch Skolimowski – syn Feliksa, brata ojca, i na koniec ja. Z początku uczyłem się w domu, ponieważ nie byłem przygotowany do nauki w szkole; reszta chodziła do szkoły i na uniwersytet. Na uniwersytecie byli dwaj Izdebscy²¹ i Nowosielski²², i oni byli naszymi guwernerami.

Tak minął rok i oswoilem się z moim nowym życiem. Czy to ze względu na zmianę klimatu, czy z innych przyczyn, zacząłem silnie kaszleć, a potem kaszel ten zmienił się w koklusz. U stryja był na rocznym kontrakcie doktor i on karmił mnie różnymi miksturami. Ale jedno lekarstwo bardzo mi się podobało, ale o tym opowiem nieco dalej.

Na wakacje zostałem wysłany do Nowosielca do Stępkowskich. Wuj Stępkowski przyjechał do Warszawy i zabrał mnie i swoich synów. Jeszcze przed wyjazdem stryj Rafał pytał doktora, czy powinienem jechać na wieś, czy nie lepiej byłoby zostać w Warszawie i kontynuować leczenie. Doktor zalecił wyjazd, a na wszelki wypadek wypisał receptę na lekarstwo, które należało przyjmować przy rozpoczynającym się kaszlu. Lekarstwem tym okazał się owsiany cukier w postaci karmelków w formie skręcanej świeczki, smaczny i przyjemny. Ogromną pakę tego lekarstwa wziął wuj Stępkowski na drogę. Kaszlałem więc nawet wtedy, kiedy mi się nie chciało, aby dostać smacznego karmelka. Chwaliłem w duszy tego miłego doktora.

I tak pojechaliśmy do Nowosielca. W Siedlcach gościliśmy u Izdebskich, gdzie przywieźliśmy jednego z ich synów. W Wojnowie odwiedziliśmy ojca i szczęśliwie dotarliśmy do mojej dobrej cioteczki Stępkowskiej, która polubiła mnie i chroniła jak syna rodzonego. W Nowosielcu żył rodzony brat mojej mamy Nowosielski, który razem ze swoją żoną zawsze mnie rozpieszczali, a ja nie przepuszczałem okazji, żeby do nich pobiec, chociaż było do nich więcej niż pół wiorsty.

²¹ Gracjan i Zenon Izdebscy, synowie Antoniego i Jadwigi ze Skolimowskich. Zenon urodził się w Siedlcach, Gracjan szkoły ukończył w Kielcach, liceum w Warszawie. Gracjan był członkiem tajnego Związku Wolnych Polaków, na krótko został aresztowany w 1823 r. W 1825 r. uzyskał tytuł magistra prawa i administracji, następnie był dziedzicem dóbr Mosty i Patków w powiecie bielskim. Zenon (zm. 1879) był porucznikiem w powstaniu listopadowym. Emigrował po powstaniu do Francji, gdzie był członkiem Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Jego majątek w kraju został skonfiskowany; R. Gerber, *Studenci Uniwersytetu Warszawskiego 1808–1831. Słownik biograficzny*, Wrocław 1977, s. 76–77; R. Bielecki, *Słownik biograficzny oficerów powstania listopadowego*, t. 2: E–K, Warszawa 1996, s. 177.

²² Według R. Gerbera, *Studenci*, s. 160, chodzi o Franciszka Nowosielskiego (zm. 1854), syna Wojciecha, dziedzica dóbr ziemskich Szczecno w powiecie miechowskim. Jednak jak wynika ze wspomnień Skolimowskiego, mowa tu o Ignacym Nowosielskim (por. s. 43 i 119). Być może Ignacy to drugie imię Franciszka Nowosielskiego.

W czasie naszej drogi z Siedlec do Wojnowa, figlarz Sylwester wymyślał śmieszne sztuczki. Już wspominałem, że droga ta była bardzo piaszczysta i prowadziła przez duży las. Dzień był gorący i zbliżał się zachód słońca. Dojeżdżaliśmy do pobliskiej karczmy, gdzie mieliśmy odpocząć i przenocować. Konie były zmęczone i często zatrzymywały się. Nastrój u wszystkich był raczej niewesoły. Aby ulżyć koniom, wuj kazał synom zejść z powozu i iść obok. Ja zaś pozostałem przy stryju jako małoletni i chory. Na początku chłopcy wesoło chowali się do lasu, gdzie zebrali nieco jagód, którymi nawet mnie poczęstowali. Trwająca spiekota i piasek dokuczały Sylwestrowi. Nadchodził wieczór. Zdjął więc marynarkę, którą narzucił sobie na jedno ramię. Następnie zdjął czapkę, wywrócił ją na drugą stronę daszkiem do tyłu, schwycił duży patyk, wyskoczył z lasu i z wielkim hałasem targnął końmi za uzdę. Wreszcie krzyknął: „Stój”. Oniemiałem z przerażenia. Wuj chwycił krzywy węgierski pałasz, z którym nigdy się nie rozstawał. Konie stanęły. Woźnica otworzył szeroko oczy i zaczął się modlić. Trudno byłoby wyobrazić sobie, co by dalej mogło się stać, gdyby Sylwester nie zarechotał. Scena przybrała natychmiast inny obrót. Wymyślania jego ojca łały się jak z wiadra wraz z zapowiedzią kary. Sylwester śmiał się nadal, mówiąc: „Cóż mam robić, tatusiu, nadchodzi noc, straszny piasek, jestem zmęczony, bolą mnie nogi, proszę nie gniewać się, a raczej wsadzić nas do powozu i pojeździemy z Bogiem”. Przed chwilą rozgniewany srode ojciec nie wytrzymał marsowej miny, roześmiał się, zabrał psotników do powozu i pojechaliśmy dalej.

Wakacje w Nowosielcu przeszły nadzwyczaj przyjemnie i wesoło, szczególnie przy wyczynach takiego urwisa, jakim był Sylwester. Łowiliśmy często ryby i raki, których było mnóstwo. Chodziliśmy zbierać grzyby, orzechy, jagody; spaliśmy na sianie w stodole, piliśmy dużo mleka i korzystaliśmy z całkowitej swobody. Zupełnie tam wyzdrowiałem i gdy powracałem, siostra Agnieszka, widząc mnie, była zachwycona.

Ponowny wyjazd do Warszawy odbył się w tym samym trybie, tylko że teraz nie miałem już stracha. Przeciwnie, straszylem innych chłopców wiedźmą i robiłem wrażenie człowieka doświadczonego. W związku z tym jestem zobowiązany Sylwestrowi, który żartami i dowcipami pobudził we mnie poczucie świadomości i niezależności. Po przyjeździe do Warszawy zacząłem uczęszczać do elementarnej szkoły i nauka szła mi dość lekko i pomyślnie.

Na wychowaniu u stryja Rafała przebywałem dziesięć lat, to jest do 1835 roku. Początkowo mieszkaliśmy, jak już wspominałem, na Krakowskim Przedmieściu w domu kupca Dobrycza. Później na dwa lata przeszliśmy na róg ulicy Freta i Podwalnej; zapominałem już, do kogo ten dom należał. Nareszcie w roku 1829 stryj osiedlił się w budynku dawnego klasztoru Pau-

linów w mieszkaniu służbowym. W domu tym znajdowało się Seminarium Główne²³.

W szkole elementarnej uczyłem się rok, a potem przeszedłem do [cztero]-klasowej szkoły powiatowej, która znajdowała się przy klasztorze Dominikanów na ulicy Freta. Po ukończeniu nauki w tej szkole wstąpiłem do szkoły obwodowej sześcioklasowej przy klasztorze Pijarów na ulicy Długiej. Gmach ten po roku 1831 przerobiono na prawosławny sobór i mieszkanie biskupa²⁴.

Po zamieszkach [w] 1830 roku dotychczasowy system kształcenia zmienił się i w Warszawie stworzono tylko dwa siedmioklasowe gimnazja i niewiele szkół parafialnych. Ja wstąpiłem do gimnazjum, które ukończyłem w 1835 roku. Nie mogłbym powiedzieć, że studiowałem pilnie. Nawet sumienie mi nakazuje powiedzieć, że byłem porządnym hultajem. Jednak zdolności, szczególnie w matematyce, pomagały mi w promocji do wyższych klas, nawet dostawałem nagrody i zaszczytne pochwały. A tak w ogóle byłem psotnikiem. Często zamiast iść do szkoły, spacerowałem po mieście wraz z innymi chłopcami będącymi w zмовie. Ale do domu powracałem we właściwym czasie i dzięki temu psota się nie wydawała, tym bardziej że postępy w nauce były zadowalające.

Często stryj Rafał spostrzegał moje nieróbstwo w domu, gderał i przepowiadał, że nie dostanę promocji. Gdy jednak po egzaminach przynosiłem mu dobre świadectwo, z czasem i nagrodę, obejmował mnie wówczas i prawie ze łzami powiadał: „Bonusiu, Bonusiu, kim byś mógł zostać, gdybyś nie był hultajem?”. Słowa te wryły mi się w pamięć i w życiu często je wspominałem. Gdybym rzeczywiście nie był psotnikiem i nie leniłbym się, to by życie moje ułożyło się zupełnie inaczej i nie zostałbym zwyczajnym człowiekiem.

Prawie corocznie jeździłem na wakacje, początkowo z wujem Stępkowskim, a później już sam, najmując do tego różne podwozy. Wakacje spędzałem najpierw w Nowosielcu u Stępkowskich, a potem u ojca i Racyńskich w Wojnowie. Zawsze wakacji oczekiwałem z wielką niecierpliwością, korzystałem bowiem wtedy z pełnej swobody, a prostota życia wiejskiego i bogactwo przyrody w lasach, na łąkach i polach przyprawiały mnie o zadziwienie. W swoim rodzinnym Wojnowie byłem prawdziwym gospodarzem, często przepadałem w lasach na całe dnie. Towarzyszem moim był brat Wincenty, syn stryja Feliksa, taki sam łobuz. Wszystkie psy nasze i stryja, jak i wiejskie, były nam w pełni posłuszne. Nabrawszy chleba, jajek, masła i ziemniaków, zwoływaliśmy psy i niektórych chłopców obdartusów, którzy dźwigali prowiant, i tak ruszaliśmy do lasu. Wybieraliśmy się na polowanie na wiewiórki, których było bardzo dużo. Psy wyćwiczyliśmy do tego stopnia,

²³ Seminarium Główne przy kościele św. Ducha w Warszawie przy ul. Długiej.

²⁴ Sobór Prawosławny Świętej Trójcy przy ul. Długiej.

że po węchu znajdowały wiewiórki na drzewach i wtedy zaczynały ujadać. Szczekanie psów było tak głośnie, że zapędzaliśmy wiewiórki do młodego lasu, gdzie łatwiej było trząść drzewem. Spadającą wiewiórkę chwytaly natychmiast psy. W ten sposób łowiliśmy w okresie wakacji około pięćdziesięciu wiewiórek. Niestety, kolor skórek był latem zbyt rudawy, przez co skórki były mniej wartościowe. W sierpniu znajdowaliśmy w ich dziuplach mnóstwo najlepszych orzechów, zebranych przez nich na okres zimowy. Oprócz tego zbieraliśmy dużo grzybów, orzechów, dlatego że las bardzo w to wszystko obfitował. Następnie wracaliśmy do obozowiska, rozpalaliśmy ognisko, gotowaliśmy najrozmaitsze rzeczy i chociaż to było zwyczajne paskudztwo, to wszyscy jedliśmy z zadowoleniem, nie zapominając o współpracujących z nami psach.

Ostatnie moje wakacje w 1835 roku, już po zakończeniu gimnazjum, kiedy to wiedziałem, że po powrocie do Warszawy wkrótce pojadę do korpusu kadetów do Petersburga, spędziłem spokojnie, ale też z nostalgią za tym wszystkim, co tak bardzo kochałem, jakbym wyczuwał, że już więcej swoich bliskich nie zobaczę. Ostatnie dni mojego pobytu u siostry Agnieszki pozostaną na zawsze w mojej pamięci. Wspomnienia tych chwil nawet teraz wzbudzają w moim sercu uczucie pewnego ciepła.

Jakoś tak po przyjeździe moim na wychowanie do stryja Rafała w Warszawie świętowano koronację cara Mikołaja Pawłowicza na króla polskiego²⁵. Uroczystości były wspaniałe i ja, na wpół dziki chłopczyzna, przyglądałem się wszystkiemu z naszego okna wychodzącego na Plac Zamkowy.

Straszne i na zawsze wstrząsające wrażenia zostawiła we mnie rewolucja 1830 roku. Późnym wieczorem 30 listopada nowego stylu²⁶, kiedy o zbliżających się jakichkolwiek nieporządkach nie było jeszcze najmniejszego słuchu, na ulicy rozległy się wystrzały, później bieżanina i strasne krzyki. Na rozkaz stryja świece zostały pogaszone, w sali była zostawiona tylko jedna, i to w rogu pod stołem. Wszyscy siedzieli oniemiały, oczekując na coś nowego i strasznego. Wiadomości przynoszone przez ludzi i naszych guwernerów były sprzeczne, nieprawdopodobne i okropne, tak że trząłem się ze strachu. Stryj kazał nam i obecnym modlić się na kolanach, prosząc Boga o przywrócenie spokoju i pomoc. Dużo rozmawiał ze starszymi o tym, że nieporządki te nie doprowadzą do niczego lepszego, że z doświadczenia wie, jakie nieszczęścia i zniszczenia przyniosą one rodzinom i ile od tych nieporządków zginie niewinny naród. Słowa jego wkrótce się potwierdziły. Wszyscy nasi młodzieńcy okazali się potrzebni i przy stryju zostałem tylko ja, dziecko, i stary schorowany kucharz. Nasza młodzież, jak to zawsze bywa, była bardzo

²⁵ Koronacja Mikołaja I na króla polskiego odbyła się 24 maja 1829 r.

²⁶ Pomyłka autora – wypadki te (Noc Listopadowa) zdarzyły się 29 listopada 1830 r.

uradowana z mundurów. Najładniejsze były mundury Gwardii Narodowej²⁷. Wszyscy po dwóch tygodniach spacerowali w nich po Warszawie, czym bardzo mocno drażnili moje oczy, tak że ciągle płakałem i żaliłem się, dlaczego nie urosłem i nie mogłem iść wojować. Dopiero potem zobaczyłem, że tylko to uratowało mnie przed nieszczęściami, które dosięgły moich bliskich i przyjaciół. Dowiedziałem się, że w tę noc naród zdobył Arsenał i zabrał całą znajdującą się tam broń i amunicję, że było dużo ofiar, które poniosły straszną śmierć, w tej liczbie prawie wszyscy wyżsi dostojnicy polscy i niektórzy rosyjscy²⁸. Drugi i trzeci dzień były strasznie burzliwe, ulicami nie mógł chodzić nikt bez broni. Często pijani strzelali w górę, ale że ładunki mieli bojowe, to nierzadko kule wpadały do mieszkań. Chodzili po mieście z szablami i z gołymi tasakami; szum, ruch i nieporządek był straszliwy. Ja tchórzyłem, ale ukradkiem spoglądałem w okno, nawet czasem wybiegałem na ulicę i podwórze naszego domu. Nowy stróż domu okazał się mi przychylnym. Ja się cieszyłem, ale stryj, widząc go raz u mnie, kazał mu natychmiast wynieść się, a ja dostałem reprimendę.

Cała młodzież przebywająca na wychowaniu u stryja Rafała rozsypała się. Sylwester Stepkowski jeszcze przed rewolucją wstąpił do służby wojskowej do polskiej kompanii raketników. W czasie tych nieporządków był już oficerem i kiedy korpus, w którym służył, został wygnany do Prus, to długo jeszcze tam pozostał. Wkrótce po otrzymaniu amnestii²⁹ wrócił do Nowosielca i kiedy ojciec już umarł, to przejął gospodarstwo i ożenił się, ale z kim, to nie wiem. Brat jego Feliks skończył uniwersytet; w czasie rewolucji służył w narodowej artylerii i po zakończeniu nieporządków ponownie wrócił na wieś do matki, a potem zaczął służbę. W 1870 roku, kiedy był sędzią w Kaliszu, ożenił się i miał dużo dzieci³⁰. Gracjan Izdebski wrócił do ojca, następnie ożenił się i żył całkiem bogato w swoim majątku Podkowie. W 1870 roku nie zastałem go wśród żywych; dzieci nie miał. Jego brat, Zenon Izdebski, służył w kawalerii, potem emigrował do Francji; z początku mówiono, że żyło mu się dobrze, ale teraz słuch o nim zaginął.

²⁷ Gwardia Narodowa została powołana 11 grudnia 1830 r. dla czuwania nad bezpieczeństwem, przestrzeganiem prawa i ewentualną obroną Warszawy.

²⁸ W trakcie tych wydarzeń zostało zabitych m.in. pięciu generałów polskich, którzy odmówili przyłączenia się do powstania.

²⁹ Car 1 listopada 1831 r. wydał amnestię obejmującą wszystkich żołnierzy i podoficerów, a także niektórych oficerów pochodzących z Królestwa Polskiego. Skala powrotów była duża. Por.: N. Kasperek, *Powstańczy epilog. Żołnierze listopadowi w dniach klęski i internowania 1831–1832*, Olsztyn 2001, s. 257–313.

³⁰ Feliks Stepkowski (zm. 1877) urodził się w Nowosielcu, ukończył prawo na Uniwersytecie Warszawskim, został sędzią w Radomiu, a następnie w Sokołowie; R. Gerber, *Studenti*, s. 206.

Ignacy Nowosielski wrócił do Warszawy, a ponieważ jeszcze przed rewolucją skończył fakultet prawny, to wszedł do sądu apelacyjnego, a następnie był adwokatem w Siedlcach. Ożenił się i dobrze mu się powodziło. W 1869 roku umarł, zostawiwszy żonę i córkę, zamężną za doktorem zesłanym w 1865 roku na Sybir.

Roch Skolimowski, syn stryja Feliksa – oryginał – jeszcze przed rewolucją wstąpił do kadetów do polskiego pułku piechoty. Wzięty do niewoli pod Grochowem, został zesłany „w żołdacy” do Tobolska. Wrócił w 1834 roku, ożenił się i żył w ubóstwie; umarł, zostawiając dzieci bez opieki.

Po powrocie Kamiński wstąpił w Wilnie na kierunek medyczny, skończył go z sukcesem, został lekarzem marynarki, a co z nim dalej było – nie wiem³¹. Rzewuski Paweł jeszcze przed rewolucją wstąpił do stanu duchownego, z sukcesem skończył Akademię Duchowną, był kanonikiem i w 1865 roku kierował Archidiecezją Warszawską. Wkrótce decyzją administracyjną został wywieziony do Astrachania i tam jeszcze żyje³². Inni chłopcy, niespokrewnieni z nami, rozsypali się po całym świecie.

Najstraszniejszym i przerażającym faktem w czasie nieporządków była kontrrewolucja zorganizowana przez opryszków³³. Klęski poniesione przez wojsko polskie przypisano zdradzie dowódców. Przekazano ich sądom, ale rozprawy przedłużały się. Wreszcie generał Jankowski³⁴ uznany został winnym, co niezmiernie wzburzyło naród. W sierpniu 1831 roku do miejsca, w którym trzymani byli podsądni, wtargnęła banda. Wyciągnęli nieszczęśnych i barbarzyńsko zamordowali. Ochrona ich powierzona była Gwardii Narodowej złożonej z cywilów, którzy nie stawiali sprzeciwu przy wywiele-

³¹ Jan Kamiński prawdopodobnie po ukończeniu studiów w Wilnie na Akademii Medyko-Chirurgicznej w 1839 r. został mianowany lekarzem floty. Zmarł w Charkowie w 1862 r.; P. Szarejko, *Słownik lekarzy polskich XIX wieku*, t. 5, Warszawa 2000, s. 197.

³² Paweł Rzewuski (1804–1892), biskup, administrator archidiecezji warszawskiej, bibliista, profesor Akademii Duchownej w Warszawie. Jako administrator archidiecezji warszawskiej w 1863 r. informował papieża Piusa IX o represjach rosyjskich w Królestwie Polskim. Ponadto ujął się za więzionymi i deportowanymi księżmi oraz przeciwstawiał się konfiskacie dóbr kościelnych. Został deportowany w 1865 r. do Astrachania. Ułaskawiony po 21 latach zesłania w 1887 r.; B. Kumor, *Rzewuski Paweł*, w: *PSB*, t. 34, Wrocław 1992–1993, s. 136–138.

³³ Chodzi o manifestację zorganizowaną 15 sierpnia 1831 r. przez radykalnych działaczy Towarzystwa Patriotycznego. Najpierw tłum dokonał samosądu nad kilkoma generałami podejrzewanymi o zdradę, a następnie wyciągnięto z więzień i powieszono na latarniach domniemyanych szpiegów księcia Konstantego i Nowosilcowa.

³⁴ Antoni Jankowski (1783–1831), generał dowodzący korpusem; w czasie kampanii na terenie województwa lubelskiego popełnił błędy, za co został aresztowany i postawiony przed sądem. Zanim jednak zapadł wyrok sądowy, 15 sierpnia 1831 r. tłum dokonał na nim samosądu, wieszając go na latarni.

niu biedaków. Powiększona banda ruszyła dalej do pałacu, gdzie znajdowało się ośmiu Rosjan schwytanych na początku powstania i zupełnie niewinnych. Tych również zamordowano.

Wśród zabitych była też generałowa Bażanowa³⁵ ze swoją zadziwiająco piękną szesnastoletnią córką. Kiedy tłum zaczął przybywać i kiedy rosła żądza krwi, ludzie zaczęli wdierać się do domów osób, wobec których były jakiegokolwiek podejrzenia. Wystarczyło, że ktoś krzyknął: „Tu mieszka ruski szpieg”, to wyłamywano drzwi lub bramę, wdzierano się i wyciągano na zewnątrz ofiary, a następnie mordowano. Wojska w Warszawie nie było; warty pełniła Gwardia Narodowa, która nie tylko nie przeszkadzała, lecz wręcz pomagała buntownikom. Noc była straszna. Na drugi dzień weszły regularne wojska, wezwane spod Grochowa. Rozłożyły obozy na ulicach i rozpoczęło się poszukiwanie winnych. Następnie odbył się sąd polowy, na mocy którego szesnastu ludzi, głównych podżegaczy, zostało rozstrzelanych w samym centrum miasta na Placu Zamkowym.

Podczas ostrzeliwania i szturmowania Warszawy żyłem w przeraźliwym strachu. Ulice były zajęte przez najróżniejsze powozy do przewożenia rannych, w kościołach odprawiane były nieustannie nabożeństwa, wszędzie cierpienie, płacz i przygnębienie. Oczekiwałem na coś strasznego, coś szczególniego. Ciekawość męczyła mnie, biegałem po ulicach, patrzyłem i słuchałem. W czwartym dniu szturmowania rozeszły się słuchy, że idą Rosjanie; wszyscy drżeli z przerażenia. Schowałem się w sypialni, ale na ulicy był spokój i usłyszałem przepiękną wojskową muzykę; postanowiłem wyjrzeć przez okno. Widok był wstrząsający – zwycięskie wojska, z zielonymi gałązkami wetkniętymi do czaka, tryumfalnie wchodziły do miasta, tłumy ludzi posuwały się obok, szczególnie przy orkiestrze. Gwardia była w galowych mundurach. Nie mogłem dłużej wytrzymać i zapominając o strachu, wybiegłem i przyłączyłem się do ciekawskiego tłumu. Wojska zatrzymywały się na placach i rozkładały biwaki, rozpalały ogniska i przygotowywały strawę. Inne oddziały armii szły na Pragę. Okazało się, że Warszawa zdecydowała się na kapitulację, zastrzegając sobie wolność na okres czterdziestu ośmiu godzin, co oznaczało, że w tym czasie wojsko nie wejdzie do domów, a wojska polskie swobodnie przejdą z Warszawy na Pragę. Nie wiedząc jeszcze o kapitulacji, wszyscy dziwiliśmy się temu. Wartownie i odwachy pilnowane przez wojsko polskie przekazywane były wchodzącym oddziałom wojska rosyjskiego przy zachowaniu ceremoniału zmiany warty. Oddawano przy tym pełną cześć wchodzącym wojskom, a warty zmieniały się w porządku zwyczajnym dla czasów pokojowych. Cisza i porządek nie były nigdzie naruszane. Zwycięskie wojska

³⁵ Była ona niepopularna w stolicy, ponieważ wpraszała się do salonów warszawskich.

przez czterdzieści osiem godzin pozostawały na biwakach. Nikt z nich, nawet oficerowie, nie wchodził do domów. Wielu z nich prosiło ciekawskich o przyniesienie im z pobliskich kawiarni i gospód kawy, zakąsek lub obiadu. Oficerowie częstowali się na ulicy, płacąc co należyte. Pogoda była bardzo ładna i latałem cały dzień, wróciłem dopiero wieczorem, przez co pozbawiony zostałem kolacji i dostałem porządne lanie. Po zajęciu Warszawy, wojna szybko się zakończyła. Prawie wszystkie wojska polskie przeszły do Prus i do Austrii i został zaprowadzony porządek.

Ponieważ wojsko polskie zostało zlikwidowane, zamknięto też szkołę wojskową i tym samym stryj Rafał został pozbawiony dziewięciu tysięcy złotych pensji. To pomniejszenie środków do życia nie przeszkodziło mu jednak w zajmowaniu się wychowaniem swoich ubogich krewniaków. Wziął do siebie: Wincentego i Wawrzyńca Skolimowskich, synów swojego brata Feliksa, a także Józefa, syna mojej siostry Agnieszki. W domu stryja ja byłem starszy i dlatego korzystałem z jego przychylności i zaufania.

W piętnastym roku życia, mój dobroczyńca pomyślał o mojej przyszłości, zamierzając wysłać mnie do Francji do jednej dawno poznanej bogatej damy, owdowiałej w młodym wieku. Pozostając bezdzietną, w już w starszym wieku tęskniła za ojczyzną, dlatego pragnęła mieć przy sobie młodego człowieka, żeby zająć się jego wychowaniem i odświeżyć wspomnienia o ojczyźnie. Na taką propozycję wyraziłem pełną zgodę, jednakże z nieznanych mi przyczyn nie doszło to do skutku.

W czasie moich siedemnastych urodzin do stryja Rafała przyjechali jacyś dwaj bracia, książęta litewscy, jeszcze młodzi ludzie – wojskowi, będący adiutantami namiestnika księcia Paskiewicza³⁶. Ci młodzi ludzie często odwiedzali stryja i kiedy radził się ich na temat mojej przyszłej kariery, poradzili, żeby umieścić mnie w korpusie kadetów, dlatego że inna służba państwowa dla Polaków była ograniczona. Inaczej było w służbie wojskowej – tam przyjmowano bardzo chętnie i szanse w niej były jednakowe dla Rosjan i Polaków. Ponadto namiestnik uzyskał zezwolenie cara na wysyłanie dzieci szlachty z Królestwa Polskiego do wszystkich korpusów kadetów na koszt Cesarstwa.

Stryj, przywoławszy mnie i mojego o rok młodszego brata [stryjecznego] Wincentego, zapytał, czy chcielibyśmy zostać wojskowymi i wstąpić do korpusu kadetów. Wtedy jeszcze nie rozumieliśmy konsekwencji naszych decyzji i zgodziliśmy się, prosząc stryja, żeby robił to, co będzie dla nas korzystne. Po wypełnieniu zwyczajowych i długotrwałych formalności, stryj Rafał otrzymał oficjalne zawiadomienie, że ja i Wincenty zostaliśmy przyjęci do szlacheckie-

³⁶ Feldmarszałek Iwan Paskiewicz (1782–1856). Jako wódz naczelny wojska rosyjskiego stłumił powstanie listopadowe i zdobył Warszawę, za co otrzymał tytuł księcia warszawskiego i został namiestnikiem carskim w Warszawie.

go pułku i że nie pozostaje mu nic innego, tylko wysłać nas na swój koszt do Sankt-Petersburga. Wiadomość ta doszła do mnie i do Wincentego w czasie wakacji. Gościłem u Raczyńskich w Wojnowie i z tego powodu mój ostatni pobyt w rodzinnych stronach był dla nas wszystkich wielce smutny. Tak daleka podróż do Petersburga w tych dawnych i zacofanych czasach przerażała mnie i moją, bardzo mnie kochającą, rodzinę. Żegnałem się z nimi i ze wszystkimi drogimi mi miejscami prawie na wieki i z błogosławieństwem na drogę od mojej drogiej siostry Agnieszki, która prawdziwie była dla mnie drugą matką, zupełnie przybity i we łzach wyjechałem wraz z bratem z Wojnowa do Warszawy wynajętym powozem, należącym do arendarza naszej karczmy, Żyda Szmula. Sumienny ten człowiek już poprzednio kilkakrotnie woził mnie po skończonych wakacjach i stale go mam w pamięci wraz z jego dobrymi cechami charakteru.

Po powrocie do Warszawy stryj Rafał, żeby nie opóźnić przejazdu, nakazał mi uczyć się, jak należy jechać. Wiadomości te miałem zamiar zdobyć na stacji pocztowej. Przybywszy tam, zwróciłem się do jakiegoś pocztowego urzędnika, który na moje pytanie powiedział: „Do Kowna mogę jechać szosą dyliżansem, nie będzie drogo kosztować i będzie wygodnie. Dalej po zwykłej drodze pocztowymi końmi, wsadzą was do wozu ruskiego chłopą, przywiążą sznurami i tak dostarczą do Petersburga”.

Taka odpowiedź wprawiła mnie w osłupienie. Chciałem wiedzieć, dlaczego mają nas przywiązywać. Człowiek ten wyjaśnił, że w Rosji tak szybko powożą, że bez takich ostrożności mogą zgubić pasażera. Chociaż później uznałem, że słowa te były czystym wymysłem, to wtedy długo myślałem o takiej szybkiej jeździe. Rzeczywiście, w tych dawnych czasach w Rosji jazda pocztowymi wozami była szybka i kurierzy przejeżdżający wielkie przestrzenie przykazywali, aby przywiązywać chcących spać pasażerów do powozu.

W końcu odszukaliśmy wiejskiego woźnicę, rdzennego Rosjanina, który dwudziestoma sześcioma końmi wioził sukno do Petersburga. Ten mądry człowiek przyszykował dla nas wóz, przykrył go dookoła matami, robiąc coś na kształt krytych sań z drzwiczkami, nawet z maleńkim okienkiem z przodu. Obiecał dowieźć nas do Petersburga za dwieście dziesięć rubli asygnatami³⁷, a tam oddać do korpusu kadetów, tak jak już wcześniej woził tam innych chłopców. Nasz dobry opiekun stryj Rafał, zaopatrzwszy nas we wszystko co niezbędne, pożegnał nas błogosławieństwem i dobrymi radami na nowe i nieznane życie w obcej dalekiej ziemi. W końcu września 1835 roku razem z bratem, pożegnawszy się z dobrodziejem, rodziną i wszystkim, co było dla nas tak drogie, wyjechaliśmy z Warszawy.

³⁷ W 1835 r. 100 rubli asygnacyjnych = 27,1 rubli srebrnych.

Teraz opowiem o wszystkich zmianach, które wydarzyły się w moim rodzinnym Skolimowie-Wojnowie. Druga siostra, Zofia, po śmierci matki wychowywała się u Stępkowskich. Po powrocie do ojca niedługo mieszkała razem z nim i Raczyńskimi. W wieku dziewiętnastu lat wyszła za mąż za Andrzeja Rzewuskiego. Był to jeszcze młody, lecz porządny i doświadczony człowiek, żyjący w Siedlcach. Ojciec jego posiadał niewielki majątek o siedem wiorst od Wojnowa. Ojciec mój wydał za mąż i drugą siostrę. Zaproponował też zięciom wzięcie gospodarstwa w dzierżawę w kolejności na trzy lata. Wkrótce Raczyńscy wyjechali, a Rzewuscy osiedlili się w Wojnowie. Wszystko szło tak samo dobrze jak za Raczyńskich. W gospodarstwie wiodło się; ojciec był zadowolony, a nowe wnuki, które miała Zofia, zajmowały i radowały staruszką. Rzewuscy mieli syna Gracjana i córkę Kornelię, ale biedna moja siostra żyła niedługo. Jakoś tak późną jesienią na ręce urósł jej nieduży pryszcz, na który ani ona, ani inni nie zwrócili najmniejszej uwagi. Kiedy jednak wkrótce siostrze zrobiło się niedobrze, to wystraszony mąż zwrócił się do doktorów, ale oni już nie mogli uratować chorej. U Zofii stwierdzono syberyjski wrzód, który na piąty dzień wpędził ją do grobu.

Po roku Rzewuski ożenił się ponownie, z kim i do tej pory nie pamiętam, chociaż dwukrotnie w czasie wakacji gościłem u nich w Wojnowie. A gdy odwiedziłem ich w zeszłym roku [1870] w ojczyźnie, znalazłem ich oboje już zgarbionych staruszków.

Nowa gospodyni nie spodobała się mojemu ojcu. Początkowo były małe nieporozumienia, ale później, gdy doszło do dużych nieprzyjemności, ojciec z początkiem 1830 roku wymówił Rzewuskiemu umowę i poprosił, aby opuścili dzierżawę. Ojciec liczył na powrót Raczyńskich, ale oni dzierżawili bardzo duży i wygodny dla nich majątek i nie mogli przejąć gospodarstwa ojca. Biedny i stary ojciec został sam. Jego brat Feliks, już prawie zrujnowany, znowu zbliżył się do ojca i wpływem swoim zniszczył jego życie i interesy tak, że ojciec zaczął tracić siły i popadł w rujnację. W tym czasie przyjechałem w rodzinne strony do ojca na Boże Narodzenie i byłem przerażony widokiem zarówno jego samego, jak i mojego rodzinnego zakątka. Z domu dużo wyniesiono i sprzedano. Przepiękne zagajniki brzoźowe wyrabano. Obora była prawie pusta. Stryj Feliks gospodarował bez żadnej kontroli.

O wszystkim tym opowiedziałem stryjowi Rafałowi, który niezwłocznie przyjechał do Wojnowa, ale pomoc było trudno, tym bardziej że był to czas nieporządków, tj. rewolucji. Stryj Rafał, urządziwszy jako tako ojca i wzięwszy mnie ze sobą, wyjechał do Warszawy. Ojca mojego widziałem wtedy po raz ostatni. Latem 1831 roku, w czasie największego natężenia nieporządków, ojciec przeraził się toczącymi się niedaleko walkami i mającą miejsce grabieżą swojego domu przez kozaków. Wszyscy będący w domu schowali się, a ojciec, jako że ślepy, pozostał. Grabieżcy potrzebowali pieniędzy i gdy ich

nie znaleźli, pobili ojca. To nieszczęście było przyczyną jego śmierci. Ostatnią posługę umarłemu oddał Rzewuski. Raczyński i Agnieszka, chociaż znajdowali się niedaleko, o śmierci ojca dowiedzieli się nieprędko, a to z tego powodu, że w czasie nieporządków cała łączność była przerywana. Wyjazd ze wsi był zabroniony; ja i stryj dowiedzieliśmy się o tym już po zaprowadzeniu spokoju.

Po śmierci ojca już w 1832 roku majątek jego został rozdzielony przez radę rodzinną. Obaj zięciowie otrzymali Skolimów-Wojnów, a mnie jako małoletniemu wyznaczono część w Nowosielcu, własności mojej babki, jeszcze formalnie nie odziedziczonej przez ojca. Podział ten, w myśl obowiązującego wówczas prawa, mogłem zmienić po uzyskaniu pełnoletności, dlatego że chociaż córki na równi z synami otrzymują takie same części, to synowie mają prawo wyboru. Raczyński i Rzewuski rozdzielili Wojnów na dwie części. Nasz stary dom przypadł Raczyńskiemu, a Rzewuski zbudował dla siebie nową siedzibę obok i do tego czasu tam mieszka.

Wyjechaliśmy z Warszawy ze stryjecznym bratem moim Wincentym Skolimowskim. Podróż do Petersburga była długotrwała, męcząca i nudna. Na dobę jechaliśmy nie więcej niż pięćdziesiąt wiorst, a nawet mniej, gdyż później spadł śnieg, a że jechaliśmy powozem na kołach, więc podróż była utrudniona. Nasz woźnica okazał się człowiekiem w pełni rzetelnym i poczciwym; współczuł nam i robił wszystko tak, jak obiecał stryjowi. Do Brześcia prowadziła piękna szosa. W Siedlcach nie zatrzymywaliśmy się i nie byliśmy u wuja Izdebskiego, ponieważ woźnica uznał karmienie koni w mieście za niewygodne. W tym czasie Królestwo Polskie od Imperium było oddzielone granicą, na której w wielu miejscach były urzędy celne. Przy wjeździe do Brześcia nasze wozy wprowadzono prosto do urzędu celnego, ogromnego budynku pod sklepieniem. Ponieważ w tym czasie dopiero co skończyły się żydowskie święta, ruch w urzędzie celnym okazał się do tego stopnia wielki, że przepustkę dla naszych wozów otrzymaliśmy dopiero na czwarty dzień od przyjazdu. Wszystkie wozy zostały w hali, a my udaliśmy się do zajazdu tylko z końmi. Bezczynni i znudzeni, chodziliśmy z bratem po mieście i często zaglądaliśmy do komory celnej, i tam zobaczyliśmy bardzo komiczną scenę. W 1835 roku pod Kaliszem były wielkie manewry. Zebrano tam wojska: rosyjskie, polskie³⁸, pruskie i austriackie. Po ich zakończeniu część wojsk wracała do swoich kwater. Kiedy znudzeni siedzieliśmy w Brześciu, przybył tu oddział Czerkiesów, stanowiący konwój Jego Wysokości³⁹ powracające-

³⁸ Pomyłka autora. W tym czasie wojsk polskich już nie było. Jednak potocznie w stosunku do wojsk rosyjskich stacjonujących w Królestwie Polskim używano określenia: wojska polskie.

³⁹ Prawdopodobnie był to któryś z książąt panującej dynastii Romanowych.

go do Petersburga. Zgodnie z prawem celnym, jednakowym dla wszystkich, oddział prosto z mostu na Bugu w konwoju straży granicznej poprowadzono prosto do urzędu celnego. Zebrało się dużo ciekawskiego ludu, tym bardziej, że piękno i bogactwo oddziału rzucało się w oczy. Jakiś książę naczelnik, bardzo piękny młodzieniec, wystroił oddział i wtedy pojawili się naczelnicy. Jeden z nich nader uprzejmie zwrócił się do księcia z pytaniem, czy nie ma w oddziale przedmiotów, które podlegają ocenie. Książę z wysoka krzyknął: „Co za bzdura, my niczego takiego nie mamy, nie zatrzymujcie, to szybko wyjadę”. Myślałem, że celnik zemdleje, ale stało się coś innego. Na rozkaz celnika zjawił się jakiś starszy jegomość, przypuszczalnie przełożony urzędu celnego – żołnierz z wieloma naszywkami na mundurze. Obszedł on wokół szwadron i wskazał na niektórych Czerkiesów. Urzędnik bardzo uprzejmie poprosił księcia, aby rozkazał ludziom zsiąść z koni i je rozsiodłać. Książę nie tylko nie spełnił prośby, ale przeciwnie, zrobił urzędnikowi nieprzyjemności. Nas ciekawskich wyprowadzono, a wrota zamknięto. Bardzo szybko zjawił się komendant z wieloma oficerami i scena zmieniła się. Książę stał się uprzejmy i posłuszny, Czerkiesi zeszli z koni i zdjęli siodła. Ukazał się wielki przemyt materiałów, sukna i koronek. Potem cały tabor został przeszukany i znaleziono w nim jeszcze wiele rzeczy zabronionych. Co było potem, nie wiem, ponieważ wyjechaliśmy z Brześcia.

Z Brześcia pojechaliśmy dalej traktem. Była ładna jesień. Początkowo podróż była bardzo przyjemna, jednakże kiedy zrobiło się błoto, śłota i śnieg, to podróż stała się nieznośna. Na Białorusi ubóstwo ludności było tak wielkie, że w karczmach nie znajdowaliśmy żadnego prowiantu ani nawet zwykłego chleba. Nasz woźnica rządził się bardzo rozumnie, we wszystkich miastach i miasteczkach kupował chleb, sól, wołowinę, masło, kaszę, kapustę i wszystko co konieczne, a na postojach w swoich kociołkach gotował smaczną i zdrową strawę. Nam podawał ją częściej, tak że byliśmy bardzo zadowoleni. W Rosji w zajazdach żywności było pod dostatkiem.

Na koniec przyjechaliśmy do Carskiego Sioła⁴⁰, rodzinnego miasta naszego woźnicy, i zatrzymaliśmy się w jego domu. Życie jego rodziny było dostatnie. Miała ona trzy przyzwoite i duże domy. W jednym mieszkali oni sami, a pozostałe wynajmowali petersburskim letnikom. Zarówno gospodarz, jak i rodzina przyjęła nas radośnie i częstowała czym mogła. Carskosielscy chłopcy mają się dostatnio. Po trzech dniach gościny gospodarz nasz w listopadzie 1835 roku ruszył do Petersburga i tego dnia zajechaliśmy do zajazdu przy ulicy Jamskiej. Na drugi dzień nasz woźnica zaprowadził nas do łaźni, żeby po przebraniu oddać nas do korpusu. 8 listopada w dzień św. Michała

⁴⁰ Carskie Sioło – znajdował się tu kompleks pałacowo-parkowy, 25 km od Petersburga, rezydencja Katarzyny II i jej następców.

skierowaliśmy się do kancelarii pułku szlacheckiego. Działania nasze spełzły na niczym, ponieważ przyjęcia nowicjuszy odbywały się w czwartki, a my przyjechaliśmy w piątek i nas odprawiono. Na próżno nasz woźnica i my prosiliśmy jak umieliśmy o przyjęcie, wyjaśniając nasze ciężkie położenie. Surowy adiutant był nieubłagany i bardzo strapieni wróciliśmy na Jamską. Obaj nie mieliśmy już pieniędzy, nasz woźnica kończył zdawanie przywiezionego towaru, a konie odprawił do domu. Myśleliśmy, że i on szybko wyjedzie, a nam pozostawało przeżyć w Petersburgu jeszcze cały tydzień. Po powrocie na Jamską zamknęliśmy się na górze i gorzko zapłakaliśmy. Nasz pocziwy woźnica zajął się jednak nami, karmił nas i uregulował wszystkie konieczne opłaty. Ten dobry człowiek tylko dla nas pozostał w Petersburgu. Wreszcie oddał nas do korpusu⁴¹, a i potem każdego roku, kiedy przebywał w Warszawie, zachodził do stryja i przywoził mi listy od niego.

W następny czwartek nas przyjęto. Z kancelarii poprowadzono do ogromnej stołówki, zastawionej w równej linii ogromnymi stołami nakrytymi do obiadu. Znajdujący się tam dyżurny oficer zadał nam kilka pytań, a ponieważ odpowiedzi nasze były praktycznie po polsku, był niezadowolony. Splunął i powiedział: „Bezczelni Polacy”⁴². Na koniec drzwi do sali otworzyły się i kadeci weszli w szyku według kompanii i podeszli do stołów. Było ich z ośmiuset ludzi, dwa bataliony, każdy po cztery kompanie. Najpierw w ciszy słysząc było echo miarowych kroków, potem gwar jak pszczoł w ulu. Biciem w bęben dano znać do modlitwy, którą odśpiewano chórem. Cała ta masa usiadła i rozległ się stuk łyżek i talerzy.

Obiad składał się z trzech dań, wszędzie panował porządek. Przez cały czas mojego pobytu w korpusie stoły, nakrycia, obrusy i srebro były w dobrym stanie i w pełni przyzwoite. Po obiedzie bębniem dano znak do modlitwy, po której do sali wszedł generał z oficerami różnej rangi. W tych cza-

⁴¹ Skolimowski został przyjęty do Pułku Szlacheckiego, który wchodził w skład Drugiego Korpusu Kadeckiego. W 1832 r. Pułk Szlachecki został wydzielony, a w 1855 r. przemianowany na Konstantynowski Kadecki Korpus. Dlatego Skolimowski we wspomnieniach zamiennie używał określenia Pułk Szlachecki i Konstantynowski Kadecki Korpus. W ciągu sześcioletniego pobytu w Pułku Szlacheckim Skolimowski uczył się religii, języka rosyjskiego, francuskiego, niemieckiego, historii, geografii, matematyki, fizyki, chemii, astronomii, rysunku i malarstwa. Zarówno w dawniejszej, jak i w obecnej historiografii rosyjskiej szkolnictwu wojskowemu poświęcono wiele uwagi. Do rewolucji 1917 r. każdy korpus kadecki miał własne opracowanie. Ich wartość naukowa nie była zbyt wielka, były to raczej opracowania albumowe. Po 1990 r. nastąpiło wzmożenie badań nad dziejami poszczególnych korpusów. Podejmowane są też próby syntetycznego ujęcia dziejów szkolnictwa wojskowego w Rosji do 1917 r. Jedną z pierwszych prac tego typu jest publikacja B. M. Крылова, *Кадетские корпуса*, Санкт-Петербург 1998.

⁴² Ten polski zwrot, podobnie jak wiele innych, został zapisany rosyjskimi literami.



2. Kadet i sztabsoficer

sach oficerowie przebywający w stolicy musieli nosić trójkątne kapelusze z dużymi piórami. Generał pozdrowił kadetów, a oni niemiłosiernie głośno krzyknęli, aż zadrzałem. Potem dużo i gorąco przemawiał, czego jednakże nie zrozumiałem. Otworzyły się środkowe drzwi i ukazał się w nich jakiś uroczysty pochód. Na przedzie szli parami żołnierze dyżurni. Za nimi młody człowiek w wieku około osiemnastu lat, blady, nie za chudy, w szarej kurtce. Dalej dwaj służący nieśli długą ławkę, mając za asystentów czterech pomoc-

ników z różgami. Procesja zatrzymała się na placyku, gdzie w czasie obiadu chodzą dyżurni i nakładają jedzenie, żeby po głosie bębna roznieść dania na stoły. Stałem przy skrajnym stole przy placyku. Na środek bardzo blisko tego kadeta w szarej kurtce, wyszedł oficer i przeczytał głośno jakiś tam papier, jak dowiedziałem się później, konfirmację głównego naczelnika. Generał jeszcze coś tam powiedział i potem dyżurni przystąpili do działania. Jedni dyżurni błyskawicznie zdjęli z niego szarą kurtkę, drudzy rozciągnęli na ławce, a czterech stojących po bokach zaczęło miarowo odliczać mu dwieście okrutnych razów. Krzyk, lament i jęki wypełniły martwą ciszę sali. Krew lała się z pleców. Co mówił generał, co czytał oficer, nie rozumiałem. Za co tak okrutnie męczyli człowieka, nie wiedziałem; podobnie strasznie wymierzonej kary nie tylko nie widziałem, ale i o istnieniu takiej nie miałem wyobrażenia. Sami rozumiecie, co czułem, to był mój pierwszy krok na niwie służby wojskowej.

Później dowiedziałem się, że ten nieszczęśliwy kadet z naszego korpusu, który kończył naukę, naruszył dyscyplinę wojskową, a mianowicie uderzył w twarz starszego szeregowego. Dla przykładu pozostałym postanowiono go ukarać przed korpusem dwustoma razami i odesłać rodzicom. Jego nazwisko Mazurkiewicz.

Rozległ się rozkaz i wszyscy kadeci ruszyli z sali. Siedziałem w szeregu za towarzyszami z mojego stołu, ale ponieważ nie umiałem chodzić w nogę, to idący za mną dowcipniś specjalnie mocno deptał moje obcasy. Ja skakałem jak kozioł, jednakże nie uwolniłem się od prześladowania, a wzbudzałem tylko śmiech i kolejne żarty innych łobuzów.

W taki sposób wszedłem do izby trzeciej kompanii, do której wstępowali dorośli nowicjusze. Kiedy tylko nas rozpuścili, podbiegli kadeci, pytając o nasze nazwiska i gubernie. Odpowiedzi wzbudzały głośny śmiech i żarty, sam nasz strój, warszawski mundur gimnazjalny, nigdy tu nie widziany, był przyczyną kolejnych kpin. W ogóle moja cierpliwość była na wyczerpaniu. Charakter mój był i jest porywczy, moje pięści zaciskały się, ale wcześniejszy przykład zrobił ze mnie baranka.

Po zajęciach, to jest po trzeciej godzinie po południu, był czas wolny i miał on na naśmiewaniu się z nas. Zjawiał się feldfebel – również kadet, który z nami rozmawiał, a publika śmiała się. Wyznaczony dla mnie podoficer kapral pokazał mi łóżko i przekazał pod nadzór starszego szeregowego, chłopca w wieku czternastu lat. Poleciał też pokazać miejsce, gdzie powinienem ustawić się podczas wchodzenia naczelnika do pokoju. Starszy szeregowy przykazał nam stać przy nogach łóżka i zaczął nas uczyć postawy zasadniczej. Miałem prawie osiemnaście lat, skończyłem gimnazjum, a to chłopaczysko było moim przełożonym, każąc wyciągnąć się, trzymać ręce na szwach spodni, wciągnąć brzuch i wystawić pierś. Należy sądzić, że okazałem się mało pojętnym, ponieważ wraz ze słowami na pomoc przyszły ręce i poszturchiwania

– w brzuch, w grzbiet, w pierś i tak dalej. Publika rechotała, ja cierpiałem, ale milczałem, znając już znaczenie władzy starszego szeregowego.

Kompania poszła do klas, a nas z bratem służący poprowadził do gabinetu lekarza korpusu, Suszyńskiego⁴³. Do sali, w której czekaliśmy, wszedł starszy i groźny pan i porozmawiawszy ze mną, doprowadził mnie do stojącego tam fortepianu i zapytał, czy jest mi znany obrazek z okładki nut. Przy pierwszym spojrzeniu głośno się zaśmiałem, a że widocznie był do tego przyzwyczajony, to groźny eskulap też się zaśmiał. Obrazek przedstawiał żydowskie rewolucyjne wojsko Warszawy w 1831 roku, ale o tak śmiesznym wyglądzie, że wzbudzało to śmiech i litość. Wydaje się, że ten mój naiwny śmiech wzbudził pełną sympatię doktora, z której korzystałem przez cały czas mojego pobytu w korpusie. Wkrótce potem kazano nam obu rozebrać się do naga i doktor rozpoczął badanie stanu naszego zdrowia. Na początku mojej służby wojskowej stwierdzono, że jestem zdrowy, a brat Wincenty okazał się chory. Doktor strasznie zachmurzył się, rozkazał chorego od razu odprawić do szpitala i więcej brata nie widziałem. Umieścili go w osobnej sali, do której nikogo z kadetów, nawet mnie, nie wpuszczali.

Po wyzdrowieniu odesłali Wincentego jako junkra do pułku smoleńskiego feldmarszałka Kutuzowa⁴⁴. Zdarzenie to miało nieszczęśliwe konsekwencje dla brata. Był sześć lat junkrem i ze względu na stan zdrowia został zwolniony. Żył biednie w Warszawie jako urzędnik czternastej rangi z pomocą stryja Rafała i wkrótce zmarł.

Następnego dnia przedstawiony zostałem naszemu dyrektorowi generałowi-majorowi Puszczynowi⁴⁵ w jego osobistym gabinecie. Powierzchność generała była surowa, był przystojny i punktualny do przesady. Głos miał gruby i surowy. W duszy, jak się później przekonałem, był to człowiek dobry i sprawiedliwy. Widocznie nieszczęście Wincentego było mu znane, ponieważ spotkanie ze mną było bardzo, ale to bardzo oschłe. Generał długo i uważnie obserwował mnie, a na koniec powiedział: „Proszę bardzo, ten tu młodzik 20 lat tłukł i objął się w Warszawie, a teraz przybył do mnie wychowywać się. Nie, ty u mnie nie będziesz; posiejesz zarazę, zabieraj się, skąd się wziąłeś”. Słowa te i groźna postawa generała przeraziły mnie; przybity i przygnębiony wróciłem do kompanii.

⁴³ Prawdopodobnie Piotr Suszyński, syn Piotra. Pochodził z guberni mohylewskiej. Lekarz wojskowy, od 1834 r. starszy lekarz Pułku Szlacheckiego (korpusu kadetów). Uwolniony ze służby w 1845 r.; *Русские врачи исцелители*, cz. 1: *до 1863*, oprac. Л. Фед. Эмеевъ, С.-Петербург 1886, kn. 2, s. 123.

⁴⁴ Chodzi o pułk im. Feldmarszałka Kutuzowa.

⁴⁵ Był to generał-lejtnant Wsiewołod Pawłowicz Puszczyn (1793–1865), uczestnik wojny polsko-rosyjskiej z 1830–1831 r.; С. В. Волков, *Генералитет Российской империи*, t. 2, Москва 2010, s. 364.

Po obiedzie, kiedy kadeci poszli do klas, mnie zostawiono na korytarzu przy inspektorskich drzwiach i powiedziano, że będę wezwany na egzamin. Na miejscu tym stałem do godziny szóstej wieczorem. Tam również stałem na drugi dzień od ósmej do dwunastej i trzeciego dnia od rana do godzin wieczornych. Wyostrożona uwaga, brak możliwości siedzenia, ponieważ korytarzem nieustannie chodzili oficerowie, nawet usiąść nie było na czym, tak bardzo udręczyło mnie to fizycznie i moralnie, że umierałem ze zmęczenia i z tęsknoty, a powrotu do kompanii oczekiwałem jak zbawienia.

Wieczorem na drugi dzień, po powrocie z nauki, chciałem odpocząć do kolacji, to jest do ósmej godziny, ale nie udało się. Tego dnia była sobota i dlatego kadetom przykazano zmienić kurtki i ustawivszy ich w szeregu, poprowadzono do cerkwi 2. korpusu kadetów. Ten korpus był naprzeciwko naszego, ale do cerkwi chodziliśmy naokoło i było do niej dobre ćwierć wiorsty. W cerkwi poczułem prawdziwe zmęczenie. Przepiękne oświetlenie i śpiewy oraz piękno cerkwi z początku zainteresowały mnie, ale ponieważ nabożeństwo trwało prawie dwie godziny, zrobiło mi się słabo i upadłem na ziemię bez czucia. Oprzytomniałem dopiero w stołówce naszego korpusu podczas kolacji. W niedzielę odpocząłem i trochę się uspokoiłem, a w poniedziałek zostałem dopuszczony do egzaminu. Inspektorem był pułkownik Litewskiego Pułku Gwardii Forcman, a pomocnikiem jego był kapitan Pawłowski. Na początku pytali mnie, gdzie się uczyłem i co wiem. Odpowiadałem po rosyjsku, jak umialem, i wyjaśniłem, że po rosyjsku nie mogę być egzaminowany. Inspektor zezwolił mi, abym na zadawane przez pomocnika po rosyjsku pytania odpowiadał po polsku. Później dowiedziałem się, że inspektor był w Pułku Litewskim i stacjonował do 1831 roku w Warszawie; dobrze władał językiem polskim i znał osobiście stryja Rafała, a także często słuchał jego wykładów w tamtejszej szkole wojskowej.

Egzamin poszedł mi całkiem dobrze, odpowiadałem śmiało, a kiedy doszło do matematyki, która nie potrzebuje żadnego języka, to proponowane mi zadania rozwiązywałem szybko i wnioski wyciągałem prawidłowe, za co otrzymałem pochwały i zostałem umieszczony w drugiej wyższej klasie. W tym czasie w pułku szlacheckim był następujący podział klas: dwie niższe, dwie średnie i dwie wyższe, a promocja na oficera odbywała się od pierwszej wyższej klasy.

Wykazanie się wiedzą na egzaminie poprawiło moje położenie. Ubrano mnie w kadecki uniform i zostawiono w korpusie. Na początku mojej nauki w pułku szlacheckim nastąpiły zmiany zarówno pod względem nauczania, jak i organizacji. Przestano przyjmować dorosłych. Mając prawie osiemnaście lat, obawiałem się co do mojego przyjęcia i tylko moja wiedza pozwoliła mi utrzymać się w korpusie.

Po trzech tygodniach od wstąpienia wszystkich nowicjuszy przedstawiono głównemu naczelnikowi szkół wojskowych wielkiemu księciu Michałowi

Pawłowiczowi⁴⁶. Z tego powodu zostaliśmy zaprowadzeni do jego pałacu. Nowicjuszy było dużo, ponieważ zostaliśmy przyprowadzeni ze wszystkich korpusów, ale takiego drugiego dużego jak ja nie było. Książę długo i uważnie się przyglądał, żartował, a zatrzymawszy się koło mnie, powiedział: „Z niego nie będzie pożytku, lepiej go odprawić do junkrów”. Serce mi zamarło, ale Puszczyn powiedział coś cicho do księcia, a on kiwnąwszy głową, powiedział: „Dobrze, dobrze, zobaczymy”. Po wszystkich przeżytych niewygodach w końcu ustabilizowałem się w korpusie i natura moja przywykła do długiej i niewdzięcznej służby wojskowej. Na początku bałem się i trząsałem przed zwierzchnikami. I teraz jeszcze unikam znajomości i spotkania z władzą. Pierwsze kroki w korpusie umocniły we mnie dyscyplinę, a schodzenie z drogi zwierzchnikom być może uratowało mnie przed nieprzyjemnościami. Prawdziwe jest przysłowie: „Od ognia jak najdalej”.

W szkoleniu wojskowym uzyskiwałem sukcesy; nauka o broni i musztra nie stanowiły problemu. Głos do wydawania rozkazów miałem donośny, więc sukcesy w nauce były wspaniałe. Każdego roku otrzymywałem list pochwalny, a w nagrodę książki. Przypnę, że uczyć się nie było czego, ponieważ program nauki w korpusie był wtedy na o wiele niższym poziomie niż kursu gimnazjalnego. Moja głowa próżniaczyła i do tego stopnia rozwinęła lenia w rozumie, że tylko przypadek wybawił mnie od całkowitego ośpienia mózgu. Ale o tym w swoim miejscu.

Klimat Petersburga i na mnie wywarł szkodliwy wpływ. Cierpiałem na skrofulozę⁴⁷, miałem powiększone gruczoły, tak że zimą nie mogłem zapiąć kołnierza kurtki. Latem byłem zdrowszy, ale zimą większość czasu przebywałem w szpitalu. Tutaj właśnie okazywał mi swoją opiekę współczujący doktor. Szpital był rzeczywiście wspaniały. Troska, czystość, uważne leczenie, a nawet komfort otaczały chorego. Mogę śmiało powiedzieć, że w żadnym domu ukochana rodzina nie byłaby w stanie tak troszczyć się o chorego. Opieka dobrego doktora pozostanie na zawsze w mej pamięci. Do szpitala szedłem jak do domu rodzinnego, bo niczego tam mi nie odmawiano. Znajdowała się tam bardzo porządna biblioteka i odpoczywając, czułem się człowiekiem, czego przypnę, nie doświadczałem w kompanii. Po Bożym Narodzeniu z dotychczasowej kompanii zostałem przeniesiony do pierwszej kompanii grenadierskiej, którą nasz dowódca wymyślił sobie utworzyć z najlepszych i o wysokim morale wychowanków. Do tej pory nie rozumiem przyczyny takiego dla mnie szczęśliwego obrotu sprawy. Domyślałem się tylko, że sprawcą był inspektor pułkownik Foreman. Na nieszczęście niedługo umarł i ja już z bronią na ramieniu odprowadzałem tego pocziwego człowieka do grobu.

⁴⁶ Wielki książę Michał Pawłowicz (1798–1849).

⁴⁷ Skrofuloza – prawdopodobnie gruźlica lub zapalenie węzłów chłonnych.

W pierwszej kompanii grenadierskiej kary cielesne były niedopuszczalne, a każdy przylapany na jakimkolwiek przewinieniu był bezzwłocznie przekazywany do kompanii muszkieterskich i tam już wymierzano mu odpowiednie kary. Możliwe, że to przejście do grenadierów uratowało mnie od różg, do których wymierzania dowódcy innych kompanii byli bardzo skorzy i zwykle za błędy obdzielali nimi powszechnie kadetów.

Mój dowódca Karol Iwanowicz Peterson, Fin z pochodzenia, był człowiekiem nadzwyczaj przyzwoitym i mającym duże zasługi. Kochaliśmy go wszyscy jak ojca i uczyliśmy się komend. Na melodię naszej pierwszej grenadierskiej śpiewaliśmy: „Karol Iwanowicz Peterson”. W ten właśnie sposób w ciągu dalszego pobytu w korpusie nie spotkałem się z karą różgi; takich egzekucji już tu nie było. W ostatnim roku mojego kadeckiego życia naraziłem się na wielkie niebezpieczeństwo, można powiedzieć, na własne życzenie.

Stałem się dobrym żołnierzem i dlatego też przeznaczono mnie do plutonu, który w niedzielę uczestniczył w ogólnej zmianie warty gwardii, która następowała w obecności cesarza na Michajłowskim Maneżu⁴⁸. Nasz pluton składał się [z] dwóch części, które kolejno się zmieniały. Po powrocie z warty wożono nas karetą, potem częstowano dobrym śniadaniem. Wszyscy korzystaliśmy ze szczególnych przywilejów, wśród których najważniejszym było chodzenie na przepustki bez opiekunów⁴⁹.

Na dwanaście dni przed Bożym Narodzeniem 1837 roku, to jest w samo Boże Narodzenie według nowego stylu, na niedzielę wyznaczono wartę. Jej kolejność nie wypadła na mnie, lecz na moich dobrych kolegów: Maciejewskiego, Dziekońskiego i Walewskiego⁵⁰. Chcieliśmy ten dzień spędzić razem w mieście w pokoju niemieckiego domu zachodniego na Nowym Piereułku, dokąd i wcześniej chodziliśmy w wolne dni. Ja i Maciejewski jako wolni poszliśmy tam w sobotę wieczorem, a inni nasi koledzy mieli odwiedzić nas w dniu następnym przed obiadem, zaraz po warcie.

W celu przyjemnego spędzenia Bożego Narodzenia, obchodzonego uroczystie przez naszych krewnych w Królestwie Polskim, zamówiliśmy przyzwoity obiad i kupiliśmy butelkę dobrego wina. Na nasze nieszczęście warty nie było, naszych towarzyszy nie wypuszczono, czekaliśmy więc z obiadem, no i żeby nasze dobro nie przepadło, wypiliśmy całą butelkę wina we dwóch. Oczywiście było nam wesoło, śpiewaliśmy, krzyczeliśmy, tańczyliśmy, tak że

⁴⁸ Maneż – plac do musztry. Michajłowski Maneż to obecnie Plac Michajłowski.

⁴⁹ Opiekun zwany był *diadką*.

⁵⁰ Zapewne syn Antoniego Walewskiego (1774–1846), ziemianina, prezesa Komisji Województwa Krakowskiego, a następnie gubernatora krakowskiego; J. Szczepański, *Walewski (Colonna) Antoni*, w: *Świętokrzyski Słownik Biograficzny*, t. 2: 1795–1928, red. J. Szczepański, Kielce 2009, s. 480.

zapomnieliśmy o korpusie. Dobrze, że poczciwy Niemiec przypomniał nam i odprawił nas na powrót. Kolega mój okazał się zuchem, a ja, jak się okazało, wypilem więcej i byłem podchmielony.

Powrót z przepustki zawsze następował z wielką pompą. Prosto po przyjeździe zjawialiśmy się w pokoju kapitana – dyżurnego pułku, zatrzymywaliśmy się w progu i kiedy dyżurny wstał, to zgodnie z przepisami meldowaliśmy swoją obecność i oddawaliśmy mu przepustkę. Dyżurny uważnie nas obserwował, obracał wokół; kiedy wszystko okazywało się jak należy, przepuszczał na kompanię. Tam podobny ceremoniał odbywał się w pokoju dyżurnego oficera kompanii. Pierwszy swój meldunek złożyłem prawidłowo, ale na drugim u dyżurnego kompanii porucznika Tirala strasznie mi się nie powiodło. Wszystkie meldunki i ich przyjęcie wykonałem poprawnie, ale przy odpowiedzi na pytanie strażnik zauważył, że piłem wino i poprosił o chuchnięcie, więc wyjaśniłem wszystko. Zaczęły się prośby i tłumaczenia; niestety, nic nie pomogło i młodzieńca odprawiono do karceru.

Smutny i żaloszny był koniec tak wesoło rozpoczętego święta, płakałem całą noc, oczekując złych skutków. Łatwo bowiem można było odkryć, że nie chodziłem tam, gdzie wpisywałem do księgi i na co wydana była przepustka, a mianowicie do hrabiego Łubieńskiego⁵¹. Za takie zachowania i samowolę mogli mnie zawieźć do kompanii grenadierskiej i zostawić na rok bez przepustki, albo nawet odesłać do junkrów. Wszystko to kręciło mi się po głowie. W karcerze siedziałem cztery dni, podczas których jednak chodziłem na zajęcia. Wówczas odbywały się także półroczne egzaminy. Na jednym z nich, a konkretnie na geografii, wszedł dyrektor; stałem wtedy przed katedrą i zdawałem egzamin. Generał pozdrowił klasę, spojrzał na mnie surowo i poważnie i kazał kontynuować. Krew zastygła mi w żyłach, ale dzięki Bogu odpowiedziałem na wszystko dobrze; generał zmarszczył tylko brwi.

Ostatni dzień pobytu w karcerze był najcięższy, niczego od nikogo nie mogłem się dowiedzieć, a surowa sylwetka generała nieustannie stała przed moimi oczami. Na szczęście żadnego dochodzenia nie przeprowadzono i nie pytano mnie o nic, a piątego dnia odesłali mnie do kompanii. Kiedy się tam stawilem, zastałem kadetów stojących w szeregu ze wszystkimi oficerami. Dowódca po dosyć długiej przerwie oznajmił mi, że na radzie ogólnej postanowiono, że za popełniony przeze mnie występki podlegam karze karceru i zmniejszeniu o dwa stopnia z zachowania. Później ten poczciwy człowiek dodał: „Bardzo mi przykro panie Skolimowski, i mam nadzieję, że naprawicie swój występki. Ja ze swojej strony zawsze byłem z pana zadowolony, dlatego

⁵¹ Być może chodzi o Tomasza Andrzeja Adama Łubieńskiego (1784–1870), generała i senatora przebywającego w latach 1832–1834 w Petersburgu; zob.: S. Kieniewicz, *Łubieński Tomasz Andrzej Adam*, w: *PSB*, t. 18, Wrocław 1973, s. 502–505.

nie smućcie się i zajmijcie swoje miejsce”. Dobrych tych słów nigdy nie zapomnę. Następnie dowiedziałem się, że takie szczęśliwe zakończenie zawdzięçam dowódcy kapitanowi Petersonowi, za którego często się modliłem.

Po zakończeniu egzaminów w 1838 roku zostałem mianowany chorążym i zaraz potem podano nam wykaz pułków z wakansami i miejscem ich stacjonowania. Wybór pułku pozostawiono nam. Ja i mój najlepszy przyjaciel Maciejewski zapisaliśmy się do Dnieprowskiego Pułku Piechoty, stacjonującego wówczas w Warszawie. Pułk ten wchodził w skład 4. korpusu piechoty 12. dywizji.

Zaraz po egzaminach wszystkie korpusy wyruszyły do obozu założonego w Peterhofie⁵². Przebywaliśmy tam każdego roku na obozie. Życie obozowe było lepsze niż kadeckie. Mieliśmy dużą swobodę i często pozwalano nam spacerować po carskim parku, pełnym zadziwiających rzadkości i starych fontann. Jednego razu w czasie obozu wszystkich kadetów ugoszczono w tym parku obiadem wydanym z polecenia cara.

W wyznaczonych terminach stawiano w kilka linii w parku pułkowe namioty. Były one bez ścianek bocznych, jedynie z dachami, i wszystkie razem stanowiły całość. Wszystko to uzupełniano zielenią i kwiatami. W dzień obiadu kadeci w jednakowych mundurach i czapkach maszerowali po placu przed obozem, a stąd kolumnami i przy muzyce kierowali się na plac znajdujący się przy pałacu w Peterhofie. Tam, ustawivszy się w jednej linii, oczekiwaliśmy na ukazanie się Najwyższego Dworu [podkreślenie – A. S.]. Tego dnia w parku tryskały wszystkie fontanny i zbierał się ogrom publiczności.

Po przybyciu imperatora z rodziną i świtą, zaczynała się parada. Cesarz osobiście prowadził kadetów w ceremonialnym marszu, oddając honory imperatorowej, następnie zasiadano za stoły. Imperator i jego świta spożywali obiad na podwyższeniu. Na sygnał dwutysięczny chór kadetów śpiewał, a podczas tego śpiewu rozdawano pyszne dania. Na każdego kadeta przypadała butelka miodu, jakiego dotychczas nigdy nie piłem, oprócz tego po pierogach z różnym nadzieniem rozdawano po pół funta cukierków. Cesarz i cesarzowa oraz wielkie księżne – Maria i Olga Nikołajewne⁵³, spacerowały pomiędzy naszymi stołami, rozmawiając i zaszczycając swoich gości. Chóry i muzyka ciągle grały, a publiczność, wczuwając się w atmosferę, przyglądała się. Po obiedzie wszyscy kadeci odmawiali modlitwę, a następnie udawali się na spacer po parku. Taki dzień na długo urozmaicał jednostajne życie kadeta.

Poza tym kadeci jeszcze raz mieli możliwość, by Najwyższa Rodzina mogła na nich zwrócić uwagę. W wyjątkowo upalny dzień, który zdarzył się w obozie, wszyscy kadeci uczestniczyli w szturmie na kaskady mieszczące się

⁵² Zespół pałacowo-ogrodowy założony przez cara Piotra I.

⁵³ Wielkie księżne Maria i Olga, córki Mikołaja I i Aleksandry Fiodorownej.



3. Fontanna „Samson” w Peterhofie. Fot. J. Szczepański

w parku przy samym pałacu. Ten szturm postaram się opisać szczegółowo, dlatego że podobne zdarzenia nie bywają częste.

W parku znajdowała się najbardziej znana i wysoka fontanna, którą nazywali „Samson”. Znajdowała się ona w niższej części parku, naprzeciw pałacu, w środku dużego stawu. Rzeźba z brązu przedstawiała Samsona rozwierającego paszczę lwa. Z tej paszczy biła wysoko fontanna w kształcie grzyba. Naprzeciw wspomnianej fontanny zaczynał się stromy stopień, na którego zakończeniu było okrągłe podwyższenie, podchodzące do tarasów pałacu. Znajdowały się tam stopnie o wysokości nie przekraczającej jednej czternastej arszyna⁵⁴. Zrobione były z białego, czarnego i różowego marmuru, a ich połączenia były wykonane ze złotych i czarnych desek. Na podestach znajdowały się fontanny, z których woda biła różnymi kształtami, na przykład pucharów, grzybków, urn, kuli i innych. Gdy całość była w ruchu, widok był wspaniały, a szczególnie ślicznie wyglądały kaskady wody spadające ze stopni. I właśnie tę fontannę kadeci w obecności cara i całego dworu brali szturmem.

⁵⁴ 1 arszyn = 0,71 m.



4. Aleksander II

W wyznaczony dzień wszyscy zdrowi kadeci w kurtkach i kaszkietach formowali się na placu w kolumnach po dwunastu w rzędach; niscy wzrostem stawali z przodu. Kolumn powstawało w sumie siedem. Pierwsza kolumna to paziowie i podchorążowie, drugą stanowił pierwszy batalion Pułku Szlacheckiego, trzecią – drugi batalion tegoż pułku, czwartą – Szkoła Artyleryjska, piątą – Pierwszy Korpus Kadetów, szóstą – Drugi Korpus Kadetów i siódmą – Korpus Pawłowski. W takim porządku przy muzyce kierowaliśmy się do fontanny i ustawialiśmy się jeden za drugim naprzeciw stopni. Na zewnętrznym placu koło pałacu w namiotach rozmieszczona była rodzina carska ze świtą. Car, stojący na brzegu wzniesienia obok fontanny, przejmował komendę.

Po słowie: „Trzy”, stojąca z przodu kolumna z krzykiem: „Hurra!” rzuciła się na fontannę i wdrapywała po stopniach na placyk. Pierwszy, który tu wskoczył, z rąk cesarzowej otrzymywał złoty pierścień, drugi srebrny, a trzeci pieczęć Aleksandrowskiej Manufaktury⁵⁵, przy czym nagrodzeni byli dopuszczeni do ucałowania rąk Cesarskiej Mości.

Car dał komendę: „Baczność”. Mówił: „Słuchać mojej komendy, potem raz, dwa”, ale słowa: „Trzy”, nie wymawiał. Niektórzy kadeci rzucali się naprzód, ale car zatrzymywał ich i wszystko zaczynało się od początku. Przemoknięci stawali na swe miejsca. Dopiero po wielu próbach, kiedy kadeci wzmocnili czujność, rozległa się komenda: „Trzy!”. Cała wówczas kolumna z okrzykiem „Hurra!” szybko rzuciła się do fontanny i skacząc w wodzie po stopniach, gramoliła się w stronę górnej platformy, dokąd docierała w pożałowania godnym stanie. Zdarzało się, że natarcie było prowadzone z takim impetem, że jedni wpadali na drugich, tak że znajdujący się z tyłu po głowach przedzierali się do placyku jako pierwsi.

Po szturmie kolumna wracała aleją, stała obok, czyniąc wolne miejsce do ataku dla innych i dodając im animuszu. Na zakończenie kadeci otrzymywali po trzy pomarańcze i ze śpiewem wracali do obozu, gdzie od razu zmieniali mundury.

Często w obozie mieliśmy szczęście oglądać cesarską rodzinę. W czasie pobytu dworu w Peterhofie nierzadko widywaliśmy ich jeżdżących powozami po alejkach. Przy takich spotkaniach dyżurni wołali wszystkich kadetów na drogę, stawaliśmy na baczność, a oni kłaniali się nam, pozdrawiali i łaskawie z nami rozmawiali. Wielkie księżne Maria i Olga Nikołajewne były wtedy jeszcze młodymi panienkami o uderzającej piękności. Jeździły maleńkim, typowo rosyjskim powozem, z pięknym woźnicą, chłopcem około piętnastu lat, i nie jakimiś karymi, tylko nadzwyczajnie pięknymi końmi. To wszystko do tego stopnia nas zachwycało, że w trakcie ich przejazdu jak strzały wyskakiwaliśmy z namiotów i długo, długo rozkoszowaliśmy się tym pięknym widokiem. Następca tronu, obecny imperator⁵⁶, był wtedy w stopniu pułkownika i w czasie naszych przemarszów do cerkwi zawsze dowodził batalionem Pierwszego Korpusu Kadetów. Wielki książę Konstanty Mikołajewicz⁵⁷ latem przebywał na statku Korpusu Morskiego, ale zaglądał często do naszego obozu. Wielcy książęta Michał i Mikołaj⁵⁸ byli jeszcze małymi dziećmi i dlatego do pałacu wysyłano do zabawy z nimi w wojsko najmniejszych kadetów.

⁵⁵ Manufaktura Aleksandrowska założona przez cara Aleksandra I produkowała karty do gry.

⁵⁶ Aleksander II (1818–1881), cesarz w latach 1855–1881.

⁵⁷ Wielki książę Konstanty Mikołajewicz (1832–1909).

⁵⁸ Wielcy książęta Michał (1832–1909) i Mikołaj (1831–1891).

Ostatnie obozy były dla mnie bardzo przyjemne. Perspektywa szlifów i przyszłego swobodnego życia nieustannie pobudzały moje wyobrażenia. Z Maciejewskim ciągle marzyliśmy o służbie w pułku, o naszej podróży, o spotkaniu z rodziną, i marzeniom tym nie było końca. Wszystko to przedstawiało się w jakichś przyjemnych, fantastycznych kolorach. Jakiej goryczy doznaliśmy, kiedy wszystkie te nasze marzenia rozpadły się w proch! Pojechaliliśmy nie tam, gdzie myśleliśmy, ale o tym w innym miejscu.

O zbliżającym się awansie na oficera zawiadomiłem stryja Rafała i rodzinę, i oczekiwałem na dzień umundurowania. Najwyższym rozkazem z dnia 4/16 września 1836 roku zostałem mianowany podchorążym. Ponieważ w tym czasie cesarz był zagranicą, dlatego awanse były opóźnione.

Z obozu wróciliśmy z początkiem sierpnia; nas, absolwentów, oddzielono od kompanii i umieszczono na maneżu. Razem z moskiewskimi kadetami i Czerkiesami zebranych było więcej aniżeli dwustu ludzi. Pozostawaliśmy tam niemal przez dwa miesiące, mając prawo do wyjścia do miasta prawie każdego dnia, ale musieliśmy mieć przepustkę i na noc wrócić do koszar. W tym czasie przygotowywano nam mundury służbowe, które składały się z umundurowania galowego, w których następnie przedstawiano nas wielkiemu księciu Michałowi Pawłowiczowi. Ponadto dostaliśmy letni szynel, czapkę, drugą parę butów i dwie pary bielizny osobistej. Do tego czasu stryj przysłał mi 157,5 rubla asygnatami. Obecnie jest to bardzo mało pieniędzy, ale wtedy kupiłem za nie dużo, a dokładnie: dwie pary surdutów (jeden z nich był bardzo porządny), trochę bielizny, kaftan, jarmułkę, czubuk⁵⁹, sakwę i na koniec piękną czerkieską papachę i burkę. Bez tych rzeczy nie można by było sobie wyobrazić podchorążego. To wszystko dla szyku, aby pokazać się w drodze, na wsi i u rodziny.

Długie oczekiwanie na promocję zaczęło nas męczyć, dlatego po otrzymaniu najwyższego ukazu harmider i hulanki osiągnęły ogromne rozmiary. Dobry mój przyjaciel hrabia Walewski⁶⁰, któremu na umundurowanie ojciec wysłał 5000 rubli asygnatami, zrobił dla nas rodaków libację, można powiedzieć, ze wszystkimi honorami. Bawiliśmy się jak wariaci, oblewając nasze epolety. Kierownictwo korpusu znajdowało się w trudnej sytuacji z racji zbyt długiego świętowania absolwentów, dlatego szybko po awansie zatroszczono się o odesłanie nas do pułków.

W maneżu przyszedł do nas jakiś Żydek, który zaproponował nam szybkie i wygodne przewiezienie do Warszawy. Koszt podróży, jak liczyliśmy, wychodził po trzysta rubli asygnatami od każdego, a Żyd prosił tylko o sto rubli i obiecywał jechać nie mniej niż dziewięćdziesiąt wiorst na dobę. Skusiliśmy

⁵⁹ Czubuk – prawdopodobnie fajka.

⁶⁰ Zob. przypis 50.

się korzyściami, a Żyd, żeby nas przekonać na drugi dzień przybył swoim antycznym ekwipażem i zrobił tak, że cała szóstka nowych chorążych jadących do Warszawy wynajęła Żyda po osiemdziesiąt rubli od każdego.

Powóz jego składał się z ogromnej budy, całej pokrytej płótnem żaglowym. Zaprzęgnięty był do czterech mizernych, ale wytrzymałych koni. W budzie tej przymierzyliśmy miejsca i okazało się, że jeszcze kilku z nas mogłoby się zmieścić i dlatego, dawszy Żydowi po pięć rubli zadatku, przykazaliśmy poinformować o dniu wyjazdu.

Odprawiali nas dywizjami, dlatego pewnego pięknego wieczoru otrzymaliśmy rozkaz, żeby na drugi dzień o dziewiątej rano zameldować się ze wszystkimi rzeczami w sztabie głównym. Nasz Żyd przyjechał, wsiedliśmy do budy i parady w starych surdutach bez epoletów tryumfalnie wjechaliśmy na plac pałacowy. Pomocnik dyżurnego generała według listy wzywał nowych chorążych, wydawał prowiant i przepustki, a po pieniądze na podróż kierowaliśmy się do kasy. Rozległy się słowa: „Chorąży Skolimowski”; zjawiam się i otrzymuję pieniądze, spoglądam na rozkaz wyjazdu i czytam: „Od Petersburga do miasta Penzy”⁶¹. Nie przeczytawszy do końca, zwróciłem się do generała i mówię: „Wasza Ekscelencjo, to nie moja przepustka, moje nazwisko – Skolimowski, ale miałem być wysłany nie do Penzy, lecz do Warszawy”. Generał rozłożył się i powiedział: „Mówicie głupstwa, pojedziecie tam, gdzie jest rozkaz”. Tak gwałtowna zmiana wszystkich moich planów i marzeń zupełnie mnie oszołomiła. Podobny los spotkał mojego przyjaciela Maciejewskiego. Siedliśmy w kacie i gorzko zapłakaliśmy. Dochodzący do nas towarzysze radzili iść od razu do naczelnika sztabu szkół wojskowych Jakowa Iwanowicza Rostowcewa⁶². Bo on, jako dobry i sprzyjający kadetom, pomoże w naszej biedzie. Jakow Iwanowicz rzeczywiście przyjął nas i wysłuchał bardzo uważnie, ale po naświetleniu sprawy powiedział, że każdy ma prawo wstąpienia do pułku, jaki sobie wybierze, i że wysyłają nas do Penzy nie dlatego, że jesteśmy Polakami, lecz z tego powodu, że w batalionach dniewrowskiego pułku stacjonującego w Warszawie nie ma wakansów, a są tylko w piątym batalionie tegoż pułku, który jest rezerwowy i stacjonuje w Penzie. Staliśmy ocierając łzy, a był to pierwszy krok w mojej prawdziwej służbie. Dlatego też zostaliśmy tam zaliczeni i winniśmy tam jechać. W ogóle gen[erał] Rostowcew, aby nas pocieszyć, powiedział, że winniśmy wcześniej wiedzieć, gdzie stacjonują jednostki wojskowe. Gdyby on to wiedział wcześniej,

⁶¹ Penza – miasto gubernialne w odległości 1350 km na południowy wschód od Petersburga.

⁶² Generał Jakow Iwanowicz Rostowcew (1803–1860). Od 1831 r. sztabsoficier urzędu głównego naczelnika szkół wojskowych, od 1835 r. naczelnik. Od 1855 r. członek Rady Państwa; C. B. Волков, *Генералитет*, t. 2, s. 423.

skierowałby nas do Warszawy, a teraz trzeba jechać do Penzy, a gdybyśmy nie zmienili swoich zamiarów, to powinniśmy napisać do niego, wtedy on ułatwi przeniesienie. Wyszliśmy, ale słowami generała nie byliśmy pocieszeni. Ze łzami w oczach wyjęliśmy nasze pakunki z żydowskiej budy, pożegnaliśmy naszych towarzyszy, a następnie wynajęliśmy pocztowy wóz i ruszyliśmy w stronę średniej rogatki.

Był zwyczaj wówczas, że w dniu wysyłania nowych chorążych dostarczano przed sztab główny dużo trójkonnych wozów, t[ak] zw[anych] pocztowych. Po otrzymaniu dokumentów chorążowie wsiadali do wozów w asyście kurierów i jechali do rogatek. Tam zaś wręczali tym kurierom papier z podpisem potwierdzonym przez dyżurnego oficera, że nie wrócą do miasta. Porządek ten był wprowadzony po to, aby chorążowie nie mogli wrócić do miasta i przehulać otrzymanych wypraw, co wielokrotnie miało miejsce i chorążowie nie mieli potem za co jechać do przydzielonych oddziałów.

Do średniej rogatki jechało dużo wozów; wszystkim było wesoło, tylko Maciejewski i ja z trudnością powstrzymywaliśmy łzy. Długo nie mogliśmy dojść do siebie. Na rogatce konwojent – kurier błagał, aby nikt nie wracał do miasta, gdyż groziłaby mu wielka kara. Rozgoryczeni zostawiliśmy za sobą Petersburg i ruszyliśmy po doskonałej szosie do Moskwy. Nie cieszyliśmy się wolnością i młodością, bo na sercu leżał nam kamień. Taki był pierwszy krok w służbie wojskowej.

Zapomniałem napisać, że podczas mojego pobytu w korpusie kadetów zimą z 1837 na 1838 rok spalił się Pałac Zimowy, miejsce życia Imperatora i Najwyższej Rodziny. O godzinie ósmej wieczorem nasze warty zauważyły łuny. Nasza kompania grenadierska znajdowała się na drugim piętrze i z okien było widać płomienie. Gdy dowiedzieliśmy się, że to pożar w pałacu, nasza uwaga wzmogła się. Od nas wyraźnie było widać płonący pałac, płomienie wychodzące z okien; masa ognia oświeślała całą okolicę.

Kiedy zaczął się pożar, car z Najwyższą Rodziną znajdowali się w teatrze; tylko jego jednego powiadomiono o zaistniałym nieszczęściu, a on spokojnie powiedział carycy, że musi jechać. Poprosił ją, by została i dokończyła oglądanie interesującego przedstawienia. Publiczność również zachowała spokój, tak że Imperatorowa niczego się nie domyśliła. Na koniec spektaklu cesarz pojawił się znów i polecił jechać na herbatę do Michała Pawłowicza, gdzie i pojechali. Carycę zdziwiło, że spotkała tam małych księżąt Michała i Mikołaja, którzy w tym czasie zawsze spali. Ale uspokojono ją różnymi opowieściami, a dopiero później powiadomiono o pożarze w pałacu.

Cały ogromny pałac stał w płomieniach; wyższe piętra spaliły się. Niższe pod sklepieniami zostały praktycznie nienaruszone. Wyposażenie uratowano, chociaż jak mówili, było dużo kradzieży, ale nikczemnicy zostali złapani i otrzymali zasłużoną karę.



5. Pałac Zimowy w Petersburgu

Przyczyna pożaru, jak mówiono i pisano, była następująca. Jeszcze latem miała być rozdzielona jakaś komnata i potrzebne było postawienie ściany, co wymagało dużo czasu, a okoliczności i pośpiech spowodowały, że zrobiono przepierzenie, to jest pustą w środku ścianę. Obłożono ją marmurem, ale w środku znajdował się przewód kominowy. Zimą podczas ogrzewania od komina zapaliło się przepierzenie. Ogień, nie mając dostępu powietrza, tlił się cały tydzień, nie wpuszczając do komnaty żadnego dymu. To tlenie spowodowało przegrzanie masy materiału. Wszystko było niewidoczne do czasu, kiedy to zewnętrzna powłoka sztukaterii nie popękała i nie odpadła. Wtedy cała masa ognia wydostała się na zewnątrz i płomienie prawie natychmiast objęły wszystkie komnaty.

Moja służba wojenna od 4 września 1838 do 24 czerwca 1870 roku

Dwaj młodzi chorążowie w pięknych czerkieskich czapkach i kaukaskich burkach pędziło lichą trojką przez piękną szosę moskiewską. Brawura tej jazdy, nieustanny i ożywiony ruch ludzi, pierwsze chwile wolności po zamkniętym życiu, jak i sama nasza kipiąca młodość zrobiły swoje. Na drugi dzień uspokoił się i wesoło oddaliśmy beztroskiemu życiu. W jednym tylko rozsądek nie opuścił nas. Wiedząc, że jedziemy w daleką i obcą stronę, a nie do rodziny, i nie mając nadziei na jakąkolwiek pomoc, wydatki nasze ustalaliśmy ekonomicznie, tak żeby ograniczyć wydawanie pieniędzy na podróż w celu zabezpieczenia środków na pierwszy okres życia w pułku. Ten pierwszy krok rozsądku był fundamentem mojego dalszego życia. Zrobiłem się oszczędny, a to uratowało mnie przed głupim życiem i długami, od których zginęło wielu moich towarzyszy. Rzeczywiście, zamysł Boży zawsze i wszędzie chronił i prowadził mnie w całym moim życiu. W obecnym podeszłym wieku, analizując wszystkie swoje przygody z przeszłości, przekonałem się, że bez Bożej dobroci nasze rachuby i przedsięwzięcia nie są niczym więcej niż bańką mydlaną.

Ileż to żalu, łez i przeklinania sypało się na nieszczesny los w następstwie nieoczekiwanego wyjazdu do Penzy. Między innymi to oddalenie od rodziny być może uratowało mnie od groźnego nieszczęścia. Młody, niedoświadczony, można powiedzieć głupi chłopak, który wyrwał się z klatki, nie mając pomocy materialnej od stryja Rafała z Warszawy, łatwo stałby się może nikczemnikiem. Z rodziną swoją, to jest z mężami moich siostr, najpewniej bym się rozszedł, być może nawet bym ich zrujnował, do czego mogłem brać przykład z innych. Może chciałbym rozdziału i usunięcia z części majątku ojca obu szwagrów; przejęty majątek na pewno bym przehułał. To wszystko na pewno by mnie zepsuło. Bojąc się skierowania w dalekie, obce strony, gdzie nie mogłem liczyć na nikogo, zrozumiałem, że ode mnie jednego zależy mój dalszy los. Moja głowa zaczęła pracować, umocniła się świadomość tego co dobre, a co złe, i niezauważalnie stałem się skromnym, przyzwoitym i pracowitym młodym człowiekiem. Służba moja nastąpiła tak szybko, że nie zdążyłem poprosić o przeniesienie. Poza tym w zeszłym roku będąc w kraju [1870], zobaczyłem, jaką radość czerpałem z bardzo dobrej o mnie pamięci. Witałem drogie mi miejsca i ludzi, i ze łzami w oczach rozdzieliłem kochanej rodzinie pozostawiony mi przez ojca mały kapitalik. Radość moja nie miała granic, a wszystko to zawdzięczam mojemu wyjazdowi do Penzy. Gdybym wtedy pojechał do Warszawy, to i o kapitale, i o miłości rodziny mógłbym teraz zapomnieć.

Dojeżdżając do Nowogrodu⁶³, mój towarzysz podróży Maciejewski wspominał, że w osiedlach arakczejewskich⁶⁴ mieszka jego stryj pułkownik, dowódca baterii gwardyjskiej. Pytając na postojach, dowiedzieliśmy się, że to niedaleko, i tam się skierowaliśmy. Czcigodny stryj Maciejewskiego bardzo życzliwie przyjął gości, a jego dobra żona okazała nam taką życzliwość, jak rodzonym dzieciom. Warunki życia mieli tam bardzo dobre, dostaliśmy osobny pokój ze wszystkimi wygodami.

Pułkownik był starszym człowiekiem, z liczną rodziną, mieszkanie miał porządne i żyli jak właściciele ziemscy, ale sąsiedztwa żadnego nie mieli – za całe towarzystwo tylko oficerów stacjonującej tam baterii, a wielu z nich pod różnymi pretekstami mieszkało w Petersburgu.

W gościnie u pułkownika, a bardziej jego żony, byliśmy trzy tygodnie. Nowe i jeszcze mi nieznane rozkosze życia przyjmowałem ze smakiem. Jeździliśmy konno, na łyżwach, spacerowaliśmy, paliliśmy tytoń we wspańiałych fajkach, których pułkownik miał całą kolekcję. Objadaliśmy się bardzo i tego wspaniałego pobytu nigdy nie zapomnę. Pułkownik obdarował krewniaka różnościami, a tak szczerze, jak niejeden ojciec rodzony by nie zrobił. Usilnie przykazał nam żyć razem. Dlatego obydwóm podarował samowar i pokazał, jak go nastawiać, ponieważ tak w domu, jak i w korpusie samowara nie widzieliśmy i herbaty nie piliśmy. W Królestwie Polskim wtedy jeszcze samowarów nie znano. Obdarowawszy nas wszelkim jadem, dobry pułkownik swoim powozem sam odwiózł nas do stacji pocztowej i błogosławiąc, obu pożegnał, życząc wszelkich sukcesów w naszej przyszłej służbie.

Podróż do Moskwy była bardzo przyjemna, ruch tą drogą nie ustawał dniami i nocami, jednakże postojów nie było. Poczta pędziła jak zjawą. Były całe wielkie wsie będące w dyspozycji poczty, niemające innych obowiązków i niepłacące podatków. Obowiązane były tylko przewozić pocztę i podróżnych. Na stacjach zbierało się dużo różnych przejeżdżających ludzi. W tym czasie hulanki wojskowych przybierały takie rozmiary, że rząd wprowadził różne przepisy, mające na celu ograniczenie tego zła. Na stacjach nieustannie zdarzały się pijatyki. Nasz rozsądek przynajmniej ratował nas przed wydatkami, ale nie był na tyle silny, żeby powstrzymać nas od hulanek, i mimo woli zatrzymywaliśmy się na stacjach na wiele godzin. Dozorcy i pocztylioni byli uczynni i przewidujący, gdyż ówcześni wojskowi, w tym szczególnie chorążowie, byli bezpardonowi.

⁶³ Nowogród Wielki.

⁶⁴ W osiedlach arakczejewskich osadnicy – żołnierze odbywający służbę wojskową, uprawiali zarazem ziemię.



6. Samowar. Zbiory Muzeum Krajoznawczego w Tomsku. Fot. J. Szczepański

Tak przejechaliśmy Wałdaj⁶⁵, gdzie nakupiliśmy obwarzanków sprzedawanych przez młode dziewczęta. Był wówczas zwyczaj kupowania obwarzanków, ponieważ były smaczne i słodkie, a do tego sprzedawczynie rozdawały po całusie, dlatego sprzedaż szła z sukcesem, szczególnie u tych, które były młodsze i ładniejsze. Jednakże, jak sam zauważyłem, moralność na tej dziwnej sprzedaży nie cierpiała; uroda, wdzięk, śmiałość i spryt tych dziewcząt wręcz porażał. W Torżku⁶⁶ kupiliśmy całkiem tanio safianowe pokrowce na poduszki i sienniki, które dostarczały nam w pułku wygod i trochę szyku.

W Moskwie zatrzymaliśmy się na dwa dni i w tym czasie zdążyliśmy obejrzeć wszystkie pomniki i poznaliśmy przysłowie: „Nie ziewaj gamoniu, tu Moskwa”. W moskiewskich straganach kupiliśmy dwie kaszmirowe pikowane kołdry, bardzo dobre i niedrogie. Sam kupiec ze sprzedawcami zasypali nas takimi uprzejmościami, że słuchaliśmy z rozdziawionymi ustami. Kołdry, sta-

⁶⁵ Wałdaj – Wyżyna Wałdajska w połowie drogi od Petersburga do Moskwy.

⁶⁶ Torżek (Torżok) – miasto powiatowe w guberni twerskiej.

rannie zapakowane i związane razem, wynieśli z nami na wozy, pozdrawiali, życzyli szczęśliwej podróży i żeby ich nie zapominać.

Po powrocie na kwaterę rozłożyliśmy swoje poduszki i sienniki, aby w pełni nacieszyć się naszą pościelą. Rozpakowaliśmy dopiero co kupione kołdry i, o zgrozo, co zobaczyliśmy. Zamiast przez nas oglądanych i kupionych były inne, całkiem niepodobne, pikowane wielbłądzą sierścią, do tego tak kłującą, że z trudem ręce to wytrzymywały. To oszustwo bardzo nas oburzyło, pojechaliśmy z woźnicą na stragany, ale kupiec powiedział, że nam kołder nie sprzedawał i że nas pierwszy raz widzi. Poszliśmy do naczelnika cyrkułu; ten sprawiał takie wrażenie, jakby chciał nam pomóc. Był na straganie, dowiadywał się, pytał. Jednakże na koniec otrzymaliśmy odmowę i bardzo smutni wróciliśmy na kwaterę. Kołdry te przez cały rok były dla nas jak bielmo na oczach. Spać pod nimi wcale nie było można i służyły tylko do przykrywania łóżek na dzień. Zebrawszy trochę pieniędzy, kupiliśmy inne, a te podarowaliśmy ordynansom, ale i oni nie byli z podarunku zadowoleni.

Dalsza podróż do Penzy nie była już tak przyjemna. Nadeszła późna jesień, szosy nie było, a gruntowe drogi były złej jakości i niewygodne; tylko nasze mocne i młode natury i wozy z rozstawnymi końmi były w stanie znieść wszystkie napotymane przeszkody. Przy ówczesnej pocztowej szybkiej jeździe i niebezpieczeństwach, szczególnie w osadach, wyglądaliśmy jak straszydła, z czapek, twarzy i burek wiało grozą. Wkrótce nastały przymrozki i pojawiła się gruda. Trzęśliśmy się strasznie, podskakując w powozie. Na trzy stacje przed Penzą spadł nieduży śnieg i praktycznie siłą przykazaliśmy dostarczyć nam sanie, tak że do przyszłej rezydencji wjechaliśmy po grudzie, ale z szykiem.

O zbliżającym się samodzielnym życiu w korpusie nie mieliśmy żadnego pojęcia, tylko już trochę praktyki. Dlatego już od pierwszych chwil potrafiiliśmy wiele wytrzymać. Najpierw udaliśmy się na policję, gdzie poprosiliśmy o przydzielenie potrzebnego nam pokoju w przybudówce zajazdu. Rozlokowaliśmy się w miarę możliwości wygodnie. Z gospodynią, pocztową staruszką, dogadaliśmy się co do kosztów, położyliśmy się, żeby trochę odpocząć, aby potem zjawić się u kierownictwa i rozpocząć właściwą służbę.

Na drugi dzień, kiedy paliło się w piecu, zajęliśmy się swoim samowarem. Przynieśliśmy wodę, nalaliśmy, i położywszy gorący węgiel, czekaliśmy na zagotowanie wody. Kiedy samowar zagotował się, to położyliśmy pokrywę, ale w końcu ogień zgasiliśmy, ponieważ i tak ani herbaty, ani cukru nie było. Nie bardzo nawet tego żalowaliśmy, ponieważ nie mieliśmy zwyczaju picia herbaty. Jednakże posiadanie samowara dostarczało nam wiele przyjemności i umyślnie postawiliśmy go na widocznym miejscu.

W penzeńskiej guberni znajdowała się dywizja rezerwowa 4. korpusu piechoty. W Penzie stacjonował sztab dywizji, którego naczelnikiem był generał-

-major Liszyn⁶⁷, człowiek przekorny, złośliwy i zły. Oprócz tego był też sztab 12. brygady rezerwy, której komendantem był pułkownik von Gernst, tłusty, spokojny i uczciwy Niemiec. W brygadzie były cztery bataliony 12. dywizji piechoty, a mianowicie: azowski, dniewprowski (do którego się zaliczaliśmy), ukraiński i odeski. Sztab batalionu azowskiego także znajdował się w Penzie. Brygadą w randze komendanta dowodził von Gernst.

Pierwsze spotkanie z naszym dowódcą brygady wprawiło nas w bardzo przyjemny nastrój. Staruszek pułkownik przyjął nas życzliwie jak ojciec i przykazał na drugi dzień przyjść na maneż w galowym mundurze w celu przedstawienia nas naczelnikowi dywizji. Spełniając rozkaz, przybyliśmy tam długo wcześniej. Na maneżu przygotowywali przejęcie warty od batalionu azowskiego, której inspekcję miał przeprowadzić komendant dywizji. Pierwszy raz w życiu zobaczyłem taki harmider, przekleństwa i bicie w służbie wojskowej. Wszyscy biegali i wrzeszczeli, ale nie było żadnego porządku. Prawie wszyscy oficerowie byli w starszym wieku i nie znali niedawno wprowadzonego regulaminu. My, świeżo po szkole, dziwiliśmy się, że prostej zmiany warty nie potrafiały wykonać.

Generał, który przybył, do tego stopnia się zezłościł, że wyszedł z siebie. Ganił i rugał jak najgorzej. Czegoś podobnego również nie słyszeliśmy i dlatego po zmianie warty zjawiliśmy się przed nim z drżeniem i obrzydzeniem. Przyjął nas surowo i niełaskawie. Urządził nam egzamin frontowy i tylko dlatego, że nam się powiodło, nie zrugął nas jak innych oficerów, ale srogo przykazał służyć i nie wydurniać się. Nie lubił żartować i dlatego w czasie całej mojej służby unikałem z nim spotkań jak ognia.

W pierwszą sobotę pułkownik wezwał nas do siebie i powiedział, że gubernator prowadzi otwarty dom i dlatego poprosił go o zapoznanie z młodymi oficerami. W tym celu zaprosił ich do bywania na wydawanych przez niego wieczorach. Nasz pocziwy pułkownik poprosił nas o przyjście w niedzielę w mundurach do niego, skąd razem z nim mieliśmy pojechać w odwiedziny do gubernatora. Przedstawienie nas gubernatorowi było w pełni przyzwoite, a gospodarz był nadzwyczaj uprzejmy. Przedstawił nas swojej żonie i całej rodzinie, a także znajdującym się tam gościom. Podobnego zachowania i etykiety jeszcze nigdy nie doświadczyliśmy i było nam bardzo niezręcznie, ale obecność i uwaga pułkownika wszystko to załagodziła. Wydawało się, że cała publiczność i my byliśmy z tych naszych pierwszych kroków w świecie towarzyskim zadowoleni. Otrzymawszy zaproszenie na mający się odbyć jeszcze tego dnia wieczorek taneczny, w doskonałym humorze wróciliśmy do domu. Pierwszy wieczór, a lepiej byłoby powiedzieć wspaniały bal, był

⁶⁷ Prawdopodobnie generał-major Piotr Stiepanowicz Liszyn (ur. 1807), dowódca rezerwowej dywizji 4. korpusu piechoty; С. В. Волков, *Генералитет*, t. 2, s. 59.

dla nas w pełni udany. Troską gospodarza, gospodyni i całego towarzystwa byliśmy oczarowani.

Penzeńska gubernia słynie z bogactwa swojej ziemi. Żyjący tam ziemianie znani byli z zamożności i gościnności. Gubernator Panczulidzew⁶⁸ jako szlachcic i ziemianin tejże guberni prowadził dom otwarty. Przy wspaniałej muzyce w każdą niedzielę odbywały się tam bale. Gubernator tak ożywił miejskie życie Penzy, że niewielu ziemian wyjeżdżało na zimę do stolicy, większość zostawała w mieście. W wielu domach widziało się komfort, bo w Penzie kwitł handel. Jeden tylko był niedostatek – kawalerów i tancerzy.

Reorganizacja Pułku Szlacheckiego zaczęta przez Puszczyzna⁶⁹ miała również na celu nadanie mu obycia towarzyskiego, dlatego też z Maciejewskim będąc dobrze w tym zakresie przygotowani, byliśmy też zręcznymi i niestrudżonymi w tańcach oficerami. Ta, jak się wydaje, próżna zaleta otworzyła nam drzwi praktycznie do wszystkich ważnych domów w Penzie. Uwaga skierowana na nas doszła do tego stopnia, że po tańcu z jakąkolwiek panną jej rodzice sami podchodzili, uprzejmie rozmawiali, a w rezultacie zapraszali do swojego domu, co zdarzyło się już na pierwszym gubernatorskim balu.

Dobry nasz grubasek pułkownik nie spuszczał nas z oczu i tak zręcznie nami kierował, że w dniu debiutu nie popełniliśmy żadnych błędów, a za to tańczyliśmy do upadłego. To poświęcenie zostało przyjęte za dobrą monetę zwłaszcza u młodych znudzonych dziewcząt, których ogromna liczba przychodziła, żeby przesiadywać z kochanymi mateczkami. W momencie, kiedy zaczęto nakrywać do stołu do kolacji, uważaliśmy za nieprzyzwoite dalsze pozostawanie. Wkładaliśmy buty, braliśmy czaka, chcąc grzecznie i cichutko wycofać się, ale miły gospodarz zauważył nasz manewr i poprosił nas o pozostanie.

Kolacja dzięki atmosferze, ilości i jakości pożywienia była obfita i rozkoszna. Początkowo byliśmy trochę przestraszeni, za podobnym odświętnym stołem jeszcze nigdy nie siedzieliśmy, wielu dań nigdy nie jedliśmy, nawet zabrać się do nich nie umieliśmy. Na szczęście sąsiad kapitan inżynier, jak było widać wielki hulaka, sam nam nakładał i nalewał wino i zapraszał, żeby jeść i pić za jego przykładem. Intensywny taniec i upływ czasu rozbudziły w nas duży apetyt, jedliśmy i piliśmy jak to rzadko bywało, a wesoły nasz kapitan śmiało dalej nam dokładał i dolewał. Dlatego kolacja ta jako miłe wydarzenie na zawsze pozostanie w mojej pamięci.

Po rozstaniu się z gospodarzami i otrzymaniu od nich miłego zaproszenia na wszystkie przyszłe wieczory, jak również zapewniwszy sobie zaproszenia niektórych innych gości, bardzo zadowoleni brnęliśmy przez zaspy śniegu do

⁶⁸ Aleksandr Aleksiejewicz Panczulidzew, gubernator penzeński w latach 1831–1859.

⁶⁹ Zob. przypis 45.

naszej dalekiej i mizernej kwatery. Nie od razu usnęliśmy i dużo jeszcze gadaliśmy. Od tego czasu zaczęliśmy znajomości z wieloma mieszkańcami Penzy i czas spędzaliśmy bardzo przyjemnie. Cała troska o nas dobrego pułkownika i najbliższego zwierzchnika nieustannie nas umacniała, tym bardziej że ze służby naszej i znajomości rzemiosła wojskowego nie tylko on, ale i groźny nasz szef dywizji byli bardzo zadowoleni. Pułkownikowi zawdzięczaliśmy wkrótce otrzymanie ładnego mieszkania w centrum miasta. Wyznaczono nam dobrych i rzetelnych ordynansów, tak że nie tylko warunki zewnętrzne, ale i samo życie stało się przyzwoite i wygodne. Z pieniędzy na podróż każdemu z nas zostało po sto rubli. Ówczesna taniość artykułów do życia była wręcz bajeczna, więc dzięki tym pieniądzom mieliśmy dobry stół, a samowar nastawialiśmy nie tylko dla uciechy, ale i na herbatę, którą polubiliśmy i piliśmy zawsze rano i wieczorem. Od pierwszego pojawienia się w pułku daliśmy się poznać jako przyzwoici oficerowie. Do nowego roku, to jest do czasu otrzymania pensji, żyliśmy z zaoszczędzonych pieniędzy. Dało nam to poczucie większej niezależności i wzbudziło szacunek ze strony zwierzchników i kolegów. Wkrótce po przybyciu zostałem mianowany adiutantem w batalionie azowskim, a Maciejewski został kierownikiem oddziału szkoleniowego całej dywizji. Dlatego też obaj pozostaliśmy przy sztabie i nie doświadczaliśmy trudów ciężkiego życia po wsiach, w których nie było gościnnych izb, a większość domów to były kurne chaty.

Mój dobry stryj Rafał był strasznie rozżalony tym, że nie zdążył zobaczyć młodego chorążego. Myślał, że jestem tym strasznie przybity, tym bardziej, że mój pierwszy do niego list był bardzo gorzki i rozpaczliwy. Kochany mój dobrodziej, żeby trochę mi pomóc, zaraz po nowym roku wysłał mi trzysta rubli asygnatami, tak że przy ówczesnej pensji stałem się bogaczem, prawie krezusem.

Kupiłem konia, sanie, dobrą polską bryczkę od naszego byłego audytora, który przywiózł ją z Polski. W Penzie przeżyliśmy tylko jedną zimą, a na lato skierowaliśmy się całą dywizją do Tuły⁷⁰, gdzie wyznaczone były prace przy fabryce broni, która spaliła się w ubiegłym 1838 roku tuż przed jej otwarciem.

W celu zbudowania obozu zaraz po świętach wysłano do Tuły kapitana batalionu dniewrowskiego z dowodzoną przez niego kompanią. Polecono na jakiś czas włączyć do tego i mnie. W tym celu niezwłocznie skierowałem się do wsi oddalonej o 20 wiorst od miasta. Skierowanie to schlebiało mi, tym bardziej, że znalazłem się wśród wielu starszych oficerów. Ale zła droga i straszna odwilż bardzo mnie nękały. Ale i tu pomógł dobry pułkownik. Napisał i prosił osobiście inspektora⁷¹ o pomoc w moim dotarciu do kompanii.

⁷⁰ Tuła – miasto gubernialne znane z produkcji broni i samowarów.

⁷¹ Inspektor – urzędnik powiatowy.

Z isprawnikiem także się znałem, dlatego przy ówczesnej sile władzy urzędnika, z powozem, koniem i pieniędzmi, posterunkowi z chłopami, prawie że na rękach dostarczyli mnie do oczekującego mnie kapitana.

Z Penzą i Maciejewskim rozstałem się prawie ze łzami. Moje pierwsze tam samodzielne życie było bardzo przyjemne i na zawsze niezapomniane. Objawszy kompanię, byłem zobowiązany do przygotowania jej do zajęć obozowych i odpowiedniego przeglądu. Żołnierze dowodzonej przeze mnie 14. kompanii muszkieterów 8. batalionu Dnieprowskiego Pułku Piechoty byli starszymi, mającymi więcej niż piętnaście lat służby⁷², wielu z nich miało medale, niektórzy Ordery św. Jerzego⁷³. W tym czasie bataliony rezerwy kompletowane były ze starszych żołnierzy pułku. Stąd przechodzili oni w stan spoczynku po odświeżeniu dwudziestu pięciu lat. Kompania składała się z dwustu pięćdziesięciu szeregowych i dwudziestu podoficerów.

Moje pierwsze wrażenie jako dowódcy uzbrojonej, wypucowanej i milczącej kompanii było przyjemne i zaskakujące, tak że w pierwszym momencie byłem zakłopotany, bo czułem szacunek do tych wásaczy, ale moja duma zatryumfowała. Przechodząc przed frontem, pozdrowiłem ich i powiedziałem, że uważam za zaszczyt dowodzenie takimi zuchami i zasłużonymi żołnierzami, a także mam nadzieję, że w czasie mojego krótkiego dowództwa nie będzie żadnych nieprzyjemności zarówno podczas marszu, jak i musztry. Słowa moje wyszły z serca i przekonały żołnierzy, dlatego moje przyszłe dowodzenie nie sprawiało mi kłopotów.

W tym dawnym, starym i przez wielu zapomnianym czasie dwudziesto-pięcioletnia służba wojskowa była nieznośnie ciężka. Tylko dowództwo rozkoszowało się nią, ale i ono, też mając nad sobą zwierzchników, w pewnym stopniu z trudem to znosiło⁷⁴.

Niedługo przed moim odejściem z korpusu kadetów regulamin wojskowy został zmieniony w wielu punktach. W musztrze różne ewolucje stały się bardziej skomplikowane, potrzeba było więcej dokładności i przejrzystości. Nasz generał dywizji Liszyn⁷⁵, który wcześniej służył w gwardii, był urodzony do musztry i parady. Wyobraźmy sobie jego przerażenie, kiedy niedawno przejmując dowództwo dywizji, zobaczył starych zgarbionych żołnierzy, niebędących w stanie sprawnie założyć onuce, i oficerów zupełnie nierozumiejących nowego regulaminu. Wychodził z siebie, gorączkował się, karał, ale nie po-

⁷² Służba wojskowa w czasach panowania Mikołaja I mogła trwać do 25 lat.

⁷³ Najwyższy order wojskowy, ustanowiony przez carycę Katarzynę II.

⁷⁴ Więcej na temat służby w armii rosyjskiej w XIX w. zob.: W. Caban, *Służba rekrutów z Królestwa Polskiego w armii carskiej*; J. Legieć, *Służba rekrutów z Królestwa Polskiego w armii rosyjskiej*.

⁷⁵ Zob. przypis 67.

prawiało to sytuacji. W części dywizji, nawet przy mnie, choć dopiero minął rok, nieustannie było słychać krzyki, przekleństwa, jęki żołnierzy, a oficerów wsadzano do aresztu. Co dostali starsi, przechodziło z nawiązką na młodszych, stąd taka dola dostawała się biednym żołnierzom. Uważano, że w ten sposób starzy żołnierze będą mogli znieść straszne niewygody.

Nowe życie na wsi już wiosną bardzo mi się podobało. Zaczęłem się zapoznawać z bytem i życiem rosyjskich chłopów; wszystko to było dla mnie nowe i interesujące. Chłopi żyli w brudzie, ale dostatnio i bogato. Chleba, bydła i ptactwa było pod dostatkiem. Moja gospodyni odmawiała przyjęcia zapłaty za produkty, których nam dostarczała, a chleb, mleko, śmietana, jajka, masło, kury, wędlina i inne drobiazgi były do dyspozycji mojego ordynansa i ten karmił mnie i dbał o mnie bardzo dobrze. Mój wierny i oddany mi ordynans służył u mnie przez siedemnaście lat i zawdzięczam mu wiele dobrego, dlatego też muszę powiedzieć o nim kilka słów.

Grigorij Kiriłowicz Posocznik pochodził z guberni wołyńskiej powiatu krzemienieckiego, ze wsi Reszewki. Był chłopem pańszczyźnianym pana Szwejkowskiego. Został moim ordynansem. Jak mówił, jego pierwszy pan był nadzwyczaj wielkim skąpcem oraz złym i strasznym tyranem. Nie wytrzymał i zjawił się ze skargą u dowódcy. W innych okolicznościach skarga ta zakończyć by się mogła pobiciem ordynansa bez sądu, a mógł on także dostać jeszcze karę porządkową i warta ponownie odprowadziłaby go do swojego właściciela. Ale nasz dobry pułkownik po rozmowie pozostawił Grigorija w pułku. Nasz przyjazd i zainteresowanie pułkownika osobą Grigorija dały mi w rezultacie wspaniałego ordynansa. Jego praktyczność i zdrowy rozsądek polepszyły moje gospodarstwo tak bardzo, że do dziś wspominam mojego rzetelnego i dobrego Griszę. Moje sprawy i interesy zawsze brał sobie do serca; całe gospodarstwo, nawet pieniądze, nie tylko moje, lecz także służbowe, były w jego rękach. Przez cały ten czas nigdy nie zawiodł mego zaufania nawet w najmniejszym stopniu. Wspominam pamięć Twoją mój dobry przyjacielu, wiele Ci zawdzięczam i wierzę, że Twoja dusza znalazła spokój przy Tronie Najwyższym.

W drugiej połowie kwietnia cała dywizja ruszyła w daleką drogę. Początkowo nasza podróż była smutna i trudna. Wylewy rzek w 1839 roku były duże i późne. Przechodziliśmy olbrzymie przestrzenie po kolana w wodzie. Jechałem swoją bryczką, ale we wsiach, przez które przechodziliśmy nawet z orkiestrą, było straszne błoto, a noce nieustannie mokre. Tylko młodość, brawura i gorąca krew ratowały mnie od szkodliwych następstw. W tych starych czasach przemarsze odbywały się dużymi oddziałami. Szliśmy całą brygadą i dlatego ścisk i powolność podczas marszu były strasznie męczące.

W otrzymanych wieczorami rozkazach oznaczało się na wielkiej drodze punkt zbiórki brygady. Miejsca te znajdowały się blisko noclegów, ale zda-

rzało się, że jeśli kompania wędrowała do miejsca, a punkt zborny znajdował się w odległości dziesiątek wiorst, to wówczas musiała wychodzić przed świtem. Zbiórka szesnastu kompanii nie odbywała się w tym samym czasie. Masa narodu przebywała na odkrytej przestrzeni. Do wsi oddziały nie wchodziły, w obawie przed nieporządkami. Niektóre kompanie były mokre po pas, pogoda nie zawsze była ciepła. Tylko zahartowana natura starych żołnierzy pozwoliła znosić im te niewygody. Sam ruch wielkiej masy żołnierzy był bardzo powolny i dlatego na kwatery dostawali się oni o północy. Obecnie taki sposób marszów został zlikwidowany i każda kompania idzie oddzielnie, a to bardzo przyspiesza marsz.

Mimo takich trudności szło nam się całkiem wesoło i beztrząsco. Ale i czasy były inne. Zamożność chłopów w pełni zabezpieczała kwaterunek i wyżywienie. Żołnierze czuli się na kwaterach dobrze i zawsze na postojach mieli duże zapasy prowiantu. Przyjemnie było patrzeć, jak wojska rozłożone na łąkach wyjmowały swoje śniadania i żartując, apetycznie zjadały różnorodne i obfite prowianty. Oficerowie również grupowali się gdzieś w cieniu i częstowali się, śmiejąc, dowcipkując i żartując przy dobrej gorzałce. Wtedy zapominało się o trudnościach pochodu. U mnie ten pierwszy cygański marsz wywołuje bardzo przyjemne wspomnienia. Jako dowódca kompanii, jeszcze prawie chłopak, uważałem siebie za jakiegoś wielkiego człowieka, w pełni samodzielnego. Również trudy drogi, błoto, deszcz i zmęczenie znosiłem dobrze. Wyobrażałem sobie siebie jako dzielnego wojownika, który na takie drobnostki nie powinien zwracać uwagi. Moja burka nie całkiem ratowała mnie przed deszczem, ale dodawała powagi. Marzyłem o kaukaskich awansach, rozczytywałem się wtedy w znanym Marlińskim⁷⁶ i przyglądałem się jego portretowi w burce kaukaskiej. Poza tym życie w kompanii miałem raczej spokojne i zabezpieczone. Mój starszy podoficer kwaterunkowy, ogromny, siwy i łysy chłop, kwatery dla mnie wybierał tak mądrze i wygodnie, że przebywając w nich, dobrze odpoczywałem. Chatka zawsze okazywała się czysta, prowiant przygotowany, spotkanie z gospodarzami miłe, a dla bryczki i konia przygotowane było miejsce i karma. Mój dobry Grisza z pomocą kwaterunkowego i gospodarzy szybko i wygodnie rozkładał rzeczy, przygotowywał posłanie i kiedy kończyłem zarządzanie kompanią i wchodziłem do chatki, to odczuwałem pełne zadowolenie, wywołane nakrytym stołem, samowarem i smacznym, prostym, wiejskim jedzeniem.

Do tego wszystkiego również moje finanse w czasie przemarszu znacznie się poprawiły. W tych czasach tylko życie dowództwa było dobre. Przed wymarszem kompanii przybywający ze sztabu kapitan Narmus, zjawiwszy

⁷⁶ Chodzi o Aleksandra Aleksandrowicza Bestużewa-Marlińskiego (1797–1837), rosyjskiego pisarza romantycznego i dekabrystę.

się przede mną, przyniósł jakieś pieniądze. Zapytałem, co to za pieniądze, i otrzymałem odpowiedź, że są one moje. Gdy domagałem się wyjaśnienia, dowiedziałem się, że w sztabie otrzymał on pieniądze na dziesięć dni marszu. Oprócz tego sprzedał także część prowiantu należącego się kompanii. Długo nie mogłem zrozumieć, dlaczego te pieniądze należą do mnie, ale potem feldfebel wyjaśnił, że kompanie na kwaterach strawy nie gotują, chleba nie pieką, a żywią się chłopskim jadłem. Na kwaterach zarządzeniem dowództwa przydział prowiantu na żołnierza wynosił jeden pud oraz trzydzieści dwa i pół funta mąki i półtora garnca kaszy. Wszystko to oprócz kaszy trafiało do zagospodarowania do kompanii dla poprawy wyżywienia i dla gospodarzy jako podziękowanie za kwaterunek, pod warunkiem, że mieszkańcy nie brali żywności i wydali pokwitowanie, że nie mają pretensji i skarg. Wówczas otrzymana od rządu mąka, po pudzie na człowieka, należała do komendanta kompanii. W czasie marszu zaprowiantowanie należało do komendanta kompanii, do którego obowiązków należało dbanie, żeby żołnierze byli syści i żeby każdego dnia były pobrane pokwitowania ze wszystkich noclegów. Zrozumiałem, że działał system sprzedaży za wcześniejszy czas stacjonowania we wsiach. Ludzie byli najedzeni, pokwitowania skierowane do pułku, ale nie mogłem pojąć, dlaczego już sprzedano dziesięciodniowy prowiant, jeśli jeszcze nie wiadomo było, czy mieszkańcy będą nas żywić. Ale obaj, zarówno feldfebel, jak i kwaterunkowy, przekonali mnie, że zawsze tak komendanci robią z pieniędzmi za sprzedany prowiant i że chłopci zawsze dobrze karmią żołnierzy, a przy pokwitowaniach rzadko domagają się zapłaty za jedzenie czy za gorzałkę.

Początkowo nie mogłem w to wszystko co usłyszałem uwierzyć, ale w sztabie potwierdził to sam komendant brygady. Ostatecznie prawie wszystkie otrzymane pieniądze zostawały u mnie w kieszeni, dlatego że wydatki wynikające z pokwitowań były bardzo małe. Za pieniądze te często ugaszczalem kompanię gorzałką, szczególnie w nieprzyjemną i zimną pogodę, czego nie robili inni dowódcy. Za to kompania, rozumiejąc uszczerbek moich korzyści w czasie przemarszu, prowadziła się bardzo rzetelnie, chociaż i na moje życie zostawało jeszcze trochę pieniędzy.

Nasz przemarsz trwał ponad miesiąc. W ostatnim okresie przechodziliśmy przez gubernie – tambowską, riazańską i tulską. Przy pięknej wiosennej pogodzie pochód był przyjemnym spacerem. Często podczas noclegów i za dnia spotykaliśmy się z gościnnością ziemian, którzy chętnie przyjmowali nas oficerów w swoich domach i raczyli ucztami z tańcem i różnymi potrawami.

Do Tuły wkroczyliśmy prosto do wcześniej przygotowanych obozów, gdzie urządziwszy się z pomocą mojego doświadczonego Griszy, żyłem jak u Pana Boga za piecem. Mój poprzednik kapitan pogubił się w swoich działaniach przy urządzaniu obozu. Miał wielkie nieprzyjemności i nie został dopuszczo-

ny do dowodzenia kompanią, a na koniec przenieśli go do innej dywizji, tak że zostałem dowódcą kompanii i z sukcesem przedstawiłem ją mojemu dowódcy dywizji i okrutnemu inspektorowi generałowi Triszatnemu⁷⁷.

Czas obozowania był bardzo trudny; nieustannie zarządzane przez naszego dowódcę dywizji ćwiczenia i trudne prace przy budowie fabryki broni męczyły nie tylko żołnierzy, ale i nas oficerów. Srogość i surowość generała Liszyna⁷⁸ ujemnie wpływały na nasze morale, za to jeszcze bardziej ceniliśmy dobroć i spokój naszego brygadiera pułkownika von Gernsta, który doradzał nam cierpliwość. Gdyby nasz dowódca brygady był choć w połowie taki jak generał Liszyn, to obeszłoby się bez kar, a i nieszczęść. W 11. brygadzie ciągle dochodziło do nieprzyjemnych historii, kończących się sądem wielu oficerów, a wynikających z tego, że dowódca brygady był jednocześnie dowódcą dywizji.

Już w połowie września wyszliśmy z Tuły i skierowaliśmy się na nowe kwatery do miasta Jarosław⁷⁹. Wędrówka była smutna i przygnębiająca. Sztab naszej brygady mieścił się przy dywizji w Jarosławiu, a bataliony rozłożyły się we wsiach całego powiatu.

Wkrótce po przybyciu, w naszym batalionie pojawił się kapitan, który nie mógł pozostać bez kompanii i dlatego mnie, jako młodszemu, nakazano zdać kompanię przybyłemu kapitanowi. Przyznam się, że zmiana ta była dla mnie nieprzyjemna. W smutnym nastroju zegnałem się z żołnierzami kompanii i wróciłem do sztabu. Tam, sam nie wiem dlaczego, dostałem się pod rozkazy dowódcy 5. batalionu ukraińskiego pułku, podpułkownika Aspijewa. Człowiek ten uchodził w naszej brygadzie za najbardziej srogiego i wymagającego dowódcę. Wszyscy oficerowie, zwłaszcza jego batalionu, byli mu bardzo nieprzychylni. Kapitan z batalionu ukraińskiego przeszedł w stan spoczynku, a kompania została bez dowódcy. Aspijew nie chciał oddać kompanii młodszemu oficerom, chociaż byli u niego starsi stażem porucznicy.

Znając mnie jeszcze z czasów obozu w Tule, Aspijew poprosił dowódcę brygady o wyznaczenie mnie na komendanta na wolne miejsce w kompanii i o przeniesienie do jego batalionu. Poczciwy pułkownik, nie podejmując na razie decyzji, przywołał mnie do siebie i zapytał o moją zgodę. Wyjaśnił, że wstawiennictwo Aspijewa przynosi mi wielki honor. W duszy byłem wdzięczny dowódcy za jego uwagę, ale honorowo odmówiłem służby u Aspijewa, otwarcie wyznając moją niechęć do niego. Nie wiem, o czym między sobą rozmawiali dowódcy, ale wkrótce zostałem wezwany do Aspijewa, a ten sro-

⁷⁷ Generał-lejtnant Aleksandr Lwowicz Triszatnyj, inspektor rezerwy piechoty; C. B. Волков *Генералитет*, t. 2, s. 598.

⁷⁸ Zob. przypis 67.

⁷⁹ Jarosław, miasto gubernialne na północny wschód od Moskwy.

gi dla wszystkich dowódca uprzejmie i życzliwie prosił, bym służył razem z nim, chociaż starałem się wymówić od tego. Przekonały mnie w końcu jego argumenty i zgodziłem się.

Przyjąłem 15. kompanię strzelców ukraińskiego batalionu i służba tam była w pełni udana. Dowódca Aspijew okazał się człowiekiem pracowitym, chociaż niecierpliwym i przekornym. Ja jednakże starałem się tak postępować, żeby nie doprowadzić do żadnego konfliktu. W życiu osobistym szybko staliśmy się przyjaciółmi i zjadłem z nim wiele chleba i soli.

Stacjonowanie w powiecie jarosławskim było bardzo udane. Moi bliscy sąsiedzi, ziemianie Griczaninowie, Majkowie i Chanykowie, przyjmowali mnie bardzo miło i uprzejmie. Zimą zostawałem u nich całe tygodnie, a do domu wracałem z konfiturami, suszonymi owocami, masłem i różną żywnością.

W kolejnym 1840 roku latem zebraliśmy się na kwaterach pod Jarosławiem. W tym też roku zostałem awansowany na podporucznika i wkrótce najwyższym rozkazem przeniesiony zostałem do ukraińskiego pułku strzelców⁸⁰. Służba dla nas wszystkich okazała się łżejsza, nasz dowódca dywizji zmęczył się wojowaniem ze wszystkimi i tylko przyglądał się wojsku.

Po zakończeniu ćwiczeń jesienią przeszliśmy do guberni włodzimierskiej. Sztab skierował się do miasta Murom⁸¹, a nasza brygada do miasta Kowrow⁸². Pochód był wesoły, jesień bardzo przyjemna, samo życie! Jarosławscy i włodzimierscy chłopci wszędzie są znani, ponieważ za zarobkiem jeżdżą po całej Rosji. Dlatego też wszystkie obowiązki władzy wiejskiej sprawują kobiety. Starosta – kobieta, podsołtys – kobieta, rozprorowadzenie kwater – kobieta, woźnica – kobieta, innymi słowy, królestwo kobiet. Ich życie w domach było lepsze, ciche i akuratne, takie jak mieszczańskie. Ubierają się nadzwyczaj czysto, a na śluby i święta bogato. Mają dużo brokatowych czapek, sukienek na ramiączkach i bezrękawników. We wsiach domy są czysto rosyjskiej architektury, z różnymi kolorami ścian. Podłogi i sufity zawsze są białe i czyste. Dwa razy do roku wszystko to skrobie się specjalnymi nożami. Skrobanie przeprowadza się przed Bożym Narodzeniem i przed Wielkanocą przy pomocy licznych gromad sąsiadek. Rzeczywiście biel w chatach była zadziwiająca. Był to swojego rodzaju szyk, a gospodynie starały się prześcignąć jedna drugą. Zadziwiające jest również to, że we wszystkich tych guberniach kobiety znają

⁸⁰ Aleksander Skolimowski został mianowany podporucznikiem 8 marca 1840 r. (według starego stylu); *Połnyj posłużnoj spisok*, Rossijskij Gosudarstwiennyj Wojenno-Istoriczeskij Archiw (dalej: RGWIA), f. 400, op. 9, d. 6347, k. 14–18. Za udostępnienie tych materiałów dziękujemy dr. hab. Jackowi Legieciowi.

⁸¹ Murom – miasto powiatowe w guberni włodzimierskiej.

⁸² Kowrow – miasto powiatowe w guberni włodzimierskiej.

pismo słowiańskie⁸³ i w dni świąteczne, kiedy nie udaje im się być w cerkwi, zapalają przed obrazami świeczki i modlą się z książek.

Podróżowanie po takim kraju było dla nas, pobożnych, bardzo przyjemne. Nieustannie grała muzyka, śpiewaliśmy pieśni i staraliśmy się na różne sposoby jak najlepiej przedstawić gospodarzom. Starania nasze nie pozostawały bez sukcesów, odnoszono się do nas z uwagą i życzliwością. Zdaje mi się, że ta nieduża kampania była najprzyjemniejsza w mojej służbie wojskowej. Być może tak mi się wtedy wydawało? Mój nowy dowódca podpułkownik Jewstiegniej Siemionowicz Aspijew był człowiekiem nadzwyczaj wesołego usposobienia i pełnym pomysłów. Ani jeden gospodarski dom nie był omijany. Aspijew był starszym człowiekiem, miał rodzinę i dzieci. Urodził się w nowogrodzkiej guberni powiecie borowiczskim, gdzie jego żona miała majątek. Żeby nie podróżować z rodziną, na czas kampanii ona zawsze wyjeżdżała na wieś. Przyjeżdżała do niego tylko wówczas, kiedy ten zagospodarował się i przygotował odpowiednią kwaterę. Aspijew praktycznie nie miał żadnego wykształcenia, ale miał ministerialny rozum. Pisał paskudnie i z błędami, jednakże wszystkie ważne pisma dyktował sam i zawsze były one zrozumiałe i jasne. Był to człowiek przebiegły, z dowództwem żył w zgodzie, podległych uciskał, a przy tym był bardzo zapalczywy i żołnierze wiele wycierpieli od jego despotyzmu. Ja sam, jak i inni, bardzo dziwiliśmy się, że człowiek ten był dla mnie uprzejmy i dobry. Nawet żołnierze mojej kompanii odczuwali jego despotyzm. Zarówno na postojach, na noclegach, jak i za dnia, jeśli tylko trafiła się gospoda, to dowódca nasz, zawsze czyściutki i wygładzony, jechał tam najpierw sam, tam podstępnie i sprytnie dowiadywał się o nastroje gospodarzy i zapraszał oficerów, a czasem junkrów. Tam przy muzyce częstowano wódką batalion. Jego umiejętności w tym względzie były rzeczywiście porażające. Zdarzało się, że straszni skąpcy tak sypali groszem, że ci, co dobrze ich znali, nie wierzyli i dziwili się ich postępowaniu.

Batalion nasz zatrzymał się w powiecie kowrowskim, we wsiach należących do udzielnich chłopów⁸⁴. Zaraz po przybyciu dowódca 5. kompanii karabinierów został wybrany na skarbnika brygady, a Aspijew upierał się, żeby tę kompanię przydzielono mnie. To wstawiennictwo Aspijewa pochwlebiało moją ambicję.

Moja kompania stała we wsi Duszałow, o siedem wiorst od sztabu batalionu we wsi Stiegllice i czternaście wiorst od Kowrowa. Nie tylko moje mieszkanie, które składało się z czterech pokoi w dwukondygnacyjnym domu, lecz

⁸³ Tj. pismo cerkiewnosłowiańskie.

⁸⁴ Chłopi z dóbr udzielnich, tzn. wydzielonych z dóbr państwowych i stanowiących własność rodziny cesarskiej; L. Bazyłow, *Dzieje Rosji 1801–1917*, Warszawa 1970, s. 93.

także rozmieszczenie całej kompanii było bardzo wygodne i dobre. Zbudowałem w byłej fabryce duży i ciepły maneż, który służąc zajęciom kompanii, przynosił i mnie duże sukcesy w służbie.

Moje życie było w pełni zabezpieczone i spokojne. Dowódca brygady od pierwszego dnia mnie polubił, dowódca batalionu szanował i wierzył całkowicie, jeszcze bardziej od czasu, kiedy przy pierwszym zimowym przeglądzie dowódca dywizji wybrał się do mojej kompanii i był zachwycony naszą musztrą i przyjęciem. Swoje mieszkanie uporządkowałem. W kompanii był wspaniały kucharz, tak że nasz postrach generał rozczulił się i przy przeglądzie kompanii skierował do Aspijewa i do mnie takie uprzejmości i pochwały, jakich nawet nie mogliśmy sobie wyobrazić. Gospodarstwo moje powiększało się. Kupiłem sobie do bryczki niezłe koniki, kilka dobrych dywanów, żelazne składane łóżko, dodające w tamtym czasie niemałego szyku. Uszyłem sobie płaszcz z bobrowym jasno-szaro-sinym kołnierzem i modnym w tym czasie kapturem. Płaszcz był moją dumą i wzbudzał zazdrość moich młodszych oficerów.

Moje pierwsze spotkanie z sąsiadami było przypadkowe, ale w następstwie miało przynieść dobre rezultaty. Nasz marszałek szlachty Bezobrazow, bardzo młody i bogaty człowiek, mieszkał o dwadzieścia wiorst ode mnie w kierunku Chałuj. Jakoś tak wkrótce po moim przybyciu i zakwaterowaniu się wyjechał na polowanie, które odbywało się często na sąsiadujących ze mną polach udziałnych chłopów. Jego dom był we wsi Ilinskoje⁸⁵, o półtora wiorsty od mojej kompanii.

Już na początku polowania zrobiła się głupia pogoda, najpierw deszcz, a za nim straszna zamieć, tak że wyjazd w pole okazał się całkiem niemożliwy. Nasz dowódca całą dobę przesiedział sam w chłopskiej chacie, a kiedy pogoda nie poprawiała się, to bardzo zatęsknił za towarzystwem. Od kwaterującego w tym domu żołnierza dowiedział się o mojej bliskiej obecności i niewiele myśląc, posłał do mnie wierzchem jednego ze swoich strzelców, z informacją, że bardzo się nudzi i jeśli nie będę miał nic przeciwko temu, to przyjedzie do mnie, żeby rozgonić nudę. Oczywiście pisemnie zaprosiłem gościa, a ten niezwłocznie przyjechał, z porządnym zapasem dziczyzny. Bezobrazow okazał się być młodym, niedawno zwolnionym ze służby porucznikiem huzarów. Był miłym, delikatnym i wesołym gospodarzem. Warunki mojego życia spodobały mu się. Przywołany z kompanii kucharz ugotował nam wspaniały obiad, znalazła się buteleczka wina i pierwsze spotkanie oraz znajomość okazały się sympatyczne i przyjemne dla nas obu. Przebywał u mnie dwa dni. Bez żadnych ceregieli kazał sprowadzić zapas wina i innych różności, tak że na wsi

⁸⁵ Ilinskoje – wieś i stacja pocztowa w powiecie uglickim w guberni jarosławskiej.

oficer nie mógł mieć większych zapasów. Jednym zdaniem, czas minął bardzo szybko, tym bardziej że gość był rzeczywiście wykształconym, ujmującym i wesołym młodym człowiekiem.

To pierwsze spotkanie było dobrą rekomendacją dla całej szlachty powiatowej. Oczywiście i od mojego gościa otrzymałem bardzo uprzejme zaproszenie do jego domu, z którego dość szybko skorzystałem. Nie dziwcie się, moi mili, że tak obszernie opisuję moje spotkanie z Bezobrazowem, bo nowa znajomość o mało co nie miała dużych następstw w całym moim życiu. Ale Bóg wie co robi. On tak łaskawie zbudował mój los, że ja wiecznie modłę się i dziękuję Mu za okazane mi dobrodziejstwa. I tylko plan Boży nie dopuścił, żebym ożenił się z siostrzenicą mojego nowego znajomego Bezobrazowa, ale o tym dowiecie się w swoim miejscu.

Kiedy przejeżdżała stała się śnieżna droga, mój niezastąpiony Grisza zaprzął koniki do bardzo ładnych sań, które pokrył warszawskim dywanem, i trojka z dzwoneczkami zajechała pod mój ganek. Siermięgi⁸⁶ jeszcze wtedy nie miałem, ale moja stara i gruba gospodyni poradziła mi założyć kaftan z szarego sukna, a nawet sama przewiązała Griszę czerwonym pasem. Zasiadłem do sań w moim nowym płaszczu i pojechałem do Bezobrazowa.

Spotkanie samego gospodarza, jak i jego żony, młodej, żywej, o czarnych perłowych oczach, było bardzo zajmujące i przyjemne. Posypała się na mnie cała masa podziękowań za okazaną przeze mnie serdeczność. Rozmowa z samą gospodynią, bardzo kochającą męża, ale z natury naiwną i miłą kokietką, wprowadziła mnie w zachwyt. Od pierwszych chwil stosunki nasze były bardzo dobre. W domu ich spotykałem niektórych sąsiadów, którym zostałem przedstawiony i otrzymałem zaproszenia do odwiedzin. Życie Bezobrazowów było rozkoszne, dzieci nie mieli i żyli w pełni zadowoleni. Stosunek do mnie nie tylko teraz, ale i w późniejszym czasie był prawie rodzinny. Przez gospodynię traciłem rozum, bo to była rzeczywiście cudowna kobieta. Była ona córką bojara mołdawskiego, otrzymała staranne wykształcenie. Poślubiła Bezobrazowa podczas jego służby wojskowej w Odessie. Siostra Bezobrazowa była zameżna za Mańkowem, byłym oficerem armii. Pobrali się podczas służby w Kowrowie, a teraz mieli dużo dzieci, a dwie starsze córki były już prawie kobietami. W jednej z nich oczywiście się zakochałem. Była ona do tego stopnia miła i dobra, że wszystkim od tego kręciło się w głowie. Mańkowie żyją o sześć wiorst od Kowrowa, a od Bezobrazowów o prawie [czterdzieści] wiorst.

Z pierwszą wizytą byłem u Bezobrazowów cztery dni, a wcale nie odczułem tego czasu. Uprzejmość gospodyni oczarowała mnie i było mi wygodnie. Nieskrępowanie i naturalnie opowiadała o Mańkowach i zainteresowała mnie

⁸⁶ Siermięga – ubranie z grubego samodziału.

na tyle, że z ochotą obiecałem ich odwiedzić wtedy, kiedy pojadę do sztabu, to jest do Kowrowa. Wkrótce po moim powrocie Bezobrazowie razem z uprzejmym listem przysłali mi owies i różne produkty. Prosilili, aby ich nie zapominać i często odwiedzać.

Sprawy służbowe na długo zatrzymały mnie w domu. W końcu miesiąca pojechałem do sztabu w celu przekazania pieniędzy. Znajdujący się tam Maciejewski powiedział, że zapoznał się z Mańkowami i że to bardzo miła i gościnna rodzina. Pytali o mnie i że panny rzeczywiście wspaniałe, o miłych osobowościach i tak dalej.

Po wypełnieniu spraw służbowych razem z Maciejewskim pojechaliśmy do wsi Babienki, rezydencji Mańkówów. Jak się zorientowałem, Bezobrazowie już o mnie wiedzieli i spotkanie było uprzejme, jakbyśmy się już znali. Zauważyłem, że oczekiwanie na coś bardzo dobrego było złudne, czego doświadczyłem przy pierwszym spotkaniu panien Mańkow. Nie spełniły one moich oczekiwań. W sumie były bardzo dobre i miłutkie, ale ponieważ spodziewałem się czegoś więcej, to nie byłem porażony. Przeciwnie, obszedłem się z nimi dość chłodno i z poczuciem godności. Mój chłód nie uszedł uwagi starszej Marii, ona ze swej strony odplaciła mi tym samym. Młodsza Liza, jeszcze prawie dziecko, była naiwna i okazywała mi więcej uwagi. Obie te panny były bardzo mądre, bystre i nadzwyczaj żywej natury. Maria mnie spokojnie zagadywała i kokietowała Maciejewskiego, a ja traciłem jej przychylność i zajmowałem się Lizą.

Mańkowie żyli bardzo dobrze, dom był nowy, duży i wygodnie urządzone. Mieli oni nie więcej niż dwieście dusz chłopskich, a sam gospodarz Piotr Afanasjewicz już stary. Był człowiekiem gościnnym. Zajmował się różnymi spekulacjami i jak niosła wieść, miał dużo pieniędzy. Gospodynią była Aleksandra Aleksiejewna, kobieta jeszcze niezbyt stara, miła i swawolna kokietka. Mieli dziewięcioro dzieci, z czego pięcioro w domu, a czterech chłopców w korpusach.

Moja pierwsza wizyta nie zapadła mi w duszy, dlatego nie patrząc na wszystkie prośby, mój Grisza szybko podjechał pod ganek. Po otrzymaniu wielu zaproszeń pojechaliśmy do miasta.

Maciejewski był adiutantem batalionu, ale w tym czasie otrzymał kompanię w batalionie azowskim. Wszystkie jego sprawy, służbowe i gospodarskie, układały się dobrze.

Zająwszy się służbą, szczególnie w oczekiwaniu na straszego naczelnika dywizji, długo nie wyjeżdżałem z domu. Dopiero przed Bożym Narodzeniem, po udanym zakończeniu przeglądów, pojechałem do Bezobrazów i zostałem u nich cały tydzień. Młoda gospodyni darzyła mnie przyjazną uwagą. Gadaliśmy i śmialiśmy się z mojej pierwszej wizyty u Mańkówów. Ona z kokieterią opowiadała, że ja nie zasłużyłem na jej rekomendację i byłem

nieuprzejmy. Pokazywała mi listy swojej siostrzenicy Marii, że byłem bardzo samolubny. Ja śmiałem się i mówiłem, że siostrzenica zostanie za to ukarana i że tak poprowadzę sprawę, że ona w końcu zakocha się we mnie, a sam pozostanę chłodny jak prawdziwy oficer. Przy tym prosiłem miłą cioteczka, żeby nie odmawiała mi swojego wsparcia, jako że zajmuje się swoją siostrzenicą i mówi jej swoje zdanie. Cioteczka w pełni się zgodziła i obiecała wsparcie, a ja śmiejąc się, ucałowałem jej maleńkie rączki. Sam Bezobrazow brał udział w naszej rozmowie i żartując, mówił, żebym pilnował swojego serca, by nie okazało się zbyt miękkie, i abym sam nie okazał się ofiarą tej wojny. Cały ten czas mijał wesoło i przyjemnie, ponieważ Bezobrazowie byli w duszach dobrymi, uczciwymi ludźmi i naprawdę mnie lubili.

Na Boże Narodzenie u Bezobrazowów odbył się wspaniały bal. Polecili mi zaprosić oficerów i całą gromadą udaliśmy się na biesiadę. Zjazd był bardzo liczny, przyjechali tu też Mańkowie. Bal był rzeczywiście nad podziw, podobne byłyby teraz nie do pomyślenia. Cała ta ciżba śpiewała, piła i wygodnie gościła się przez trzy dni ze swoją liczną służbą i końmi.

Całą moją uwagę kierowałem na Marię Mańkową. Być może, że i jej miłość własna cierpiała. Chciała ona dobić dumnego oficera i pokazać mu, jak niebezpiecznie bawić się ogniem. Zręczność, rozum i kokieteria tej młodej dziewczyny były rzeczywiście zdumiewające. Być może i dobra cioteczka pomagała jej swoimi radami. Maria, jakby nie zwracając uwagi, stopniowo pieściła moją ambicję, żeby ta przyjemna walka nasilała się i zajmowała nas oboje. Dużo tańczyliśmy, a w rozmowie prawie w niczym nie zgadzaliśmy się, nieustannie spierając. Nie mogliśmy jednak zakończyć rozmowy, a mimowolnie szukaliśmy się wzajemnie, żeby dokończyć dyskusji. Maria umiała pokazać swój światły rozum i dotychczas pamiętam jej miły, ale ironiczny uśmiech. Tym uśmiechem cały czas mnie podburzała i wychodziłem ze skóry, żeby zwyciężyć tę dumną naturę.

Kiedy goście zaczęli wyjeżdżać, ja również chciałem odjechać, tym bardziej że byli ze mną moi dwaj przyjaciele, ale gospodarze nie puścili mnie i obiecali dać swoje konie. Powiem prawdę, że i sam chciałem jeszcze zostać, myśląc, że jeszcze nie wszystko Marii powiedziałem, żeby poniżyć jej dumę. U Bezobrazowów pozostałem tylko ja i pani Mańkowa, bo sam Mańkow wyjechał.

Zostawszy w ciszy, odetchnęliśmy z ulgą. Aleksandra Aleksiejewna Mańkowa, jeszcze całkiem młoda i piękna kobieta, okazała się wesołego i żywego usposobienia. Ona i cioteczka, nieustannie obecne przy mojej batalii z Marią, były neutralne. Liza cały czas trzymała moją stronę i w sekrecie charakteryzowała mi słabe strony swojej siostry. Spędzony tam czas był bodaj najprzyjemniejszym w moim życiu.

Po całym tygodniu gościny zaczęliśmy się zbierać do domów. Bezobrazow kazał dla mnie przygotować trojkę, ale Aleksandra Aleksiejewna zapro-

ponowała podwiezienie mnie swoim wozem, jako że do mnie nie było bardzo daleko. Bardzo podziękowałem i żartując, zapytałem, czy Maria Piotrowna zechce jechać ze swoim wrogiem? Maria odpowiedziała, że owszem, zechce i ma nadzieję towarzyszyć mi w podróży.

Podróż nasza była rzeczywiście wesoła, żartowaliśmy i śmialiśmy się bardzo dużo. Po przyjeździe do mojego mieszkania zaprosiłem je, żeby weszły do mojego domku, zagrzać się. Nie odmówiły i byłem bardzo zachwycony miłymi odwiedzinami.

Pożegnawszy gości, zostałem sam i bardzo długo rozmyślałem o tak przyjemnie spędzonym czasie. Niedawna obecność tych miłych osób ożywiała bardzo moje wyobrażenia. Marzyłem i coraz bardziej rozumiałem osobowość Marii. W sumie było to bardzo miłe, żywe i rozumne stworzenie. Im więcej myślałem i wyobrażałem sobie, tym bardziej ona mi się podobała. Przy tym młode lata bardzo pobudzały moją namiętność i chyba od tego czasu pokochałem Marię Mańkową.

Mój dowódca batalionu Aspijew dowiedział się, że jego stary druh i kompan przebywa w sąsiadującym z nami mieście Szuja⁸⁷. Wznowił z nim korespondencję i postanowił odwiedzić przyjaciela, ale to się odkładało. Wkrótce po Bożym Narodzeniu Aspijew otrzymał uprzejme zaproszenie do przyjazdu do Szui, tym bardziej że miał się tam odbyć wspaniały ślub najbogatszego kupca Kisielowa. Kisielowie proszą o przyjazd z oficerami, mówiąc, że będzie to dla nich wielka chwała i zaszczyt. Im więcej będzie oficerów, tym lepiej, zwłaszcza że oficerów na kwatery przyjmą kupcy, gdzie będzie im wesoło i dobrze.

Aspijew zakrzętnął się, polecił zebrać najprzystojniejszych pięciu młodych oficerów i przybyć do mnie. Mnie napisał, o co chodzi, i nakazał przygotować duże sanie z dobrymi końmi po to, aby jechać razem. Mieliśmy czekać na niego. Zebrani oficerowie bardzo się cieszyli na przyszłą zabawę. Ja jednak byłem zmartwiony, wiedząc, że nieprędko uda mi się być u Mańków.

Ode mnie do Szui było prawie pięćdziesiąt wiorst. Po drodze na osiemnastej wiorście stacjonowała 15. kompania strzelców naszego batalionu. Na noc wybraliśmy się do dowódcy kompanii, porucznika Samkowa, a na drugi dzień ruszyliśmy dalej.

Spotkanie z horodniczym⁸⁸ było radosne, wszyscy zostaliśmy przez niego zaproszeni na obiad, ale wcześniej dziesiętnicy rozprowadzili nas po kwaterach w najlepszych domach kupieckich, gdzie od pierwszych chwil gospodarze okazali nam wielką gościnność. Szuja w dawnych czasach jako osada manufakturowa została uwolniona od kwatrowania wojska. Czego jest mało,

⁸⁷ Szuja – miasto w guberni jarosławskiej.

⁸⁸ Horodniczy – naczelnik miasta, burmistrz.

tym to jest droższe. Stąd takiej radości, z którą nas tam przyjmowano, nie doznaliśmy nigdy i nigdzie. W mieście Szuja przebywaliśmy sześć dni, nie tylko my, ale i nasi ludzie, woźnice i konie, żyli jak ser w maśle. Aspijew zatrzymał się na obiedzie u horodniczego, u którego był również narzeczony Kisielew, który wielce uprzejmie zaprosił na ślub.

Należałoby dużo i dokładnie opisać, co tam się działo. Uczty, radość, hulanki trwały w nieskończoność. Nowe pokolenia zapewne nie uwierzą w te opowieści. Powiem tylko, że podobnego bogactwa, przepychu i zbytków więcej nie widziałem. Samo nagromadzenie tylko brylantów było zadziwiające. Dom Kisielowów był w tym czasie jednym z najbogatszych w całej Rosji. Gdy usłyszałem, że teraz podupadli, pomyślałem o przewrotności losu. W czasie naszego pobytu byliśmy u wszystkich bogatych kupców i gościnie nie było końca. Poważanie i uwaga otaczały nas wszędzie. Nasz zręczny komendant tak umiał poprowadzić sprawę.

Nie odstawałem od innych, dużo tańczyłem, piłem, śpiewałem, ale nieustannie męczyła mnie myśl, że Mańkowie będą się na mnie złościć za to, że nie spełniłem danego im słowa, że odwiedzę ich w pierwszą niedzielę. Często namawiałem Aspijewa, żebyśmy jechali do domu, lecz nic z tego nie wychodziło.

Po powrocie do domu niezwłocznie pojechałem do Mańkowów, oczekując małej bury, ponieważ kapryśna Maria Piotrowna nigdy nie wybacziała. Jaka była moja radość, kiedy się okazało, że spotkanie było bardzo miłe i serdeczne. Początkowo posypały się na mnie wymówki i wyrzuty, ale to wszystko nie raniło mnie, a przeciwnie, na sercu robiło mi się bardzo miło.

Naiwna Liza wygadała się, że siostra przez całą drogę powrotną ode mnie gadała i obiecywała, że ukróci moją dumę. Mama cały czas się śmiała i bardzo mnie chwaliła. Maria mówiła, że czuje się mocno dotknięta i nigdy nie wybaczy mi okazanego jej braku zainteresowania. Kiedy długo nie przyjeżdżałem, to się złościła, kaprysiła, a nierzadko płakała.

Zrozumiałem, że nasze spory u Bezobrazowów podziały jednakowo na nas oboje, że i ona poczuła do mnie szczególną sympatię. Po trzech dniach bardzo szczęśliwy wróciłem do domu i od tej pory odwiedziny moje stały się bardzo częste. Nie przepuszczałem żadnej okazji, żeby się z nią zobaczyć. Gdziekolwiek by byli, tam i ja się pojawiałem. Jednym zdaniem, nie wiadomo kiedy i nie wiadomo jak, zaciskaliśmy coraz silniejszą pętlę, z której trudno się było wyrwać. Moja samotność tylko powiększała tę namiętność. Nieustannie rwałem się do Mańkowów, nie tylko z powodu własnych uczuć; bardzo zachęcali mnie do tego też Bezobrazowie.

Teraz, na starość wspominając dawne dzieje, mogę powiedzieć, że był to głupi czas. Ale muszę też przyznać, że przeżyte tam prawie półtora roku młodego beztroskiego życia było bardzo wesołe i przyjemne. A jednocześnie ileż

cierpiałem i denerwowałem się. Ale to było życie, te ślepe fascynacje, których już później nie doświadczyłem. W tym też widzę plan Boży, że nie dopuścił do nikczemnego i nieuczciwego postępu, za co teraz wznoszę do niego modły. Mam też świadomość dobroczynnego wpływu mojego stryja Rafała, który mnie dobrze wychował.

Wszystkie sprawy służbowe szły dobrze, choć nadchodzące lato 1841 roku było nadzwyczaj trudne. Przysłali nam do armii wielu rekrutów. Do mnie, do kompanii karabinierów, doszli silni, ale i niemłodzi rekruci. Wymagania dowódcy dywizji były duże. Tamto lato było bardzo gorące i suche, a my dosłownie nie schodziliśmy z placu. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni przebywaliśmy w okolicach Kowrowa. Od nieustannego wysiłku i maszerowania rozboleły mnie nogi. Na palcach i na podeszwach pojawiły się pęcherze i bardzo cierpiałem. Nie mogłem jednak opuścić szeregów i składać raportu o chorobie, obawiając się, że wielu oficerów i dowódców kompanii karabinierów stracić może swoje szanse na awans. To moje cierpienie hartowało moją naturę do przyszłych, jeszcze większych trudów.

Nie patrząc na wszystkie służbowe zajęcia, wciąż znajdowałem czas, żeby często bywać u Mańkowów. Stosunek całej ich rodziny do mnie był bardzo dobry. Ja także byłem nimi wszystkimi oczarowany, a Maria Piotrowna stała się pokorna jak baranek. Rozumiała moje wszystkie myśli i oddała mi całą duszę. Z mojego mieszkania pod Kowrowem było do Mańkowów bardzo blisko i prawie codziennie u nich bywałem. Bardzo często siedzieliśmy na balkonie albo w sadzie, nawet całe noce, tak że o świcie jechałem prosto do zajęć. Byłem bardzo zmęczony, ale moje serce cały czas się tam rwało. Spałem praktycznie tylko po obiedzie, i to nie zawsze. Towarzystwo uważało nas za narzeczonych. Na koniec wrócił Piotr Afanasjewicz i okazało się, że powinienem się teraz oficjalnie oświadczyć.

Sama Maria poradziła mi porozmawiać o jej posagu i upierać się, żeby nie był mniejszy od ustalonej przez nas sumy. Matka była po naszej stronie; już wybraliśmy termin, kiedy po kolacji wszyscy rozejdą się do swoich pokoi, a gospodarz uda się do gabinetu, żeby zająć się swoimi sprawami.

Gdy zostawałem na noclegi, a gospodarza nie było, to spałem w jego gabinecie, a kiedy był w domu, to na narożnej kanapie. Gospodarz poszedł do gabinetu, w sali i pokoju gościnnym palił się ogień. Matka i obie córki z błogosławieństwem wyprawiły mnie do gabinetu, a same cichutko zostały pod drzwiami i słuchały, oczekując na to, co się będzie działo. Początkowo zagailem o jego podróż, potem przystąpiłem do rzeczy. Piotr Afanasjewicz był człowiekiem mądrym, opanowanym i rozsądnym. Po moich oświadczeniach podziękował za uczyniony mu i córce honor. Mówił bardzo uprzejmie i rozgadaliśmy się. Rozmowa pewnie by się jeszcze nie skończyła, gdybym nie przypomniał sobie o świadkach naszej sceny. Wtedy przerwałem rozmowę pytaniem: „Czy

pozwole pan Piotrze Afanasjewiczu zapytać, jak zabezpieczycie swoją córkę?” Trochę pomyślawszy, powiedział: „Oprócz posagu mogę dać nie więcej niż dziesięć tysięcy asygnatami”. Wyjaśniłem mu moją niezamożność oraz zbyt małe zabezpieczenie żony i przyszłej rodziny. Kończąc, dodałem, że przy podobnych warunkach, z uwagi na zbyt skromne zabezpieczenie żony i przyszłej rodziny, nie zdecyduję się poślubić bardzo go kochającej córki. Piotr Afanasjewicz ze swej strony mówił, że kocha swoją córkę i widząc jej skłonność do mnie, pragnie tego ślubu, ale więcej przeznaczyć nie jest w stanie. Wyjaśnił swoje położenie liczną rodziną. Dalsza rozmowa nie doprowadziła do żadnego rezultatu. Poprosiłem o wybaczenie i wyszedłem zdruzgotany. Zjawiły się przy mnie matka i cała we łzach Maria. Stałem jak zbity i byłem w stanie powiedzieć jedynie: „Żegnajcie, matko i droga Mario Piotrowna, to moja ostatnia noc w waszym domu”. Marię praktycznie na rękach wynieśli do jej pokoju, ja zostałem sam jeden, niepokieszony. Ciężka była ta pamiętna noc.

Rankiem zawołałem Griszę i przykazałem mu szybko przygotowywać konie. Nawet i on zdziwił się na widok mojej umęczonej fizjonomii i tak nieoczekiwanego wyjazdu, ale znając dyscyplinę, poszedł szykować sanie. Wystraszona moim wyjazdem klucznica zbudziła swoją kochaną panienkę, a ta ubrawszy się byle jak, wybiegła do mnie do sali i poprosiła, żeby nie wyjeżdżać przed rozmową z matką, która już wstała.

I matce źle się spało. Długo rozmawiali z mężem, ale pomóc nie mogła. Zjawiła się u mnie i przeprosiła za rwetes w domu. Poprosiła, żeby nie wyjeżdżać bez herbaty i błagała, by nie zostawiać ich domu, tylko odwiedzać jak dawniej. Liczy na to, że wszystko się jakoś ułoży i zostanie jej dobrym synem. Bardzo dziękowałem, całowałem ręce, ale bywać u nich nie obiecałem, przedstawiając, jak niezręczne dla mnie i trudne, głównie ze względu na Piotra Afanasjewicza, byłyby takie odwiedziny. Aleksandra Aleksiejewna poprosiła, żebym został tylko do herbaty, a wtedy zobaczę, że sam mąż będzie mnie o to także prosił.

Herbata była nieprędko. Wszystkim nam było bardzo niezręcznie. Maria, matka, nawet Lizeńka i ja mieliśmy łzy w oczach. Grisza dawno już marzył pod gankiem. Podniósłszy się z miejsca, zacząłem się żegnać z Piotrem Afanasjewiczem, dziękowałem mu za tak częstą gościnę i prosiłem o wybaczenie za gorycz, do której się przyczyniłem. On, ściskając współczująco moją rękę, powiedział, żebyśmy obaj zapomnieli, o czym mówiliśmy wczoraj i abyśmy jak dawniej się przyjaźnili. Mówił, że bardzo go boli; nie znalazł we mnie syna i żebym był zawsze ich przyjacielem. Pożegnanie było wzruszające, cała służba, nawet wszystkie dzieci z mamką zapraszali, żebym szybko przyjechał. Wskoczyłem do sań i zapłakałem jak dziecko.

W drodze powrotnej zajechałem do Aspijewa, który zdziwił się bardzo mojemu rozstrojeniu. Sprawił, że opowiedziałem wszystko, co miałem na

sercu. Jego dobra żona pocieszała mnie jak mogła, a Aspijew rechotał i podśmiewywał się z tego, że jego dzielny żołnierz rozczulił się z miłości. Mówił, aby bez przyzwoitego posagu nigdy się nie żenić, że nie ma co się frasować, bo on sam znajdzie mi dobrą i bogatą kobietę.

Na Aspijewa byłem wtedy bardzo oburzony, ale jego żona przyjaźnie pocieszała mnie, toteż wyjechałem od nich dużo spokojniejszy. Aspijew, żeby uspokoić mój ogień i utrudnić częste spotkania z Mańkowami, nałożył na mnie bardzo dużo spraw służbowych i do Wielkiego Postu nieustannie trzymał obok siebie, tak że moje wizyty u Mańkówów zrobiły się rzadsze. Ten przebiegły, ale dobrze życzący mi człowiek umiał przedstawić w czarnym świetle ubóstwo rodzinnego życia oficera, tak że na przyszłą żeniaczkę zacząłem patrzeć oczami rozumu i postanowiłem nie żenić się bez odpowiedniego posagu.

Jeszcze przed oficjalnymi oświadczeniami, pałając wielką namiętnością pierwszej miłości, napisałem o swoich zamiarach stryjowi Rafałowi, prosząc o jego radę i błogosławieństwo. Mój dobrodziej nie odpowiedział zbyt szybko; jego listy przechowuję do tej pory i dopiero co przeczytałem je przed napisaniem niniejszych wierszy. Przebijająca z nich prawdziwa miłość, pełne współczucie i wielki rozum, który krył się w każdym słowie listu.

Słowa stryja Rafała nie były surowe, przeciwnie, on jakby cieszył się moim szczęściem i przesyłał błogosławieństwa. Podkreślał moje młode lata, rychłe powiększenie rodziny, brak środków, różną wiarę, niepewną i niewdzięczną karierę wojskową i wiele innych spraw, tak że kochając i ceniąc stryja, zacząłem kierować się rozumem. Jednakże ciągnęło mnie dalej do rozkosznych panienek, ale zaglądałem tam tylko wtedy, kiedy nie było Piotra Afanasjewicza. Chęci, żeby się ożenić, już prawie nie miałem, ale serdeczność i zainteresowanie gospodyni i Marii Piotrownej było niewypowiedziane. Maria Piotrowna, jak już wcześniej pisałem, miała naturę namiętną, żywą, rozumną, ale i lekkomyślną. Niedługo zadreczęła się naszymi niepowodzeniami. Kiedy siedziałem w domu i zajmowałem się służbą, często wyjeżdżała, tańczyła i wydawała się wesoła. Być może, że robiła to wszystko za radą matki, ale myślę, że i jej natura była do tego skłonna. Dla mnie była nadal miła, dobra i oddana całą duszą. Matka i ciotka nieustannie rozbudzały moją miłość. Wspominając tamte czasy, dziwię się, jak mogłem popełniać takie głupstwa. Ale Bóg mnie strzegł i wkrótce położyłem koniec męczącej pokusie.

Na początku postu 1842 roku ukazał się Rozkaz Najwyższy o likwidacji wojsk rezerwy. Wkrótce szczegółowe instrukcje pokazały, że nasza brygada wejdzie w skład 18. dywizji piechoty, a nasze cztery bataliony w skład 4. pułku tejże dywizji. Rwetes był straszny, zaczęto zdawać broń, amunicję i całe zaplecze do odpowiednich sztabów. Pracy było dużo, ale i tak zdążyłem biegać do Mańkówów. Smuciliśmy się bliską rozłąką, rozmawialiśmy dużo

i poważnie. Przepowiadałem Marii wspaniałą partię i pytałem, co by było, gdybym po wielu latach w pułku wrócił do tych miejsc i zjawił się u niej. Miło wyciągnięta ręka była jej odpowiedzią, ująłem ją i długo całowałem.

Otrzymaliśmy marszruty na sześć tygodni. Nasz batalion ukraiński dołączył do bielewskiego pułku strzelców, stacjonującego w mieście Bogorodsk tulskiej guberni. Dzień wyjścia wyznaczono na sobotę. Cała brygada po ogólnej modlitwie w Kowrowie rozeszła się w różne wyznaczone strony. Tu pożegnaliśmy się ze swoimi dowódcami, ponieważ część kompanii szła oddzielnie. Wszyscy pozostali naczelnicy i oficerowie zostali jeszcze w Kowrowie, gdzie po otrzymaniu pieniędzy na podróż i po zdaniu pozostałych rzeczy udali się do swoich pułków.

Pożegnanie w obecności wielkiej masy ludzi było wzruszające. Byli Mańkowie, chociaż bez ojca; przybyli też i Bezobrazowie. Nie tylko my, ale i wszyscy żołnierze dostali dobre śniadanie. Wypito dużo szampana. Na koniec całe to wesele z gwarem, po długich pożegnaniach i wzajemnych wyrazach wdzięczności, z pieśniami i bębnami ruszyło w pochód. Naszemu batalionowi wyznaczono drogę koło moich panienek i Aleksandra Aleksiejewna zaprosiła wszystkich czterech dowódców kompanii do siebie na obiad. Do ich wsi zarówno Mańkowie, jak i Bezobrazowie szli razem z kompaniami. Postawa żołnierzy, ich pieśni wprawiały kobiety w zachwyt. Wszyscy oficerowie i Bezobrazow, fundator śniadania, byli podekscytowani. Mańkowa chciała ugościć żołnierzy i potrzebne było wcześniejsze rozporządzenie, dlatego prosiła, abym pojechał przodem i przekazał polecenie burmistrzowi⁸⁹. Wskoczyłem do swojej bryczki i żartując, zaproponowałem pannom jazdę ze mną. Odpowiedziały, że pojechałyby chętnie, ale nie można. Bezobrazow zapytał: „Dlaczego nie, przecież to niedaleko”. Matka nie przeciwstawiła się. Ja podskoczyłem, podałem dziewczętom ręce i pojechaliśmy.

Przyjemnie jest wspominać młodzieńcze lata i ówczesną brawurę. Mknęliśmy jak szaleni, dziewczęta krzyczały, śmiały się, bały, a ja rozkoszowałem się tym i wszyscy byliśmy szczęśliwi. Jeden tylko Grisza złościł się i krzywił z uwagi na nasze graty, a głównie na skrzynię z naczyniami.

Żołnierze z feldfeblem udali się na nocleg na stację pocztową, a my zostaliśmy u Mańkowów. Jeszcze przed obiadem, który był późno, Bezobrazow poprosił mnie na parę słów. Wprowadził mnie do sypialni, zamknął drzwi i zaczął bardzo poważną rozmowę. Zdziwiłem się tym. Na początku rzecz poszła o to, jak bardzo nie tylko on, ale i rodzina Mańkowów mnie lubi, jaki jestem dobry gospodarz, że jakże byliby szczęśliwi, gdybym został członkiem ich rodziny. Nasza znajomość zaszła tak daleko, że na tym nie można się

⁸⁹ „Burmistrz” (taki zapis jest w oryginale) – chodzi oczywiście o horodniczego.

zatrzymać, że trzeba zdecydować o wszystkim. Słowa jego były wcześniej przemyślane, dlatego były logiczne i przekonujące. Powiedziałem, że moje zamiary były uczciwe i że nie ode mnie zależał taki ich wynik. Bezobrazow zmienił ton i powiedział, że jednak honor jego siostrzenicy został dotknięty. O wszystkim, co się działo, ludzie nie wiedzą, ale byli świadkami naszego stopniowego zbliżenia i oczekiwali ślubu. Teraz po naszym wyjeździe języki zaczną hulać i honor siostrzenicy ucierpi. Dalej, mimo moich sprzeciwów, bardzo surowo powiedział, że zachodzi konieczność żądania ode mnie satysfakcji. Poderwałem się, nasza rozmowa stała się gwałtowna. Sam nie wiem, do czego by doszło, ale minęło trochę czasu, obaj trochę ostygliśmy, i Bezobrazow powiedział, że mnie lubi, życzy szczęścia swojej siostrzenicy i dlatego do dawanych przez ojca dziesięciu tysięcy on dokłada od siebie jeszcze piętnaście tysięcy. Wszystkie przeszkody zostają tym samym zlikwidowane i wtedy objął mnie jak drogiego członka ich rodziny.

Tak nieoczekiwane wyjście i obecność przy mnie uwielbionej Marii ostatecznie mnie wykończyły. Rzuciłem się objąć mojego przyszłego wuja, a tu właśnie pojawiła się matka z córkami. Zachwyтом, radości, obejmowania i całowania nie było końca. Matka pobłogosławiła nas obrazem, cała służba się zbiegła, wszyscy pozdrawiali, wszyscy weselili się tym bardziej, że cały dwór bardzo kochał Marię i mnie. Piotra Afanasjewicza nie było w domu. Z matką i Bezobrazowym ustaliliśmy, kiedy mam przyjechać, kiedy ślub, jaką otrzymamy służbę i wiele innych spraw. Korespondencja nasza powinna być częsta i ja pierwszego dnia powinienem napisać formalnie moje oświadczenia, zaznaczając wszystkie warunki ustalone w czasie obecnej naszej rozmowy. Obiad z życzeniami i szampanem trwał długo, wypito dużo, ale moja głowa pozostała świeża, tylko zbyt dużo pracowała i panował w niej chaos.

Brak czasu spowodował, że trzeba się było spieszyć, żeby zdążyć powiedzieć wszystko, co leży na duszy. Wszyscy mówili, wszyscy się krzątali, tak że znajdowałem się jakby w jakiejś mgle. Zostawszy sam na sam ze mną, Maria też była jakby w jakimś odrętwieniu. Niespodziewane wydarzenia i ją zakłopotaly. Milczeliśmy tylko, ściskając się. Widocznie rozłąka z domem ją dławiła, ponieważ jej pierwsze słowa były: „Tak i mnie przyjdzie wkrótce z tobą, mój przyjaciel, maszerować”. Przycisnąłem ją do piersi i oboje mimowolnie zapłakaliśmy.

Mańkowie i Bezobrazowie namawiali mnie, żebym został jeszcze choć na jeden dzień. Towarzysze odradzali mi, ponieważ odpowiedzialność za kompanię była wielka. Żołnierze byli bardzo rozbawieni, mogły się zdarzyć nieporządki. Nie zostałem. Do samego wschodu słońca przesiedzieliśmy dosyć smutno. Szybka rozłąka po tak gwałtownej zmianie przygniatała nas strasznie. Kochana Liza nieustannie łkała i niczym nie mogliśmy jej uspokoić. I tak

smutni i we łzach rozstaliśmy się. Ja i trochę podchmielony Grisza pojechałem odszukać kompanię.

Pochód od Kowrowa do Bogorodska był bardzo nudny i nieprzyjemny. Dwa ostatnie lata były nieurodzajne. Nieustanna susza zniszczyła zasiewy. We wsiach ludzie głodowali, tak że kompania musiała się zadowolić własnymi sucharami. Byłem przygnębiony, całą podróż przebyłem właściwie samotnie. Oficerów ze mną nie było i nie miałem jak pozbyć się nudy.

Nowy zwrot w mojej miłości i cieszył mnie, i smucił. Byłem przygnębiony, jednakże dosyć szybko napisałem list do Piotra Afanasjewicza Mańkowa, w którym wyjaśniając, co się zdarzyło w jego domu, oficjalnie poprosiłem o rękę jego córki i o spełnienie obietnic zarówno jego żony, jak i Bezobrazowa. Wysłałem list z pierwszego po drodze miasta. Wciąż rozmyślałem o dalszych losach mojej służby i o przyszłym życiu rodzinnym. Przed wymarszem wszystkim oficerom oznajmiono, że po przekazaniu żołnierzy udamy się do swoich pułków. Mój ukraiński pułk stacjonował w guberni połtawskiej. Perspektywa długich marszów mnie przerażała. Zamierzałem jechać swoimi końmi, ponieważ sprzedanie ich razem z bryczką i uprzężą było trudne. Również i rzeczy miałem całkiem sporo, więc pocztą trudno by było jechać. W sumie sprawy nie szły dobrze.

W Bogorodsku, do którego przyszliśmy w drugiej połowie maja, stacjonował tylko 4. batalion pułku bielewskiego. Pierwsze trzy bataliony znajdowały się w Moskwie, z przeznaczeniem do służby wartowniczej. Przekazywanie ludzi i pieniędzy odbywało się szybko. Przybyli tu 5. batalion pułku bielewskiego i 5. batalion pułku nizowskiego. Bataliony oczekiwały wymarszu do swoich pułków.

Dochody żołnierzy i oficerów były duże. Ja z Griszą zbieraliśmy się w dalszą drogę. Kupiliśmy niewielki jednokonnny wóz. Nawet cieszyłem się, że pojedę do swojego pułku, ponieważ w pułku bielewskim było bardzo dużo oficerów wyższych rangą i starszych, powyżej stopnia kapitana. Dowództwo przewidziało te trudności, a mnie, jeszcze będąc podporucznikiem, grzechem byłoby marzyć o własnej kompanii.

W takim stanie ducha i oczekiwaniu przetrwałem do 20 czerwca 1842 roku, mieszkając we wstrętnej kwaterze w mieście Bogorodsk. Liczna zbierania różnych oficerów była powodem ciągłych hulanek, łącznie z grą w karty i różnymi skandalami. Dowódca batalionu podpułkownik Sochański, starszek Ukraińiec⁹⁰, nie wiedział, co robić z taką zbieraniną obcych mu oficerów. Prosił zwierzchników o skierowanie ich do swoich pułków i prosił też Boga o jak najwcześniejsze wybawienie go od tego nieszczęścia. Ja prowadziłem

⁹⁰ Prawdopodobnie chodzi o Polaka pochodzącego z Ukrainy.

się skromnie, dyplomatycznie unikając spotkań. Ale to też było bardzo źle widziane. W tych czasach pojęcie koleżeństwa było całkiem inne. Na szczęście na policzku zrobił mi się wrzód i miałem możliwość, zawiązawszy się bandażem, wytłumaczyć się chorobą.

W końcu otrzymaliśmy rozkaz o odprawieniu się do pułków; otrzymałem też rozkaz o moim awansie na kapitana do nizowskiego batalionu pułku bielewskiego. Ten niespodziewany awans strasznie mnie zmartwił. Perspektywa zmiany miejsca przyszłej służby była smutna.

Dopiero potem dowiedziałem się, że wszystkich oficerów – dowódców rezerwowych kompanii grenadierskich i karabinierskich, skierowano do 6. korpusu łącznie z żołnierzami pod warunkiem dostarczenia lepszych oficerów w celu przygotowania rekrutów dla armii czynnej, składającej się wtedy z czterech korpusów stacjonujących przy zachodnich granicach. Towarzysze rozjechali się, a ja zacząłem służbę subaltern-oficera⁹¹ w kompanii.

Po przybyciu do Bogorodsk otrzymałem list od Mańkowów, bardzo miły i uprzejmy, który na długo osłodził moje smutne wówczas życie. Piotr Afanasjewicz potwierdzał wszystkie swoje decyzje i poinformował mnie, że Bezobrazow chce wkrótce napisać od siebie o swoich warunkach. Odpowiedziałem bardzo szybko, informując o moim wyjeździe do guberni połtawskiej.

Początki mojej służby w pułku bielewskim były bardzo trudne i nieprzyjemne. Do tej pory zawsze byłem niezależnym dowódcą. Moje przyzwyczajone warunki i wstrzemięźliwe życie budziły nieprzychylną mojego dowódcy kompanii. Uważał to za przejaw mojej ambicji i utrudniał służbę drobiazgami. Cierpiałem i bolałem nad tym. Sprzedałem dwa konie i wyniosłem się do wsi pod Bogorodskiem, w której stacjonowała kompania. Ograniczyłem wydatki i trzymałem się hardo. Spełniałem wszystkie najgłupsze pomysły mojego dowódcy kompanii.

Po zakończeniu ćwiczeń jesienią przeniósłem się do 4. kompanii karabinierów do kapitana Borodkina i z kompanią udałem się na kwatery do powiatu epifańskiego⁹². Borodkin okazał się uczciwym i dobrym gospodarzem, przekazał mi kwaterę niedaleko biura kompanii w pustym domu, gdzie miałem wszystkie wygody, o których teraz nie ma mowy. Żywność i aprowizacja koni pochodziły od właściciela majątku, jednakże ja praktycznie całą zimę przeżyłem u Borodkina, który stacjonował w mieście Epifań, w siedzibie kompanii.

Ówczesne życie miast powiatowych było całkiem inne. Najważniejszymi ludźmi w mieście byli dzierżawcy propinacji. Mój dzierżawca był jeszcze młodym człowiekiem, z rodziną i przyzwoitym wykształceniem. Jego żona była osobą miłą, wesołą i żywą. Takie dzierżawy wymagały prowadzenia

⁹¹ Subaltern-oficer – oficer pomocniczy.

⁹² Powiat epifański w guberni tulskiej.

otwartych domów, dlatego też ich dom był pełen od rana do późnej nocy. Było zapewnione jedzenie, picie i wszelkie uciechy. Dwa razy w tygodniu były tańce, a my z Borodkinem, jako jedyni przedstawiciele wojskowych, opływaliśmy jak pączki w maśle, tym bardziej że żona dzierżawcy była nam bardzo przychylna. Właściwie przesiadywaliśmy tam całe dnie. Nawet do domu przysyłała nam różności, jak na przykład wspaniałe nalewki. Tak wesoło i przyjemnie minęła zima 1843 roku. Wiosną wyruszyliśmy na ćwiczenia i kwatery pod Bogorodsk.

Od Bezobrazowa nie otrzymałem listu i sam również do Mańkowów nie napisałem. Moja początkowa sytuacja w pułku była do tego stopnia nieprzyjemna i trudna, że wszystkie myśli o ożenku zeszły na dalszy plan. Moje przywiązanie do Marii, choć było mocne i szczere, to stopniowo ochładzało się. Milczenie Bezobrazowa jasno pokazywało, że młodego dziedzica do złożenia mi wspaniałej propozycji skłoniła duża ilość wypitego szampana. Rady stryja Rafała okazały się przewidujące, z czasem oddalałem się od tej miłości i byłem bardzo z takiego zakończenia zadowolony. Wesołe i przyjemne życie w Epifanii sprzyjało temu.

W 1856 roku, kiedy ja z waszą mamą pojechaliśmy na urlop z Orenburga do Michajłowskoje, żeby odwiedzić wuja Franciszka, to we Włodzimierzu dowiedziałem się, że Maria Piotrowna Mańkowa wkrótce po moim z nią rozstaniu wyszła za mąż za bogatego obywatela. Żyła z nim bardzo źle; oboje byli temu winni, że została bogatą wdową z dwójką dzieci. Jak widzicie, moje kochane dzieci, jeden tylko Bóg wybawił mnie od ożenku w tak młodym wieku z dziewczyną lekkoduchem. Co by ze mną było, wie jeden Bóg, ale nie należało się spodziewać z tego niczego dobrego. Ja i teraz często myślę i podziwiam plan Boży. On prowadził i prowadzi mnie tak litościwie i szczęśliwie, że nieustannie wznoszę modlitwy i dziękczynienia za niezasłużoną Bożą dobroć. Wierzę również, że modlitwy mojego dobrodzieja, stryja Rafała, uratowały mnie od różnych kłopotów. Temu światłemu człowiekowi zawdzięczam to, kim jestem, a wy moje dzieci nie zapominajcie nigdy modlić się za swojego dziadka Rafała. On o was nie zapomni przy Tronie Pańskim.

W końcu 1842 roku dowódcą korpusu piechoty został wyznaczony generał piechoty Timofiejew⁹³. Przyszła za nim opinia srogiego i okrutnego generała. W Moskwie dokonywał on przeglądu stacjonujących tam części naszych pułków i był z nich zadowolony. Według rozkazu z lipca 1843 roku miał się rozpocząć przegląd naszego batalionu. Żeby nas przygotować do tego strasznego wydarzenia, z Moskwy przyjechali: naczelnik dywizji, dowódca brygady i dowódca pułku pułkownik Aleksandrowicz – elegant, śmiałek i prawdzi-

⁹³ Generał Wasilij Iwanowicz Timofiejew (1783–1850). Od 1842 r. dowódca 6. korpusu piechoty; C. B. Волков, *Генералитет*, t. 2, s. 577.

wy ówczesny gwardzista. Ćwiczeniom i męczarniom nie było końca. Zrobił się straszny rwetes. Dowódca pułku zwrócił na mnie uwagę; moja musztra, sprawność dowodzenia, donośny głos i inne sztuczki frontowe spodobały mu się. Często stawiał mnie za przykład dla innych oficerów. Na koniec nadszedł dzień tego strasznego przeglądu.

Timofiejew był ślepy na jedno oko, ale ostrość drugiego oka była porażająca. W dzień przeglądu pogoda była okropna – chłód, wilgoć, nawet deszcz, a przede wszystkim silny wiatr przenikał aż do szpiku kości. Generał nie zdecydował się na odłożenie przeglądu, ale do nas przyjechał w złym humorze. Z powodu wiatru rozkazów nie było słychać, dlatego też szwankowało ich wykonanie. Skostniałe ręce żołnierzy źle prezentowały broń. Generał złościł się i strofował. Dopełniło nieszczęścia to, że dowódca 11. kompanii, stojący naprzeciw samego generała, znający doskonale służbę, widocznie ze strachu pomylił się w komendzie, tak że batalion pomieszał się jak stado owiec. Co wtedy było, trudno opowiedzieć. Generał wściekał się jak zły zwierz. Całe obecne dowództwo rzuciło się, żeby rozplątać kompanie, które udało się uporządkować niezbyt szybko z powodu wiatru. Biednego kapitana skazano na areszt wojskowy. Jednym zdaniem, doszło do naszej całkowitej klęski. Kiedy się trochę uspokoiło, wszyscy trzęsąc się i milcząc, patrzyliśmy na generała. On krzyknął: „Dawać mi tu oficera, który da radę komenderować kompanią sztandarową”. Dowódca pułku głośno powiedział: „Podporuczniku Skolimowski, stańcie przy 5. plutonie”. Wyszedłem z szeregu i stanąłem we wskazanym miejscu, twarzą w twarz z generałem. Przegląd był kontynuowany.

Mogę śmiało powiedzieć, że moje frontowe przygotowanie w szlacheckim korpusie było solidne. Służbę znałem, głos do komenderowania miałem dźwięczny i głośny, tchórzem nigdy nie byłem i dlatego nie obawiałem się losu pechowego kapitana. Wydaje się, że generał się uspokoił, przegląd dalej przebiegał prawidłowo. Z mojej komendy i dowodzenia generał był zadowolony, kompanię sztandarową często chwalił. Kazałem krzyczeć głośno: „Chcemy się bić!”. Zakończenie przeglądu udało się. Nawet wiatr ucichł i wyjrzało słońce. Twarz generała również się rozjaśniła, a marsz ceremonialny przeszedł spokojnie i w takt muzyki. Uroczysty marsz podobał się generałowi, który cały czas mnie chwalił przed kompanią. Ta kukielkowa komedia poprawiła mój los w pułku bielewskim.

Po zakończeniu przeglądu łaskawy już generał zebrał wszystkich dowódców i oficerów i powiedział, że wszystko będzie szło dobrze, jeśli dowódcy będą znać swoją robotę, przy czym wskazał na mnie. Po wszystkim generał zapytał mnie o nazwisko i czyim jestem oficerem. Chociaż jeszcze nie zdążyłem odpowiedzieć, to dowódcy zaczęli mnie wychwalać, dodając, że w oddziałach rezerwy dowodziłem kompanią karabinierów. Generał jakby się z tego ucieszył, powiedział, że on nigdy nie mylił się w swoich opiniach

i dodał: „Tak, koniecznie dajcie mu kompanię i zobaczycie dobre rezultaty. Nie sugerujcie się tym, że oficer jest młody, wystawiajcie młodych, to i starsi wezmą się do roboty”. Kiedy inspektor wyjechał, całe moje dowództwo ze słodkimi mordkami było dla mnie bardzo uprzejme, wdeptując zarazem w błoto biednego kapitana.

Wkrótce komendant pułku zaprosił mnie na obiad i oznajmił, że podjął decyzję o przejściu 11. kompanii strzelców. Podziękował mi za podtrzymanie batalionu i wypowiedział wiele uprzejmości. Został on później moim przyjacielem, tak że służba w tym pułku do czasu mojego awansu na majora była przyjemna i udana.

Po przejściu kompanii udałem się na zimową kwaterę w powiecie bogorodskim we wsi Malewka w majątku grafa Aleksieja Aleksiejewicza Bobrinskiego⁹⁴. W tej wsi był mój przyjaciel z kompanii i ponad dwa tysiące ludzi. Do kompanii przypisanych było więcej niż dwadzieścia wsi. Dostałem przepiękną umeblowaną kwaterę, dawno już urządzoną na koszt właściciela i ze wszystkimi wygodami. Od 1 listopada do kompanii przybyło siedmuset rekrutów. Cała ich liczba dochodziła do tysiąca. Chłopi byli zamożni, żołnierzy karmiono wspaniale i ci nie brali żadnego prowiantu z kompanii. Z tego też powodu do mojej dyspozycji pozostawał pud⁹⁵ mąki na jednego człowieka na miesiąc. Ceny chleba były wysokie, pieniędzy miałem do woli i żyłem zadowolony.

Wtedy, drogie dzieci, w pełni zrozumiałem słowa stryja Rafała o zmienności kariery wojskowej. Jedna błaha pomyłka kapitana Łoginowa zgubiła go doszczętnie i nikt z dowódców się za nim nie wstawił, żeby się nie sprzeciwiać dowództwu, chociaż znali zasługi tego szlachetnego człowieka i pracowitego żołnierza. Został zapewne usunięty ze służby, ale co się z nim stało, nie wiem. Pewnie nic dobrego. O tym, że Łoginow był szlachetnym i dzielnym człowiekiem, jestem przekonany, ponieważ przejęta od niego kompania, którą komenderował więcej niż osiem lat, posiadała wysokie morale, a żołnierze znali swoje obowiązki i byli pocziwymi ludźmi. Z tego też powodu moje dowodzenie nie sprawiało mi problemu. Stale mam wątpliwości, dlaczego ucierpiał ten szlachetny, pracowity człowiek. Ale jednak ten sam głupi błąd mnie przyniósł szczęście, o którym rzadko może marzyć młody oficer armii.

To nieoczekiwane szczęście spowodowało natłok myśli w mojej głowie, pomimo że od tej pory mogłem żyć beztrąsko. Wręcz przeciwnie, im więcej koncentrowałem się na sobie, to dziękowałem Bogu i błogosławiłem stryja Rafała za to, że pozostałem sam, zawsze i wszędzie gotowy na wszelkie niewygody i przypadki.

⁹⁴ Aleksiej Aleksiejewicz Bobrinski (1800–1868), właściciel ziemski, działacz społeczny i właściciel cukrowni; „Русский Биографический Словарь” 1908, t. 3, s. 112–113.

⁹⁵ Pud – 16,38 kg.

Kwaterowanie w powiecie bogorodskim było monotonne i smutne. Praktycznie cały powiat składał się z majątków braci Bobrinskih, mieszkających stale w Petersburgu. Innych obywateli ziemskich nie było. Więcej czasu siedziałem w domu i zajmowałem się służbą oraz zajęciami z rekrutami. Zimowe wieczory sprzyjały czytaniu książek, czasopism i dzienników, które miałem od głównodowodzącego mieszkającego we wsi Michajłowskoje, odległej o dwanaście wiorst. Właściciel wsi, dobry i uprzejmy, jeszcze młody człowiek, przyjmował mnie z ochotą. We wsi była duża cukrownia, w której pracowali obcokrajowcy. Miałem okazję z nimi prowadzić miłe i pouczające rozmowy.

Sztab pułku po powrocie z Moskwy rozlokował się w Tule, o sześćdziesiąt wiorst od Bogorodsk. Latem 1844 roku przenieśliśmy się do Tuły, gdzie stacjonowaliśmy w ciasnych kwaterach po okolicznych wsiach. W tymże roku 14 lipca zostałem porucznikiem⁹⁶.

Tuły właściwie nie poznałem, miasto bardzo się zmieniło na lepsze po pożarach. Fabryka broni wyglądała jak samodzielne bogate miasteczko. Cała produkcja napędzana była siłą wody. Kanały, śluzy i zapory były ogromne i piękne.

Służba w tym roku nie była trudna. Moi rekruci odznaczeni się dobrym charakterem i zdrowiem. Znali się też na rzeczy, a co najważniejsze, nie było uciekinierów. Wszystko to przyniosło mi honor i sukcesy w służbie. Na zimę wróciliśmy na stare kwatery i zajmowaliśmy się nowymi rekrutami. W następne lato byliśmy pod Tułą razem z pułkiem i wszystko przebiegało szczęśliwie i pomyślnie. W tym 1845 roku, 27 lipca, wezwano mnie do sztabu. Zostałem sztabaskapitanem, z potwierdzeniem dowodzenia kompanią.

Po zakończeniu obozu pułk zmienił kwatery. Sztab z naszym 4. batalionem wyszedł do miasta Bielew⁹⁷, tejże tulskiej guberni. Inne bataliony zajęły powiaty czereński, odojewski i krapiwński.

Kwaterowałem o dwadzieścia wiorst od Bielewa we wsi Mananki. Kwatery i żywność dla kompanii były dobre. Sąsiadów było dużo, a szczególnie przyjemne i sympatyczne były damy – siedemdziesięcioletnia wdowa Junij po dziedzicu i horodniczym miasta Bałaszewa⁹⁸, oraz Niemiec Stempke. W pierwszym majątku były dwie dorosłe niewiasty. Właściciele drugiego – [zarówno] Stempke, jak i jego żona – byli ludźmi młodymi, wykształconymi i uprzejmymi. Pani Stempke była duszą niedużego kółka sąsiedzkiego.

⁹⁶ *Polnyj posłużnoj spisok* Skolimowskiego informuje, że Skolimowski dostał awans 14 czerwca tegoż roku; RGWIA, f. 400, op. 9, d. 6347, k. 14-18. Dziękujemy dr. hab. Jackowi Legieciowi za tę informację.

⁹⁷ Bielew – miasto powiatowe w guberni tulskiej.

⁹⁸ Bałaszew – miasto powiatowe w guberni saratowskiej.

W tych życzliwych i bardzo mi bliskich domach przyjemnie spędzałem wolny czas. Tak przyjemnie i szczęśliwie przesłużyłem do wiosny 1848 roku, tylko latem wyruszając na ćwiczenia pod Bielew.

W końcu maja 1847 roku pułk w składzie trzech batalionów wyruszył do Moskwy, a nasz 4. batalion pozostał na starych kwaterach. Przegląd batalionu zakończył się sukcesem, rekruci zostali odprawieni do armii czynnej. Żadnych zajęć nie przewidziano i nasz batalion odpoczywał całe lato zupełnie swobodnie. Tak przyjemne lato było moim pierwszym, ale i ostatnim w czasie służby. W sumie dla armii lato jest bardzo trudnym czasem i dlatego rozkoszowałem się tą swobodą.

Położenie mojej kwatery było malownicze. Dom znajdował się na skraju wsi, tuż za wielkim i krętym parowem z rzeczką o źródlanej wodzie. Przy rzeczce i parowie było mnóstwo różnych drzew: olchy, wierzy i jarzębiny. W parowie była też czysta zielona łąka, cała usiana kwiatami. Zaraz za parowem zaczynał się las o powierzchni jednej na trzy wiorsty.

Gospodarz mój był zamożnym wieśniakiem. Pierwsze dwie izby zajmowałem na noclegi, a z tyłu były jeszcze dwie izby. Chociaż przebywałem [u niego] przez dwie zimy, to nie miałem żadnego pojęcia o jego gospodarstwie. Wróciwszy w końcu maja, byłem zdumiony niespodziewanym odkryciem. Odwiedzając z rana moje konie, przechodziłem przez podwórze. Zauważyłem pod daszkiem niewielkie drzwi. Podeszedłem i otworzyłem je, a wtedy poraził mnie odkryty tam widok.

Zaraz za zabudowaniami, na zboczu prowadzącym do parowu, znajdował się sad. Czystość, zieleń, kwitnące drzewa, brzęczące pszczoły. Cała ta niespodziewana sytuacja bardzo przyjemnie mnie zaskoczyła. Zobaczyłem całkiem duży sad, ogrodzony wysokim płotem i obsadzony z trzech stron podciętymi lipami. Pod drzewami owocowymi było więcej niż sto pszczelich uli. W sadzie zielona trawa i kwiaty, a pośrodku piękna altana z werandą, w której siedziała staruszka gospodyni, moja dobra przyjaciółka zajmująca się pasieką. Po przywitaniu zacząłem robić jej wymówki, dlaczego ukryła przede mną swój miły raj? Ona odpowiedziała, że nie ma zwyczaju się chwalić, a poza tym zimą nie mogłem go zobaczyć. Jednakże nigdy nie broniła mi tu przychodzić i dodała, że mogę tu spacerować, kiedy zechcę.

To proste życie, ta zieleń, te lasy przypominały mi coś rodzinnego i coś przyjemnego. Chodziłem, marzyłem, zbierałem jagody, grzyby i orzechy. Jednym zdaniem, życie w ciszy i na wolności w pełnym zadowoleniu. W mieszkanku miałem mnóstwo kwiatów, którymi żona właściciela obdarowywała mnie prawie każdego dnia. To przyjemne lato na zawsze zachowam w swej pamięci.

Bardzo dokładnie opisałem lato 1847 roku. To samo lato dla trzech pierwszych batalionów naszego pułku było gorsze od katorgi lub kampanii wo-

jennej. Pod Moskwą był zgromadzony cały 6. korpus piechoty. Dwie dywizje, 16. i 17., rozlokowały się w obozie w Chodyni, a nasza 18. na ciasnych kwaterach pod Moskwą. Pułk bielewski musiał stać o osiemnaście wiorst od obozu. Oprócz tego musiał on być codziennie na Placu Chodyńskim i tam maszerować nie mniej niż pięć godzin dziennie. Żeby tu zdążyć po wschodzie słońca, kompanie zbierały się po kolacji. W nocy szli, a przed wschodem, rozłożywszy się w zagajnikach, odpoczywali. Kiedy w obozie zarządzano zbiórkę, kompanie myły się, ubierały i wychodziły na plac. Ćwiczenia i manewry trwały nie krócej niż do godziny jedenastej. Inne dywizje wracały do obozu i odpoczywały, a nasz pułk najpierw szedł do zagajnika, odpoczywał, a dopiero potem maszerował na kwatery. Obiad jadł nie wcześniej niż o godzinie piątej, do dziewiątej odpoczywał, a potem znów maszerował. Takie życie wyczerpywało nie tylko żołnierzy, ale i oficerów. Wielu zachorowało, a niektórzy odeszli do praojców.

Po zakończeniu zgrupowania dywizje 16. i 17. udały się na kwatery, a 18. pozostała w Moskwie dla pełnienia wart. Wiosną 1848 roku wszystkie oddziały otrzymały rozkaz połączenia się ze swymi pułkami. Zadowoleni i weseli wyruszyliśmy w drogę, a zaraz po przybyciu do Moskwy dołączyliśmy do obozu. Przemarsz i dla nas okazał się niełatwy, tym bardziej, że latem w Moskwie szalała cholera. Wielu żołnierzy zostało tam na wieki.

Mogę powiedzieć, że w te straszne czasy byłem spokojny duchem. Jeszcze teraz pamiętam tę straszną panikę, która obejmowała całą Moskwę. Na wartę chodziłem na Kreml, do głównego aresztu wojskowego, do którego podążała kompania ze sztandarem. W tym czasie według naszego regulaminu wojsko było zobowiązane do oddawania czci ciału każdego zmarłego. Droga warty wiodła obok Cmentarza Wagańkowskiego⁹⁹, na którym było więcej niż pięćdziesiąt żołnierskich mogił. Musieliśmy nieustannie zatrzymywać marsz w celu oddania honoru wszystkim tym zmarłym. Staraliśmy się omijać te mogiły różnymi zaułkami, ale to też nic nie dawało; wszędzie były groby, wszędzie była śmierć.

W tym właśnie 1848 roku 23 sierpnia zostałem kapitanem i przejąłem 1. kompanię karabinierów 1. batalionu, w którym dowódcą był mój dawny przyjaciel major Borodkin. Na zimę bataliony wróciły na dawne kwatery, a ja osiedliłem się w powiecie odojewskim¹⁰⁰.

Wiosną 1849 roku zaczęły się roznosić zatrważające informacje, mówiono o wojnie. Stanowisko Austrii i bunt na Węgrzech wydawały się bardzo

⁹⁹ Cmentarz Wagańkowski, jeden z największych cmentarzy moskiewskich; znajduje się w północno-wschodniej części Moskwy.

¹⁰⁰ Powiat odojewski w guberni tulskiej.

groźne¹⁰¹. Carskim ukazem został zarządzony dodatkowy pobór do wojska. Mój dowódca Borodkin wyjechał gdzieś daleko do komisji poborowej, teraz już nie pamiętam gdzie, a mnie powierzono dowodzenie batalionem, dlatego też pojechałem do miasta Odojew. Któregoś dnia w Wielkim Tygodniu, kiedy całe miasto bawiło się u okręgowego zarządcy dóbr skarbowych, otrzymałem informację, w której była mowa, że według rozkazu pułk niezwłocznie powinien się udać na granicę austriacką, dlatego też nakazywało się batalionowi przybycie do sztabu pułku w [dwadzieścia cztery] godziny od otrzymania informacji.

Do Bielewa miałem czterdzieści pięć wiorst; dwie rotы kwaterowały za Odojewem jeszcze o dwadzieścia wiorst, dlatego wypełnienie tego rozkazu było trudne. Jednak znając powiedzenie: „Chociaż byś miał wyjść ze skóry, to musisz iść”, nie zastanawiałem się ani chwili. Napisałem rozkazy do dowódców kompanii, w których surowo nakazałem im przybyć z kompaniami pod Bielew, gdzie i sam niezwłocznie wyruszyłem. Mój Grisza spakował manatki, zaprzągnął konie i pożegnawszy się z mieszkańcami Odojewa, wyruszyliśmy w pochód.

Pod Bielewem przy zajeździe zatrzymałem się i zaczekałem na kompanię. Moi dzielni dowódcy, zostawiwszy wszystkie osobiste bagaże, prawie biegiem z kompaniami zdążyli przybyć w wyznaczonym przeze mnie czasie. Po sformowaniu batalionu, ja wierzchem na swoim koniu, z muzyką, pieśniami i bębnami już prawie nocą weszliśmy do miasta. Na placu powitał nas generał brygady Romanowicz¹⁰². On dobrze wiedział, że nasze kwatery były najdalej, a mimo to przyszliśmy pierwsi. Dlatego wychwalał ludzi, a mnie okazał wiele uprzejmości.

Inne bataliony bardzo się spóźniały, chociaż od tego ani ojczyzna, ani nikt nie ucierpiał. Generał jednak wychodził z siebie i groził dowódcom oddanie pod sąd. I jemu również nie było do śmiechu. Przez kuriera otrzymał rozkaz, aby brygada była w ciągu dwudziestu czterech godzin gotowa do wyruszenia w drogę. Ale marsz miał się zacząć dopiero po przybyciu kuriera z odpowiednim rozkazem.

Trudno powiedzieć, co się u nas działo. Był nieopisany rwetes. Cały czas czekaliśmy na kuriera, ale wiele spraw było niedokończonych. Żołnierzom nakazano wszystkie rzeczy osobiste zostawić, a w plecaku mieć tylko służbowe.

¹⁰¹ W maju 1849 r. cesarz austriacki Franciszek Józef I zwrócił się do Mikołaja I z prośbą o pomoc w zdławieniu rewolucji węgierskiej. Stutysięczna armia rosyjska wkroczyła na Węgry i rozprawiła się z powstańcami.

¹⁰² Iwan Ignatjewicz Romanowicz, generał-major od 1837 r., uczestnik wojny polsko-rosyjskiej 1830–1831 r., generał-lejtenant od 1851 r. Uwolniony w 1854 r.; C. B. Волков, *Генералумет*, t. 2, s. 416.

Żołnierzom miały wystarczyć tylko podstawowe rzeczy, [takie] jak płótno na koszule, materiały na buty, płótno na pantalony¹⁰³ i inne drobiazgi. Co prawda szyć nie było kiedy, ale nasi żołnierze mieli całkiem dużo rzeczy. Zostawić ich nie mieli gdzie; pokusa, żeby iść na bazar i do szynku, była ogromna. W Bielewie dochodziło do różnych targów. Kilka tysięcy żołnierzy sprzedawało różne rzeczy za bezcen. Piękne koszule oddawali za dziesięć kopiejek asygnatami, prawie nowe zestawy mundurów i płaszcz – za dwie grzywny¹⁰⁴. Jednym zdaniem, wszystko przepadło, ponieważ pieniądze i tak powędrowały do karczmy. Pijaństwo i awantury trwały cały czas. Na szczęście w moim batalionie królowała cisza i spokój. Kompanie wyprowadzono do pobliskiej wsi, a tam nie było czego sprzedawać, bo rzeczy zostały u gospodarzy w Odojewie. Dlatego żołnierze rzadko chodzili do miasta, a zajmowali się przygotowaniami do drogi i do przyszłej walki. Dlaczego był potrzebny taki pośpiech i latanina, do tej pory nie wiem. W Bielewie pozostaliśmy przez całe dwadzieścia dni, właściwie nic nie robiąc, ponieważ cały czas oczekiwaliśmy na wyjście. Przy tym roboty było zatrzęsienie, ale do jej wykonania byliśmy zmuszeni dopiero w trakcie drogi.

W mieście panował smutek, wojsko szło na wojnę. Niektórzy mieli śmierć w oczach. Trzeba było dodać odwagi, rósł patriotyzm. Dziedzice i kupcy jedni przed drugimi gościli oficerów. Co się działo na tych proszonych obiadach, trudno opowiedzieć. Pijaństwo było ogólne, wręcz skandaliczne. Oficerowie otrzymali półroczny żołd. Śmierć była blisko, a więc pieniędzy nie było po co trzymać. Ponadto oficerowie uważali za swój obowiązek podziękować za gościnę i dlatego organizowali ucztę dla dziedziców i kupców. Jednym zdaniem, w mieście był nieustanny rwetes, było słyszeć pieśni i muzykę. W rezultacie okazało się, że do czasu wymarszu prawie wszyscy oficerowie zostali goli jak sokoły, ale odwagi wlało w siebie dużo. Węgry mieli szczęście, że nie wpadli wtedy nam w ręce. Wreszcie przybył kurier i ruszyliśmy w drogę.

Wszystkie kampanie były okazją do libacji i pijaństwa. Nie tylko żołnierze, ale i oficerowie wyruszali kompletnie pijani. Wyznaczeni przez dowódców chłopci furmankami zbierali niedomagających i odstawiali ich na noclegi. Nieprzyjaciela nie widzieliśmy, w boju nie byliśmy, krwi nie przelaliśmy, ale straty w pułku były znaczne. Po przejściu granicy guberni czernihowskiej zaczął się handel wódką. Nasze Wielkorusy, nie znający jeszcze tej rozkoszy, bez ociągania i gorliwie wzięli się do roboty, za co byli surowo karani. Wielu żołnierzy, a nawet dwaj oficerowie, zapilo się na śmierć.

Maszerowaliśmy normalnym krokiem. Jako punkt docelowy marszu wyznaczono miasto Borożno w guberni czernihowskiej. Jeszcze w trakcie drogi

¹⁰³ Pantalony – spodnie.

¹⁰⁴ Grzywna = 10 kopiejek.

usłyszeliśmy o poskromieniu Węgrów i dlatego domyślaliśmy się, że dalej już nie pójdziemy. Tak też się stało. W następnym 1850 roku pułki wróciły do Rosji i zajęły poprzednie kwatery. Radość żołnierzy mojego batalionu była nie do opisania, bo wszystkie rzeczy pozostawione przez nich u gospodarzy odnaleźli w całości. Po przybyciu do Borożna, rozmieszczono nas na kwaterych w pobliżu miasta i zaczęto umacniać osłabioną dyscyplinę. Przyjechał mój dowódca batalionu i znowu przejąłem 1. kompanię karabinierów.

Po przeczytaniu tego, co napisałem wyżej, zauważyłem, że zapomniałem opisać przykrość, jaka mi się przydarzyła. W 1848 roku, kiedy z 4. batalionem przyszedłem do Moskwy i wstąpiłem do obozu, jakoś niedługo przyjechał tu też dowódca korpusu generał Timofiejew¹⁰⁵. Działo się to przed obiadem. Po lustracji obozu poszedł on do kuchni i w naszym batalionie zrobiła się straszna awantura. Przygotowana na obiad kasza gryczana okazała się ugotowana nie według przepisu generała. Nasi kucharze nie zdążyli jeszcze poznać tej jego mądrości. Generał wściekł się, komendantowi pułku i komendantowi batalionu porządnie się dostało. Wszystkich nas czterech dowódców odesłano do aresztu. Generał jeszcze długo pozostał w obozie. Ostatni przegląd wypadł pomyślnie, ale my dalej siedzieliśmy w areszcie. W drodze powrotnej do miasta generał zatrzymał się przy wartach i wezwał aresztowanych. Spokojnie przeczytał nam długi wywód i uwolnił nas z aresztu, nie wpisując tego do akt. Areszt ten, moje dzieci, był pierwszym i ostatnim w trakcie mojej służby; na inne kary nie naraziłem się.

Nasza służba w Borożnie była trudna. Słuchy o naszej kampanii dotarły do Moskwy, a generał Timofiejew oznajmił, że w sierpniu przeprowadzi przegląd pułku. Generał brygady Romanowicz¹⁰⁶ po ukaraniu podwładnych okazał się tchórzem przed zwierzchnikami. Podniósł taki rwetes, jakby czekał na straszny sąd. My wszyscy nie czuliśmy nóg, ponieważ nie było końca ćwiczeniom. W tym 1849 roku zostałem awansowany na majora, z przeniesieniem do ryckiego pułku piechoty naszej 18. dywizji. Termin przeglądu się zbliżał. Jeden z naszych starszych dowódców batalionu podpułkownik Kostylew okazał się niegodny, bo pił na umór. Przykazano mu zgłosić chorobę i przejść w stan spoczynku. Ja dostałem pod komendę 2. batalion. Romanowicz był zadowolony z moich posunięć, bo batalion doprowadziłem do porządku.

W końcu nadszedł dzień przeglądu. Timofiejew przyjechał w dobrym humorze. Pogoda była przepiękna, a wypucowany pułk błyszczał jak lustro i wszyscy gotowi byli na sukces. Ja i mój batalion otrzymaliśmy ze strony generała pochwały. Po zakończeniu przeglądu generał wezwał dowódców i oficerów i przedstawił swoje spostrzeżenia. Do mnie odezwał się życzliwie.

¹⁰⁵ Zob. przypis 93.

¹⁰⁶ Zob. przypis 102.

Przypomniano mu, że jestem tym porucznikiem, który zwrócił na siebie jego uwagę w Bogorodsku w 1843 roku. Generał stał się jeszcze bardziej uprzejmy i powiedział, że nigdy się nie myli. Romanowicz poprosił wtedy dowódcę korpusu, żeby zostawił mnie w pułku bielewskim jako użytecznego oficera sztabu, tym bardziej że był wakata na komendanta pułku. Ponowił swoją prośbę i generał zgodził się oraz polecił wystąpić z wnioskiem.

Byłem bardzo zadowolony ze zmiany, jaka mi się przytrafiła. W swoim pułku miałem mocną pozycję, co w nowym miejscu mogło być przecież nie wiadomo. Przyznaję, że nie oczekiwałem niczego dobrego, ponieważ opinia o ryskim komendancie była bardzo zła. W oczekiwaniu na polecenie komendanta korpusu zrobiłem sobie mundur pułku bielewskiego i żyłem spokojnie. Po przeglądzie korpusu kompanie poszły do różnych powiatów, a ja zostałem w sztabie w Borożnie.

W końcu października naszego dowódcę brygady Romanowicza awansowali na generała-lejtnanta, z mianowaniem na dowódcę 23. dywizji piechoty stacjonującej w mieście Orenburg. Przed wyjazdem generał wydał obiad, na którym i ja byłem. Wznoszono bardzo dużo toastów, wszyscy mówili jeden przez drugiego same uprzejmości do generała, ja nie byłem gorszy, a pobudzony winem powiedziałem: „Wasza Ekscelencjo, zawsze ceniłem i będę cenił Wasze do mnie dobre usposobienie, nie zapominajcie o mnie, tym bardziej że za wielkie szczęście poczytywałem sobie służyć pod Waszym dowództwem”.

Słowa te wypowiedziane były bez żadnego celu i w atmosferze libacji, tym bardziej że tego generała nie lubiłem i wszyscy bardzo się cieszyliśmy z powodu jego wyjazdu. Ale słowa te miały wielki wpływ na dalszy przebieg mojej służby, o czym napiszę w swoim miejscu.

Spokojnie żyłem w Borożnie do grudnia; sąsiedzi ziemianie przyjmowali nas z radością i częstowali wspaniałymi nalewkami. W początku tego miesiąca otrzymałem polecenie o skierowaniu mnie do swojego pułku, ponieważ rozkazu o przeniesieniu nie było. Wiadomość ta bardzo mnie zmartwiła i niewiele myśląc, pojechałem do sztabu ryskiego pułku do miasta Czernihowa.

Moje pierwsze spotkanie z nowym dowódcą pułku było nie za bardzo udane. Przybywszy do sali sztandarowej, zastałem tam wielu oficerów, ale dowódcy nie było. Po wejściu tłustego i ponurego starca zaczęło się oficjalne zapoznanie. Ja zjawiłem się ostatni. Pułkownik Lewicki, z uwagą obejrzawszy mnie, surowo powiedział: „Wam, panie majorze, z pewnością nie podoba się pułk ryski, pół roku nie zjawiliście się w nim, a po przybyciu nie raczyliście założyć jego munduru”.

Słowa te dotknęły mnie do żywego, było mi wstyd z powodu świadków, dlatego odpowiadając pułkownikowi, śmiało ale grzecznie powiedziałem: „Myślę, że na moje sympatie czy antypatie do pułku nikt nie będzie zwraca-

cał uwagi, a cała moja służba zostanie oceniona na podstawie dokonań. Pan, panie pułkowniku, powinniście być poinformowani drogą służbową o przyczynach mojego opóźnienia”. Audiencja zakończyła się, a ja bardzo niezadowolony wróciłem do domu. Od początku służby nieustannie odczuwałem nieprzychylność tego dowódcy pułku, ale nie pokazywałem po sobie, że mnie to niepokoi. Cały czas trzymałem się dumnie, a rozkazy wypełniałem z największą dokładnością.

W czasie świąt Bożego Narodzenia ze szpitala zakładu dobroczynnego, w którym pełniliśmy wartę, zbiegło dziewięciu ludzi; wszyscy byli ważnymi aresztantami. Zdarzenie to wywołało dużo szumu w mieście, rozeszły się też nieprzychylnie opinie o słabej dyscyplinie w pułku. Na podstawie rozkazu gubernatora Gessego¹⁰⁷ prowadzenie śledztwa zostało przekazane jego starszemu urzędnikowi, a od pułku został przydzielony delegat.

Nie wiem, na podstawie jakich danych pułkownik wyznaczył mnie jako delegata przy śledztwie, i przywoławszy mnie do siebie, uprzejmie poprosił, żebym wziął sobie do serca obronę pułku w poczuciu wielkiej odpowiedzialności. Początkowo, pamiętając pierwsze spotkanie, powiedziałem, że boję się podejmować takiego zadania, jako że nie jest on przekonany o mojej życzliwości do pułku. Ale w końcu zgodziłem się. Następstwo było i komiczne, i tragiczne zarazem.

Zakład dobroczynny był to ogromny, ogrodzony budynek. Było tam więcej niż osiemset łóżek, samych chorych aresztantów było ponad pięćdziesięciu i zajmowali oni pięć dużych izb. Miejsce nadzorcy zakładu było tłustym kąśkiem i wtedy stanowisko to zajmowała ważna figura, emerytowany major huzarów. Pierwszy krok każdego śledztwa to sporządzenie aktu o faktach zastanych po zdarzeniu. Po przybyciu do zakładu i obejrzeniu go na miejscu razem ze śledczym uznaliśmy za konieczne wezwanie ekspertów, a konkretnie majstrów – cieśli, stolarzy i ślusarzy. Kiedy wszyscy się zebrali, to okazało się, że są nimi znaczniejsi obywatele miasta. Skierowali się do sali szpitala, z której dokonano ucieczki. Wszyscy zajęliśmy się pracą. Nagle usłyszeliśmy gwizdy i lataninę. Pracownicy poszli w stronę drzwi. Chorzy wyskakiwali z pościeli i stawali na baczność w nogach łóżek. W drugiej sali usłyszeliśmy głośny stuk szabli i na koniec uroczystie wkroczyła majestatyczna postać z trójkątną czapą w rękę, której różnokolorowy pióropusz ciągnął się po podłodze. Człowiek ten, jak się później dowiedziałem, był gospodarzem, to znaczy nadzorcą. Uważnie przywitał się ze śledczym i ekspertami, nie zaszczyciwszy mnie choćby kiwnięciem głowy. Z powagą i głośno powiedział: „Wyobraźcie sobie, co za nieszczęsna nasza piechota, czterdziestu ludzi na

¹⁰⁷ Paweł Iwanowicz Gesse (1801–1880), od 1841 r. cywilny gubernator czernihowski, a następnie wojenny; od 1855 r. cywilny gubernator kijowski, od 1856 r. generał-lejtnant.

warcie nie mogło upilnować chorych aresztantów”. Krew napłynęła mi do głowy, ale opanowałem się i zwróciwszy do śledczego, zapytałem: „Czy ten wspaniały obywatel jest członkiem komisji prowadzącej śledztwo?”. Śledczy odpowiedział: „Nie, to jest nadzorca zakładu”. Zawrzałem jeszcze bardziej i ostro powiedziałem: „W takim razie poproście go, żeby poszedł won!”. Ton mojej wypowiedzi był stanowczy, śledczy zrozumiał, że może dojść do skandalu, dlatego uprzejmie poprosił go o oddalenie się, co też nadzorca niezwłocznie uczynił.

Po dokończeniu przeglądu i sporządzeniu aktu śledztwa rozeszliśmy się. Uznałem za konieczne przekazanie rezultatów dowódcy pułku. Poszedłem do niego, ale w gabinecie nikogo nie zastałem. Tylko z salonu usłyszałem rozmowę, a po wsłuchaniu zorientowałem się, że czytano tam szkic raportu do Jego Cesarskiej Mości o ucieczce aresztantów. W raporcie, żeby wybronić żołnierzy, wdano się w bardzo szczegółowe objaśnienia, polegające na tym, że podłoga była przewiercona od piwnicy, czyli z dołu. Z piwnicy sprawcy przedarli się przez dymnik, który nie był zabezpieczony kratą. Ten szkic raportu był przedstawiony w celu korekty dyrektorowi tamtejszego gimnazjum, przebywającemu z wizytą u Lewickiego. Słyszałem, jak poprawiano styl, ale sedno raportu nie zmieniło się.

Długo czekałem na wyjście pułkownika. W końcu po odprowadzeniu gościa i pozostaniu z adiutantem i audytorem zawołał mnie. Na pytanie, co dobrego mogę powiedzieć, odpowiedziałem, że dzisiaj razem z ekspertami sporządziliśmy protokół, który będzie przeczył treści usłyszanego przeze mnie meldunku. Lewicki bardzo się zachmurzył i spytał, dlaczego. Ja spokojnie odpowiedziałem, że śledztwo wykazało, że otwór był zrobiony od góry, a dokładnie ze szpitalnej sali. Lewicki wściekły podskoczył do mnie i z pianą na ustach krzyczał: „To tak wy panie majorze spełnacie moje prośby? Jeśli drogi wam jest honor pułku, to powinniście umieć go bronić i tak poprowadzić śledztwo, żeby podłoga była przewiercona od dołu”. Ustąpiłem, chociaż krew się we mnie burzyła, i powiedziałem: „Proszę Panie Pułkowniku mówić do mnie spokojnie. Co się stało, wiemy wszyscy, a jak i w jakich okolicznościach dokonano ucieczki, wykaże śledztwo, dlatego protokół, powinien być prawidłowy. Zgadzacie się z tym, że jeśli nie wszyscy, to chociaż część aresztantów zostanie pojmana i już pierwsze ich zeznania wykażą, jak i w jakich okolicznościach dokonali ucieczki. Przypuśćmy, że w sporządzonym przez nas protokole wykażemy, że podłoga była przewiercona od dołu; zeznania aresztantów nie potwierdzą jednak tych danych. Będzie trzeba wyszukać osoby, które zgodziłyby się zeznać, że podłogę przewiercono od dołu, ale takich nie znajdziemy, ponieważ fakty wyglądały inaczej. Jednym zdaniem, czy opłaca się wam przekręcać i fałszować fakty? Obiecałem wam bronić honoru pułku i mam nadzieję, że to zrobię, ponieważ zebrane przeze mnie

dowody przekonują mnie o niewinności warty; z aresztantami uciekł też felczer szpitala”.

Powiedziawszy to wszystko, stwierdziłem, że wyrządzono mi obrazę. Powiedziałem: „Lepiej będzie, panie pułkowniku, jeśli sprawę tę polecicie bardziej doświadczonej i godnej osobie, tym bardziej że rozstroiło mnie to nerwowo i jutro nie będę w stanie wyjść z pokoju. Skłoniwszy się, wyszedłem zdenerwowany i zmartwiony”.

Złość męczyła mnie, nie mogłem zjeść obiadu, długo zastanawiałem się i rozmyślałem. Na koniec napisałem raport o chorobie i przekazałem go przez Griszę do kancelarii. O godzinie siódmej wieczorem zjawił się ordynans i powiedział, że dowódca pułku prosi mnie do siebie. Przekazałem mu, że jestem chory i nie mogę się zjawić. Wkrótce ten sam ordynans przyniósł list od Lewickiego, w którym ten uprzejmie prosi o przybycie do niego, przysyła swoje sianie, nie muszę się stawiać w mundurze. Pierwszą moją myślą było niejechać, ale przemyślawszy wszystko i owinąwszy się szalem, pojechałem.

Lewicki zaprosił mnie do gabinetu, gdzie siedział sam przy samowarze, spotkanie było całkiem przyjemne. Poprosił, żeby usiąść, proponował herbatę. Podobnych uprzejmości u niego dotychczas nie widziałem. Długo nie poddawałem się i trzymałem dumnie, choć uprzejmie i z szacunkiem.

Należy sądzić, że Lewicki zmienił zdanie na temat wyników śledztwa, ponieważ zgodził się z moimi argumentami i w końcu poprosił, żebym wycofał raport o chorobie i kontynuował rozpoczęte dzieło. Długo nie ulegałem temu przebiegłemu człowiekowi, doznane od niego obrazy ciężko leżały mi na sercu. Przewidując sukces, w końcu ustąpiłem i zgodziłem się.

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Ministerstwo Wojny zwróciły baczna uwagę na sprawę ucieczki aresztantów. Według ich zarządzenia nakazano prowadzić śledztwo w obecności żandarmskiego sztabsoficera. Lewicki bardzo się wystraszył. Uprzejmość jego wobec mnie zwiększyła się jeszcze bardziej. Do mojej dyspozycji wyznaczono powóz, abym mógł informować go o postępach śledztwa. Nalegał też, abym jadał u niego obiady. Czekał nawet na mnie z tymi obiadami do godziny szóstej wieczorem.

Pułkownik żandarmerii okazał się pracowitym i rzetelnym człowiekiem. Wszystkie zawilości szpitalnej administracji wyszły na wierzch. Nadzorca przycichł i jak diabeł kręcił się koło mnie. Próbował przekupić mnie wielką łapówką, a ponieważ zauważył, że porządnie go przycisnąłem, to dochodziło do wielu komicznych scen. Kiedy odbywały się posiedzenia komisji śledczej, od nadzorcy otrzymaliśmy jakąś odpowiedź, gdzie on podpisał się jako asesor kolegialny. Zapytałem pułkownika, od kiedy zezwolono miejskim urzędnikom na noszenie wojskowych mundurów. Odpowiedział, że takiej decyzji nie było. Przemilczając to, nieco żartobliwie poprosiłem pułkownika o zwrócenie uwagi na nadzorcę, ponieważ od hałasu jego szabli i kolorowego pióropusza nie

mogę się skupić i bezstronnie zajmować zadaniem. Pułkownik, zaśmiawszy się, powiedział: „Wy naiwnie przypominacie mi o moich obowiązkach. Do tego obywatela w jego huzarskim mundurze dawno przywykliśmy. Ale to już prawie rok, jak stał się urzędnikiem państwowym, ale o zmianie munduru chyba zapomniał. Przyznaję, że nie zwróciłem na to należytej uwagi, lecz proszę się nie niepokoić, jeszcze dziś zgłoszę to gubernatorowi”. Doszło do bardzo śmiesznej sceny, kiedy wkrótce po tym poproszony na nasze obrady nadzorca zjawił się z dyndającą, maleńką, nie więcej niż dwie ćwierci szpadką.

Do świąt śledztwo się zakończyło. Niewinność warty została udowodniona, uwolniono ją z aresztu, a na to miejsce dostał się „dzielny” huzar – nadzorca. Zadowolenie Lewickiego było pełne. Podejrzliwość jego zakończyła się i odtąd stał się moim przyjacielem, choć ja nie całkiem mu ufałem i zawsze miałem się na baczności. Był to dzielny gospodarz, ale bezwzględność i chciwość tłumiła jego dobre cechy. Jego życzliwość dla mnie skłaniała go do zwierzeń. Byłem wtajemniczony we wszystkie jego rodzinne i finansowe sprawy. Nierzadko mówił, jaki by był szczęśliwy, jeśliby miał takiego zięcia. Tak jak ja, tak i jego starsza córka otrzymała wykształcenie również w Moskwie¹⁰⁸. Wiele razy woził mnie do instytutu i rozumiałem, że Lewicki planował mnie na zięcia. Pozostałem jednak zupełnie spokojny i nie uległem pokusom – o porządnej dziewczynie i jej sporym posagu.

Śledztwo poprawiło moją pozycję w ryskim pułku. Dzięki dowódcy otrzymałem lepsze mieszkanie i miałem lepsze wyżywienie. W Czernihowie miałem wielu znajomych, często bywałem u gubernatora, wiele dobrych domów było dla mnie otwartych. Jednakże nadal byłem młodszym oficerem sztabu i otrzymywałem uposażenie wysokości trzystu trzydziestu sześciu rubli na rok. Oszczędności miałem nieduże. Konieczność przyzwoitego życia i utrzymywania pary koni wymagały wydatków. Kiedy odwiedzałem majątne domy w Czernihowie, często otrzymywałem zaproszenia do udziału w grze wist-preferans. Odmawiać byłoby niezręcznie, więc grałem. Dobrze, że szczęście mi dopisywało i często wygrywałem. Dzięki temu nie tylko nie narażałem się na wydatki, lecz przeciwnie.

Na lato 1850 roku pułk udał się do obozu pod miastem Kozielsk czernihowskiej guberni, gdzie zebrała się nasza 18. dywizja piechoty. Według rozkazu dowódcy dywizji oddelegowano mnie do założenia i zbudowania obozu. Władza w Kozielsku pokazała mi ogromny obszar ziemi ornej. Tu miały być nasze mieszkania. Postój był żałosny; w upały – zaduch nie do wytrzymania, a w deszcz – błoto po kolana. Wielu dostało strasznej febry, niektórzy z nas odeszli na zawsze.

¹⁰⁸ Pomyłka Skolimowskiego, uczył się bowiem w Petersburgu.

Po zakończeniu obozowania we wrześniu cała dywizja wróciła do Rosji na swoje stare kwatery. Pułk ryski skierował się do miasta Wiaźma w guberni smoleńskiej. Przy pierwszym wejściu do guberni czernihowskiej, która była obszarem wolnej sprzedaży wina¹⁰⁹, miało miejsce dziwne i niezrozumiałe dla mnie zjawisko. Nasze wojsko, nie tylko żołnierze, ale i oficerowie, oddawali się straszniemu pijaństwu. Zauważyłem, że pijaństwo było tu większe niż w wielkoruskich guberniach, gdzie utrzymywała się drożyzna gorzałki. W guberni czernihowskiej cena gorzałki była niska i każdy małoruski kozak mógł jej mieć do woli. W drodze powrotnej pijaństwo rozhułało się na nowo. Wojsko tak gorliwie żegnało się z odchodzącą rozkoszą, że znowu padły ofiary.

W Wiaźmie staliśmy niedługo, bo już w listopadzie odwołano nas do Moskwy w celu wzmocnienia warty. Pierwszą zimę w Moskwie spędziłem całkiem przyjemnie. Służba nam zanadto nie ciążyła, Lewicki był dla mnie dobry, utrzymanie w stolicy całkiem przyzwoite, więc żyłem spokojnie. Na wiosnę 1851 roku wróciłem do Wiaźmy i spędziłem tam lato i zimę. Wiodłem spokojne życie, miałem dużo znajomości i nie zauważyłem, kiedy mijał czas.

Był w naszym pułku dowódca batalionu podpułkownik Afanasij Filipowicz Erenkrejc. Ten już niemłody człowiek miał bardzo nieprzyjemny stosunek do dowódcy pułku Lewickiego. Wszystko, co pasowało Lewickiemu, nie odpowiadało Erenkrejcowi. Z tego właśnie powodu podpułkownik nienawidził mnie i stosunki nasze były ciągle napięte.

Zimą z 1851 na 1852 rok obaj kwaterowaliśmy w Wiaźmie, obaj bywaliśmy w tych samych domach, często graliśmy w karty, przez co lepiej się poznaliśmy. Zaczęliśmy się wzajemnie odwiedzać i niezauważalnie nasze poglądy i przekonania poczęły się zbliżać. Odwiedziny stały się częstsze, przez co i nasza sympatia rosła. I tak na koniec zimy okazało się, że jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.

Tenże Afanasij Filipowicz opowiedział mi, że w powiecie juchnowskim mieszka jego krewny, który zarządza ogromnym majątkiem księcia Jusupowa¹¹⁰. Jedna z jego trzech córek jest zaręczona z podkomorzym juchnowskim, druga na wydaniu, a trzecia jest na pensji w Moskwie. Mówił, że to bardzo porządna rodzina, że często u nich gościł i zawsze czuł się jak w domu. W trakcie przyjacielskich pogawędek namawiał mnie bardzo, abym ożenił się

¹⁰⁹ Zapewne konsumowano nie wino, tylko spirytualia. W guberni czernihowskiej nie obowiązywał przymus propinacyjny, tj. koncesjonowana produkcja i sprzedaż alkoholu.

¹¹⁰ Książę Nikołaj Borisowicz Jusupow (1827–1891). Ostatni z męskiej linii książąt Jusupowych. Od 1862 r. był zastępcą dyrektora biblioteki publicznej w Petersburgu. Jednak z uwagi na zły stan zdrowia i z powodów rodzinnych większość czasu przebywał zagranicą. Zmarł w Baden, pochowany został w Petersburgu.

ze średnią córką Anną. Wychwalał pod niebiosa jej zalety i zapraszał, abym z nim do nich pojechał.

Znając dobrze nasze żołnierskie życie i będąc teraz bardziej rozsądnym, śmiałem się z propozycji Erenkrejca i nie zgodziłem się na jego propozycję wyjazdu do krewnych; po pierwsze dlatego, że było tam daleko, a po drugie, nie chciałem odgrywać roli narzeczonego.

W tym czasie ulubieniec Erenkrejca, nasz pułkowy kwatermistrz Rakitin został awansowany do sztabu. Kapitan, przejąwszy kompanię od protegowanego, udał się do powiatu juchnowskiego, gdzie razem ze sztabem batalionu pojechał też Erenkrejc. Rakitin jako bliski sąsiad zaczął często bywać w domu krajana Afanasija Filipowicza, pana Suskiego. Dzięki rekomendacji Erenkrejca przyjęcie wypadło bardzo dobrze, a Rakitin, jako młody żołnierz, nie mógł nie zakochać się w średniej córce gospodarza Anecie¹¹¹. Erenkrejc podtrzymywał miłość, wychwalał zalety córki i położenie ojca, a temu ostatniemu wychwalał zalety Rakitina.

O tym wszystkim wiedziałem od samego zakochanego, który często przyjeżdżał do sztabu pułku, gościł u mnie i opowiadał o swoich przygodach miłosnych. Mówił mi, że chciałby się wkrótce oświadczyć, ale obawiał się, że nie otrzyma zgody i błogosławieństwa od swojej matki, ponieważ jego przyszła narzeczona jest katoliczką.

W 1852 roku w Moskwie zaplanowano obchody [dwudziestopięcio]lecia panowania cara Mikołaja Pawłowicza¹¹². Według planów, nasz korpus od czerwca miał stacjonować pod Moskwą. Wkrótce po tym rozboliła mnie noga. Stopniowo bóle się zwiększały. Cierpiałem strasznie, straciłem apetyt i sen, schudłem i wyglądałem jak szkielet. Nasz pułkowy lekarz, doktor Malinin, mój dobry przyjaciel i wspaiały lekarz, pomagał jak umiał, ale poprawy nie było. Wydatki na lekarstwa były duże, przeleżałem dłużej niż miesiąc, a w tym czasie pułk wyruszył do Moskwy. Aby nie pozostać samemu, doktor radził, żebym udał się do szpitala moskiewskiego. Po otrzymaniu zezwolenia, skręcając się z bólu, ze swoimi ludźmi i na swoich koniach pojechałem do Moskwy. Nigdy nie zapomnę tych cierpień, jakich zaznałem podczas podróży.

Będąc w szpitalu od połowy maja prawie do sierpnia, leczono mnie na reumatyzm. Mogłem leżeć tylko na prawym boku. Zrobiły mi się odleżyny, które paliły jak ogień, całkowicie straciłem apetyt i sen, przez co cierpienia były piekielne. Opiekujący się mną doktor Diemid Michajłowicz Sołncew poświęcał mi bardzo dużo uwagi. Któregoś dnia uznał, że trzeba mnie dokładnie przebadać. Rozebrali mnie do naga, oglądali i obmacywali, a cierpieniom moim nie było końca. Oznajmili mi, że zaczął się budować wrzód na plecach

¹¹¹ Autor, pisząc o żonie, używał wymiennie imion Anna i Aneta.

¹¹² Pomyłka Skolimowskiego; obchody były w 1850 r.

i musi się zmienić sposób leczenia. Rzeczywiście, cała prawa połowa ciała, zaczynając od pachy, prawej nogi, po prawy bark, spuchła i rozděła się, a pozostałe części ciała to była skóra i kości.

Na początku września podczas głównej konsultacji doktor Fel zalecił przeciąć wrzód, ale ja już prawie umierający, odmówiłem, myśląc, że on sam w końcu pęknie, tym bardziej że felczer mówił mi, że dziesięć lat temu w szpitalu był kapitan z takim samym wrzodem i że on sam mu pękł.

W końcu we wrześniu w Moskwie zaczęły się uroczystości [dwudziestopięcio]lecia i przybył cały Najwyższy Dwór. Nie wiem z jakiej przyczyny lekarz Ich Wysokości doktor Mant dokonywał przeglądu szpitala. Przygotowań i krzątaniń było dużo. W końcu ta znakomitość z ogromną asystą lekarzy weszła do mojej sali. O mojej chorobie powiedziano mu już wcześniej, bo była to przypadłość niezwykła i zdaje się bardzo go to zainteresowało. Zbliżywszy się do mojego łóżka, Mant bardzo grzecznie poprosił mnie o zgodę na zbadanie i ja zgodziłem się. Obmacywali i oglądali mnie bardzo długo, strasznie przy tym cierpiałem. Potem Mant dał mi coś do powąchania i zaczął wyjaśniać, że mówiono mu, iż nie pozwalam przeciąć wrzodu w nadziei, że on sam w końcu pęknie. On sam w to nie wątpi, ale prosi, żeby zrozumieć, że zewnętrzna ściana wrzodu jest nieporównywalnie grubsza od wewnętrznej i dlatego łatwo dojść może do tego, że pęknięcie nastąpi w środku i wtedy śmierć jest pewna. Odpowiedziałem na to, róbcie, co chcecie, ja już i tak ledwo żyję.

Odwrócili mnie na prawy bok, co już spowodowało straszne cierpienie. Zaciśnąłem koszulę w zębach i zaczęło się cięcie żywego ciała. Operację przeprowadził doktor Hildebrand. Nacięcie zrobili na grzbiecie w samych łędźwiach. Wrzód operowali powoli, naliczyłem szesnaście cięć. Początkowo wytrzymywałem spokojnie, ale pod koniec piszczałem jak mysz, bo ze słabości straciłem nawet głos. Na koniec poczułem opatrunek i słyszałem, jak łała się materia, której było bardzo dużo. Po zakończeniu operacji i zrobieniu opatrunku po raz pierwszy mogłem się położyć na dowolnym boku i to przyniosło mi niewypowiedzianą radość. Wkrótce poczułem wielką chęć, żeby się napić piwa, na co doktorzy zezwolili. Do tej pory pamiętam rozkosz, którą poczułem, kiedy wypilem pierwszą szklanekę piwa. Chwyciłem się jej jak jakiegoś zbawienia i uważałem, żeby nikt mi tego szczęścia nie odebrał.

Dziura po wrzodzie była tak wielka, że dla przemywania dwa razy na dobę wlewali tam wielką ilość wody z wielkich szpitalnych kubków. Oczyszczanie wrzodu było tak wielkie, że nie tylko pościel, ale i piżamę zmieniałem kilka razy na dobę.

Mój powrót do zdrowia następował powoli, ale pomyślnie. Był to jeden z lepszych okresów mojego życia. Stan ducha, apetyt i sen były znakomite. W sumie mogę powiedzieć, że szpital pozostawił we mnie miłe wspomnienie.

nia. Doktor Sołncew był dobrym nie tylko lekarzem, ale i człowiekiem. Jego współczucie czyniło lżejszą nie tylko chorobę, ale i poprawiało samopoczucie. Felczer i dwaj prości żołnierze dbali o mnie jak o członka rodziny, a ja nie mogłem się im odwdzięczyć tak, jak na to zasługiwali.

Sześć tygodni po operacji moja rana zagoiła się, noga też się poprawiła. Mogłem już chodzić o kulach. Przebywanie w szpitalu zaczęło mi się już nudzić, niewola i formalności uprzykrzyły mi się tak, że postanowiłem się wypisać.

Nasz pułk latem kwaterował w obozach, a na zimę przeszedł do koszar. Odległość tych miejsc od szpitala była ogromna. Kilka razy w pułku rozchodziły się słuchy o mojej śmierci, dlatego też mój powrót został przyjęty z radością. Od razu mnie odwiedzili Lewicki, Malinin, Erenkrejc i inni towarzysze. Moi ludzie przygotowali bardzo wygodne mieszkanie, środki do życia były, samopoczucie – wspaniałe, dlatego do pełnego wyzdrowienia za bardzo nie tęskniłem.

W tym czasie otrzymałem formalne zawiadomienie o tym, że generał Romanowicz¹¹³ wnioskuje o przeniesienie mnie do 23. dywizji piechoty, dlatego też dowódca korpusu zapytał mnie, czy zgadzam się na to przeniesienie. W ślad za tym otrzymałem uprzejmy list Romanowicza, z podobną propozycją i kuszącymi obietnicami. Wyobrażając sobie moje położenie w armii bez perspektyw, powiązane z uciążliwościami cygańskiego życia, i mając na uwadze osiadłe życie zawsze w jednym miejscu w liniowych batalionach orenburskich, gdzie obiecano mi stanowisko dowódcy na prawach dowódcy pułku, nie zastanawiałem się długo i wyraziłem zgodę.

W tym czasie do Moskwy przyjechał krewny Erenkrejca pan Suski¹¹⁴. Będący u mnie Rakitin opowiedział mi, że jego miłość skończyła się niczym, chociaż dziewczę mu się podobało, bo to rzeczywiście stworzenie dobre, ciche i skryte, ale ojciec niczego konkretnego na temat posagu nie mówił. Dlatego też on bardzo grzecznie zamknął sprawę, biorąc pod uwagę i to, że matka nie pozwoli mu ożenić się z katoliczką. Wszystko opowiedział mi również Erenkrejc, tylko z dodatkami.

Wkrótce oczekiwane przeniesienie mnie do wojsk orenburskich ożywiło w mojej głowie całkiem nowe myśli, plany, nadzieje i życzenia. W przyszłości moje życie przedstawiać się miało jako całkowicie zabezpieczone. Do tej

¹¹³ Zob. przypis 102.

¹¹⁴ Pewne ślady pochodzenia tej rodziny prowadzą do ziemi przemyskiej, gdzie w XVIII w. mieszkali Suscy herbu Pomian, m.in. Franciszek i jego synowie: Ludwik, Jan i Franciszek; *Herbarz Polski Kaspra Niesieckiego S. J.*, t. 8, Lipsk 1841, s. 570–571; RGIA, f. 1343, op. 51, d. 607, cz. 3, k. 505v. Wpis pochodzi z 1837 r. i dotyczy całej rodziny Suskich. Stąd należy wnosić, że wcześniej znaleźli się w granicach Imperium Rosyjskiego w wyniku własnych lub politycznych decyzji. Suscy byli rodziną katolicką.

pory służba była samodzielna, ale nie prowadząca do niczego w przyszłości. Miałem 34 lata i samotność dawała mi się odczuć. Jeśli zostałbym jak dotychczas w armii, to ożenek nigdy nie mógł być brany pod uwagę, a z drugiej strony przyszłość i życie też wymagały założenia rodziny.

Kiedy doszedłem do takiego wniosku, zjawił się u mnie Erenkrejc. Nasza rozmowa koncentrowała się na moim przeniesieniu. Mówił, że zazdrości mi, gdyż z moją wiedzą i gorliwością w służbie mogę oczekiwać na coś trwałego. Na koniec radził, żebym się ożenił i wtedy stanę się poważnym i przyzwoitym dowódcą.

Jego słowa były podobne do moich myśli. Rozmowa przeciągała się. Erenkrejc często i zręcznie kierował rozmowę na swoją ulubioną krewniaczkę Aneczkę. Wychwalał jej serce, rozum, skromność i dobroć. Mówił, że z jego opowiadań wszyscy mnie już dawno znają.

Te spotkania, jak i sama moja sytuacja, coraz bardziej utwierdzały mnie o konieczności ożenku. Odkładanie decyzji do czasu wyjazdu do Orenburga uważałem za niewłaściwe. Lata mijały, poza tym nie chciałem żyć blisko z rodziną żony, bo wpływy krewnych zawsze szkodzą szczęściu małżeńskiemu. Żadna ze znajomych dziewcząt nie zawładnęła moim sercem. Dużo bardzo dobrego o Annie Suskiej słyszałem i od Erenkrejca, i od Rakitina, dlatego też jeszcze nie znając jej, często w myślach zastanawiałem się nad tą dziewczyną.

W takiej zadumie zastał mnie Erenkrejc i powiedział, że przyjechali Suscy. Zaprosił, żeby do nich pojechać. To było wieczorem, ja wymawiałem się, uważając pierwszą wizytę za niezręczną. On nalegał, wyjaśniając, że jako chory zachowam się jak najbardziej na miejscu, okazując zainteresowanie. Chociaż w tych wywodach nie było większej logiki, to sam czując pragnienie, żeby pojechać, zgodziłem się w końcu i wyruszyliśmy.

Mile i drogie dzieci! Był to pierwszy krok w zbliżeniu do waszej mamy. Ta minuta zostanie na zawsze w mojej pamięci. Miłość Boga do mnie była większa od moich zasług, Jego święta wola niewidzialnie poprowadziła mnie do szczęścia, co doceniłem dopiero później.

Wasz dziadek Franciszek Suski syn Józefa¹¹⁵ przyjechał do Moskwy, by odebrać z pensji pani Sewenard swoją najmłodszą córkę, waszą ciotkę Faustynę. Z nim przyjechała wasza mama Anna. Siostra Julia była już żoną juchnowskiego podkomorzego Akinfija Nikołajewicza Pożniakowa¹¹⁶ i pozostała w domu.

¹¹⁵ Skolimowski używał rosyjskiej formy Franc Osipowicz Suski. W dalszej części pamiętnika używamy jednak polskiej wersji imion Suskiego. Zwrot ten świadczy ponadto o dystansie, z jakim Skolimowski traktował teścia.

¹¹⁶ Akinfij Nikołajewicz Pożniakow pełnił funkcję podkomorzego (ros.: стряпчий), radca tytularny; *Памятная книжка смоленской губернии на 1855 год*, Смоленск 1855, s. 85–86.



7. Mapa guberni smoleńskiej. 1855 rok

Mimo dobrego nastawienia, byłem bardzo wzburzony. Chciałem zebrać w pamięci wszystko, co słyszałem o rodzinie Franciszka Suskiego, ale nie miało to żadnego sensu. O Annie, jego córce, celu mojej wyprawy, mimo usilnych starań nie mogłem zebrać żadnych konkretnych informacji. Znający ją i jej dobre cechy nie mogli odmówić pochwał, ale w poglądach nie byli

zgodni. Nie wiem dlaczego, spodziewałem się spotkać prawdziwą piękność. W takich to nastrojach podjechaliśmy pod hotel.

Franciszek Suski powitał mnie jak dawnego znajomego i zaczął ze mną rozmawiać po polsku. Wszystko to, a szczególnie usłyszane ojczyste słowa, bardzo przyjemnie na mnie wpłynęło. Rodzina siedziała przy herbacie, którą rozlewała mieszkająca u nich od dawna Zuzanna Iwanowna Perkowska, niezbyt młoda osoba. Przy stole siedziały dwie córki gospodarza. Pokłoniwszy się w milczeniu kobietom, usiadłem przy stole przy filizance herbaty [i] kontynuowałem pogawędkę z gospodarzem. Cała moja uwaga skierowana była na panny. Jedna z nich wyglądała jeszcze jak dziecko, prawdziwa pensjonarka. Jasnowłosa, z krótkimi kręconymi włosami, żywe srebro. Cały czas poże-
rała mnie swoimi bystrzymi oczami. Druga, trochę starsza, bardziej poważna, również często na mnie spoglądała, ale nie mogłem pochwycić tego spojrzenia. Domyśliłem się, że starsza panna, przedmiot moich zainteresowań, była trochę powyżej średniego wzrostu, miała około dwudziestu lat. Twarz nosiła ślady po ospie, nie była piękna, lecz sympatyczna i wyrażała dobroć oraz łagodność. Włosy miała płowe, splecione w ogromny warkocz. Od pierwszego spojrzenia wasza mama wywarła na mnie miłe wrażenie. Wszystko, co widziałem, pasowało do mojego gustu i wyobrażeń. Kiedy rozmowa stała się ogólna, zwróciłem się do dziewcząt, ale okazało się, że obie nie mówią po polsku, ponieważ jako malutkie dzieci przyjechały do Rosji. Kształciły się w Moskwie na pensjach i jak wy, drogie dzieci, nie znały ojczystego języka. Rozmowę kontynuowaliśmy po rosyjsku i Fosia od pierwszego słowa rozpoczęła ze mną wojnę. Tak miło paplała i dowcipkowała, że bardzo się ożywiłem i spotkanie nasze przeciągało się. Z waszą mamą rozmawiałem mało, nieustannie czerwieniła się i zawstydziała, ponieważ Erenkrejc wypaplał jej o celu mojego przyjazdu.

Żegnając się, otrzymałem bardzo uprzejme zaproszenie, żeby bywać częściej, kiedy będą w Moskwie, o czym cały czas przypominała Fosia wesołą i śmiałą paplaniną: „Przyjeżdżajcie do nas często, ja wyrwałam się z klatki i dlatego chcę wciąż rozmawiać, gadać i radować się”. Pożegnawszy się, zadowolony pojechałem do domu.

Franciszek Suski na drugi dzień zajechał do mnie i odtąd bardzo często u nich bywałem. Byliśmy wiele razy w teatrze i bardzo cieszyłem się z tej znajomości. Fosia nieustannie naprzykrzała się, śmiała z waszej mamy, mówiąc: „Ja nie będę taka jak siostrunia, będę się bawić i radować, a nie czerwienić i marzyć”. Wszystko to było, jak to u dziecka, bardzo miłe. Wasza mama podobala mi się i bardzo pasowała do ideału mojej przyszłej żony. Młoda, cicha, skromna i przy tym nie piękność, co jest bardzo ważne dla uczciwej żony i kochającej matki. Uczucia te nie były żarliwe ani namiętne; przeciwnie, byłem spokojny i dlatego mogłem solidnie ocenić i obmyślić mój plan.

O Franciszku Suskim słyszałem i dużo dobrego, i złego. Mówiono, że to dobry gospodarz, że usprawnił prowadzony przez niego majątek, że przejął środki żony i inne, ale mówiono także, że to człowiek surowy, zwyczajny skąpiec i że nie doszło do ślubu jego córki z Rakitinem, bo nie chciał obdarować jej czymkolwiek. Podobno przy wyjściu Julii za mąż doszło do bardzo nieprzyjemnej sytuacji, ponieważ Akinfij nie poszedł do ślubu, dopóki nie otrzymał obiecanych pięciu tysięcy. I miał romans ze wspomnianą krewniaczką Perkowską, z którą ma córkę, i wiele, wiele innych rzeczy. Wiedząc o swoim przyszłym, zabezpieczonym życiu, nie myślałem wcale o posagu, tym bardziej że nie mógł on być duży. Charakter teścia wcale mnie nie niepokoił. W końcu ożeniwszy się, wyjechaliśmy daleko, a ja nigdy nie chciałem mieszkać razem z nim, dlatego nie byliśmy jeden dla drugiego ciężarem. Wasza mama podobała mi się, a przyciągało mnie do niej głównie to, że była tej samej co ja wiary, która była we mnie bardzo zakorzeniona przez ukochanego stryja Rafała. Myślałem, że ożeniwszy się z waszą mamą, spełnię radę i wolę mojego dobroczyńcy. Dlatego też pomodliwszy się do Boga, przystąpiłem do sprawy.

Najpierw powiedziałem o tym Erenkrejcowi, ten zobowiązał się powiadomić Franciszka Suskiego, co też uczynił. Powiedział, że ten przed wyjazdem z Moskwy wpadnie do mnie i wtedy będziemy mogli się porozumieć. Rzeczywiście, Franciszek Suski przyjechał do mnie, żeby się pożegnać. Po różnych ogólnych uwagach, zacząłem temat. Początkowo mówiłem o czekającej mnie przeprowadzce. Objasniłem skutki tego dla mojej późniejszej służby i przewidywane środki na utrzymanie. Na potwierdzenie pokazałem list generała Romanowicza, a na koniec poprosiłem o rękę córki Anety. Franciszek Suski bardzo mądrze, uprzejmie i zrozumiale powiedział do mnie, że z tego wszystkiego, co sam widział i słyszał od ludzi zasługujących, by dać wiarę ich słowom, także od pułkownika Lewickiego, uważa mnie za człowieka pracy i honoru. Dlatego też jest mi wdzięczny za oświadczenia, nie mógłby życzyć sobie lepszego męża dla swojej ukochanej córki. Ponieważ jednak mam pojechać dwa tysiące wiorst i sam jeszcze nie wiem, jak potoczy się mój los, to ostatecznej zgody nie daje, prosi tylko, żeby najpierw wyjechać, zorganizować sobie życie, a wtedy zaczniemy wszystko od nowa. Zostawszy sam, początkowo nie byłem zadowolony z takiego zakończenia, ale potem znalazłem sens tego i pozostawiłem rozwiązanie czasowi i woli Bożej.

Zapomniałem napisać, że do 1845 roku stryj Rafał bardzo często do mnie pisał i informował mnie o zmianach, jakie działy się w ojczyźnie. Ale od tamtego czasu niczego od niego nie dostałem i nie wiedziałem, co się tam dzieje.

W połowie stycznia 1852 roku, kiedy zupełnie już wyzdrowiałem, otrzymałem rozkaz ze sztabu korpusu zawiadamiający o objęciu dowództwa oddziału. Został on skompletowany według woli Jego Wysokości z pułków 6.

korpusu piechoty w celu uzupełnienia 2. dywizji artylerii. Dowództwo jestem zobowiązany przyjąć, oddział umundurować i dostarczyć do Warszawy, gdzie należy go zdać w sztabie 2. korpusu piechoty. W tym celu powinienem pojechać do Petersburga, gdzie oddział stacjonuje pod okiem Jego Wysokości. Chociaż wykonanie tego rozkazu było bardzo kłopotliwe i niosło za sobą dużą odpowiedzialność, to było ono również pochlebne i zaszczytne. Przede wszystkim jednak byłem zadowolony z tego, że odwiedzę ojczyznę i spotkam się z rodziną.

Całe moje dowództwo strasznie się gorączkowało. Mający nastąpić przegląd Jego Wysokości spowodował w moim nowym oddziale taką gorliwość, że nie tylko ja, ale też moi oficerowie i żołnierze padaliśmy z nóg. Wszystko to jednak wykonałem pomyślnie i 4 lutego, wsiadłszy do wagonów Mikołajewskiej Kolei Żelaznej, pociągami pośpiesznym wyruszyłem do Petersburga. Wtedy kolej żelazna stanowiła rzadkość, była tylko jedna linia otwarta w listopadzie 1851 roku. Początkowe wypadki odstraszały ludzi od kolei. Moskiewskie plotkarki wymyślały różne nieprawdziwe historie, tak więc chętnych do przejażdżki nie było wielu. O nowo otwartej kolei opowiadali mi bardzo znaczący ludzie, fakt niepodlegający żadnej wątpliwości.

Kiedy oficjalnie zainaugurowano kolej żelazną, będący wtedy generał-gubernatorem hrabia Zakriewskij¹¹⁷ zebrał u siebie przedstawicieli wszystkich stanów w Moskwie i w pięknych słowach wyjaśnił, jakie dobrodziejstwa przynosi Moskwie nowa droga. Wszyscy zebrani odebrali słowa hrabiego jako bardzo słuszne i wtedy Zakriewskij przypomniał im, że za te dobrodziejstwa należy podziękować Jego Imperatorskiej Mości. W tym też celu należy wybrać delegację i wyprawić ją do Petersburga. Wszyscy zebrani powiedzieli, że pragną tego z całego serca i niezwłocznie to wykonają. Wkrótce przyszedł naczelnik, który doprowadził do tego, że delegację przygotowano. Niedługo po nim przybył oberpolicmajster i powiedział, że delegacja ma jechać dyliżansami. Hrabia strasznie się rozgniewał, nagadał mnóstwo nieprzyjemności naczelnikowi. Powiedział, że delegacja to straszne osły, pojechali dziękować za kolej, a nie raczyli sami się nią wyprawić. Wtedy za pomocą telegrafu nakazano im wrócić do Moskwy. W końcu posadzono tchórzę w wagonach pierwszej klasy i zawieziono do Petersburga.

Moja podróż jako coś całkiem nowego była bardzo przyjemna. Dla żołnierzy przygotowano wagony trzeciej klasy. Z powodu silnych mrozów podłogę wyścielono słomą. Dla nas oficerów nakazano przygotować wagon drugiej klasy, ale na nasze szczęście do Petersburga jechała z Moskwy salonka dworska i żeby nie powodować niepotrzebnej ciasnoty, przeznaczono ją dla

¹¹⁷ Hrabia Arsienij Andriejewicz Zakriewskij (1786–1865), od 1848 r. moskiewski generał-gubernator; C. B. Волков, *Генералитет*, t. 1, Москва 2009, s. 535.

nas oficerów. Podobna podróż to rozkosz, która nie jest dostępna dla każdego śmiertelnika. Wagon składał się z trzech pomieszczeń, pośrodku była salka, a na przeciwnych końcach dwie sypialnie. Oprócz tego waterklozet, pokój dla służby i mała galeryjka. Wszystko to ogrzewane i pięknie umeblowane. Podobnego salonu nigdy wcześniej nie widziałem. Ja, trzech oficerowie i doktor z początku baliśmy się ruszyć, żeby czegoś nie zniszczyć lub pobrudzić, ale uprzejmy konduktor powiedział, żeby nie przesadzać i czuć się jak w domu. Wygodnie rozmieściliśmy się i dwie noce naszej podróży spaliśmy bardzo wygodnie.

Do Petersburga przybyliśmy w tłusty czwartek, a w sobotę ruszyliśmy na przegląd Jego Imperatorskiej Mości. Przegląd odbywał się w marmurowej sali pałacu. Pięciuset moich żołnierzy ustawionych w szeregach nie zajęło nawet połowy jej powierzchni. Mikołaj Pawłowicz wyszedł do nas z wewnętrznych pokoi w surducie, bez broni i z odkrytą głową. Nigdy nie widziałem go w tak dobrym stanie ducha. Żartował, śmiał się i był bardzo zadowolony z doboru ludzi. Cały przegląd przeszedł nad podziw dobrze. Cesarz dużo ze mną rozmawiał i rozkazał poinformować dowódcę korpusu, że jest w pełni zadowolony z oddziału. Pytał żołnierzy, czy podobała im się podróż koleją żelazną. Kiedy wszyscy razem krzyknęli: „Pokornie dziękujemy Waszej Imperatorskiej Mości”, śmiejąc się, powiedział: „Do Warszawy jeszcze nie ma takiej drogi, ale maszerujcie w szyku, to dla żołnierza piechoty i zdrowe, i pożyteczne”.

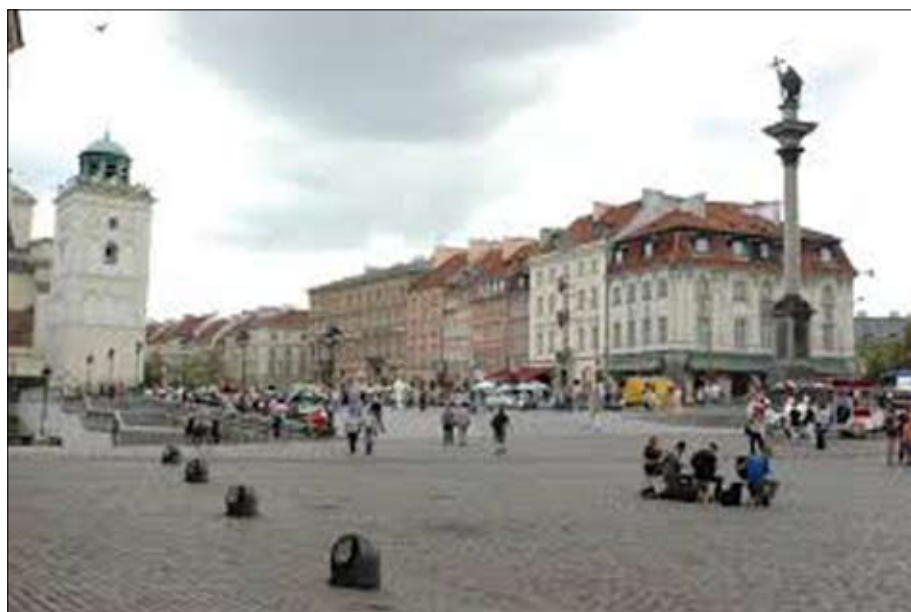
Do Warszawy wyruszyliśmy w piątek, w pierwszy tydzień postu¹¹⁸ i maszerowaliśmy do 8 maja. Marsz bardzo dobrą szosą był przyjemny, wiosenne roztopy nas nie zatrzymywały i przeszliśmy praktycznie suchą nogą. Napotykanie niedogodności umiałem pomyślnie rozwiązywać, tak że oddział przyprowadziłem zdrowy i należycie umundurowany. Po przybyciu feldmarszałek Paskiewicz¹¹⁹ dokonał przeglądu na placu pałacowym¹²⁰ i był z niego bardzo zadowolony. Podziękowaniom dla mnie nie było końca. Po odprawieniu oddziału i oficerów do obozu na Powązki zostałem w mieście, gdzie miałem przygotowaną kwaterę.

Dzieci moje kochane, gdybyście tylko wiedziały, jakie szczęście przepęliło moje serce, kiedy po odprawieniu żołnierzy i uspokojeniu krzątającej towarzyszącej przeglądowi zostałem wolny w moim rodzinnym i tak dobrze mi znanym mieście Warszawie. Po prostu umierałem z przejęcia. Swoje rzeczy odesłałem na kwaterę pod opieką Griszy, a sam po zapisaniu adresu kwatery siadłem do powozu i pojechałem oglądać dawno niewidziane, a tak dobrze mi znane miejsca. Warszawa pokazała mi się piękniejszą niż była, kiedy ją zo-

¹¹⁸ Prawdopodobnie chodzi o Wielki Post według kalendarza liturgii katolickiej.

¹¹⁹ Zob. przypis 36.

¹²⁰ Plac Zamkowy.



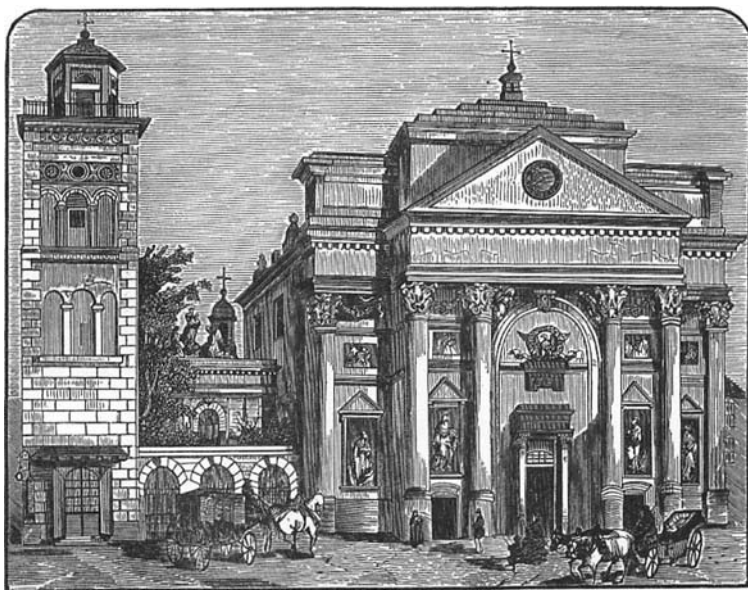
8. Plac Zamkowy w Warszawie

stawiałem w dzieciństwie. Jeździłem długo, podjechałem pod dom, z którego wyjeżdżałem do korpusu, ale było to już całkiem inne miejsce. Teraz mieściły się tu mieszkania prywatne; pomimo to jednak wszedłem do domu i byłem w tym korytarzu, po którym tak często biegałem. Chciałem zejść do kościoła, w którym kiedyś się modliłem, ale okazał się zamknięty¹²¹. Byłem całkowicie oczarowany i stare, już zapomniane wspomnienia cisnęły się w mojej głowie. Jednakże w drogich mi miejscach byłem zupełnie samotny i obcy wobec wszystkiego, co mnie otaczało. Bardzo to uciskało moje serce i niejedna łza spłynęła z moich oczu. W końcu zajechałem do znajomej restauracji i zjadłem obiad za dwadzieścia kopiejek srebrem.

Kwatera okazała się całkiem wygodna, mój Grisza przygotował wszystko porządnie i zacząłem spokojnie mieszkać. Ludzi wkrótce przekazałem generał[owi]-lejtendantowi 2. dywizji artylerii Sierżputowskiemu¹²², człowiekowi

¹²¹ Kościół św. Anny przy Krakowskim Przedmieściu.

¹²² Adam Osipowicz Sierżputowski, dowódca 2. dywizji artylerii; C. B. Волков, *Генералитет*, t. 2, s. 481–482. Adam Sierżputowski (zm. 2 kwietnia 1859), generał-lejtendant. Pochowany został na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie. Jego pogrzeb, na którym obecny był książę namiestnik Iwan Paskiewicz, opisał Stanisław Szenic; S. Szenic, *Cmentarz Powązkowski*, s. 101.



9. Kościół pw. św. Anny w Warszawie

dobremu i łagodnemu. Dostałem bardzo dobre zaświadczenie, za które miałem nadzieję otrzymać od Najjaśniejszego Pana nagrodę odpowiadającą rocznemu uposażeniu.

Będąc zupełnie już wolnym, zacząłem się dowiadywać, czy nie ma kogoś znajomego. Zupełny przypadek spowodował, że natknąłem się na Franciszka Brzozowskiego, byłego wychowanka stryja Rafała i mojego dalekiego krewnego. Radości i zadowoleniu nie było końca; on opowiedział mi o moich krewnych.

Stryj Rafał umarł jeszcze w 1847 roku¹²³ i został pochowany na cmentarzu Powązkowskim. Szczegóły jego śmierci były całkiem tajemnicze. Rozmawialiśmy dużo, bo i było o czym rozmawiać. Jadąc do obozu w sprawach służby, zatrzymałem się koło cmentarza, żeby pomodlić się za duszę stryja Rafała. Cmentarz na Powązkach to piękny park, mający dużo cienia i kwiatów. Cały cmentarz jest poprzecinany szerokimi alejami, wszędzie ławeczki, w kwaterach śliczne pomniki. Jest to piękna pamiątka śmierci. Podchodząc do bramy, zobaczyłem szacownego starszego pana, odźwiernego. Nie spodziewając się odpowiedzi, zapytałem, czy nie wie, gdzie został pochowany ksiądz Skolimowski. Staruszek, pokłoniwszy się, powiedział: „Czy nie przypadkiem

¹²³ Stryj Rafał zmarł w 1848 r.

Rafał Skolimowski, profesor Akademii?”. I kiedy dowiedział się, że to on, zaczął mówić: „Jak można nie wiedzieć, gdzie jest pochowany książdź Rafał. Odprowadzała go do grobu prawie cała Warszawa”. Został pochowany w katakumbach, do których mnie teraz zaprowadził.

Przeczytawszy napis na płycie, oniemiałem z szacunku dla mojego kochanego dobroczyńcy. Kiedy zostałem sam, długo modliłem się i płakałem jak dziecko, wspominając tego dobrego człowieka – mądrego i z całej duszy kochającego każdego bliźniego. Długo spacerowałem po cmentarzu, wspominając młodość i dawno minione lata.

Odnalazłem w Warszawie Sylwestra Stępkowskiego, tego samego, który straszył mnie staruchą na moście i który tak bardzo się ze mną wygłupiał. Żył mu się bogato na wsi, a przyjechał pozalać różne sprawy i bardzo się ze spotkania ze mną ucieszył. Rozmów i wspomnień było dużo, pozostał cały czas takim wesołkiem. Mówił, czy można sobie wyobrazić, żeby taki smarkacz i beksta był takim dzielnym majorem. Wciąż zapraszał mnie do siebie na wieś. Miał bardzo dużo dzieci i żył sobie dostatnio. Nie mogłem do niego pojechać, za to ugościłem go sławnym węgrzynem, którego jeszcze nigdy nie próbowałem i od którego obaj porządnie się upiliśmy.

Odnalazłem jeszcze Wenanta Lipińskiego, guberniera mojego u stryja Rafała. Jego los nie był już taki udany. Zajmował się udzielaniem prywatnych lekcji. Nie mógł mieć stałej pracy, ponieważ był pod dozorem policji. Miał bardzo dobrą i uczciwą duszę, dużo rozmawialiśmy i rozmyślaliśmy.

Żeby pojechać w swoje rodzinne strony, poprosiłem o dwa tygodnie urlopu i razem z Brzozowskim, którego siostra była żoną burmistrza miasta i mieszkała w Mordach, pojechałem do Skolimowa-Wojnowa. W Siedlcach spotkałem Ignacego Nowosielskiego, który był tam adwokatem. Miał teraz rodzinę i żył całkiem bogato. To mój bliski krewny i dawny gubernier. Przyjął mnie po przyjacielsku i całym sercem. Dowiedziałem się wszystkiego, co wydarzyło się pod moją nieobecność, i chwalić Boga nie było to nic złego. Jedynie śmierć stryja Rafała bardzo mnie zasmuciła; z jaką radością spotkałbym się z nim. A i jego zachwyt, gdyby mnie ujrzał majorem, byłby nieopisany.

Z Siedlec wyjechaliśmy niezbyt wcześnie i chociaż miałem pocztowe konie, to z powodu bardzo złej drogi do Wojnowa zajechaliśmy dopiero o północy. O moim pobycie w Warszawie i zamiarze przyjazdu do Wojnowa moja siostra Agnieszka była przeze mnie powiadomiona. Trąbka pocztowa rozbrzmiewała głośno na całą naszą wieś, psy zaczęły strasznie ujaść. Cała służba powyśkakiwała, a dowiedziawszy się, kto przyjechał, wszyscy spieszyli powitać mnie jako dawno oczekiwanego gościa. Wybiegł i Karol Raczyński, a za nim kochana moja Agnieszka. Ona stała ze świecą, ale zobaczywszy mnie krzepkiego, zdrowego i z wieloma odznaczeniami, rzuciła się do domu, bo była prawie rozebrana. Ja zostałem w ciemnościach i zacząłem krzyczeć: „Agnieszko,

to ja, twój brat Bonus””. Agnieszka, kiedy wróciła, najpierw uważnie mi się przyglądała, a rzuciwszy się na szyję, zaczęła całować i płakać, i mówiła: „Bonusiu, Bonusiu, jaki z ciebie się zrobił straszny żołnierz”. Rozmowom i radości nie było końca, już nie położyliśmy się spać, nikt nawet o tym nie myślał. Agnieszka mocno się postarzała. Jej dzieci to były już duże zuchy, a o czworgu z nich nie miałem pojęcia.

Mój przyjazd miał miejsce w dniu święta Bożego Ciała. Wszyscy pojechaliśmy do naszej parafii w Mordach na sumę¹²⁴. Kiedy wszedłem do tego pięknego i tak dobrze przeze mnie zapamiętanego kościoła, mimo woli poczułem spokój. Kiedy rozpoczęła się suma, usłyszałem znany mi jeszcze z dzieciństwa chór kobiet śpiewających z organami. Siedziałem w ławce pochyłony i płakałem jak dziecko. Ten śpiew nie był piękny, ale można powiedzieć, że był antyczny. Dla mnie był jednak bliski i głęboko przenikał moje serce.

Chcę wam powiedzieć, moje drogie dzieci, że modlitwa moja w tym pamiętnym dniu była gorąca. Prosiłem Boga o błogosławieństwo dla planowanego przeze mnie małżeństwa i być może modlitwa ta została wysłuchana. Po procesji, kiedy wyszedłem na cmentarz przykościelny, wszyscy krewni, którzy przybyli na święto, znani mi i nieznani, okrążywszy mnie, witali się radośnie. Objęć, pozdrowień, a nawet łez było bez końca. Wszystko to byli ludzie niebogaci, nasza polska szlachta, ale wszystkie ich słowa były żarliwe i miłe dla mnie. Całą tę kompanię zaprosiłem do szynku Żyda Jankiela, przyjaciela jeszcze mojego ojca. Stary Żyd krzyknął z podziwem, zobaczywszy małego Bonusia z odznaczeniami. Tam całą rodzinę ugościłem kawą i najlepszym winem, jakie się znalazło. Biesiada była skromna, ale podobnie przyjaznej i serdecznej nie było wielu w moim życiu.

W Wojnowie u Raczyńskich spędziłem dwa tygodnie. Siostra Agnieszka troszczyła się o mnie jak o najdroższą istotę. Jej wrodzona dobroć i życzliwość były dla mnie czymś nieocenionym. Nasze rozmowy nie miały końca; wspominaliśmy stare dzieje, opowiadaliśmy o wszystkim, co wydarzyło się w czasie rozłąki. Moje przeżycia były dla niej jak nieprawdopodobna bajka. Wciąż śmialiśmy się, ale nie obeszło się i bez łez. Życie mojej siostry było dosyć smutne. Jej mąż Karol Raczyński, jak już wcześniej mówiłem, nie miał żadnego wykształcenia. Był grubianinem i strasznym skąpcem. Teraz prawie na starość stał się lekkoduchem i lubieżnikiem. Na głowie mojej siostry było całe gospodarstwo, pracy dużo, a służby mało. W gorączce żniwnej, przy zbiorce zboża, cała służba domowa kierowana była do pracy w polu. Siostra stawiała przy kuchni i gotowała strawę. Zawsze miała kawę, do której przywyk-

¹²⁴ Kościół pw. św. Michała Archaniola w Mordach, zbudowany w 1737 r.



10. Kościół pw. św. Michała Archanioła w Mordach

ła od dzieciństwa i którą lubiła. Dzięki jej pracy dom bogacił się z każdym rokiem. Od wielu, z którymi rozmawiałem, słyszałem, że ta kobieta była święta, bo tylko święte mogą cierpieć po cichu, w trudzie i w modlitwie. Starsze dzieci Agnieszki – Aleksander i Konstanty, byli w szóstej klasie lubelskiego gimnazjum; Gloria uczyła się na pensji w Siedlcach i ona jedna przyjechała w czasie mego pobytu do Wojnowa. Była to dziewczynka w wieku trzynastu lat, cicha i skromna jak jej matka. Pozostałe dzieci, jeszcze małe, znajdowały się w domu.

Raczyński był dla mnie nadzwyczajnie uprzejmy. Spotkanie było radosne, a jego skąpstwo w tym czasie ustąpiło. Wszelkich wiktuałów było do woli, a ja na prośbę siostry nie pokazywałem, że znam go na wylot. Stało się bardzo dobrze, ponieważ okazał się on miłszy i bardziej uprzejmy dla swojej żony.

Rzewuski, mój drugi szwagier, mieszkał w tej samej wsi. Był w bardzo złych stosunkach z Raczyńskim. Między nimi ciągle były zatargi, które doprowadzały nawet do sporów sądowych. Agnieszka mówiła, że oni obaj są winni tej sytuacji, jednak nie miała na to większego wpływu. Często bywałem u Rzewuskich i można powiedzieć, że mój przyjazd zbliżył trochę tych zagozłych wrogów. Zaczęli u siebie bywać, ale była to, jak się później dowiedziałem, jedynie maska. Rzewuskim wiodło się dobrze. On skupił dużo ziemi

w sąsiedniej wsi Skolimów-Starowieś i jako człowiek wykształcony umiał stworzyć przyzwoite warunki do życia w swoim domu.

Należąca do mnie po ojcu część nie była wydzielona w Nowosielcu. Powstał tam spór wśród spadkobierców, ponieważ do spadku pretensje rościł Skarb Państwa, szukający części gruntów Zenona Izdebskiego, znajdującego się na emigracji. Wszystkie dobra emigrantów były konfiskowane, a sprawy rozpatrywane były przez różne instancje. Ja od ponad siedemnastu lat nie dostałem niczego po ojcu. Siostry cały czas korzystały z wydzielonych dla nich części. Raczyński, udając dobrego i bardzo mnie kochającego, zaproponował mi sprzedaż mojej części Nowosielca, zarzekając się, że robi to tylko z sympatii dla mnie i z powodu zrozumienia mojej krzywdy. Mówił, że jest bardzo prawdopodobne, że moja część przepadnie, że na skutek służby nie mogę śledzić rozwoju spraw, a on, żyjący na miejscu, mógłby tego dopilnować.

Żyjąc tyle lat bez spadku po ojcu, przyznaję, że zupełnie przestałem o nim myśleć. Dlatego też wyraziłem pełną zgodę na propozycję Raczyńskiego, a ten zręczny gospodarz od razu zawiózł mnie do Siedlec, żeby zawrzeć akt kupna-sprzedaży, nie dając mi uprzednio pomówić z Rzewuskim. Akt notarialny zawarliśmy zgodnie z prawem, swoje prawa do Nowosielca przekazałem Raczyńskiemu za około siedem tysięcy złotych polskich bez procentów. Kapitał w przypadku mojej śmierci przechodzić miał na dzieci siostry Agnieszki. Później nie żałowałem, że to zrobiłem bez Rzewuskiego.

Niebawem po moim wyjeździe Rzewuski oznajmił w sądzie, że przejął prawną część Jana Skolimowskiego należącą do syna Aleksandra oraz że ma prawo wyboru dowolnej części spadku po ojcu. Wyraża także chęć otrzymania tej części, którą władza Rzewuski i córka Skolimowskiego – Zofia, bo do niej powinna należeć część Nowosielec. Zrobiła się wielka sprawa, o której nic nie wiedziałem. W rezultacie obaj pozostali na swoich starych miejscach, a kieszenie ich mocno się opróżniły.

W Wojnowie odwiedzałem wszystkie miejsca moich dziecięcych zabaw. Gospodarstwa stryja Feliksa już nie było, jego zabudowania Raczyński przeniósł do siebie; pozostała jedynie sadzawka, jak zawsze pełna ryb. Dzieci Feliksa pozostały bez środków do życia i rozbiegły się po Bożym świecie. Wincenty był ze mną w korpusie i zmarł; Wawrzyniec był w rejestrze poborowych, ale dalej słuch o nim zaginął. Dwie córki Maria i Elżbieta wyszły za mąż i żyły w biedzie niedaleko; Maria przyjeżdżała do mnie, a ja pomagałem jej, na ile mogłem.

Z siostrą Agnieszką jeździliśmy do Gracjana Izdebskiego, mieszkającego we wsi Podkowa o dwadzieścia wiorst od Wojnowa. Gracjan żył bogato jak wielki właściciel i był człowiekiem o cudownej duszy. Dzieci nie posiadali, za to cała uwaga obojga małżonków skupiała się na włościanach, żyjących w dobrych warunkach. Gracjan wybudował szkołę, w której sam uczył; po

niej wielu wstępowało do gimnazjum, a później na uniwersytet. Kiedy byłem tam w minionym 1870 roku, to oboje Izdebscy jeszcze żyli.

U siostry Agnieszki odpocząłem ciałem i duszą, przyjemnie było wrócić do ojczyzny niezależnemu człowiekowi, wolnemu od obowiązków i kochającemu swoich krewnych. Dlatego też spędzone tam ponad dwa tygodnie były jednymi z najlepszych w moim długim życiu. Mój dobry Grisza nie umknął uwadze mojej siostry i jak prawdziwy lokaj serdecznie przyłożył się do słoniny i starej dobrej wódki.

Agnieszka towarzyszyła mi do Białej¹²⁵, to jest do szosy do Moskwy. W domu rodzinnym pożegnałem się z Raczyńskim i dziećmi, które obdzeliłem prezentami przywiezionymi z Warszawy. W połowie drogi do Białej nocowaliśmy w Lesznie¹²⁶, gdzie znajduje się cudowny obraz Bogurodzicy tam byliśmy na mszy i modliliśmy się do Niej, prosząc o nowe szczęśliwe spotkania, ale modlitwa ta nie została wysłuchana. Agnieszka zmarła na cholera w 1858 roku. O jej śmierci dowiedziałem się już w Orenburgu.

Nasze pożegnanie w Białej było długie i smutne. W głębi duszy żegnałem się na wieki, bo nie myślałem już o powrocie do ojczyzny. Jeszcze w Warszawie przeczytałem w gazetach, że rozkazem Najwyższym 7 maja 1852 roku zostałem przeniesiony wraz z 4. batalionem do Orenburga. Później nie było już można myśleć o spotkaniu. O moim przeniesieniu i zamiarze ożenku z Anną Suską mówiłem Agnieszce. Ta bliska mi dusza pobłogosławiła małżeństwo z panną tej samej wiary.

Zatrwożony i we łzach wróciłem do Moskwy z zadaniem zakończenia spraw pułkowych, a następnie udałem się do nowej, dalekiej, nieznanej mi służby. Przejeżdżając przez Bobrujsk, przypomniałem sobie niedaleki powiat biechowski mohylewskiej guberni, gdzie mieszkał mój ojciec chrzestny Józef Szaniawski. Był on synem naszego bliskiego sąsiada z Wojnowa. W 1831 roku był porucznikiem w ułanach polskich; zapalony jeździec i wielki lekkoduch. W czasie kampanii wzięty został do niewoli, następnie zdegradowany i zdymisjonowany. Później ożenił się z bogatą dziewczyną i mieszkał w ogromnym majątku żony we wspomnianym powiecie. I w rezultacie z awanturnika stał się przykładnym gospodarzem.

Z zebranych w Bobrujsku wiadomości dowiedziałem się, że do Szaniawskiego jest nie więcej niż czterdzieści wiorst i że jest to dobry gospodarz, żyje bogato i w chwili obecnej przewodzi szlachcie powiatu. Pomyślawszy o tym wszystkim, postanowiłem odwiedzić bogatego ojca chrzestnego, zostawiając bagaż z Griszą. Wyjazd okazał się nieudany, bo Szaniawscy wyjechali za granicę, a w domu zastałem jedynie zarządcę, który mnie co prawda ugościł

¹²⁵ Biała – miasto powiatowe w guberni siedleckiej.

¹²⁶ Leszno – wieś w powiecie błońskim.

dobrą kolacją i przy rozmowie o ojcu chrzestnym zapoznał z bogatym majątkiem, ale z uczuciem niepowodzenia wróciłem do Bobrujska.

Przejeżdżając przez Juchnow¹²⁷, przypomniałem sobie, że starsza córka Gracjana Suskiego¹²⁸, zamężna za strażnika celnego, często wspominała Ane-tę. Postanowiłem złożyć wizytę Poźniakowom, dlatego wraz z listem wyjaśniającym i prośbą o przyjęcie posłałem żołnierza.

Akinfij Nikifrowicz, zawsze uprzejmy, zaprosił mnie na obiad, dodając, że w chwili obecnej przebywa u niego cała rodzina Gracjana Suskiego. Przyodziałem się jak najlepiej. Pamiętam, że była to godzina piąta wieczorem. Poźniakow, bacznie obserwując, przywitał mnie i zaprosił do gościnnego pokoju, gdzie przedstawił swoją żonę i wszystkich obecnych. Juleńka okazała się bardzo miłą i troskliwą gospodynią, zasypała mnie słowami i badawczo obserwowała moją fizjonomię. Franciszek Suski był także uprzejmy, ale panien nie było. Później dowiedziałem się, że Franciszek Suski na stałe mieszkał w Juchnowie, że swoje ulubione miejsce zostawił, ale wspomina je z westchnieniem. U Poźniakowów mieszkał tymczasowo i zastanawiał się nad kupnem gospodarstwa.

Kiedy podali herbatę, w kącie pojawiły się panny. Fosia, żartując, przywitała się ze mną radośnie, wasza mama była speszona i mocno zarumieniona na moje przywitanie. Na herbatę zjawił się także brat waszej mamy Romuald – chorąży naszego pułku ryskiego. Zapomniałem o nim wam opowiedzieć, moje miłe dzieci. Romuald był najstarszym dzieckiem Franciszka Suskiego. Jeszcze przed wstąpieniem przeze mnie do pułku ryskiego był junkrem, uczestniczył w kampanii czernihowskiej i był w mojej junkierskiej kompanii. Wuj wasz Romuald był mądrym młodym człowiekiem, szalonym, ale w pozytywnym sensie. Często stał na warcie obok mojego namiotu, a stosunki między nami były zawsze dobre. Po powrocie z Czernihowa Romualda przeniesiono do chorążych, gdzie był dzielnym oficerem.

Dobrze pamiętam, że cały ten dzień poza herbatą niczego nie piłem. Prawdziwej stacji pocztowej w Juchnowie nie było, bo ledwie co szosę otworzyli, a byłem strasznie głodny. Przyjechawszy do Juchnowa, poprosiłem dozorcę o cokolwiek do jedzenia i będąc bardzo głodny, nie mogłem zarazem jeść, bo wszystko było zatęchłe i cuchnące. Do herbaty u Poźniakowów podano różne bułki i suchary. Weszło opróżniłem wiele szklanek herbaty i jadłem pieczywo. Wasza mama myślała, że jestem strasznym obżartuchem. Po herbacie wasza mama usiadła za fortepianem i zaczęła grać najróżniejsze utwory; jak później

¹²⁷ Juchnow – miasto powiatowe w guberni smoleńskiej, leży przy drodze Moskwa–Warszawa. W 1861 r. liczyło około 2000 mieszkańców; *Словарь Российской Империи*, t. 5, Санкт-Петербург 1885, s. 914–917.

¹²⁸ Prawdopodobnie brat Franciszka Suskiego.

powiedziała, uczyniła to za namową Fosi, żeby pokazać narzeczonemu, jacy są wykształceni.

Zarówno gospodarz Poźniakow, jak i Franciszek Suski bardzo prosili, aby zostać u nich na nocleg, na co ochoczo się zgodziłem, chcąc jeszcze dłużej porozmawiać z przyszłym ojcem i lepiej poznać jego rodzinę.

Zainteresowanie Poźniakowów, a szczególnie Juleńki, zasługiwało na uwagę. Juleńka okazała się miłą, pogodną i sympatyczną osobą. Akinfij rzeczowym i poważnym gospodarzem. Franciszek Suski, choć trochę zatrwożony brakiem swego miejsca, był dla mnie życzliwy, takim jak go widziałem wcześniej. Ustaąpił mi swoje łóżko i okazywał wiele grzeczności.

Na ponowne moje oświadczenia odpowiedział prawie tymi samymi słowami jak przy pierwszym spotkaniu, dodając, że jego córka będzie szczęśliwa, mając mnie za męża. Prosił jednakże, abym nie mówił o tym Anecie. Fosia okazała się wesoła i radosna, dużo grała i śpiewała oraz żartowała, mówiąc, że wszyscy mężczyźni to lekkoduchy i że wierzyć im nie można. Aneta raczej milczała i bardzo się wstydziła. Ogólnie byłem zadowolony z wizyty, a to, o czym myślałem, wyraźnie się umocniło. Kolacja była smaczna, a że byłem bardzo głodny, jadłem wszystko i dużo, pijąc niewiele. Aneta patrzyła z zadowoleniem, nie pijąc niczego, jednym zdaniem, byliśmy dwoma przeciwnościami. Później zorientowałem się, że wasza mama zauważyła moją sytuację i utwierdziła mnie w przekonaniu, że ona po prostu od urodzenia zawsze była nieśmiała. To nie pozwoliło mi porozmawiać z nią szczerze. Rozumiałem też, że dręczy ją samotność, ponieważ już wcześniej poznałem jej naturę.

Na drugi dzień po herbacie, pożegnawszy się z waszą mamą ze wzruszeniem i pocałunkiem w rękę, wyjechałem do Moskwy, gdzie przybyłem 23 czerwca 1852 roku. Stawiłem się w sztabie korpusu, przedstawiłem wszystkie dokumenty rozkazu dotyczące wyjazdu. Kiedy okazało się, że wszystko jest w porządku, zostałem przedstawiony do nagrody rocznej.

Moje przejście do wojsk orenburskich stało się faktem, a jak wspominałem, ryski pułk znajdował się wtedy na obozowisku pod Moskwą. Z pomocą wszystkich potrzebnych dokumentów skierowałem się do sztabu 23. dywizji piechoty stacjonującego w Orenburgu. Pożegnawszy się z kolegami, 10 lipca wyjechałem zgodnie z rozkazem w pierwszorzędnym tarantasie, który kupiłem w Moskwie, by dobrze zaprezentować się w nowym miejscu służby. Podróż była przyjemna, nowe miejsca, inne narody, odmienna przyroda i obyczaje, a nawet i same pory roku, a także sama droga, budowały nastrój ducha. Jechało ze mną dwóch ordynansów, Grisza i Siemion. Ich również wspominam miło, więc podróż była przyjemna i można powiedzieć, w przykładowym porządku. Odległość około tysiąc[a] czterystu wiorst przejechałem w osiem dni i 19 lipca byłem w Orenburgu.

Rozlokowałem się w przydzielonej mi kwaterze. Po odpoczynku i zwiedzeniu Orenburga¹²⁹ rozpocząłem oficjalne prezentacje – na początku udałem się do sztabu dywizji, stamtąd do generała dywizji Romanowicza¹³⁰. Spotkanie z tym panem, moim przełożonym, było nadzwyczaj sympatyczne. Wyrzucał mi zbyt późne przybycie po przeniesieniu, ale otrzymawszy ode mnie papiery ze sztabu korpusu o przyczynie mojego opóźnionego przyjazdu z powodu oddelegowania do Warszawy, stał się uprzejmy. Romanowicz był generałem gwardii; zahartowany duchem tego czasu, skrupulatny i doskonały we wszystkich aspektach służby. Na pierwszym spotkaniu polecił mi niezwłocznie objąć dowodzenie 4. batalionem, mówił o dużym tam nieporządku i konieczności poprawy jego stanu. Pożegnałem się z nim, otrzymując jednocześnie propozycję częstszych odwiedzin. Niezwłocznie stawilem się u jego adiutanta, żeby dowiedzieć się więcej o tym 4. batalionie i co się w nim dzieje. Rozmowa z adiutantem była taka sobie. [Czwarty] batalion stacjonował o tysiąc wiorst od Orenburga, w stepach kirgiskich, w najbardziej wysuniętym punkcie w kierunku Buchar¹³¹. Sprawnej komunikacji z tym miejscem nie było, a przejazd odbywał się przy różnych okazjach, to jest w sytuacjach, kiedy zbierał się jakiś transport z konwojem. Korespondencję wysyłało konno dwa razy w miesiącu za pośrednictwem Kirgizów¹³². Batalion ten już od około miesiąca nie miał dowódcy, a według komendanta pełniącego tę czynność stacjonujący tam Kirgizi aralscy¹³³ stale znajdują się w gotowości bojowej.

Otrzymawszy takie informacje, przejąłem się nie na żarty. Perspektywa rychłej wyprawy do tak strasznej głuszy, pozbawionej, jak mówili, podstawowych warunków do życia, gdzie niczego kupić nie było można, a wszystko co niezbędne przysyłane było z Orenburga raz w roku, była jak niewola. Spowodowało to mój upadek na duchu w drodze na ten paskudny step. Trzeba było

¹²⁹ Orenburg został założony w 1742 r., a już dwa lata później zyskał rangę miasta gubernialnego. W połowie XIX w. liczył około 10 000 mieszkańców. Był najważniejszym miastem na tzw. linii orenburskiej, stanowiącej umocnienia mające chronić Rosję przed najazdami ludów stepowych. Stąd też wychodziły kolejne wyprawy wojsk rosyjskich w kierunku Azji Środkowo-Wschodniej. Orenburg był w tym czasie ważnym ośrodkiem militarnym, handlowym i administracyjnym.

¹³⁰ Zob. przypis 102.

¹³¹ Emiraty Buchar – państwo istniejące w latach 1785–1920 i obejmujące obszar między rzekami Amu-Daria i Syr-Daria. Na skutek przegranej wojny z Rosją w latach 1862–1868 emirat Buchar utracił większą część swojego terytorium, a od 1873 r. znajdował się pod protektorem rosyjskim.

¹³² Kirgizi – ludy stepowe zajmujące obszar południowej Syberii i Azji Środkowej. Czasami określano je jako ludy Kirgiz-Kajsackie.

¹³³ Tj. mieszkający w okolicy Jeziora Aralskiego, zwanego Morzem Aralskim.

to wszystko przemyśleć ze wszystkich stron i ujrzeć w tym wszystkim swoje możliwości, poddać się woli Bożej, bo Bóg nie zostawi mnie i sprawi tak, że będzie dobrze.

Największe moje zmartwienie stanowiło to, że zabrnąłem tak daleko, skąd powrotu nie widać, a moje plany ożenku rozsypały się w proch i mogłem zostać kawalerem. Będąc w takim smutnym nastroju, na drugi dzień zaproszony zostałem na obiad do generała Romanowicza. Stawiłem się o czasie i zastałem samą generałową, której się przedstawiłem. Ona już mnie знаła z opowiadań męża. Przyjęcie było miłe i nastrojowe; podczas rozmowy pytano mnie, czy jestem zadowolony z przeniesienia, z miejsca, gdzie będę żył, i tu nieopatrznie wyznałem swoje żale związane z upadającą nadzieją na ożenek, mówiąc, że niedawno się zaręczyłem. Generałowa okazała się dobrą i piękną kobietą, ale na upór męża miała niestety niewielki wpływ. Była to dobra dusza i w pewien sposób pomogła mi w mojej sytuacji.

Po powrocie generała usiedliśmy do obiadu. Generał mieszkał bogato, w otoczeniu pięknych mebli, ustawionych w całym domu według jego uznania. Wszędzie panował pedantyczny porządek, sztuczność i ciasnota. Po obiedzie generał zawładnął mną całkowicie; opowiadał o mojej służbie, natychmiastowym wyjeździe, długiej drodze, a wszystko to wyrażał tonem, który nie dawał możliwości wniesienia sprzeciwu. Słuchałem, milczałem i ukradkiem spoglądałem na generałową, ciężko wzdykając. Tak skończył się obiad, a ja wróciłem do domu, tracąc wszelką nadzieję.

Sprawiedliwe jest powiedzenie: „Nie znamy, co mamy, aż postradamy”, i dokładnie tak było ze mną. Do tego czasu i myślałem o ożenku, i nie, ale obecnie byłem rozżalony z powodu zerwanego planu; lecz nie można było jednak ciągle się smucić i płakać. Nieczęsto mi się zdarzał tak ciężki stan ducha.

Późnym wieczorem przybył ordynans, oznajmiając o zaproszeniu do generała na wieczorną herbatę. Udałem się tam niezadowolony; zastałem tam gości, przyjęcie było przyjemne, ale ja sam byłem milczący, czując się tam jak szeregowy u szefa. Niebawem generał zapytał mnie, czy to prawda, że zostawiłem w Rosji niewiastę, a na moją twierdzącą odpowiedź powiedział, że nic mu o tym wcześniej nie mówiłem. Ton mowy świadczył o jego niezadowoleniu z tego, a także z mojej szczerości wobec jego żony. Chciałem jak najszybciej naprawić moje przewinienie i utwierdziłem go o wyższości mojej służby nad własnymi interesami. Nieśmiało mówiłem o sobie, biorąc pod uwagę sytuację batalionu, podkreślając, że ożenek wymaga dłuższego wyjazdu do Rosji, co na długo odroczyłoby mój przyjazd do batalionu.

Moje słowa osiągnęły cel. Generał był wyraźnie zadowolony i pouczał mnie, jak to głupio postąpiłem, nie zawierając związku wcześniej, przed wyjazdem na służbę. Nasza rozmowa przeciągnęła się do późna, a kiedy goście

poszli sobie do domu, generałowa podczas pożegnania powiedziała, żebym się nie przejmował, bo pierwsza sprawa to służba, a w niej to, co Bóg da.

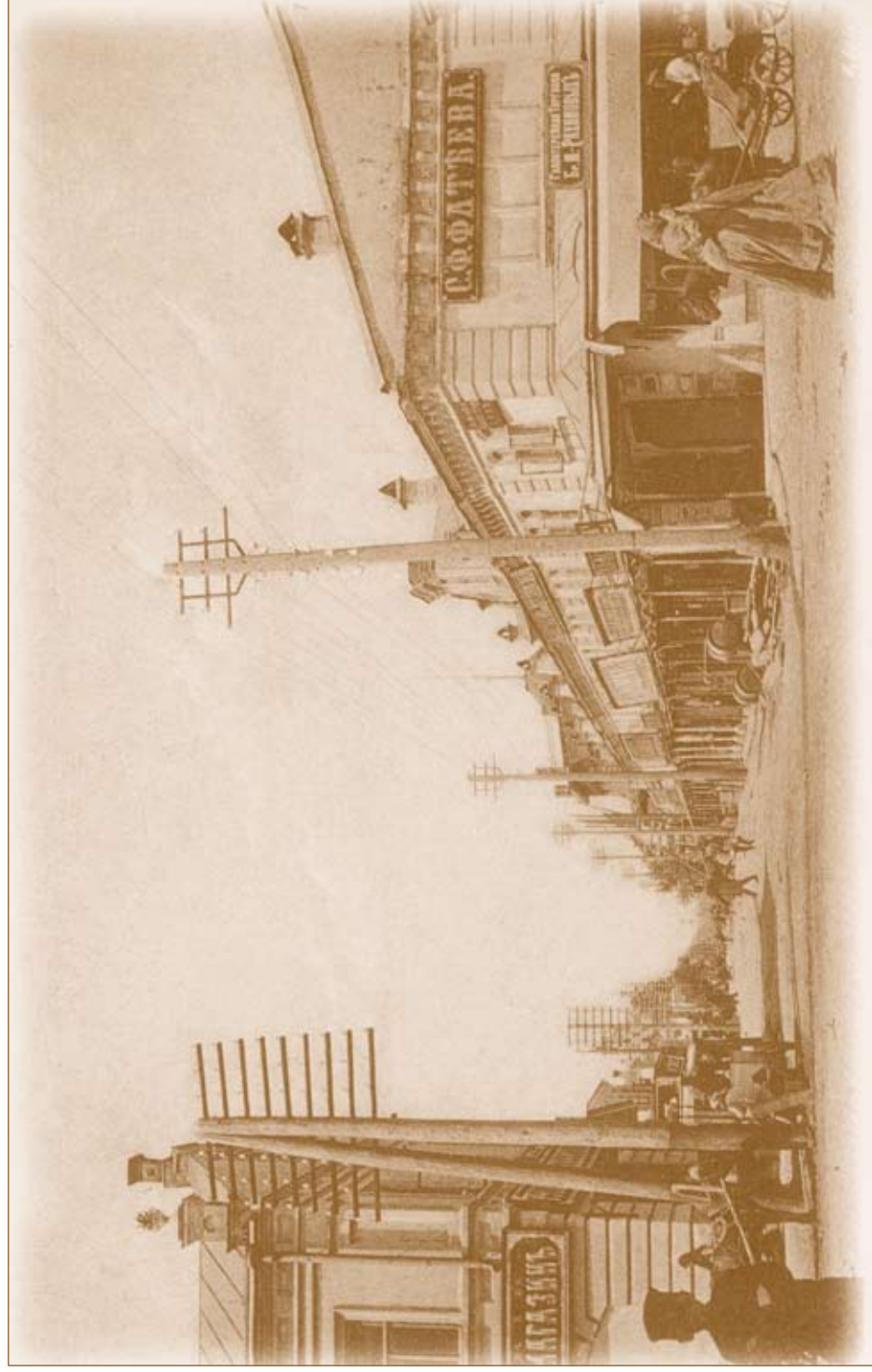
Rezultatem mojej rozmowy z generałem było uczucie zadowolenia. Rozumiałem, że pierwszy krok z przełożonymi jest trudny, a ja, gdybym zaczął tę sprawę osobiście, a nie generałowa, to nie obyłoby się bez jego wybuchu. Od tego czasu bywałem często u generała. Decyzji w sprawie mojego przeniesienia nie powtarzano i chociaż możliwości przeniesienia do stepu kirgiskiego zdarzały się, to nie dotyczyły one najbardziej wysuniętego punktu, to jest tam, gdzie stacjonował sztab 4. batalionu. Tak więc pozostawałem nadal w Orenburgu, gdzie oddelegowany byłem do 2. batalionu.

W końcu sierpnia generał wezwał mnie do siebie i oznajmił, że podpisał wniosek o powołanie mnie na stanowisko dowódcy 4. batalionu i – jak można było się spodziewać – oczekuje do października na zatwierdzenie rozkazu. Biorąc pod uwagę moją sytuację osobistą, w tym również mój pozytywny stosunek do służby, postanowił pozostawić mnie w Orenburgu do wiosny i do tego też czasu wyraża zgodę na możliwość przepustki do Rosji. Załatwienie tej sprawy przy adiutantach mogło być kłopotliwe i dlatego generał, informując mnie poufnie, okazał swoją wielkoduszność. Podziękowaniom moim nie było końca, dobierałem słowa, które by mu się podobały, i obaj byliśmy zadowoleni. Widzicie, moje dziatki, jak to życie człowieka kołem się toczy. Często sprawy nasze znajdują się u góry, ale bywa, że upadają. Niedawno smuciłem się i płakałem, a teraz byłem radosny i wesoły.

Wróciwszy do domu, zacząłem obmyślać plan ożenku, tym bardziej że pewny byłem, że wasza mama jest mi przeznaczona przez Boga i biorąc z nią ślub, wypełniam życzenie mojego stryja Rafała. Następnego dnia napisałem list do Franciszka Osipowicza, oficjalnie informując go o swoich planach ślubu oraz o mojej służbie. Po wysłaniu pisma z biciem serca oczekiwałem odpowiedzi i chociaż otrzymałem ją szybko, to biorąc pod uwagę tak długą rozłąkę, czas ten bardzo się dłużył.

Orenburg wywarł na mnie przyjemne wrażenie; miasto było czysto azjatyckiego kolorytu i chociaż ludności nie było dużo, to w tym czasie głównymi mieszkańcami byli Rosjanie. Stacjonowały tu oddziały kozaków orenburskich, ale był to element napływowy, choć już dawno osiadły. Cywilizatorzy ci przyswoili panujące tu stare obyczaje. Podobnie jak miejscowi chodzili w czasie służby w bucharskich chałatach, rozmawiali po tatarsku i kirgisku, a po rosyjsku wysłować się nie umieli. Samo miasto Orenburg w czasie letnich targów przybierało osobliwy, niepowtarzalny dla przybysza obraz.

Zaraz po moim przyjeździe zaprzyjaźniony ze mną adiutant sztabu dywizji zaproponował mi przejażdżkę z nim do hali targowej, położonej około dwóch wiorst od Orenburga. Był to czterokątny ogromny obszar, zamknięty w koło z wielkim placem w środku, na którym mieściła się cerkiew i meczet. Wszyst-



11. Widok Orenburga

kie sklepiki zwrócone były do środka, a na plac można było dostać się tylko przez dwie bramy.

Kiedy przyjechaliśmy, to na środku hali znajdowało się około dziesięć tysięcy wielbłądów z Kirgizami, którzy od pasa byli całkowicie nadzy, a na głowach mieli małachy – ogromne futrzane czapki. Ryk wielbłądów, krzyki Kirgizów, masa towaru, ogromne stada owiec i bydła. Wszystko to wymieszane razem wywarło na mnie porażające wrażenie. Mimowolnie wyobraziłem sobie sceny biblijne z prastarymi patriarchami. Na placu w grupach stały otwarte namioty, bogate i we wschodnim stylu, w których na różnokolorowych dywanach zasiadali bucharscy kupcy. Wszyscy i wszystko wokół tych Bucharców przedstawiało mi się jako biblijne sceny.

Ostatni fragment napisałem nie dla was, dziatki moje, bo wszystko to dobrze znacie, bo ten kraj jest waszą ojczyzną i łatwiej wam będzie widzieć to wszystko, czego z duszy całej wam życzę i myślę, że czytając te zdania z umiłowaniem wspomniecie rodzinne miejsca, jak i ten czas w nich przeżyty. Nie rzuciły nas tu marzenia, a bieda i ciężka praca. Jeszcze raz wspomnę, że wszędzie jest dobrze żyć, kiedy Bóg człowieka błogosławi, oraz że trafne jest przysłowie: „Nie miejsce człowieka zdobi, ale człowiek miejsce”.

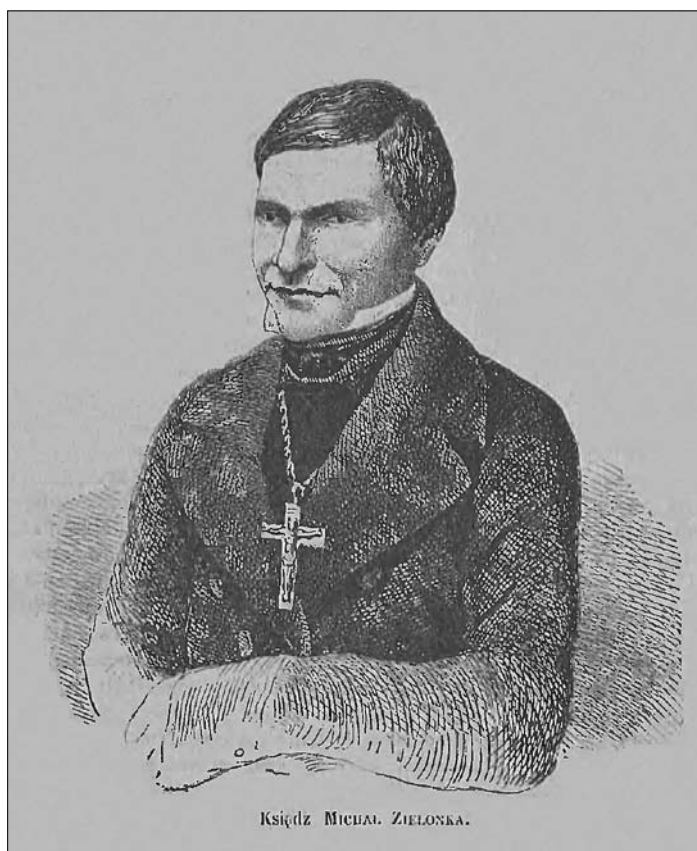
Otrzymałem list od waszego przyszłego dziadka. Odpowiedź była zgodna z moim życzeniem. Franciszek Suski z aprobatą przyjął moją prośbę, dodając, że i córka jego również wyraziła pełną zgodę i nic mi nie pozostało, jak tylko spełnić wszystkie formalności związane z moim ożenkiem. Należy przyjechać i skończyć rozpoczęte dzieło, a do tego czasu pisać do nich częściej i częściej. Jakby kamień spadł z mojego serca, cieszyłem się jak dziecko i radością tą dzieliłem się ze swoim wiernym Griszą, który odwzajemniał radość i po swojemu okazywał, że wszystko będzie dobrze, zwłaszcza gdy pojawi się gospodyni.

Niezwłocznie wysłałem następny list do Franciszka Suskiego, dziękując w nim za zrozumienie i zgodę; poprosiłem też o przesłanie niezbędnych dokumentów, to jest metryki urodzenia waszej mamy, zgody ojca i panny. Poza tym oddzielny list wysłałem do waszej mamy, w którym opisałem wszystko, co czuję.

Po otrzymaniu niezbędnych dokumentów, w oficjalnym piśmie poprosiłem dowódcę dywizji o wyrażenie zgody na wstąpienie w związek małżeński z panną Anną Suską córką Franciszka. Kontynuowałem korespondencję z narzeczoną i rodziną, a jednocześnie gotowałem się do drogi, mającej na celu najważniejszą w moim życiu sprawę.

W Orenburgu znajdował się piękny, chociaż nieduży kościół katolicki. O jego istnieniu dowiedziałem się po przyjeździe do miasta. Proboszczem parafii był dostojny ksiądz Zielonka¹³⁴, ten sam, który chrzcił Nataszę i Lenę.

¹³⁴ Ksiądz Michał Zielonka (1797–1861), przeor klasztoru Dominikanów w Grodnie. W 1833 r. został aresztowany za udział „w buntowniczych planach” i zesłany do



12. Ksiądz Michał Zielonka

Kiedy dowiedziałem się, że w Orenburgu jest kościół, wówczas pełen uduchowienia poszedłem tam, by modlić się i podziękować Stwórcy za Jego wielką miłość do mnie. W modlitwach swoich z powodu spodziewanej wyprawy

Orenburga na zamieszkanie pod ścisłym dozorem policyjnym. Cieszył się powszechnym uznaniem zarówno wśród zesłańców, jak i rosyjskiej administracji. Został pierwszym kapłanem Korpusu Orenburskiego. Dzięki jego staraniom i poparciu gubernatora Perowskiego zbudowano kościół katolicki w Orenburgu. Niezbędne wyposażenie liturgiczne przysyłano z kraju, a nawet z emigracji. Na jego mogile postawiono pomnik zbudowany z udziałem „duchownych prawosławnych i ewangelickich, kupców prawosławnych i staroobrzędowców. [Budowali go] także dwaj mułłowie i ośmiu mahometan”; H. H. Модестов, *Бывший префект Гродненской гимназии, иеромонах доминиканского ордена, кандидат зеленко в Оренбурге*, Orenburg 1913, s. 6–64; W. Śliwowska, *Zesłańcy polscy*, s. 717.

w stęp modliłem się i prosiłem Boga, aby tak wszystko przewidział dla mnie, by było jak najlepiej. Pocciwy nasz Zielonka po modlitwach poświęcił mnie wodą święconą i pobłogosławił; wydał też oficjalne pismo, że w kościele ogłoszono trzykrotnie zapowiedzi o moim ślubie. Modliłem się też za duszę stryja Rafała, w myślach pragnąc jego duchowego błogosławieństwa; zacząłem też szykować się do drogi.

W tym też 1852 roku zima zaczęła się bardzo wcześnie, śnieg spadł już na początku października. Za białą śniegu nie przepadałem, bo i jak na złość podróżować się nie dało, więc wstrzymałem wyjazd. Przychylność generała Romanowicza do mnie posunęła się do tego stopnia, że obiecał zgodzić się na opóźnienie wyjazdu na tyle, na ile będzie mi to potrzebne. W celu rozliczenia służby starałem się nie przedłużać tej sytuacji i zakładałem, że będzie to nie dłużej niż dwa miesiące, czyli od 1 stycznia do 1 marca. Dlatego planowałem wyjechać z Orenburga przed 20 listopada; prosiłem generała, by nie liczył czasu od 20 listopada do 1 stycznia, na co też otrzymałem zgodę.

Aby w tak daleką drogę nie jechać rozstawnymi końmi, kupiłem i wyposażyłem sanie paradne z kibitką i ogromnym wołokiem¹³⁵ do przykrycia w razie zamieci. Zabrałem też ze sobą Siemiona i zgodnie z założeniem wyjechałem 20 listopada do drogiej waszej mamy.

Moje nastawienie duchowe, przepiękna podróż w saniach, szybka jazda, przyzwoity zapas pieniędzy, wszystko to w sumie bardzo mnie radowało i rozweselało młodą jeszcze moją naturę. Można powiedzieć, że leciałem na skrzydłach radości, a głowa gorąca radowała się i tworzyła same urokliwe obrazy szczęścia rodzinnego przyszłego życia. Nie zawsze bywa jednak dobrze, moje drogie dziatki, bujać w obłokach i podsycać wyobraźnię. Nie trzeba zapominać, że na ziemi żyją ludzie, a ludzie tworzą prozę życia.

Dostałem się do Moskwy i przebywałem tam cztery dni. Pierwszego dnia wraz z Siemionem kupowałem prezenty – dla waszej mamy zegarek na łańcuszku, dla cioci Julii dobry materiał na płaszcz, a dla cioci Fosi bransoletkę, poza tym odpowiednią ilość cukierków.

Dzień mojego przyjazdu do Juchnowa, gdzie mieszkał wtedy Franciszek Suski, był mu znany, ale ponieważ rozdzielała nas ogromna przestrzeń, to pomyślałem później, że może trzeba pomyśleć o jakimś znaku.

Zgodnie z założeniami musiałem zatrzymać się w Moskwie jeszcze na dwa dni, ale cierpliwość moja kończyła się. Sprawy załatwiłem i nie myśląc zbyt długo, zamówiłem konie, wsiadłem i pojechałem. Do ostatniej stacji przed Juchnowem przyjechałem o zmierzchu. Wszystkiego zostało mi trzy-

¹³⁵ Wołok – filc produkowany z wełny odpadowej i sierści zwierzęcej.

naście wiorst i przyjechałem w sumie za wcześnie, ale nie chcąc podróżować wieczorem, pozostałem na nocleg i przyznaję, bardzo się wynudziłem. Wieczory były wtedy takie długie, a na stacji nie było żywej duszy. Całą noc nie spałem, chociaż warunki do tego miałem sprzyjające. W końcu doczekałem ranka i postanowiłem wyjechać na tyle wcześnie, żeby przybyć na godzinę dwunastą. Dozorca spoglądał na mnie podejrzliwie, kiedy się golilem i dokładnie myłem. Wyobrażał sobie, że pan major pozostanie tu znacznie dłużej.

O godzinie jedenastej konie ruszyły. Podjechałem do znanego mi domu, wszedłem do przedpokoju, ale nie zastałem tam nikogo; zajrzałem do sali i zobaczyłem, że kobiety myją podłogę. Wszystko to trochę mnie zmieszało, nieznanne kobiety niezrozumiale odpowiadały na moje pytania. Pomyślałem więc, że może to nie ten dom, ale poznałem fortepian, na którym grała wasza mama. Na szczęście weszła Zuzanna Iwanowna i poprowadziła mnie do pokoju Franciszka Suskiego, wyjaśniając, że spodziewali się mnie następnego dnia. Wszyscy oprócz gospodyni, która była chora, wyjechali z dworu, a w tym czasie miały być umyte podłogi.

Rozesłano posłańców we wszystkie strony. Mycie zakończyło się i przeszliśmy do gościnnego pokoju. Zuzanna Iwanowna uradowała się na mój przyjazd i powiedziała, że wszystko u nich dobrze. Zaraz pojawił się gospodarz i Franciszek Suski, który również ucieszył się, zobaczywszy mnie, a na samym końcu ukazała się wasza mama i Fosia. Mama weszła tak jak ktoś, gdy jest rozradowany i wzruszony. Była piękna, brwi miała podniesione, natychmiast do niej doskoczyłem i długo całowałem jej ręce, mówiąc przy tym bez przerwy. Mamusia natomiast powiedziała, że kiedy przyjechała służąca, informując ją, że pan młody już przybył, to nie uwierzyła w pierwszej chwili, bo wiele razy już z niej tak żartowali. Ale służąca zapewniała, że to prawda. Mamusia więc kazała jej przysiąc na obraz. Gdy ta uczyniła to, wasza mama tak się wystraszyła, że aż nogi się pod nią ugięły. Zaraz jednak wróciła do domu, ubierając się w cokolwiek, żeby mnie zobaczyć. Od naszego spotkania staliśmy się już nierozłączni. Poszedłem z waszą mamą do salonu, tam spacerowaliśmy, opowiadałem jej dużo i z serdecznością. Mama wzruszona słuchała, wesoło odpowiadała i była zadowolona. Fosia również przyjęła mnie przemilo, a gospodyni Juleńka ugościła na kanapie przy stole. Była dopiero co po pracy, ale szybko doszła do siebie, a jej pozytywny stosunek do mnie odczuwałem całym sercem. W ogólnym zainteresowaniu pomyślałem, że gdyby spotkanie odbyło się zgodnie z moim planem, to znaczy w umówiony dzień przyjazdu, nie byłoby tak wylewne i naturalne jak przy okazji tej niespodziewanej wizyty.

O ile pamiętam, na Mikołaja, to jest 6 grudnia, byłem już w Juchnowie. Wasz dziadek, Franciszek Suski, zdążył do tego czasu zakupić znany wam

już majątek Michajłowskoje, a po przywitaniu mnie postanowił przebrać się i udać na wieś po łaskę ślubną¹³⁶.

Okres mojego pobytu w Juchnowie przeżyłem jakby w cudownym upojeeniu. Każdy dzień coraz bardziej i bardziej zbliżał nas z waszą mamą, z każdym dniem nasza miłość rozwijała się. Wszystko odczytywałem z jej twarzy radosnej i rozpalonej szczęściem. Nie rozstawaliśmy się nawet na minutę, zawsze byliśmy razem i zawsze mieliśmy o czym rozmawiać. W tym czasie mogłem dokładnie wejrzeć w duszę mojej przyszłej żony i upewniłem się, że jest to dusza czysta, niewinna i mocno związana z rodziną. Dobrotliwości serca i miękkości duszy waszej mamy, wy, moje drogie dziatki, już same w pełni zaznałyście i dlatego, jak rozumiecie, to cudowne uczucie miłości, które stopniowo wlewało się w moje serce, uspokajało mnie. Mój ślub ułożył się inaczej niż to najczęściej bywało. Pierwszy zamiar mojego ożenku pojawił się już wcześniej. Wy dziatki to znacie i dlatego rozumiecie, że przed przyjazdem do Juchnowa sam nie wiedziałem do końca, jak postąpi wasza mama.

Z tego wszystkiego, moje dzieci, możecie dojść do wniosku, że wszystkie sprawy nasze są w rękach Boga. Że Bóg dał człowiekowi rozum, serce i wolną wolę, i że poprzez dane mu środki jest on w obowiązku kierować swoim postępowaniem i czynami. Zawsze trzeba uważać, że myślenie Boże o nas nie opuszcza nas nigdy. Pamiętajcie o tym zawsze, moje dzieci, i wierźcie, bo moje słowa wynikają z głębokiej miłości do was. Podobne wskazówki przekazywał mi mój ukochany stryj Rafał, co na zawsze zachowuję w mojej pamięci.

Dom, w którym mieszkali Poźniakowie, był własnością dziadka Franciszka Suskiego. Zakupiony niebawem po ślubie Juleńki, był niewielki, z pojedynczymi ozdobami, bardzo przyjemny i przepięknie położony. Na lewo poprzez wąwóz i rzeczkę był widok na stację przy szosie, na wprost było miasto, z prawej strony pola, a z tyłu sad i ogród. Mnie ulokowali w przytulnej, cichej i ciepłej oficynie obok bramy. Poźniakowie mieszkali bardzo przyzwoicie, a ich dom uważano za najładniejszy w mieście. Często spacerowaliśmy z matką, jeździliśmy na małych sankach, odwiedzaliśmy sąsiadów we wsi, spędzając miło czas. Mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że czas spędzony w Juchnowie należał do najlepszych chwil w moim życiu i okres ten mogę nazwać prawdziwą poezją. Fosia i Juleńka, która już wyzdrowiała, odnosiły się do mnie jak do starego dobrego przyjaciela. Akinfij zawsze mi wierzył i okazywał gościnność. Wszyscy juchnowscy i wiejscy znajomi Poźniaków i dziadka często przyjeżdżali do nas, żeby popatrzeć na kawalera, który przejechał aż dwa tysiące wiorst, by się ożenić. Współczuli nam, kiedy się

¹³⁶ Prawdopodobnie chodzi o jakiś bliżej nam nieznany obyczaj związany z zaręczynami. Łaska to m.in. godło marszałka weselnego; zob.: W. Kopaliński, *Słownik symboli*, Warszawa 1990, s. 191–193.

dowiedzieli, że po wieńcu wasza mateńka pojedzie na kraniec świata pod Bucharę. Wasza mama nie tylko nie bała się tego, bo powiem szczerze, wierzyła mi bez granic, co mnie podbudowywało.

Boże Narodzenie spędziliśmy w Juchnowie, a na Nowy Rok pojechaliśmy do Michajłowskoje, gdzie spędziliśmy cały dzień. Tamtego domu, w którym mieszkał dziadek, już nie ma, jest natomiast stary nieduży domek, służący obecnie za kuchnię. On sam posiadał trzy duże pokoje, z których dwa skrajne różniły się podłogami, średni składał się z przedpokoju i gościnnego, w drugim zaś mieściły się sypialnie waszej mamy, Fosi i Zuzanny Iwanownej. Pomieszczenie było ciasne mnie grzesznego umieszczono w przedpokoju, dlatego przedzielono też pokój szafami, przez co mój kącik był zaciemniony. Tutaj także rozstawiłem przywiezione ze sobą łóżko i przychodziłem jedynie na noc.

Od momentu przyjazdu na wieś można było zauważyć, że warunki pogorszyły się. Dziadek za cel swego życia uznał gospodarstwo – w sprzeczcie i umeblowaniu ciągle mu czegoś brakowało, ciasnota od nagromadzonych mebli i rzeczy była uciążliwa. Jednym zdaniem, wszystko to miało wpływ [zarówno] na mnie, jak i na waszą mateńkę oraz na biedną Fosię, która całą sytuację postrzegała jako więzienie, zwłaszcza że wasza mama miała wyjechać.

W Michajłowskoje przebywaliśmy do 8 stycznia i tego dnia wyjechaliśmy, by zawrzeć ślub w Smoleńsku, gdzie znajduje się kościół, który i wy moje miłe dzieci dobrze już znacie. To w tym właśnie kościele odbył się ślub z waszą mamą, a było to 11 stycznia 1853 roku¹³⁷.

Do Dorogobuża jechaliśmy na swoich koniach, a dalej na pocztowych. W Smoleńsku zatrzymaliśmy się w hotelu przy dużej ulicy obok głównej straży miejskiej; dobrze pamiętam, było to w piątek. Franciszek Suski zajął duże pomieszczenie składające się z czterech pokoi, a ja osobny numer za swoje pieniądze.

W sobotę jeździłem do kościoła i załatwiałem wszystkie sprawy z księdzem Lipieniem. Ten pocziwy duszpasterz bardzo miło mnie przyjął i nie czynił żadnych problemów, tak więc wszystko było tak jak myśleliśmy i w porządku. Ślub wyznaczono na niedzielę na godzinę czwartą po południu. Z kościoła pojechałem do złotnika w celu wygrawerowania dnia i miesiąca naszego ślubu na zakupionych przeze mnie w Moskwie obrączkach. Kiedy to wykonano, ułożyłem obrączki w pudełeczku z watą i włożyłem do kieszeni spodni. Po powrocie pokazałem obrączki waszej mamie i wszystkim obecnym; oglądali napis, rozprawiali, a później ułożyłem je jak wcześniej i zabrałem.

Na nasz ślub przyjechał z Juchnowa Akinfij Nikiforowicz, ale Juleńka z powodu choroby i śmierci mateczki przyjechać nie mogła. Akinfij zatrzy-

¹³⁷ Istniejący w tym czasie kościół katolicki pw. Narodzenia Najświętszej Maryi Panny zbudowany został przez franciszkanów w latach 1838–1839.

mał się u kolegi ze służby i oni obaj byli naszymi świadkami tego wielkiego wydarzenia, wniesionego do ksiąg kościelnych w dniu naszego ślubu. Według naszego obrzędu katolickiego do samego ślubu pan młody i panna młoda muszą się jeszcze wypowiadać i przystąpić do komunii świętej. Potem pożegnaliśmy się i rozeszliśmy do pokojów. Rozbierając się, przypominałem sobie o będących u mnie obrączkach, które wyjąłem z kieszeni w pudełku i dałem człowiekowi, żeby przekazał je waszej mamie.

Na drugi dzień dosyć wcześniej pojechaliśmy z waszą mamą do kościoła, gdzie wypowiadaliśmy się i w późnej porze obiadowej wróciliśmy do domu. Napiliśmy się herbaty i cokolwiek przekąsiliśmy. Udałem się następnie do księdza dopełnić wszelkich formalności, by kiedy już wszystko będzie gotowe, wrócić do swoich i zaprowadzić pannę do kościoła. Kiedy wychodziłem, Franciszek Suski prosił o przygotowanie koni i sań dla jego rodziny. Kiedy wszystko załatwiłem i wracałem do domu, konie nie były jeszcze gotowe. Po wejściu do pokojów ujrzałem wielką rozpacz, we wszystkich pokojach rzeczy były porozrzucane. Wasza mama cała we łzach, z bolącą głową, Franciszek Osipowicz i wszyscy obecni zrozpaczeni, jednym zdaniem, wszyscy czymś bardzo się przejęli. Niezbyt szybko doszedłem do przyczyny tego zamieszania.

Kiedy waszą mamę ubrali do ślubu, dali jej pudełeczko z obrączkami, a ona spojrzawszy weń, nie znalazła swojej obrączki, w wacie była jedynie moja. W pamięci pozostało jej tylko to, że jak sama oglądała obrączki, to były obie. Później była przekonana, że obrączka zaginęła u niej. Mało tego, kobiety, które ją ubierały, zaczęły przepowiadać jej różne nieszczęścia. Przerzucono cały dom do góry nogami. Biedna mama bardzo się zatroskała. Zacząłem się zastanawiać, myślałem i przypominałem sobie każdą chwilę po pokazaniu obrączek waszej mamie. Pomyślałem – jak nic została w kieszeni spodni. Wszedłem do pokoju, znalazłem spodnie, wywróciłem ich kieszenie, ale obrączki nie znalazłem. Zasmucony wróciłem z niewesołą wiadomością. Czas uciekał, zbliżała się pora wyjazdu do kościoła, a obrączki nie było. W tym momencie dziadek wymyślił, żeby wziąć jego obrączkę ślubną, ale ja na szczęście uświadomiłem sobie, że wczoraj byłem w innych spodniach, pobiegłem do siebie, znalazłem obrączkę i tak oto zakończyłem to zmartwienie. Naszą drogą mamę dużo kosztowała ta historia.

Do kościoła przybyło dużo ludzi, oczekiwany ślub był wydarzeniem dnia, z tego powodu, że pan młody przyjechał dwa tysiące wiorst. Przyjechałem wcześniej, zaraz też przybyła niewiasta, którą poprowadziłem do ołtarza. Z pełnym uduchowieniem przyjęliśmy błogosławieństwo duszpasterza i wzruszeni przysięgliśmy sobie wierność w wiecznej miłości i z modlitwą do Boga, żeby w przyszłości pomagał nam żyć zgodnie. Od tego czasu, moje dziatki, wasza mama Anna Suska stała się Anną Skolimowską.

Po wyjściu z kościoła zaczęły się życzenia, a w trakcie ich składania wasza mama spotkała się ze swoją przyjaciółką z pensji. Z tego spotkania bardzo była zadowolona, tym bardziej że była to jej bliska osoba. Mama zabrała ją z nami na wesele.

Po powrocie do poświęconego i przygotowanego domu zebrani goście pili herbatę i ucztowali; było skromnie. Goście narzekali na uciążliwości w hotelu. Jak pamiętam, cała przyczyna tego leżała w skąpstwie dziadka, o czym niebawem dowiedziałem się dokładnie. Na drugi dzień po lekkim śniadaniu udaliśmy się wszyscy z powrotem do Dorogobuża. W drodze piliśmy tylko herbatę i jedliśmy pieczywo, a jak przyjechaliśmy, i do tego dosyć późno, to i kolacji jeszcze nie było; piliśmy więc dalej herbatę, tym razem na nieszczęście bez bułki. Głód mnie prześladował i przyznam, że zły byłem na dziadka, który nie umiał zapobiec sytuacji, w której jego nowy syn w pierwszej podróży musiał głodować. Sporo żartowaliśmy na ten temat z Akinfjem, bo on podobnie jak ja tylko pił herbatę, żeby oszukać pusty żołądek.

Zaraz po przyjeździe do Dorogobuża dowiedziałem się, że ojciec Akinfija, Nikifor Polikarpowicz Pożniakow, mieszka o trzydzieści wiorst od tego miasta i że jest to szanowany człowiek, który, gdy dowiedział się o ślubie waszej mamy, zapragnął z całej duszy ujrzeć nas wszystkich u siebie. Dlatego też na nasz przyjazd posłał do Dorogobuża konie, skąd pognaliśmy do Rybek, rezydencji Nikifora Polikarpowicza.

Już w połowie drogi dokuczał mi głód, to samo odczuwał Akinfij, i żeby o tym nie myśleć, zaczęliśmy opowiadać, jakby to wspaniale było spożywać teraz pyszne dania z moskiewskiego hotelu. Śmialiśmy się do łez i nasze baronowe, czyli wasza mama i Fosia, umierały ze śmiechu. Chociaż głodni, to w dobrych nastrojach zajechaliśmy do domu.

Nie zdążyliśmy nawet wejść na ganek, jak gruchnęła muzyka i wyszła starszyzna; Nikifor Polikarpowicz i Maria Borysowna Pożniakowie stali na czele, a z nimi wysypali się syn gospodarzy Nikita Nikiforowicz i córki: Natalia i Eufrozyna. Było to początkiem życzeń i pocałunków. Wprowadzono nas do sali, w której stał stół nakryty do obiadu. Takie radosne przyjęcie przygotowane przez gospodarzy zaskoczyło mnie; nas z waszą mamą otoczono, wypytywano i oglądano z wyraźnym zadowoleniem. Zaproszono do zakąsek, a potem do obiadu.

Usiadłszy do stołu razem z waszą mamą, rozkoszowałem się jedzeniem. Apetyt miałem ogromny. Głodny zajadałem się, wszystko było smaczne i dobre, gospodarze weseli i radośni, tak jak i goście. Przy obiedzie towarzyszyła nam muzyka. Po obiedzie pojawiły się desery domowe, kawa i herbata, a o dziesiątej była wieczerza. Poczciwa Maria Borysowna była obrazem dobroci i miłości. Podejmowała nas wyjątkowo, a szczególnie mnie, ponieważ Akinfij powiedział jej, że jestem bardzo głodny. Pod koniec tego przyjęcia już

nie mogłem więcej jeść i poprosiłem gospodynię o mały oddech, a za wspa-
niałe przyjęcie ucałowałem jej rączki. Dla nas z waszą mamą był przygotowa-
ny przepiękny pokój, z rozkosznym łóżem małżeńskim.

Odpocząwszy po długiej drodze, wstaliśmy dosyć późno i od razu wpad-
liśmy w ręce Marii Borysownej. Była herbata, kawa, zakąski, obiad, kawa,
deser, herbata, a do wieczora zeszli się goście. Starszyna przygotowała na
naszą cześć bal, było ze czterdzieści osób i dosyć dużo młodych, więc tańce
przedłużyły się do [czwar]tej nad ranem. Całość zwieńczyła przepyszna kola-
cja, z toastem za zdrowie młodych. Część gości została na noc.

U starszych Poźniaków gościliśmy ponad tydzień i przez cały ten czas
panował radosny i rodzinny nastrój, a zwłaszcza gospodarz był wesoły i za-
bawny. Ich syn Nikita, jeszcze młody major, okazywał nam dużo uwagi i wła-
ściwie był duszą całego towarzystwa. W tym czasie był on na przepustce
i w tym samym 1853 roku poległ w walce 25 grudnia w wojnie z Turkami.
Natasza i Fruzinka, jeszcze młode niewiasty, były wesołe i z szacunkiem od-
nosiły się do waszej mamy i cioci Fosi. Cały tydzień rozmawialiśmy, chicho-
taliśmy, bawiliśmy się, biegaliśmy i nie zauważyliśmy nawet, jak czas upły-
nął. Starszyna i wasz dziadek jeździł z nami dlatego, że tak cudowny nastrój
rzadko się spotyka. Maria Borysowna to nieoceniona kobieta, wy, moje drogie
dziatki, widziałyście ją w zeszłym roku, gdy miała już [osiemdziesiąt] lat, ale
i teraz jest piękną staruszką. Wtedy, przed sześćdziesięciu laty, była przepięk-
na; jej twarz i osoba wyrażała zawsze dobroć i miłość. Całą moją duszą polu-
biłem jej przeziły wizerunek i po powrocie ze stepów znowu ją zobaczyłem.
Ze szczególną czułością i łzami przytulałem tę dobrą staruszkę.

Starsi Poźniakowie byli dla mnie zupełnie obcymi ludźmi, podobnie i dla
waszej mamy, ale okazana nam przychylność i gościna były o wiele większe
niż czasem doświadczamy od najbliższej rodziny. Mimowolnie porównywa-
łem okazywaną przychylność i jeszcze bardziej doceniłem starych Poźnia-
ków i Marię Borysowną, życząc im dobrze, szczególnie za okazaną przez
nich gościnę i bliskość, które na zawsze zostaną w mojej pamięci.

Franciszek Suski zaprosił wszystkich Poźniaków do siebie, a potem
z Rybek w czterech ekipach na koniach Poźniaków wyjechaliśmy do Do-
rogobuża, gdzie oczekiwali nas wszyscy dziadkowie. Tam przenocowaliśmy
i pojechaliśmy do Michajłowskoje.

Poźniakowie gościli u nas również tydzień, a tam, jak się przyjęło pięć
osób, to ciasnota stawała się straszna. Ja pozostałem w swoim ciemnym ką-
cie, z tym że umieścili tu jeszcze Nikitę. Starszych Poźniaków rozmieścili
w pokoju dziadka, a on spał w gościnnym; wszystkie trzy niewiasty z waszą
mamą – w sypialni. Jednym zdaniem, wszyscy spali jak śledzie w beczce.

Przyjęcie gości było przednie, dziadek ugościł ich dużą ilością dobrego
wina. Popijając je i przekąszając, byliśmy w bardzo dobrym nastroju, pa-

nowała ogólna wesołość i gwar. Pamiętam, że jednego wieczoru podczas kolacji starsi umówili się, żeby sprawdzić i upoić młodego, to znaczy mnie, w związku z czym podlewali ciągle do mojego kieliszka co tylko było, to znaczy przeróżne wina. Ich nastroje były wyśmienite, a ja, niczego nie podejrzewając, piłem za zdrowie, o mało nie zachłysnąwszy się. W końcu podali porter, nalali całą szklanekę i wypiliśmy. Nikifor Polikarpowicz, jeden z głównych dyskutantów, nie wytrzymał i wzięty pod rękę, odprowadzony został do sypialni pod opiekę Marii Borysownej. Dziadek okazał się wesołym żartownisiem, a ja i Nikita jako prawdziwi żołnierze nie polegliśmy. Wasza mama również chciała się dowiedzieć, jak poradził sobie jej mąż. Zadowolona była z tego doświadczenia i do tej pory już ponad osiemnaście lat nie widziała mnie pijanego. Po wyjeździe gości zostaliśmy sami, ale nadal nie dawali nam oddzielnego pokoju, więc ja pozostawałem wciąż w swoim kącie, zajmując przedpokój, a wasza mama spała razem z Fosieńką. Styczeń zbliżał się ku końcowi, a w połowie lutego obowiązkowo trzeba było wyjechać, bo czasu zostawało coraz mniej i trzeba było powoli się zbierać. Bardzo chciałem mieć nasz wspólny kąt, by wszystko było jak należy. Powiedziałem waszej mamie, żeby poprosiła dziadka o przygotowanie dla nas oficyny. Była ona stara i o niewielkiej powierzchni. Dziadek długo nie skłaniał się ku temu; dlaczego, do tej pory nie wiem. W końcu zgodził się, a my radzi z tego, przygotowaliśmy ją sobie sami, szczęśliwi, że możemy być razem. Zaczęły się jednak nieporozumienia. Pierwszy zatarg z rodziną poszedł o służbę, o którą prosiła moja żona Anna, ponieważ w takiej głuszy nie można było sobie niczego wyobrazić. Dziadek opierał się, wreszcie po długich, nieprzyjemnych sporach wyraził zgodę. Przydzielono nam Ignacego i dziewczynę Praskowię. Żeby im było łatwiej, chcieliśmy, by wzięli ślub, ale Ignacy się na to nie decydował. Przy zawieraniu umowy na ich służbę zauważyłem, że chciano wszystko załatwić bez nas. Ja nie zwracałem uwagi na takie drobiazgi. Później liczyliśmy pieniądze, żeby nasz przejazd z rzeczami mógł się odbyć za pomocą dwóch trójkonnych zaprzęgów. Odległość była ogromna, własnych pieniędzy mieliśmy w miarę wystarczająco, przed nami była trudna podróż w stepy, wymagająca dobrego rozplanowania, aby po przybyciu na miejsce urządzić się godziwie, a do tego potrzebne były pieniądze. Obmyśliwszy wszystko, doszedłem do wniosku, że tysiąc rubli pozwoli nam na spokojny start w przyszłość, a co najważniejsze, zapewni niezależność wraz z nadzieją na dodatkowe dochody. Porozmawiałem o tym z waszą mamą, wyjaśniłem jej szczegółowo całą sprawę i poleciłem, by poprosiła dziadka o tysiąc rubli jako część jej posagu, który, jak sama mówiła, wynosił pięć tysięcy rubli.

Mama w pełni zgodziła się ze mną i poszła do ojca przekonana, że przystanie na jej prośbę, tym bardziej że wyjeżdża tak daleko z mało znanym

człowiekiem i rozumiejąc też, że całe jej szczęście zależy od stosunku do męża, ale i od ojca. Wkrótce wróciła do mnie, była smutna, a oczy miała zaczerwienione. Na moje pytania odpowiedziała, że dziadek jeszcze ostatecznie nie podjął decyzji, ale myśli, że zgodzi się dać jej pieniądze. Przyznaję, że twarz mamy i jej słowa wyrażały trwogę. Podejrzewałem, że rozmowa z ojcem nie należała do przyjemnych, ale znając jej miłość do ojca, nie pytałem więcej; nie chcąc rozogniać ran, czekałem więc. Gdy przebywałem w domu przez kilka dni, dziadek był w pochmurnym nastroju. W rozmowach ze mną o pieniądzach nie padło ani jedno słowo, ja także milczałem, a czas wyjazdu się zbliżał. Pewnego wieczoru, kiedy zostaliśmy z mamą w swojej oficynie, ponownie zapytałem ją o pieniądze; biedna wasza mama nie wytrzymała, rzuciwszy się mi na szyję, powiedziała, że ojciec odmówił jej i złościł się, kiedy zaczynała o tym mówić, a także pytał, po co się żeniłem, kiedy nie mam środków do życia. Długo uspokajałem waszą mamę, rozumiejąc jej walkę miłości do ojca i do męża, ale łzy nie kończyły się. Powiedziała mi szczerze, że nie mówiła mi o tym, żeby zapobiec nieporozumieniom pomiędzy ojcem a mną, ale sama bardzo to przeżywa.

Sytuacja ułożyła się głupio; nie chciałem gniewać się z ojcem, bo przecież przyjdzie z nim żyć w niedoli i jeden Bóg wie, jak to z nim dalej będzie. Cóż, trzeba będzie jechać bez pieniędzy. Poprosiłem, aby powiedziała dziadkowi, że proszę o te pieniądze jako pożyczkę z zabezpieczeniem weksla i jako człowiek honoru jak najszybciej odeślę je z powrotem. Biedna wasza mama ponownie udała się na rozmowę, ale jej rezultat był taki jak wcześniej. We łzach opowiedziała mi, że ojciec nawet słuchać jej nie chciał i powiedział, że nie ma dla nas pieniędzy. Krew zawrzała mi w żyłach. Wy, moje drogie dziatki, znacie mój charakter, a za młodych lat był on jeszcze bardziej gorący. Podejrzewać mnie o lekkomyślność, i to jeszcze kto – ojciec mojej żony?! Chciałem iść do niego, ale łzy waszej mamy mnie powstrzymały.

Nastroj mojej duszy był mroczny; ostatnie dni pobytu w Michajłowskoje dobijały mnie. Były i chwile ponurych przemyśleń, kiedy to chciałem wyjechać sam, ale widok waszej mamy mnie powstrzymywał. Do domu przychodziłem tylko na obiad, z postanowieniem milczenia; jednym zdaniem, niecierpliwie oczekiwałem wyjazdu.

Szczerze mówiąc, nosiło mnie, ale mama wasza to męczennica. Jej miłość do mnie i do ojca nie pozwalała jej obwiniać żadnego z nas, poza tym widziała, że między tymi, których kocha, zaczęła tworzyć się wielka przepaść. Pomyliwszy się co do ojca, zdałem się jedynie na wolę Boga, wierząc, że nie zostawi nas, chociaż jeszcze dużo goryczy przyszło nam wypić, tak mnie, ale przede wszystkim waszej mamie.

W połowie lutego dziadek postanowił przewieźć waszą mamę do Juchnowa i wszyscy tam wyjechaliśmy. Napięte stosunki z ojcem bardzo nas mar-

twiły, biedna mama ukrywała łzy, żeby nas obu nie drażnić, i sami możecie sobie wyobrazić, jak cierpiała. Były to jednocześnie ostatnie chwile pobytu pod okiem ojcowskim, które dla każdego zanego człowieka są bezcenne. Zrozumcie, moi drodzy, jej ogromne cierpienie; perspektywy na przyszłość były nieznane, a dusza ukochanego męża – smutna. Kochany ojciec wystawiał ją na próbę miłości i nie miał zamiaru uspokoić jej męża. Opisuając to wszystko, i ja w tej chwili na nowo to przeżywam; myślę z żalem o waszej mamie, modlę do mojego Boga, żebyście wy, moje dziatki, nie musiały przeżywać czegoś podobnego!

W Juchnowie Akinfij i Juleńka przyjęli nas radośnie. Dziadek z waszą mamą, Fosią i Zuzanną Iwanowną zagościli w ich domu, a ja zostałem w mieszkaniu Romualda, lecz tam tylko nocowałem, a resztę czasu spędzałem u Pożniakowów. Mimo wesołości gospodarzy cały czas ogarniał mnie wielki smutek; bliska rozłąka, napięte stosunki z ojcem i nasze stałe milczenie siłą rzeczy wprowadzały mnie w ten nastrój. I do tego wszystkiego Juleńka, opłakująca waszą mamę, jakby przeznaczona była na śmierć. Wydaje mi się, że mówiła ojcu o tym, że źle traktuje uczciwego człowieka. Akinfij bardzo rozsądnie chciał jeszcze do tego od Franciszka Osipowicza obiecanych mu pieniędzy. To wszystko może bardzo się zemścić, jeden Bóg wie, przecież wyjeżdżamy na kraj świata. Pewnego wieczoru, kiedy siedziałem w gościnnym z Akinfijem, wszedł Franciszek Suski i zaczął ze mną rozmowę w taki sposób: „Zdaje się, że gniewasz się na mnie Aleksandrze Iwanowiczu?”. Ja: „Nie, ale boli mnie, kiedy lekceważysz mnie i moją żonę. Ty Anetę, ukochaną córkę swoją, jak mówiłeś, wyprawiasz z domu jak niepotrzebną, nie chcesz jej pomóc, wiedząc o tym, że wyjeżdża ponad trzy tysiące wiorst z człowiekiem, którego ledwie co zna. Ty obrażasz się na swoją córkę i moją żonę, uważając mnie za człowieka niegodnego, i dlatego nie zgadzasz się nawet zapisać posagu pod weksel. No to za kogo wydałeś swoją córkę? Teraz już rozumiem, że nie życzysz jej szczęścia, a chciałeś tylko, żeby jadła ci z ręki, ale Bóg jedyny to osądzi, uwierz mi, Aneta nigdy o nic prosić Cię nie będzie”.

Ojciec na to: „Niepotrzebnie bierzesz tak wszystko do serca, bo niczego dać nie mogę z powodu braku pieniędzy, a co jej obiecałem, to dostanie”.

Ja: „Ojcze, przecież nie jesteśmy dziećmi, pieniądze masz, i to niemałe, jeślibym tego nie wiedział, to uwierz, nie niepokoiłbym ciebie. Co zaś się tyczy obietnic – to stara pieśń, może i przyjdzie taki czas, że ja sam będę musiał pomagać innym, ale odmowa ojca pomocy potrzebującemu dziecku w tak trudnym czasie to już szczyt niegodziwości. Szczęście w tym wszystkim jest takie, że pokochałem twoją córkę i twój czyn nie ma wpływu na nas, ale pytam, za co ją tak okrutnie karzesz, i to w chwili, być może, wiecznej rozłąki”.

Powiedziawszy to, udałem się do mieszkania i nie przyszedłem na kolację. To zdarzenie właśnie długo pozostawało w sercu waszej mamy, bardzo bowiem martwiła się o nas obu, których kochała.

Na drugi dzień rankiem, kiedy nie byłem jeszcze ubrany, przyszła wasza mama i dała mi pięćset rubli, które dostała od ojca. Pieniądze te wcale mnie nie ucieszyły; w pierwszej chwili chciałem je zwrócić jako wymuszoną ofiarę, ale mama namawiała mnie na przeproszenie ojca i niegniewanie się na niego, dlatego też zrezygnowałem z mojego zamiaru.

Po wyjściu waszej mamy mimowolnie pomyślałem, do czego może prowadzić skąpstwo; zaciemnia ono umysł, w wyniku czego gubi się rzeczywistość. Jeżelibym te pięćset rubli oddał, to ojciec przy pierwszej prośbie córki powiedziałby: „Wybacz, więcej nie mogę”. Te nieprzyjemne tak dla niego, jak i dla całej rodziny sceny i to skąpstwo wyrządziły nam dużo złego; nawet i teraz czuję ból w sercu, kiedy piszę kolejne wiersze, ale mam potrzebę opowiedzenia wam tego, moje drogie dzieci, żebyście na przykładzie mojego życia nabrały doświadczenia i nie czyniły tego, co szkodzi drugiemu człowiekowi. Na dziadka ja i Aneta nie gniewaliśmy się, nie złościśmy, chociaż w przyszłości, jak zobaczycie, nie zmienił się. Jesteśmy przyjaciółmi; skąpstwo to choroba nieuleczalna i nie trzeba się żalić, dlatego i wy, drogie dzieci, lubicie dziadka i po przeczytaniu tych wierszy będziecie postępować tak, jak was wychowano.

W Juchnowie przebywaliśmy jeszcze pięć dni i pojechaliśmy do Moskwy. Pożegnanie waszej mamy było trudne; siostra i brat opłakiwali ją na wieki, ojciec był wzruszony. Wasza mama przeżyła to bardzo i rozumiem ją całkowicie. Patrząc na to wszystko, i ja zasmuciłem się, pojawiły się i u mnie łzy; pożegnanie stało się przygnębiające; ojca ucałowałem serdecznie i przeprosiłem.

Nasze rzeczy wysłano prosto ze wsi do Moskwy razem z Ignacym i Praskowią. Do Moskwy dojechałem z mamą w moich saniach, a tam kupiłem nowy ładny powóz na płozach, w którym razem z Praskowią dojechaliśmy na miejsce wygodnie. Ignacy i Siemion z rzeczami podążyli w drugiej trojce w moich saniach.

W Moskwie przebywaliśmy cztery dni, odpoczywając po tych przeżyciach. Wasza mama powoli uspokajała się i stawała weselsza. Byliśmy w teatrze i zakupiliśmy trochę niezbędnych rzeczy, między innymi żelazne łóżko składane, na którym i w obecnej chwili śpi wasza mama. Następnie ruszyliśmy do Orenburga.

Droga była dosyć przyjemna. Wasza mama mało jeździła pocztowymi końmi. Droga była równa i dobra, a podróż pocztowymi końmi szczególnie przez lasy muromskie, przy akompaniamencie pieśni, wprowadziła nas w cudowny nastrój. W miastach zatrzymywaliśmy się, odpoczywaliśmy, by znowu ruszać

naprzód. 28 lutego szczęśliwie przyjechaliśmy do Orenburga i udaliśmy się prosto do mojego mieszkania, w którym serdecznie witający nas Grisza poznał swoją nową panią.

Waszej mamie bardzo spodobało się moje małe mieszkanie. Było czyste, ciepłe i przyjemne, ale wchodząc do sypialni, roześmiała się do łez. Grisza bowiem załatwił od jakichś gospodarzy ogromne łóżko małżeńskie. Umieścił je w miejscu centralnym, na ścianie powiesił znany wam dywan warszawski, a na podłodze rozłożył drugi. Łóżko nakrył moją nową czerwoną kołdrą atlasową i z powodu braku poduszek położył mój jasiek, najbardziej barwną i jaskrawą poduszkę. Ta właśnie ostatnia rzecz tak rozbawiła waszą mamę i tak wyglądała sytuacja z wielkim łóżkiem. Gdy zapytałem Griszę, dlaczego postawił takie wielkie łóżko, kiedy posiadam swoje, on uśmiechnąwszy się odpowiedział, że chciał jak najlepiej, bo wracamy z drogi z panią, obydwójce zmęczeni, a tu już wszystko gotowe i możemy odpocząć. Od tego pierwszego spotkania mama polubiła Griszę, a ten służył jej wiernie.

Urządziwszy się na nowym miejscu z rodziną, zaczęliśmy spokojne życie. Ignacego uczyniłem lokajem, Praskowię kucharką i praczką, a Griszę kucharzem. Aby i Siemion nie próżnował, kupiliśmy mu konia i mały powóz do jazdy po Orenburgu. Wasza mama zajęła się naszym małym gospodarstwem i obojgu nam było dobrze. Romanowicz¹³⁸ przyjął mnie z zadowoleniem i nie pozostawało mi nic poza wyruszeniem w step i życiem na tyle, na ile pozwolą podstawowe środki utrzymania. Ale Bóg postanowił inaczej i wyznaczył nam pierwszą ciężką próbę.

W końcu marca nasz generał-gubernator Perowski¹³⁹ rozkazał ukarać chana kokańskiego za przeprowadzony przez niego najazd. Celem było zajęcie obwodu kokańskiego z twierdzą Ak-Mechet¹⁴⁰. Dowództwo wyprawy wziął

¹³⁸ Zob. przypis 102.

¹³⁹ Gubernator Wasilij Aleksiejewicz Perowski (1795–1857), generał, w latach 1833–1842 orenburski gubernator wojenny, a następnie gubernator samarski i orenburski w latach 1851–1857. Od 1845 r. członek Rady Państwa. Historycy rosyjscy XIX w. twierdzili, że za jego rządów Kraj Orenburski przechodził „złoty wiek”. Perowski przyczynił się w istotny sposób do rozszerzenia wpływów rosyjskich w Azji Środkowo-Wschodniej. Podobno początkowo był bardzo nieprzychylny Polakom, a zmiana miała nastąpić po incydencie z szeregowym Józefem Lewandowskim, którego Perowski za niesubordynację skazał na 3000 kijów. W trakcie wykonywania kary Lewandowski zmarł. Perowski miał żałować tej decyzji, zwłaszcza że widział, jak Polacy dzielnie walczą w szeregach rosyjskich. W Rosyjskim Gosudarstwiennym Istoriceskim Archiwie (RGIA) w Petersburgu zachowały się dokumenty osobiste i korespondencja Wasilija Perowskiego (f. 1021, op. 2, d. 61–69). Nie ma tu jednak żadnych informacji dotyczących orenburskiego okresu życia Perowskiego.

¹⁴⁰ Ak-Mechet – miasto jako twierdza chanatu Kokandy założone zostało w 1820 r.; położone było na prawym brzegu Syr-Darii.

na siebie sam Perowski. Formowanie kolumn przewidziane było w Forcie Aralskim, to jest w sztabie 4. batalionu, i batalion ten wchodził w skład ekspedycji. Jak jeszcze dobrze pamiętam, to na mnie właśnie zrzucono załatwienie wszystkich spraw dotyczących zorganizowania wyprawy.

Pierwsze zadanie dotyczyło uzbrojenia batalionu i wtedy okazało się, że dotychczasowe karabiny były skałkowe, a dostarczano właśnie unowocześnione. Nadzór nad tą wymianą przypadł mnie. Mój główny dowódca Romanowicz, chociaż nie brał udziału w ekspedycji, przyjął dziwną postawę. Nie dawał mi ani chwili wytchnienia, po prostu gonił mnie, był przy przyjęciu broni i często mnie beszał.

W tym czasie w Orenburgu miały miejsce między władzami a sztabami przeróżne intrygi, o których tak naprawdę nie wiedziałem. Sztab korpusu i zaufani Perowskiego nienawidzili Romanowicza, wiedząc o jego zaangażowaniu w przyjęcie karabinów. Wymyślili plan podłożenia mu świństwa i dostarczali broń z usterkami. Romanowicz nakazał mi przyjmować ją dlatego, aby zepsuć Perowskiemu ekspedycję. W innym przypadku Perowski nie zwróciłby na to uwagi, ale znana mu była pamiętna nieudana chiwańska ekspedycja w 1839 roku¹⁴¹. W przypadku powodzenia obecnej wyprawy obiecano mu tytuł hrabiego. Dlatego tak mocno się tym przejmował.

Nieoczekiwanie otrzymałem pismo od Perowskiego następującej treści: „Doszło do mnie, że przyjęcie karabinów prowadzi się niezgodnie z obowiązującą instrukcją, dlatego też żądam wyjaśnienia, jak przedstawia się odbiór karabinów”. Nie podejrzewając w tym niczego dla siebie niebezpiecznego, ponieważ byłem całkowicie niewinny, z otrzymanym pismem poszedłem do Romanowicza, uważając go za swojego sprzymierzeńca. Pokazałem pismo i poprosiłem o pomoc w sporządzeniu odpowiedzi, wyjaśniając, iż przyjmowanie karabinów odbywa się zgodnie z jego wymaganiami. Romanowicz przyjął mnie, jak się wydawało, przyjemnie, wyjaśnił mi jak odpowiedzieć, powiadając, że to bzdury, i nakazał sporządzić raport, który przed wysłaniem miałem mu przedstawić. W ciągu kilku godzin przedłożyłem generałowi sporządzony przeze mnie raport. Przeczytał go i powiedział, że napisany jest nie tak jak trzeba, za mało wyjaśnia, więc kazał mi go poprawić, ale spojrzawszy na mnie, wyrwał moją kartkę i na drugiej stronie swoją ręką napisał na brudno raport. Nakazał go przepisać i zwrócić mu brudnopis. Po przepisaniu wysłałem raport do sztabu korpusu, ale brudnopis zostawiłem na wszelki wypadek u siebie, nie zwracając go Romanowiczowi, co uratowało mnie od wielkich kłopotów.

¹⁴¹ Opis tej wyprawy w języku polskim zostawił Bronisław Zaleski, zesłaniec na linię orenburską; B. Zaleski, *Szerzenie się Rosyi w Azji Środkowej*, „Rocznik Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu” 1868, s. 126–127.

Nie dalej jak następnego dnia przyszedł rozkaz z korpusu, w którym napisano, że doszło do wiadomości, że dostarczone z fabryki broni w Tule karabiny iglicowe, przyjęte przez majora Skolimowskiego, nie są zgodne z obowiązującą instrukcją, w związku z czym mogą okazać się niesprawne w walce, dlatego też celem sprawdzenia ich przydatności wyznaczono komisję, z przewodniczącym generałem Romanowiczem i dziesięcioma członkami, w których liczbie byli i specjaliści od Perowskiego.

Przeczytawszy ten rozkaz, zrozumiałem w pełni, że moja sytuacja jest zagrożona, a nad moją głową zbierają się chmury. W Orenburgu byłem dla wszystkich obcy; Perowskiego uważałem za człowieka srogiego, ale i sprawiedliwego, a całą moją nadzieję pokładałem w Romanowiczu, do którego niezwłocznie się udałem. Generał przyjął mnie ostro i surowo; usłyszałem teraz uwagi i zastrzeżenia co do przyjęcia karabinów, z podkreśleniem, że sprawa ta skończy się źle.

Takie było nieoczekiwane stanowisko Romanowicza w tej sprawie. Mocno się zatrwożyłem, słuchając generała. Pomyślałem, że on nie jest taki, na jakiego wygląda, dlatego milczałem i próbowałem się uspokoić, ale później doszedłem do wniosku, że Romanowicz celowo robi mi taką scenę, odżegnując się jednocześnie od jakiejkolwiek sympatii i ukazując swe srogie i nieubłagane oblicze. Poczułem się więc w obowiązku powiedzieć: „Pan jako dowódca przyjęcie broni przeze mnie nadzorował osobiście, nic nie działa się bez pańskiej wiedzy i dlatego myślę, że pan nie wycofa swojej pozytywnej oceny”. Moje słowa nie uspokoiły go, przeciwnie, wyszedł z siebie; zarzucił mi mnóstwo, kazał wyjść, to jest wygnął precz.

Ocknąwszy się na ulicy, doszedłem do wniosku, że zaszło tu jakieś nieporozumienie i dlatego poszedłem do sztabu dywizji, żeby dowiedzieć się czegoś od adiutantów i wyjaśnić sprawę. Ale ci popiecznicy generała, wiedząc o jego planach, przyjęli mnie nie lepiej od niego samego. Oszołomiony, niczego nie pojmując, ale przeczuwając coś niedobrego, nie poszedłem do domu, ale długo chodziłem po mieście. W końcu zmęczony i wykończony zjawiłem się u waszej mamy. Gdy spojrzała na mnie, to wystraszyła się i wypytywała, co się stało i czy nie jestem chory. Miałem wielką ochotę wygadać się, ale tak naprawdę to nie miałem o czym mówić, bo i co, kiedy sam niczego nie wiedziałem. Przewidywałem jednak nadejście czegoś niebezpiecznego i strasznego. Nasza rozmowa nie dość, że Anety nie uspokoiła, to zatrwożyła ją jeszcze bardziej.

Zgodnie z rozkazem na drugi dzień razem z przyjętymi karabinami stawiałem się na komisji. Wszystkie znajdujące się tam osobistości były mi nieznane i groźnie na mnie spoglądały. Jeden z nich jednak znał mnie dobrze, i to od dawna, ale i on okazał się wart ich wszystkich. Po dokonanej ocenie z około tysiąca karabinów aż trzy czwarte zakwestionowano; rzadko który z karabi-

nów nie miał usterek. Moich wyjaśnień i protestów nie wysłuchano. Tortury te ciągnęły się przez szesnaście dni; czułem się pohańbiony i wewnętrznie strasznie cierpiałem.

W tym czasie, jak się dowiedziałem, mówiono na mieście, że podobno wziąłem pokazną łapówkę i dlatego przyjąłem karabiny z usterkami. Mocno mnie to bolało, ale na pomoc nie mogłem znikąd liczyć. Były też chwile, w których uważałem się za przegranego i zniszczonego człowieka. Wtedy też razem z waszą mamą przeżywaliśmy wielką gorycz, często płacząc, ale w końcu uspokajaliśmy się, wiedząc o mojej niewinności, i zawierzaliśmy Bogu, licząc na to, że nas nie zostawi. Sądu się nie bałem, bo miałem też swoją linię obrony; bałem się za to bezapelacyjnego zwolnienia ze służby, gdyż wtedy zostalibyśmy bez kawałka chleba.

Jednocześnie doszło do mnie, że Romanowicz wiedział od swoich popeczników o knowaniach swych przeciwników w sprawie karabinów i dowiedział się o tym podstępny planie. Znając słabość Perowskiego do kobiet, jak i jego uparty charakter, zrozumiał, że walka z nim jest niebezpieczna i żeby jej uniknąć, posłużył się mną. Sytuację tę wyjaśniła sprawa raportu. W pierwszej chwili Romanowicz okazał mi zrozumienie i poparcie, każąc pisać raport. Mój raport zdejmował z Romanowicza odpowiedzialność za przyjęcie karabinów i wtedy cała groza spadała na mnie.

Wtedy właśnie partia przeciwna Romanowiczowi odczuła, że ich działania nie trafiły w cel, a w miejsce grubej zwierzyny ujrzeli biednego, mało znaczącego majora, a tryumfował gruby zwierz. Romanowicz został przewodniczącym całej komisji, w której wielu członków było jego zwolennikami. Intryga znowu nabrała rozpędu, ale to przyczyniło się do mojego ratunku. W skład komisji wchodził pułkownik Tołmaczew jako urzędnik do specjalnych poruczeń generał[a]-gubernatora. Żona jego jako piękność cieszyła się specjalnym uznaniem Perowskiego.

Pewnego późnego wieczoru, kiedy byliśmy po kolacji, do drzwi naszego mieszkania rozległo się głośnie pukanie, które się przedłużało, ale my nie zwracaliśmy na nie uwagi, myśląc, że to ktoś przyszedł do gospodarzy. Po czym wszedł Ignacy i powiedział, że przyjechał człowiek od Tołmaczewa i prosi o widzenie ze mną. Nie rozumiejąc przyczyny tak późnej wizyty, przyjąłem go i dowiedziałem się, że pułkownik chce mnie widzieć w bardzo ważnej sprawie, że przysłał konia i prosi, aby jechać do niego. Wszystko to było dla mnie dziwne, nie wiedziałem bowiem, jaką rolę odgrywa Tołmaczew. Nałożyłem mundur i pojechałem. W oknach domu, do którego podjechałem, było ciemno, co mnie zdziwiło. Poprowadzono mnie prosto do gabinetu z wejściem od podwórza i tam spotkałem pułkownika. Przeprosił za zamieszanie, ale chciał dowiedzieć się ode mnie wszystkiego ze szczegółami w sprawie karabinów. Ponieważ sprawa była świeża, to moje wyjaśnienia szły sprawnie, mówiłem,

że nie działałem samowolnie. Wspomniałem, iż właśnie generał Romanowicz przedstawił mi do wglądu raport w brudnopisie, wymagany przez Perowskiego, oraz że do chwili obecnej posiadam jego brudnopis u siebie. Wszystko, co opowiedziałem, bardzo zainteresowało Tołmaczewa i na koniec naszej rozmowy obiecał mi konkretną pomoc.

Wyjeżdżając od pułkownika, dziękowałem mu w duszy i prosiłem Boga o pomoc dla niego za jego dobre serce. Po przemyśleniach doszedłem jednak do wniosku, iż dobro mi uczynione jest chyba kolejną wrogą intrygą wymierzoną w Romanowicza, bo bez tego przecież nie podałyby mi on pomocnej ręki. Po dwóch dniach na zakończenie komisji Tołmaczew powiedział mi w taki sposób, żeby nikt o tym nie wiedział, że będzie potrzebował ode mnie wyjaśnień złożonych na piśmie. Prosił poza tym o złożenie w załączeniu brudnopisu raportu Romanowicza. Przez kilka dni przygotowywałem i poprawiałem razem z waszą mamą wyjaśnienia, oczekując dnia wręczenia ich komisji, wiedząc zarazem, że dzień ten będzie dla mnie pamiętny i odetchnę wówczas swobodnie.

Zapomniałem dodać, że zgodnie z postanowieniem komisji zamiast mnie do ekspedycji wyznaczony został pułkownik Joniej, dowódca 2. batalionu, a ja zostałem z niczym i bez swojego oddziału. Później mówiono, że w sztabie korpusu było już przygotowane doniesienie do ministra, według którego okazałem się niezdolnym i niepewnym sztabsoficere, dlatego też odsunięto mnie od ekspedycji i wyznaczono wspomnianego Jonieja. Na szczęście pisma nie wysłano, a przedstawione wyjaśnienia pomogły w sprawie i w miejsce gotowego już pisma Perowski napisał do ministra, że w wyniku różnych okoliczności do wypełnienia misji wyznacza się pułkownika Jonieja, a majorowi Skolimowskiemu powierza dowództwo 2. batalionu. Dopiero wtedy mogliśmy odetchnąć z waszą mamą, że nic złego się nie stanie, a wszystko idzie ku lepszemu. Bóg wie, co robi, i zawsze staram się chylić czoła przed Jego Świętą Wielkością.

Co działo się u Perowskiego i Romanowicza, nie wiem, należy jednak przypuszczać, że ich walka była zaciekle, bo Romanowicz zabezpieczył się i wcześniej wyjechał na przepustkę, z której nie wrócił, a dowódcą dywizji został generał-lejtnant Głuchow¹⁴². Romanowicza nie widziałem więcej i Bóg z nim. Była to burzliwa, twarda, wybuchowa natura, ale myślę, że w porównaniu z moją to wręcz tchórzliwa. Gdyby poprowadził sprawę karabinów należycie, to rezultat byłby zupełnie inny i obyłoby się bez trudności, dzięki czemu mógłby śmiało spojrzeć innym w oczy, a tak wystraszył się i wyszedł na durnia. Zakwestionowane karabiny pozostały na składzie, a do celów eks-

¹⁴² Prawdopodobnie Chisanf Wasiliewicz Głuchow, generał-lejtnant od 1852 r. i dowódca 23. dywizji; C. В. Волков, *Генералитет*, t. 1, s. 362.

pedycji użyto wyreperowane przez rusznikarzy z Orenburga. Po zmniejszeniu stanu pułków po kampanii węgierskiej pozostałem w Orenburgu, a Perowski w końcu maja wyruszył w bój.

Nasze życie toczyło się w spokoju, ale wypłaty otrzymywałem szczupłe, tylko wysłana mi została nagroda za wyjazd do Warszawy, co poprawiło moje skromne utrzymanie. Orenburg spodobał się waszej mateńce, poznaliśmy kilka osób, najbardziej przyjemny był dom Batalionowów, których starsza córka Zina została przyjaciółką mamy. Często spacerowaliśmy, jeździliśmy i lato przeszło niezauważalnie.

Perowski zakończył ekspedycję z sukcesem. Ak-Mechet wzięto szturmem ku chwale narodu. Pieniądzy otrzymali dużo, a główny zwycięzca Perowski dostał to, o czym marzył od dawna – tytuł hrabiego. Jego powrót późną jesienią był uroczysty – w chwale i pokłonach.

Jednakże sprawa z karabinami miała dalszy bieg. Podczas gdy Perowski wojował, do jego sztabu stale przychodziły zapytania z departamentu artyleryjskiego, zainteresowanego tym, dlaczego karabiny z dobrego zakładu państwowego produkcji broni były wszystkie z usterkami. Oprócz tego departament inspekcji zadawał pytania, dlaczego do tej pory nie przejąłem swojego batalionu i dlaczego nie przedstawiono potwierdzenia w sprawie karabinów w przepisowym terminie czterech miesięcy. Dowódca sztabu nie chciał brać tej sprawy na siebie i dlatego czekał na Perowskiego. Niebawem po przybyciu tego ostatniego spacerowaliśmy z waszą mamą po miejskim ogrodzie. Podszedł do mnie adiutant sztabu korpusu, przystojny mężczyzna, z którym nasza znajomość było służbowa. Odwiódł mnie na bok i powiedział: „Chociaż nie jestem upoważniony do uprzedzania, to z życzliwości powiem, że w sztabie przygotowują dodatkowe wyjaśnienia w sprawie karabinów i ich treść nie jest dla pana korzystna”. Podziękowałem temu życzliwemu i dobremu człowiekowi. Następnie poszliśmy z waszą mateńką do domu i tam znowu zaczęliśmy przejmować się sprawą. Dużo rozmawialiśmy i rozmyślaliśmy, ale nic z tego nie wychodziło. Dowódca sztabu nie popierał mnie z innych przyczyn, o których można by dużo mówić. Do Perowskiego, jak mówiono, dotrzeć nie było można, dlatego też z niczym położyliśmy się spać. Ta noc była dla mnie niespokojna, nie mogłem spać i w myślach doszedłem do tego, żeby osobiście stawić się przed Perowskim, doczekać się przyjęcia i wyjaśnić wszystko. Wcześniej przed świtem wstałem, przygotowałem się i pojechałem do pałacu równo o godzinie dziewiętej rano.

Przed wartą zorientowałem się, że generał już urzędował; jacyś urzędnicy kręcili się, więc zapytałem dyżurnego, czy to prawda, że dostanie się na wizytę do generała jest trudne. Dyżurny bardzo rzeczowo wyjaśnił mi, że do hrabiego wszyscy mają wolny dostęp i że należy go tylko powiadomić o moim przybyciu. Zapytał o moje nazwisko i poszedł do pokoi wewnętrznych. Po



13. Wnętrze Ak-Mechetu

powrocie poinformował mnie, że hrabia jest zajęty, ale prosił, żeby przyjść jutro o tej samej porze. Podziękowałem serdecznie temu życzliwemu i dobremu człowiekowi, który powiedział mi jeszcze, że kiedy jutro wejść do gabinetu, żebym nie zapomniał zamknąć drzwi za sobą, bo to jest wymagane, a niewykonanie tego wprowadzi Perowskiego w złość.

Do domu wracałem radosny, chociaż tak naprawdę nie było się z czego cieszyć. Waszą mamę zastałem nieco podenerwowaną, bo nie wiedziała, gdzie takim wczesnym rankiem wyjechałem; rozprawialiśmy długo i nie wiedzieć czemu swobodnie.

Na drugi dzień o umówionej godzinie stawilem się w pokoju przyjąć hrabiego, gdzie zastałem różnych urzędników. Wkrótce znany mi dyżurny przyszedł powiadomić mnie i poprosił do kancelarii gubernatorskiej. Tam czekałem około godziny, pojawiali się też i inni; do pokoju przyjąć wszedł także dowódca sztabu, który na mój niski pokłon nie odpowiedział i odwrócił się. To jego najpierw poproszono do gabinetu, gdzie przebywał ponad dwie godziny. Znużyło mnie bardzo to oczekiwanie; od ciągłego rozmyślania i dumania głowę miałem skolataną.

W pół do drugiej wyszedł dowódca sztabu i pokazał mi ręką, żebym wszedł do gabinetu. Przyznam się, że serce mocno mi zabiło; wskazanie drogi przez nienawistnego dowódcę sztabu nie wróżyło niczego dobrego, mimo to wszedłem śmiało i nie zapomniałem zamknąć drzwi. Za biurkiem naprzeciw drzwi siedział hrabia. Był to człowiek stary i chudy, ale o niezwyklej fizjonomii;



14. Generał Wasilij Perowski

z nosa zwisały mu dwa sople. Na mój pokłon nie odpowiedział i podparłszy brodę, patrzył na mnie swoimi wielkimi wypukłymi oczyma do tego stopnia surowo, że stało się to straszne. Podeszedłem bliżej do stołu, mówiąc, że przybyłem prosić o obronę Waszą Wysokość. On na to: „Jaka dla pana obrona, skoro poleciłem panu przyjąć karabiny, a pan co zrobił? Pan chciał zaszkodzić mojej ekspedycji. Jeżeli wziąłbym te karabiny i one by nie strzelały, to ja bym pana rozstrzelał”. Przy tym wsparł się rękami o stół i jeszcze bardziej wytrzeszczył oczy. Stałem i nie mrugałem nawet oczami. Po obowiązkowej pauzie usiadł i ponownie zaczął w podobnym tonie. Jego słowa lały się potokiem i wszystkie już w takim jak wcześniej tonie. Stałem i dziękowałem w duchu dowódcy sztabu, że przygotował mi taką wątpliwą przyjemność. Szczerze mogę powiedzieć, że mowa hrabiego ciągnęła się około dziesięciu minut. Z powodu napięcia i stanu ducha na moim czole pojawiły się krople potu, ale i hrabia zmęczył się i aby zakończyć sprawę, powiedział, że nie on o tym będzie decydował: „Proszę napisać w tej sprawie o moim stanowisku do ministerstwa wojny”. Tutaj nieopatrznie ośmieliłem się powiedzieć: „Nie boję się przepisów, nie jestem winny i wierzę w to, że będę oczyszczony, boli mnie tylko to, że jestem niewinny, a liczy się tylko zdanie Waszej Wysokości”. Moje słowa wyszły z serca i z burzliwego nastroju. Na moje słowa hrabia wyraźnie zaczął się uspokajać i pozwolił mi mówić; stał się, jednym zdaniem, uważnym, zwykłym śmiertelnikiem, można nawet powiedzieć, że dobrym człowiekiem. Nasza rozmowa – ciągnęła się długo; otrzymałem porządną nauczkę, pot łał mi się po policzkach, ale w rezultacie usłyszałem następujące słowa: „Nie życzę panu źle i zapominam, co było, proszę zameldować się u dowódcy sztabu, żeby przejął pana sprawę i pomyślał, co tu zrobić, żeby było dla pana najlepiej”.

Sprawy ułożyły się tak, że znajdujący się w stepie pułkownik Joniej przez żonę swoją starał się wrócić do Orenburga, a do zdobytego Ak-Mechetu, nazwanego ku czci jego zdobywcy Fortem Perowskiego, postanowiono wysłać dowódcę 5. batalionu podpułkownika Ogariewa¹⁴³, natomiast mnie wyznaczyć dowódcą tegoż batalionu. Takie rozkazy wykonano bez zwłoki i zdecydowano się wysłać mnie do Orska¹⁴⁴, by nie zatrzymywać Ogariewa.

Przygotowania do wyjazdu nie były długie. Rzeczy wysłaliśmy przez ordynansa, a sami z Ignacym i Praskowią pojechaliśmy moim moskiewskim tarantasem. W dniu wyjazdu, kiedy żegnaliśmy się z Batalionowymi, przybył

¹⁴³ Michaił Wasiliewicz Ogariew (1809–1875), podpułkownik od 1849 r., pułkownik i generał-major od 1853 r. Uczestnik wojny rosyjsko-polskiej w 1830–1831 i kampanii w 1853 r. w Azji Średniej (obrona Ak-Mechet). Od 1851 r. dowódca 5. orenburskiego batalionu, od 1853 r. dowódca twierdzy Ak-Mechet; C. B. Волков, *Генералитет*, t. 2, s. 233.

¹⁴⁴ Orsk – miasto powiatowe w guberni orenburskiej nad rzeką Ural.

tam Ignacy i powiedział, że przyjechał do nas dyżurny korpusu sztabsoficer, pułkownik Rejtern¹⁴⁵ – brat obecnego ministra finansów – i chciał się ze mną widzieć. Po przybyciu do domu spotkałem się z nim, ale ponieważ był on ulubieńcem Perowskiego i wysokim urzędnikiem, to do tej chwili nie spotkałiśmy się jeszcze i dlatego jego wizyta zdziwiła mnie. Rejtern był bardzo miły, tłumaczył się i przepraszał, że to przez niego doświadczyłem tylu przykrości, ale miał do mnie prośbę. Prośba ta była następująca – do wojsk orenburskich przydzielono podoficera Trubeckiego¹⁴⁶, który trzy lata temu miał nadane przez najwyższe władze potwierdzenie książęcych przywilejów i wstąpił do pietrowskiego batalionu garnizonowego jako szeregowy. Dzięki usilnej protekcji awansowany został do stopnia podoficera, ale pobyt w tym batalionie mu się nie spodobał i żeby mógł stamtąd wyjechać, przypisano mu chorobę. W celu zmiany klimatu proszono o przeniesienie go na Kaukaz do namiestnika księcia Woroncowa¹⁴⁷, za którego wyszła za mąż siostra Trubeckiego. Cesarz Mikołaj I nie zgadzał się na to, bo był do Trubeckiego nastawiony nieprzychylnie. Krążyła powszechnie plotka, że będąc oficerem gwardii, był chorobliwym szaleńcem, uczestniczącym w wielu wybrykach i skandalach. Ostatni jednak mu się nie upiekl. W Petersburgu był kupiec Żedemirowski¹⁴⁸, bardzo bogaty i wielki producent cukru; do jego pięknej żony wzdychali liczni w Petersburgu; mówiono, że i sam Mikołaj I myślał o niej. Kiedy zobaczyłem Trubeckiego, stwierdziłem, że wcale nie był przystojny, a mimo to dzięki sprytniej naturze pozyskał wdzięki Żedemirowskiej. Żeby pozbyć się zalotników i ostatecznie przypieczętować swą miłość, wymyślili oni wspólny wyjazd zagranicę. W tym celu Trubecki zdobył podrobiony paszport i stało się. Szybko to odkryto, ruszyła pogoń, ale zakochani przekroczyli granicę. Za granicą Trubecki poczuł się wolny, grał w bilard i wraz ze swą lubą wpadł w ręce ścigających. Przewieziono go do Twierdzy Pietropawłowskiej¹⁴⁹ i żąd-

¹⁴⁵ Brat rosyjskiego ministra finansów Michaiła Christoforowicza Rejterna (1820–1890).

¹⁴⁶ Księżę Siergiej Wasiliewicz Trubecki (1815–1859), zięć późniejszego generała-gubernatora Aleksandra Bezaka.

¹⁴⁷ Michaił Siemionowicz Woroncowa, księżę (1782–1856). W latach 1845–1856 dowodzący wojskami i namiestnik na Kaukazie; *Военная энциклопедия*, Петербург 1912, s. 40–43. To jego syn Siemion (1823–1882) ożenił się z Marią Wasiliewną Trubecką (1819–1895).

¹⁴⁸ Mowa tu o słynnym romansie księcia Trubeckiego z żoną kupca Lawinią Żadimirovską (Skolimowski błędnie pisał nazwisko: Żedemirowski), zakończonym ich ucieczką w 1851 r. Uciekinierów pojmano w Tyflisie i odstawiono do Petersburga. Trubeckiego oddano pod sąd wojskowy, a następnie jako szeregowca wysłano do batalionu liniowego w Orenburgu. W 1855 r. został uwolniony ze służby.

¹⁴⁹ Twierdza Pietropawłowska zbudowana po 1703 r. na Wyspie Zajęczej miała bronić Petersburg.

ne znajomości mu nie pomogły. Postawili go przed sądem i chociaż był żonaty, wysłali go do wojska na północ, żeby ostudzić jego namiętność.

Przeniesienie Trubeckiego nie udało się, stąd też pojawiły się dalsze prośby rodziny o wysłanie go do Orenburga, co w końcu osiągnięto. Perowski także sprzyjał Trubeckiemu, którego w końcu skierowano do 2. batalionu w Orenburgu i tam żył sobie wcale dobrze. Zajmował dostatni dom, a towarzystwo jego składało się z młodzieży ówczesnych postępówców, dlatego też starzy patrzyli na nich surowym wzrokiem.

W tym czasie w Orenburgu przebywał poplecznik Perowskiego, Żemczużnikow¹⁵⁰, młody, wykształcony i stanowczy. Został on wielkim przyjacielem Trubeckiego; razem rysowali i kiedyś pokazali dużo karykatur obyczajowych z życia orenburskiego. Portrety te miały ze sobą ścisły związek, każdy z nich już na pierwszy rzut oka przedstawiał konkretną osobę. Ponieważ ukazywały osoby z różnych środowisk i przedstawiały ułomności postaci wpływowych, osoby te były mocno oburzone. Opowiadano, że Perowski te szaleństwa młodości przyjmował z uśmiechem, że oglądał karykatury i śmiał się. Znaleźli się jednak i tacy, którzy donieśli o tym do Petersburga i pewnego poranka przyszedł rozkaz, żeby Trubeckiego wysłać do Fortu Perowskiego i powołać do służby, gdzie może się wykazać.

Perowski był wzburzony tym donosem, bo uderzał on także w niego, ale rozkaz należało wypełnić. W tym celu skierowano Trubeckiego do komendantury. Okazało się, że i sam komendant często pojawiał się w karykaturach w bardzo śmiesznym ujęciu. Żeby rozkaz wykonać i nie łamać prawa, Trubeckiego jako szeregowca i osobę pozbawioną praw stanu skierowano do Fortu Perowskiego. Wtedy Trubecki zorientował się, że jest źle i zwrócił się do Rejterna jako kolegi z Korpusu Paziów¹⁵¹. Analizując prawną stronę, zauważono jednak, że do postępowania w takich sprawach można było użyć innego sposobu, a mianowicie przydzielić do oficerów, wobec których toczyło się postępowanie wyjaśniające. Dlatego też Trubeckiego przydzielono mnie, z tym że mam go później przekazać Ogariewowi, a z tym ostatnim ma on być dostarczony do Fortu Perowskiego.

Tak właśnie przedstawiała się prośba Rejterna. Oczywiście w pełni się zgodziłem na to, prosząc, aby o godzinie czwartej rano tego dnia Trubecki stawiał się u mnie z wszelkimi niezbędnymi dokumentami. Ze sztabu korpusu przydzielono mi drugi list podróżny na sześć koni, i z tym ekwipażem oraz

¹⁵⁰ Prawdopodobnie Aleksiej Michajłowicz Żemczużnikow (1821–1908), poeta, satyryk i humorysta. Jako urzędnik brał udział w kontrolach z ramienia Senatu.

¹⁵¹ Korpus Paziów został założony przez cara Aleksandra I w 1802 r. Była to elitarna szkoła wojskowa w Imperium Rosyjskim. Kształcili się w niej synowie arystokratów i wyższych rangą oficerów.

papierami stawiał się Trubecki. Okazał się on człowiekiem wykształconym, miłym, uprzejmym i zaradnym.

Nasza droga do Orska, licząca dwieście sześćdziesiąt dwie wiorsty, zaczęła się wesoło i przyjemnie. Pierwszej nocy przejechaliśmy osiemdziesiąt wiorst, ale gdy zaczął padać duży deszcz, zatrzymaliśmy się na odpoczynek. Kiedy wstaliśmy o dziesiątej rano, ujrzelśmy gęsty śnieg. Dalsza droga stawała się coraz trudniejsza, rzeński chłód i śnieg opóźniały jazdę. Koła wrzynały się w zmarzlinę i przejechaliśmy tego dnia jedynie dwie stacje, nie więcej niż czterdzieści wiorst. Na drugi dzień zrobiło się nieznosnie, nasze pięciokonne ekipaże zatrzymywały się na stromiznach. Śnieg nie przestawał padać, chłód i wiatr były straszne, ubrani byliśmy nie na zimę, więc marzliśmy. Na domiar nieszczęścia zaczęły się Góry Guberlińskie¹⁵²; było coraz więcej pochyłości i parowów, więc zatrzymaliśmy się pięć wiorst od stacji, nie wiedząc, co robić. Myśleliśmy jechać do stacji szukać ludzi, żeby wyciągnąć tarantas ze śniegu. Na szczęście dogonił nas naczelnik powiatu, który jechał w asyście kozaków na wizytację. Okazał się on znajomym Trubeckiego i tarantas wyciągnięto, nasze konie zmieniono i szybko dostaliśmy się na stację.

Nie wyobrażaliśmy sobie takich trudności, na jakie natrafiliśmy. Spodziewaliśmy się, że do Orska dojedziemy na drugi dzień. W związku z tym nie wzięliśmy ze sobą zapasów jedzenia. Głód dawał nam się we znaki, a tymczasem na stacji nie było nawet herbaty. Ale nasz zdegradowany książę sprawdził całą stanicę, wszystko załatwił i zapewnił nam pyszną zakąskę, tak że zapomnieliśmy o przykrościach. Do środka Gór Guberlińskich jechaliśmy w towarzystwie naczelnika na odległość nie większą niż jedna stacja. Kiedy śnieg nie ustawał, to zostawiliśmy tarantas i pojechaliśmy dwie dalsze stacje na saniach. Trubecki nie mógł zostawić tarantasa, bo dalsza podróż w stepie musiała się odbyć na kołach, dlatego pojechał sam i wyprzedził nas. Kiedy przejeżdżaliśmy drogą pomiędzy parowami, na zboczu góry ujrzelśmy przewrócony tarantas Trubeckiego, ale nie było przy nim nikogo. Zrobiło się nam go żal, ale pojechaliśmy dalej. W Górach Guberlińskich co siedem wiorst znajdowały się wtedy pikiety kozaków. Podjechaliśmy do pierwszej z nich, do której wcześniej dotarł także Trubecki. Był bez czapki i prosił o dowiezienie go do stacji. Okazało się, że woźnica radził mu, żeby nie jechał po drodze, która z powodu parowów i głębokiego śniegu była trudna, ale żeby przedzierał się po zboczach. Jego tarantas wywrócił się do góry kołami i nie było możliwości jego podniesienia. By nie zamarznąć, wziął konia i wierzchem dojechał do pikiety, a swojego człowieka i woźnicę zostawił do świtu. Gdy podjeżdżał do pikiety, wiatr zerwał mu czapkę i jak prawdziwy donżuan z gołą głową doje-

¹⁵² Góry Guberlińskie – górski masyw na wschód od Orenburga.

chał do kozaków. Z pikiety wysłane zostały sanie i ludzie, a później pozostałe rzeczy. Woźnicę i sługę Trubeckiego oraz inne rzeczy zostawiono na pikiecie, a tarantas czekał do lepszej okazji. Wasza mama dała Trubeckiemu chustę, którą zawiązał na głowę, siadł z nami do sań i bardzo zabawnie opowiadał o swoich przygodach. Do stacji śmialiśmy się, a dojechawszy tu, zostawiliśmy Trubeckiego, a sami pojechaliśmy do Orska. Nasza podróż przedłużyła się do sześciu dni i była tak nieudana, że nigdy tego nie zapomnimy.

Udałem się przyjąć batalion. Trubecki przybył, a ja przekazałem go Ogariewowi¹⁵³. Sformowany oddział lekki uniósł ich obu w głuchy step, w najbardziej paskudne i trudne do podróży w tych czasach miejsca.

Nasze życie w Orsku było zupełnie wygodne. Dom nasz miał wiele lat. Należał do skarbu i był przeznaczony na kwaterę dla dowódcy batalionu. Meble i wyposażenie zakupiłem od Ogariewa. Ponieważ nie miałem gotówki, to rozliczyliśmy się później podczas przejęcia batalionu.

Orsk był wtedy twierdzą, jego umocnienia zniszczono, otoczony był wałem usypanym z ziemi. Znajdowały się tu: komenda placu, arsenał, oddział artyleryjski i inżynierski. Mieszkańcami byli kozacy, a zarazem mieszkało tu wielu kupców, gdyż prowadzono handel z Kirgizami. Był także posterunek celny, z nieodłącznym składem urzędników; poza tym znajdował się tu sztab 4. pułku kozackiego.

Zimę przeżyliśmy bardzo przyjemnie, ale o tym opowiem później. Do Orska przyjechaliśmy 10 października 1853 roku. Wasza matenka była już w ciąży, a ciężka droga jeszcze bardziej ją osłabiła. Kiedy przyjechaliśmy do nowego mieszkania, mama dowiadywała się, czy jest w Orsku akuszerka, lecz takiej nie było. Dowiedzieliśmy się, że w takich sprawach trzeba się zwrócić do prostej kozaczki i taką staruszkę poprosiliśmy. W końcu 30 października 1853 roku Bóg podarował nam syna Aleksandra.

Wszystkie sprawy zakończyły się pomyślnie. Matenka wasza wróciła do sił przed Bożym Narodzeniem. W tym czasie zdążyliśmy zapoznać się ze wszystkimi. W okresie bożonarodzeniowym i później dużo tańczyliśmy, muzyka była wojskowa, nasz salon duży, z przepiękną podłogą, środki do życia mieliśmy, dom prezentował się przyzwoicie, a więc cały ten czas przeżyliśmy przyjemnie.

Mieszkańcy Orska odnosili się do nas z szacunkiem, wyjątkowo zaś dobre i przyjacielskie stosunki mieliśmy z domem Chołmskich. Sam [Aleksiej] Chołmski był asesorem zarządu pułku, jego żona Olga Iwanowna była nadzwyczaj mądrą, miłą i dobrą kobietą. Dzieci mieli wiele. Starsza córka Katarzyna Aleksiejewna została wielką przyjaciółką waszej mamy. Była to

¹⁵³ Zob. przypis 143.

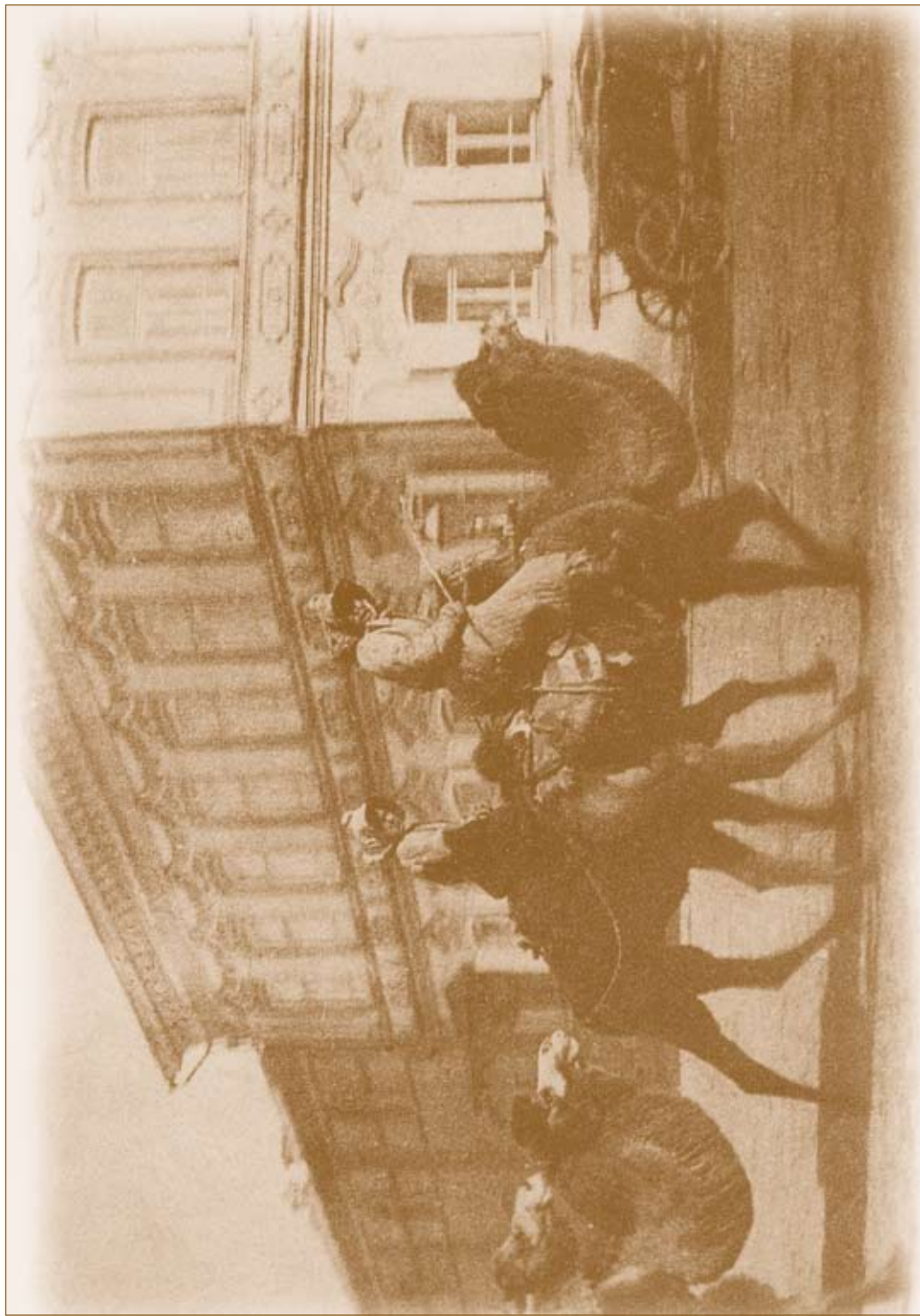
żywa dziewczyna, posiadająca wykształcenie domowe, składające się z nauk wymaganych wówczas w służbie publicznej. Do tego stopnia zostały one rozwinięte w tej młodej i energicznej naturze, że stała się mądrą i sympatyczną kozaczką. Później panna Chołmska wyszła za mąż za naszego adiutanta batalionowego Nikołajewa, także przystojnego młodego człowieka. Mama wasza miała w Katarzynie Aleksiejewnej dobrą i szczerą przyjaciółkę.

Zaraz po nowym 1854 roku przybyła poczta ze stepów i przyniosła interesujące nowiny. Kokańcy¹⁵⁴ w liczbie około dziesięciu tysięcy przystąpili do oblężenia Fortu Perowskiego w połowie grudnia celem odbicia twierdzy. Dowodzący twierdzą Ogariew posiadał na stanie w garnizonie trzy kompanie 4. batalionu (siedmuset pięćdziesięciu ludzi), trzy setki kozaków i niewiele artylerii. Położenie zatem tego garnizonu było krytyczne. Kokańcy posiadali około dwudziestu armat i dwa dwupudowe moździerze. Trzema kompaniami piechoty dowodził podpułkownik Szkup¹⁵⁵, stary, wysłużony w byłym Wojsku Polskim, wzięty do niewoli w 1831 roku. Kozakami dowodził pułkownik wojska uralskiego, którego nazwiska zapomniałem. Kokańcy otoczyli twierdzę i rozłożyli obóz za rzeką Syr-Daria na około dwóch wiorstach. Rzeka była pokryta lodem, więc transport był możliwy. Nasze wojska zamknęły się w twierdzy, której mury zbudowali jeszcze Kokańcy. Były one wysokie i mocne, wzięcie ich otwartym szturmem było niemożliwe. Dlatego rabowali chroniących się pod opiekę twierdzy Kirgizów, niszczyli zabudowania gospodarcze, palili zapasy siana i powodowali wielkie szkody.

Na radzie wojskowej postanowiono wykonać wypad, nie po to, by odebrać nieprzyjaciela, lecz dla pojmania kilku z nich, żeby podnieść na duchu pozostałych jeszcze Kirgizów i garnizon, który od bezruchu i braku perspektyw podupał na duchu. Żywności pozostało na miesiąc, drewna na cztery, co przerażało obrońców. Pomocy nie mieli skąd oczekiwać, do Orenburga było tysiąc czterysta pięćdziesiąt wiorst, a Fort Aralski znajdował się w odległości trzysta siedemdziesięciu pięciu wiorst; zresztą i tak jego garnizon składał się z jednej kompanii i dwóch sotni kozaków.

¹⁵⁴ Kokand, Kokan – chanat na terenie dzisiejszego Uzbekistanu.

¹⁵⁵ Władysław Szkup (1799–1863), oficer Wojska Polskiego. W czasie powstania listopadowego dostał się do niewoli rosyjskiej. Po dwóch latach zwrócił się o przejście na służbę rosyjską. W 1833 r. był podejrzany o udział w tzw. spisku orenburskim, który był częścią na dużo szerszą skalę zaplanowanego spisku omskiego. Por.: W. Djakow, A. S. Nagajew, *Partyzantka Zaliwskiego i jej pogłosy (1832–1835)*, Warszawa 1979. Uwolniony od zarzutów, służbę odbywał w Korpusie Orenburskim. Awansował do stopnia pułkownika i został dowódcą 1. batalionu kozaków orenburskich. Był osobą wykształconą, władał kilkoma językami. W wojsku cieszył się uznaniem zarówno wśród podwładnych, jak i przełożonych. Nie skorzystał z amnestii w 1856 r. i nie wrócił do Królestwa Polskiego.



15. Orenburg. Kupcy z Kirgizii

Zgodnie z rozkazem Ogariewa dniem wypadu miał być 17 grudnia. Dowódca wojska aralskiego, jako najstarszy stopniem pułkownik, był chory i odmówił Ogariewowi. Wyznaczono wtedy dowódcą Szkupa; stary ten oficer z pełną energią przystąpił do organizacji oddziału. Według przekazu naczynych świadków zdążył pobudzić ducha garnizonu. Po oględzinach stanu broni rozdzielił naboje i rozkazał piechocie, żeby lepiej zaostriżyć bagnety, objaśniając, że Kokańcy bardzo ich nie lubią. Kłuć nimi trzeba pod żebra, żeby nie zabijać od razu, a krzyk z bólu wzbudzi panikę. Zwycięstwo będzie błogosławieństwem i wtedy będzie można dobrać się do ich obozu, gdzie dobra wszelkiego było mnóstwo. Koła zabezpieczono słomą, żeby nie było ich słychać po zamrożonej ziemi; poza tym kazał kowalom wykuć gwoździe do niszczenia broni nieprzyjaciela. Kiedy wszystko już było gotowe, zebrał oddział, wziął gwoździe i zapytał, kto chce przejść chrzest bojowy. Wszyscy potwierdzili, chcąc się zasłużyć; wtedy Szkup, przechodząc przed frontem, zaczął rozdawać gwoździe na tenże chrzest, według którego należy tylko wbić gwoździa w kokańską armatę, i opowiadał, jak to zrobić. Mówił, że armata wtedy jest straszna, kiedy strzela, i im prędzej się ją zagwoździ, tym lepiej dla nas. W ogóle żartami rozweselił żołnierzy, powiedział, że zaklina się wobec wszystkich, iż do twierdzy powróci żywy tylko wtedy, kiedy przegoni nieprzyjaciela.

Przygotowania trwały całą noc; oddziałowi wydzielono dobrą porcję wódki i w ciemności odbył się wypad za rzekę. W twierdzy zostało pięćdziesięciu kozaków, a do wyprawy dołączyli nawet chłopci i rzemieślnicy. Cała wyprawa liczyła do pięćdziesięciu ludzi. Na całe szczęście zrobiła się wielka mgła, w której oddział z trudem przedzierał się, i tylko wprawni strzelcy uralscy umieli się skierować wprost na obóz Kokańców.

Okazało się, że nieprzyjaciel, uśpiony dwutygodniową bezczynnością i bezruchem Rosjan, czuł się do tego stopnia bezpieczny, że nasz oddział od razu wpadł na obóz. W ogólnym popłochu Szkup rzucił się na obóz, ale działa Kokańców zaczęły ostrzalać i cała ich masa okrążyła nasz niewielki oddział. Wywiązała się strzelanina, a nasza kawaleria wmieszała się i bój przeciągnął się do świtu. Ogariew zorientował się, że napadł nie na obóz, lecz na oddział wystawiony do odparcia nieprzyjaciela, i że pozycja tego oddziału jest bardzo silna i znajdujące się na górze sześć dział prowadzi silny ostrzał. Oddział rosyjski, który był położony od niego po prawej stronie na niewysokim wzniesieniu, został okrążony, tak że jego artyleria nie mogła wyrządzić Kokańcom większych szkód. Cały oddział Kokańców okrążył rosyjski oddział i zgrupował się wokół sześciu dział. Szkup otoczony przez strzelców powstrzymał napór, nie wiedząc [zarówno] o liczebności oddziału Kokańców, jak i o jego rezerwach. Mgła nie ustępowała i żeby wprowadzić w błąd nieprzyjaciela, wysłał kozaka po ostatnią rezerwę, aby ta garstka nowych sił oczyściła cho-

ciaż drogę odwrotu. Ogariew pozostawał w twierdzy, a przybyły kozak wyolbrzymił jeszcze bardziej położenie oddziału. Wtedy Ogariew wysłał pozostałych kozaków i dwie zmiany wart, a sam został z dwudziestoma żołnierzami, w niewesołym nastroju.

Kokańcy, ujrzawszy we mgle przybyły oddział, byli zaskoczeni, ale Szkup uderzył na obóz. Zebrawszy oddział, z okrzykiem hurra ruszył na ich słabszą prawą stronę. Wspólnym atakiem złamał Kokańców, a oddział wdarł się do obozu, w którym znajdował się ich dowódca wraz ze swoją świtą i wielu kupców z towarami. Krzyk wdzierającego się oddziału wystraszył znajdującą się w obozie masę wielbłądów, które uciekając, przewracały namioty i kibitki. Ranni i kupcy wpadli w straszną panikę, a przykrywająca wszystko mgła nie pozwalała rozeznąć się w ich faktycznym położeniu.

Główny dowódca i wszyscy, którzy tylko mogli, wskakiwali na konie bez zastanowienia. Nasz oddział triumfował – zdobył obóz, czternaście armat, dwa moździerze. Oddział Kokańców, nie rozumiejąc, co się w obozie dzieje, pogubił się, a dowiedziawszy się, że dowódca uciekł, pozostawił sześć czynnych armat, przy których nie było koni. Zwycięstwo było wielkie, a kozacy gonili uciekających i wielu zabili. Zdobyto cały obóz, czyli ponad tysiąc kibitek z ogromnymi zapasami na potrzeby wojenne oraz kwaterę głównego dowódcy ze wszystkimi rzeczami. Samego prochu znaleziono ponad dwieście pudów, ponadto masę towarów kupieckich. Ta zmiana była tak szybka, że długo nie wierzyliśmy swojemu szczęściu.

Wniknijcie teraz w samo położenie Ogariewa. Wyprawiając ostatnich żołnierzy, a pozostawszy z dwudziestoma ludźmi warty, chorymi i urzędnikami cywilnymi, on sam umierał w oczekiwaniu. Najpierw poszedł na wysoką basztę, z której spoglądał na obóz Kokańców, ale mgła była tak wielka, że na dziesięć kroków nie było widać człowieka. Kiedy usłyszał jeźdźca, szybko zbiegł do wrót. Gdy wysłane przez Ogariewa ostatnie rezerwy zbliżały się do oddziału Szkupa i były już przy atakujących Kokańcach, dowódca nasz zauważył, że oddział biegiem przemieścił się w prawo i że część Kokańców również ruszyła za nimi. Zaczęła się wtedy bitwa, krzyki, jęki, i wtedy ten podoficer, nie wiedząc o położeniu, pomyślał, że Kokańcy odcięli naszych od twierdzy i wybijają oddział. Z taką też wieścią przybył do Ogariewa podoficer kozacki. Możecie osądzić, moje drogie dziatki, co czuł komendant okrążonego garnizonu. Ten stan nie trwał zbyt długo, bo zaraz po ostatnim jeźdźcu przyszedł kolejny, z zapiską od Szkupa napisaną ołówkiem: „Winszuję zwycięstwa, Kokańcy uciekli, dwadzieścia armat i cały obóz jest nasz”.

Dłuższy czas nie mogli oni pojąć tego pisma, bo nie mieściło im się to w głowie. Posłany kozak wszystko jednak wyjaśnił; radości i szaleństwu nie było końca. Ogariew pojechał na pole bitwy i znalazł się w objęciach Szkupa, a za Kokańcami posłali kozaków i Kirgizów. Ścigali ich dziesięć wiorst i wrócili,

a Ogariew, obejrzawszy trofea, kazał je zawieźć do twierdzy. Sam zawrócił, sporządził meldunek i bez zwłoki pojechał do Fortu Perowskiego. W swoim meldunku zaznaczył, że: „Wzięto dwadzieścia armat, dużo zapasów wojennych, tysiąc kibitek, pięć tysięcy wielbłądów i innych rzeczy”. Z entuzjazmem wyrażał się o zwycięstwie i podobną relację obiecał wkrótce przesłać.

Radość ogólna przeistoczyła się w wielki bałagan. Dowódca Ogariew zajęty był w twierdzy sporządzaniem meldunku i dlatego nie wydawał żadnych rozkazów. Wtedy dzielne wojsko, a w szczególności kozacy i masa Kirgizów, którzy Bóg wie skąd się wzięli, zaczęło grabić obóz. Rozpoczęła się nowa bitwa, w rezultacie której wszystko, co się tam znajdowało, zostało doszczętnie zrabowane. Wojsko zbierało to, co pozostało. Kirgizi gonili bydło i wywozili kibitki, a Szkup radował się bez końca. Wykonanie jakiegokolwiek zadania w tych okolicznościach było trudne, bo to on przecież wyprawił oddział na obóz i jako pierwszy krzychał: „Wszystko, co się tam znajduje, jest wasze, hurra!!!”. Mówią, że bałagan był straszny. Okazało się, że broń zostawiono nie tylko bez obsługi, ale i bez wartownika; jeśliby Kokańcy oprzytomnieli i wrócili w tym momencie, to z pewnością zdobyliby twierdzę.

Dopiero późną nocą wwieziono do twierdzy armaty, dostarczono proch, ołów oraz niewiele broni strzeleckiej i białej, wszystko pozostałe zaginęło i przepadło. W twierdzy odbywały się uczty, ponieważ żołnierze zagarnęli masę pieniędzy. Mówiono, że za butelkę wódki płacili złotymi monetami kokańskimi, a każda z nich miała wartość cztery ruble i pięćdziesiąt kopiejek w srebrze. Kokańcy zatrzymali się zaledwie o sześćdziesiąt wiorst od twierdzy i podobno doszło między nimi do bójek, tak że ich główny dowódca uciekł do Buchary, obawiając się swojego chana.

Pierwszy meldunek Ogariewa przysłużył się, ale i przyniósł szkody. W Orenburgu świętowano zwycięstwo. Perowski nie omieszkiał złożyć carowi meldunku, w którym w jaskrawych barwach przedstawił wielkie zwycięstwo i obronę twierdzy. Wkrótce nadeszła nominacja podpułkownika Ogariewa na generał[a]-majora. Awans o dwa stopnie naraz był szczęściem zdawałoby się dla człowieka, a wyszło jednak inaczej, bo Ogariew miał moc nieprzyjemności. Gdy minął pierwszy szal radości i kiedy Ogariew zorientował się, że poza armatami i zapasami wojennymi pozostałych zdobyczy, o których pisał w meldunku, nie było, zdenerwował się i wyszły nieporozumienia. Ogariew obwinił Szupa, ten poczuł się urażony, i miał do tego prawo, dlatego też publicznie powiedział: „Pułkowniku, ja zwyciężyłem Kokańców, wybawiłem was od wielkiej odpowiedzialności i przyniosłem panu sławę. Myślę, że w pańskim interesie jest rozliczenie mojego zwycięstwa, to jest zachowanie trofeów. Ja nie wypuściłem ich z rąk i odpowiadam za nie, bo one tylko podkreślają zwycięstwo”. Dopiero wtedy Ogariew zrozumiał, że popełnił niewybaczalną pomyłkę, skupiając się na innych sprawach, i zrozumiał też, że

państwu należy się przynajmniej część zdobyczy. Wtedy napisał i rozkazał, aby zarówno w garnizonie, jak i Kirgizom odbierać wszystko to, co było trofeum po Kokańcach. Poszły wyceny, odbiory, a jak się okazało, rzeczy te już były w rękach trzecich i ferment się nasilał. Ostatecznie zebrano zaledwie sto pięćdziesiąt sześć wielbłądów, jak się rozumie, ledwo żywych, i takich też osiemdziesiąt siedem koni, pięćdziesiąt kibitek i trochę pozostałej drobnicy. W raporcie szczegółowym trofea zwycięstwa ukazały się w miniaturowej ilości i chociaż w celu uspokojenia hrabiego dołożono też piękne rysunki dział Kokańców, to Perowski się wściekł.

Do momentu otrzymania raportu hrabia cieszył się zdobytymi kibitkami i wielbłądami. Nosił się również z zamiarem powołania nowej ekspedycji i wówczas takie osiągnięcia materialne jak tysiąc kibitek i pięć tysięcy wielbłądów byłyby poważnym argumentem. Ogariew, nowy generał-major, usłyszał całą masę wymówek wraz z rozkazem pozostania w Forcie Perowskiego.

Szkup otrzymał stopień pułkownika i Order św. Jerzego trzeciej klasy, starsi wojskowi otrzymali nagrody i roczne dodatki do wynagrodzenia. Poza tym Perowski wiedział, że dzielny Szkup lubi pohulać, więc posłał mu dwie skrzynki dobrego wina¹⁵⁶, prosząc o wypicie go wraz z towarzyszami walki za jego zdrowie. Opowiadają, że po otrzymaniu wina libacja była przednia. Szkup napoił żołnierzy wszystkich trzech kompanii i wystarał się o Ordery św. Jerzego dla swych żołnierzy, co znowu stało się okazją do wypitki. Trubecki otrzymał stopień chorążego, ale na awans ten oczekiwał długo; widać Jego Wysokość szybko mu nie przebaczył.

Wczesną wiosną Perowski postanowił odwołać Ogariewa i na jego miejsce oddelegować mnie, a rozkaz o tym otrzymano w końcu marca 1853 roku¹⁵⁷. Razem z waszą materką zapomnieliśmy już o stepie, nasze życie układało się tak dobrze, że lepszego nie życzyliśmy sobie. Dlatego też otrzymany rozkaz mocno nas zasmucił; dużo rozmawialiśmy, podróż z maleńkim dzieckiem przysparzała nas o zgrozę, ponieważ rozdzielenie nasze nie wchodziło w rachubę. Pomodliliśmy się do Boga i zaczęliśmy myśleć o drodze. W Orsku na moje miejsce przyjęto majora Gołowowa, któremu zacząłem zdawać batalion.

Wyjście batalionu w step nastąpiło wczesną wiosną, to jest zaraz po ruszeniu lodów na rzece Or. Dlatego wyznaczone do tego wojska przybyły już w marcu, ale w tym roku wylewy rzek były tak rozległe, że zalały cały Orsk, więc długo jeszcze pozostawałem na miejscu. Orsk leży przy rzece Ural, ale z drugiej strony przepływa na przestrzeni dwóch wiorst rzeka Or, która wpada do rzeki Ural niedaleko od twierdzy. Orsk jest położony wysoko, a dom ko-

¹⁵⁶ Zapewne mowa tu nie o winie, lecz o mocniejszych trunkach.

¹⁵⁷ Pomyłka, chodzi o 1854 r.

mendanta, można powiedzieć, znajduje się na górze. Nikt ze starszych w twierdzy nie pamiętał, żeby kiedykolwiek Orsk zalewało, tak że kiedy lody obu rzek ruszyły, byliśmy spokojni. Pewnej ciemnej nocy woda wdarła się na ulice dolnej części twierdzy; popłoch był wielki, mieszkańcy ratowali się ucieczką na strychy, inni opuścili swój dobytek i uciekali na wyższy teren, ale woda gnała ich dalej i dalej pod górę. Do rana domy kozaków znalazły się w wodzie. Bieda była straszna, ludzie się topili, a ocalonych mieszkańców żołnierze zabierali ze strychów na łódki. Tylko plac z cerkwią, domy kupców, mój dom i koszary pozostały wolne od wody. Jednak woda wciąż przybywała; do obiadu przybrała aż do koszar. Batalion otrzymał rozkazy ode mnie, z muzyką wszedł na górę i rozłożył się biwakiem. Pod wieczór woda zaczęła zalewać domy i cerkwie. Mój dom stał na dużym murowanym fundamencie, dlatego mnie nie zabrali, myśląc, że woda pójdzie na inne dzielnice. Ale kiedy nocą woda zalała ganek, to komendant pułkownik Sendenhorst przysłał furmankę, aby przyjechać do niego. Na rękach wynieśli waszą mamę z maleństwem, usadzili w furmance i zawieźli na wzgórze. Ja pozostałem w domu, ale jak zaczęło zalewać podłogę, to i ja zabrałem się do waszej mamy. Wszystkie magazyny prowiantowe zalało; tylko prochownia ocalała, bo była dobrze umiejscowiona, czyli na wzgórzu. W magazynie prowiantowym była masa mąki, ponad dwa tysiące worków przeznaczonych na wyprawę w step. Mąkę zalało, worki pływały między domami; wylawiano je na łódki i tratwy. Strat, jak się okazało, nie było dużo, a pozostała mąka nie zamokła, tylko ta z górnej części magazynu. Kiedy worki osuszono, to zrobił się z mąki zakalec. Cała kasza i suchary przepadły, co stało się przyczyną tego, że chociaż woda w ciągu dziesięciu dni opadła, to oddział wyruszył dopiero w połowie maja.

Na potrzeby nadchodzącej podróży zakupiono pierwszorzędny niemiecki furgon, który wcześniej wyekspediowano do warsztatów batalionowych w celu naprawy. Znajdował się on w warsztacie, gdzie zalała go woda. Furgon porwało i płynął już sobie do Morza Kaspijskiego, ale w porę to zauważono, ściągnięto i złożono. Kiedy woda opadła, widok Orska przedstawiał się osobliwie. Okazało się, że nie ma żadnej ulicy, a wiele domów przesunęła woda; część z nich znalazła się na środku ulic, a część w ogrodach. Duża część domów wraz z zagrodami popłynęły do morza. Wszystko to spowodowało zarówno dla skarbu jak i mieszkańców straszne straty i tak było na całym Uralu na przestrzeni ponad trzystu wiorst.

Kiedy zdałem batalion i oczekiwałem rozkazu wyjazdu, do komendanta przyszło pismo, żeby zgodnie z wymogami wojskowymi nikt z żonatych nie zabierał ze sobą rodziny. Pismo to wręczono mi. Ten nowy dla nas cios ciężko się odbił na waszej mamie, tym bardziej że głośno mówiono, iż Kokańcy ponownie szykują się z dużymi siłami, żeby odebrać Fort Perowskiego i że znowu trzeba będzie go bronić. Rozłąka była dla nas obojga fatalna; do Fortu

Perowskiego było tysiąc dwieście wiorst, w całym Kraju Orenburskim byliśmy dla innych obcymi ludźmi. Zostawianie waszej mamy samej z małenstwem było jednak przesądzone. Odesłać ją do ojca byłoby ryzykowne, bo po pierwsze, droga wiosną na to nie pozwalała, a ojciec na nasze listy odpowiadał chłodno; i wreszcie nasze zapasy pieniężne były ubogie. Popłakaliśmy i po modlitwie do Boga postanowiliśmy, żeby wasza mama pozostała w Orsku. Ponieważ dom komendanta już się nam nie należał, miała zamieszkać w oficynie tego domu, gdzie mieszkał wcześniej adiutant. Poza tym wasza matenka napisała do Perowskiego prośbę o możliwość wyjazdu z mężem, ale odpowiedź nie nadchodziła.

Żeby dać twardy odpór Kokańcom, wyznaczono na dowódcę linii Syr-Darii generała-majora hrabiego Fitinhofa¹⁵⁸, a mnie na wojskowego dowódcę Fortu Perowskiego i dowódcę 4. batalionu. Po przybyciu Fitinhofa do Orska wyznaczono termin wymarszu oddziału. Na drugi dzień po przeprawieniu się za rzekę zebrała się cała ludność Orska. Po modlitwie pożegnałem się z waszą mamą, wsiałem na konia i pojechałem do oddziału, a waszą matenkę ledwo żywą odwieziono z powrotem do Orska. Było to dla nas trudne pożegnanie, biedna mama długo nie mogła się uspokoić. Na szczęście poczciwi Chołmscy nie zostawili jej samej i przez cały czas rozłąki byli jej najlepszymi przyjaciółmi, za co wasza mama kochała ich jak swoją rodzinę. Gdy doganiałem już oddział i zagłębiałem się w głuchy, ciągnący się bez końca step, upadłem na duchu, serce mi się ścisnęło, a łzy dławiły krtań. Dojechawszy do swojego furgonu, wskoczyłem do niego i gorzko płakałem; rozłąka z rodziną, niewiadoma przyszłość i inne czarne myśli dręczyły mnie. Waszej mamie mogłem zostawić dwieście rubli, a sobie tylko siedemnaście, i wszystko to nie zwiastowało niczego dobrego. Z waszą mamą zostali Ignacy i Praskowia, i tam też w Orsku wzięli ślub. Również pozostał woźnica Siemion, a ze sobą zabrałem jedynego Griszę, furgon i cztery konie. W trakcie marszu prowiant nie był przewidziany; zapasy były podstawowe, poza tym w stepie wszystkim wojskowym państwo wydawało prowiant, mięso i wódkę, dlatego o swój byt byłem spokojny. Pochód stepowy był dla mnie nowością, marsz ten postaram się opisać szczegółowo. Z Orska do Fortu Karabutak¹⁵⁹ przez otwarty goły

¹⁵⁸ Baron Aleksandr Maksimowicz Fitinhof, generał-major od 1854 r., dowódca Linii Syr-Daria; C. B. Волков, *Генералитет*, t. 2, s. 646. Zdaniem Aleksieja N. Pleszczewewa Fitinhof był typem grubianina, traktował ordynarnie wszystkich, nie wyłączając oficerów. To oni wystosowali skargę na niego do Perowskiego. Skarga ta jednak pozostała bez odpowiedzi. Fitinhof podejrzewał, że została ona napisana z inspiracji zesłańców politycznych, zarówno Polaków, jak i Rosjan; por.: М. Д., А. Н. Плещеев в форте Перовском, „Минувшие годы” 1908, nr 10, s. 124–125.

¹⁵⁹ Fort Karabutak na linii orenburskiej w kierunku Jeziora Aralskiego.



16. Rosyjski generał w Kirgizji

step było sto siedemdziesiąt pięć wiorst; w drodze nie dość, że nie było żywej istoty, to również nie było widać nawet krzewu. Droga była jednak ubita przez ogromne transporty i ruchy wojsk. Na marszrutę wyznaczono postoje, ale to też był tylko nagi step. Tam jednak można było dostać wodę, która w innych miejscach jest do tego stopnia paskudna, że nie tylko konie, ale i wielbłądy nie chcą jej pić.

W naszym oddziale były trzy kompanie piechoty, jedna sotnia kozaków i dwie armaty. W tych czasach wszelki przemarsz przez stepy był niebezpieczny, dlatego przed wymarszem wysłano kozaków na straż przednią, tylną i boczne czujki. Oddział miał dwadzieścia dziennych porcji prowiantu i paszę oraz porcję surowego mięsa. Wszystko to przewożono na wielbłądach, których przy oddziale było dużo. Od momentu wymarszu zarówno karabiny, jak i armaty były naładowane i nie tylko wojsko, lecz także wielbłądy trzymane w szyku bojowym. Przy oddziale byli też najęci czterej przewodnicy kirgiscy, każdy z dwoma końmi, do obserwacji i przewożenia pocztu.

Po szóstym marca przybyły Kirgiz zameldował dyżurnemu, że stacja pocztowa jest blisko, ten zameldował to z kolei mnie i prosił o wysłanie ludzi po drewno. Przyznam szczerze, że jako nowy dowódca wpadłem w zakłopotanie, bo wokół nie było przecież ani jednej gałązki, ale żeby nie stracić autorytetu, kiwnąłem głową. Dyżurny głośno wydał komendę: „Posłać ludzi po drewno”. Wyznaczeni żołnierze przekazali swoje karabiny kolegom, podkasali poły szyneli i oddalili się, aby zbierać zaschłe bydłące odchody. Nagle awangarda

zatrzymała się, widząc niedużą rzeczkę z czystą wodą. Adiutant wybrał pozycję i oddział zaczął się gromadzić w wyznaczonym miejscu. Kolumna zawsze układała się w czworokąt, umieszczając armaty na rogach. Wolne miejsca w czworokącie zajęły wozy i toboły.

Po rozejściu kompanii rozpoczęło się przygotowanie do noclegu. Dla oficerów były jułamejki¹⁶⁰, takie też dla lazaretu i chorych. Te namioty stały w czworoboku i każdy urządził się, jak mógł. Kotły postawiono koło wody, a tabun koni i wielbłądów umieszczono w dobrym miejscu, pod odpowiednim nakryciem i blisko oddziału. Poza tym na wyższych miejscach rozstawiono pikiety, nocą pozostające w ukryciu. Zebrane „drewno” ładnie się paliło, a na nim piekło się mięso, jednak jego zapach dla nieprzyzwyczajonych był nieprzyjemny.

Ogólnie marsz odbywał się przepisowo według nakazanej marszruty. Liczne postoje, nie mniej jak w odległości dwudziestu pięć wiorst, a na piaskach bywało, że i trzydzieści pięć wiorst. Ale w ogóle marsz dla całego wojska był bardzo męczący; stała czujność, nocna służba i pomoc dla transportu na wielbłądach, który często opóźniał się, męczył żołnierzy i wartowników.

W Karabutak mieliśmy tylko jeden dzień, prowiantu nie otrzymaliśmy, bo i sam fort był niewielki. Stąd do fortyfikacji aralskich było sto osiemdziesiąt dziewięć wiorst, taki sam step goły i beznadziejny. Dotarliśmy tam i nad brzegiem rzeki Irgiz odpoczywaliśmy, ale tylko trzy dni. Tam też dostaliśmy prowiant na dwadzieścia dni i uszliśmy w kierunku aralskich fortyfikacji na odległość trzystu pięćdziesięciu trzech wiorst. Na tym odcinku step stawał się jeszcze gorszy, tym bardziej że przyszło maszerować przez piaski Kara-Kum, ciągnące się dwieście sześćdziesiąt wiorst.

Do aralskich fortyfikacji marsz był do zniesienia, a dla mnie nawet przyjemny; był piękny czas wiosenny, przyjemna stepowa zieleń, woda nie taka zła, a najważniejsze, że nie szliśmy w zwyczajnym pochodzie. Stałe zajęcia z wojskiem miały uspokajający wpływ. Mój Grisza szybko wprowadził się do nowych porządków i dobrze mnie karmił, jułamejkę szybko rozstawiał, a rozłożone łóżko żelazne na miękkiej łące pozwalało rozkosznie odpocząć. Do swoich zajęć Grisza miał rozkładany stół i krzesło, a do przygotowania herbaty i potraw słynny kufer pełen naczyń. Jednym zdaniem, aż do aralskich fortyfikacji dziwiłem się, dlaczego marsz stepowy uważa się za tak trudny, ale jak weszliśmy na pustynne piaski, przekonałem się, co to znaczy podróżować przez stepy.

W połowie czerwca upały nasiliły się, a termometr w słońcu wskazywał +35°¹⁶¹, a na trzecim postoju za fortyfikacjami aralskimi zaczęły się znane pia-

¹⁶⁰ Nieduże namioty z wołoku w kształcie stożka.

¹⁶¹ 35° w skali Reaumera, tj. 42° w skali Celsjusza.

ski Kara-Kum¹⁶². Jest to goła bezwodna pustynia, cała pagórkowata, i poza piaskiem w dolinach, z niewielkimi płatami solnymi, niczego nie widać. W okresie silnych wiatrów na wzniesieniach piaskowa zadymka tworzyła drobne fale, jak na wodzie. Na przestrzeni około trzystu wiorst nie było żadnego strumyczka, innymi słowy, ani kropli wody. Ale i tutaj zdarzają się mało zrozumiałe rzeczy, bo wspomnianą drogą przecież regularnie przechodzą karawany.

Kirgizi, władcy tych pustynnych stepów, znajdują wodę, bo bez niej bytowanie tu byłoby niemożliwe. W piaskach Kara-Kum co trzydzieści, czterdzieści wiorst Kirgizi znają miejsca, gdzie w kotlinach aż roi się od studzien, to jest jam na półtora lub dwa arszyny, gdzie znajduje się woda, która z początku sączy się powoli, a później coraz silniej. Woda na początku jest mętna, ale szybko się oczyszcza. Jeżeli takich jam wykopie się dużo, to wody wystarczy dla całego oddziału. Woda nie była zbyt dobra, ale też nie wstrętna; czysta i ogólnie dobrej jakości. Kiedy potrzeba dużo czasu, aby się ustała i wydobywanie jej jest zbyt kłopotliwe, bo piasek jednak zasypuje jamę, to poi się nią bydło. Niezbędne są wówczas koryta, wiadra, a najważniejsze – przestrzeganie przy tym porządku. Podczas przemarszu przez Kara-Kum raz na dobę wysła się grupę żołnierzy dla oczyszczenia tych studni. Zawsze znajdują się one w pobliżu drogi, na najwyższych wzniesieniach otoczonych głębokimi piaskami.

Marsz do takiego miejsca w tym okresie jest bardzo uciążliwy, postoję znajdują się nie mniej jak co trzydzieści wiorst, piaski są głębokie, tylko gdzieśgdzie zdarzają się twarde place solne. Pragnienie jest nieznosne; znajdująca się w manierkach żołnierzy woda robi się niedobra, wydaje się jakby była zagotowana. Na wielbłędach przewożone są beczułki z wodą, ale tylko w warunkach osłabienia oddziału wojsko otrzymuje tę wodę. Na postojach także panuje żar od piasku i prażącego słońca, nie ma żadnej zieleni ani żadnej karmy. Jedynie wielbłądy są syte, bo dla nich jest wystarczająco dużo kłującej trawy, a konie karmione są tylko owsem. Oficerowie mają urządzenia do oczyszczania wody i piją dobrą herbatę. Co za rozkosz picia herbaty w takim upale! Osobiście doszedłem do wniosku, że picie gorącej herbaty łagodzi pragnienie. Dla mnie samego marsz ten okazał się trudny, a co dopiero przeszli żołnierze. Tylko ci silni i o żywej naturze jakoś znosili wszystkie niewygody, czasem nawet śpiewając i tańcząc na postojach. W czasie przemarszu przez Kara-Kum były trzy przypadki śmierci od udaru słonecznego. Droga przebiegała po obrzeżach Morza Aralskiego i jeden z postojów mieliśmy na brzegu tegoż morza. Kąпалиśmy się i odświeżyliśmy w chłodnej wodzie, ale woda była słona i gorzka. Wyrwaliśmy się wreszcie z Kara-Kum. Pierwszy

¹⁶² Piaszki Kara-Kum – pustynia na wschód od Morza Kaspijskiego, granicząca od północy z Jeziorem Aralskim.

nocleg mieliśmy przy ogromnym jeziorze Kaniły-basz¹⁶³. Przyroda zmieniała się, wszędzie była zieleń i obfitość dobrej wody; dopiero wtedy poczuliśmy jej wartość. Nigdy nie zapomnę tego wrażenia zachwyty, który opanował cały oddział, kiedy weszliśmy na wzniesienie i ujrzelśmy olbrzymie jezioro. Cała kolumna krzyknęła: „Hura!!!”. Wszyscy ożywili się, a zmęczeni żołnierze rozgadali się i ze śpiewem, głośno tupiąc, zbiegali do upragnionego wypoczynku. Spragnieni, spędziliśmy tam ponad dziesięć dni z tym błogosławieństwem, jakim było to jezioro pełne dobrej wody. Można było pić, ile chcesz, i kąpać się, ile sobie życzysz. Ja sam cieszyłem się z tego jeziora jak dziecko, z radością kąpałem się i z rozkoszą odpoczywałem w zieleni pod swoją jułamiejką. Od tego jeziora do fortyfikacji aralskich pozostały dwa postoje; trzeba było jechać dalej.

W fortyfikacjach aralskich przebywaliśmy osiem dni; tu znajdował się sztab 4. batalionu i jedna kompania, którą przejąłem od komendanta pułkownika Englama; następnie ruszyłem do Fortu Perowskiego. W Aralsku oznajmiono nam zatrważające wiadomości, że Kokańcy grabią Kirgizów koło Fortu Perowskiego i że podobno zbierają się znów z nowymi siłami. Jednym zdaniem, tyle nagadali, że nie można było się w tym wszystkim połapać.

Nasz marsz stał się bardziej ostrożny; najważniejsze, że zauważono, iż pojawiła się szajka złodziei i śledziła nas. Ich z kolei nie udawało się śledzić, bo każdy z nich był jak wicher w polu. Śledzić naszą kolumnę natomiast było bardzo łatwo; konie kozackie były płochliwe. Zgrany i niespodziewany atak nocą mógł je rozgonić na wszystkie strony, a bez koni i wielbłądów oddział nie tylko był nic niewart, ale i z głodu musiałby zginąć. Do Fortu Perowskiego było trzysta pięćdziesiąt wiorst, a w drodze nie widzieliśmy żywej duszy. Droga prowadziła po brzegu rzeki Syr-Darii, a z niej mieliśmy dobrą wodę i karmę. W tym okresie rzeka wylewała i występowała z brzegów; objazdy, a przede wszystkim komary mocno nas męczyły. Komary syrdaryjskie są tak złośliwe i nieznosne, że nigdy ich nie zapomnę; spać w jułamiejce było niemożliwe, dlatego swoje posłanie przygotowywałem w furgonie, który wokół zakrywałem płótnem, ale i tu też wchodziły i nie dawały spać; czysta męczarnia.

W końcu, w połowie lipca [1854] weszliśmy do Fortu Perowskiego. Nigdy nie zapomnę radości garnizonu przy powitaniu z nami. Wielu naprawdę szczerze płakało, obejmując nieznane im osoby. Oddalenie od świata i wszystkiego dręczyło ich niezmiernie. Kirgiska poczta konna przychodziła tylko dwa razy w miesiącu. Ścisnęło mi się serce w oczekiwaniu na taki los. Rozłąka z waszą mamą i ze wszystkimi drogimi ścisnęła serce tak, że łzy same płynęły. Od waszej mamy miałem już dwa listy, ale nie było w nich niczego pociesającego;

¹⁶³ Biorąc pod uwagę marszroutę wojsk, była to prawdopodobnie zatoka ówczesnego Jeziora Aralskiego.

i ją biedniutką także dławiał smutek i męcząca tęsknota. Smutne były pierwsze chwile w Forcie Perowskiego, ale dręczyć się nie było czasu, pracy było co niemiara i całą duszą oddałem się swojemu nowemu i poważnemu zadaniu.

Aby nie zatrzymywać Ogariewa i Szkupa, którzy wracali do Orenburga, zacząłem przejmować od pierwszego dnia fort, a od drugiego dnia trzy kompanie 4. batalionu. Nigdy nie zapomnę tej chwili, kiedy przybyłem do obozu, by przejąć ludzi.

Szkup, chociaż był pułkownikiem, ustawił kompanie z przodu obozu. Był to wysokiego wzrostu siwy starzec; żołnierze mieli białe czyste mundury, w których wojska nigdy dotąd nie widziałem i które robią dobre wrażenie. Wszyscy żołnierze byli wysocy, zdrowi i opaleni; w oczach była widoczna roztropność Sybiraków. Szkup rozkazał starszemu kapitanowi oddać mi honor, podszedł i powiedział: „Panie majorze, z bólem serca rozstaję się z tymi dzielnymi wojakami, ale jestem zadowolony z tego, że mają sławnego dowódcę, i dlatego wierzę, że pokocha ich pan całą duszą, a oni również pokochają pana, tak jak zawsze kochają dobrych dowódców. Pozostawiam pana, a z wami chłopcy żegnają się jeszcze raz”.

Po przywitaniu się z kompaniami dostrzegłem, że żołnierze z pierwszych szeregów prawie wszyscy są udekorowani Orderami św. Jerzego. Mimowolnie poczułem poważanie dla tych dzielnych ludzi i powiedziałem, że to szczęście dla mnie być dowódcą takich dzielnych żołnierzy i że przyszła nasza służba przyniesie chwałę armii, a mnie pełne dla nich oddanie.

Jeszcze w Orenburgu mówiło mi dowództwo, że niżsi stopniem 4. batalionu są mało zdyscyplinowani i grubiańscy i że potrzebna im jest silna ręka. Przyznam, że mnie to mocno zaniepokoiło, ponieważ od pierwszego spotkania polubiłem ich i chociaż dowodziłem tylko dwa lata, to lepszych żołnierzy już nie spotkałem. Niech Bóg uchowa od ciężkiej służby w stepie, nie mówię tu o bezpośredniej służbie i walce, ale o wszystkim, co jest potrzebne w życiu człowieka. Żołnierze sami musieli wszystko zdobywać, poza prowiantem rządowym, wszystko swoją pracą i bezpłatnie. Dbają nie tylko o siebie, ale i o dowódców, składy, umocnienia, drogi, mosty i przeprawy. Przygotowują drewno, koszą trawę, urządzają ogrody, jednym zdaniem od rana do nocy są zajęci tzw. pracą forteczną. W niedzielę zaś mają musztrę i strzelanie. Nie można też zapominać, że prace wewnątrz fortu odbywają się zawsze z gotowymi do użycia karabinami i że żołnierze stale muszą być w gotowości bojowej, ponieważ wieści dochodziły zatrważające. Można było tylko podziwiać ich bystrość i twardość. Jak spojrzeć na koszary, szczególnie po raz pierwszy, to pomyśleć by można, że musi tu być wielu chorych, a śmiertelność duża¹⁶⁴.

¹⁶⁴ Autor miał prawo tak sądzić, ponieważ w połowie XIX w. w garnizonach rosyjskich na Kaukazie i w Azji umierało rocznie około stu żołnierzy na tysiąc.

A jednak nie mogło tak być, by chorzy zapełniali lazaret. Tych właśnie ludzi nazywano rozpuszczonymi i grubiańskimi. Prawdą jest, że nie przestrzegali oni zasad, bo i nie zawsze można ich było przestrzegać, kiedy każdy żołnierz był majstrem, woził glinę i kamień, nawoził i rył w ziemi jak kret. Oprócz tego tenże żołnierz był świadomy swojej pracy i wynikających z niej pożytków, i niekiedy otwarcie mówił dowódcy, że jego rozkazy są czasem zbyt-eczne i przysparzają niepotrzebnej pracy. Nie pozwalał na rozporządzanie jego kociołkiem, ale osobiście zarządzał swoim gospodarstwem, dzięki czemu żołnierze mieli swoje mięso i własne ogródki. Nie wszystkim dowódcom to się podobało, więc tracili poważanie u żołnierzy. Natomiast ja ich lubiłem, a oni okazywali mi swój szacunek, dlatego z zadowoleniem ich wspominam. Przejęcia jednostki dokonałem niezwłocznie i pożegnawszy się ze słynnym Szkupem, zostałem z baronem Fitinhofem jako swoim najbliższym i bezpośrednim przełożonym.

Cóż mogę wam opowiedzieć, drogie dziatki, o moim nowym miejscu życia? Mówiąc ogólnie, to była dzicz i straszna pustynia, tylko praca, ta zarówno umysłowa, jak i fizyczna, nie pozwalała na myślenie o sobie i o naszej sytuacji.

Rzuceni zostaliśmy w głuchy step na tysiąc pięćset wiorst od ludzi i władzy, gdzie raz do roku przychodzą transporty z prowiantem i innymi rzeczami, a mieszkający tu wysyłają zamówienia tylko na najbardziej niezbędne artykuły. W garnizonie była nieliczna siła wojskowa, a mianowicie: jeden batalion piechoty liczący tysiąc osób, trzy sotnie kozaków z Uralska, jazdy kawaleryjskiej czterysta pik, połowa artylerii licząca stu dwudziestu pięciu ludzi z kompanii garnizonowej, piętnaście fortecznych dział na umocnieniach z odwodem, cztery armaty kozackiej artylerii. Ot i cała siła bojowa, której najbliższe rezerwy były w Orenburgu. W związku z tym powstałe tu umocnienia nie miały należytego zabezpieczenia. Na przykład, najbliższe umocnienia aralskie posiadały jedną kompanię piechoty i trzy sotnie kozaków, a oddalone były o trzysta pięćdziesiąt wiorst. Przy czym zauważcie, że byliśmy w sąsiedztwie nieprzyjawnego Kokanu, Buchar i Chiwy, które znajdowały się na stopie wojennej z Rosją. Na szczęście pozostawały one ze sobą w nieprzyjawnych stosunkach. Kirgizi, których uważaliśmy za swoich, ustawicznie byli przez nich grabieni, a często słyszało się także, że ich poborcy podatków przyjeżdżali otwarcie do oddalonych od nas aulów i zbierali podatki dla swoich chanów.

Niejednokrotnie i do mnie przyjeżdżali biedni Kirgizi i skarżyli się na obcych poborców. Rozumieliśmy ich, ale władza nasza była słaba; mimo to przyjmowałem ich zawsze uprzejmie, radziłem nie płacić tych podatków i załatwiać pokojowo nieproszonych gości, ale Kirgizi zawsze im płacili, rozumiejąc niebezpieczną bliskość ich sąsiedztwa. Ci sami Kirgizi płacili podatek również nam.

Sam fort składał się z wysokiej do pięciu sążni, czterokątnej ściany, wzniesionej jeszcze przez Kokańców. Ściana ta była z gliny i bardzo mocna, do tego stopnia, że użyte podczas szturm przez Perowskiego działa nie były w stanie jej uszkodzić; tylko bardzo silna mina potrafiła zrobić w niej niewielką dziurę. Ściana z zewnątrz miała wygląd starożytny, w podstawie miała ona ponad trzy sążnie, ku górze zwężała się i miała blanki tak szerokie, że wygodnie było po nich przenosić armaty. Od blanki idzie ściana dużo wyższa od człowieka, z wyprostowanymi zębami; otwory strzelnicze w tej ścianie zbudowano tak, że można było przez nie strzelać na wprost i na boki. W kątach i w środku murów były półokrągłe baszty z takimi też zębami, z których prowadzono ostrzał. W środku kokańskie sakle¹⁶⁵ naruszone w czasie bombardowania; te właśnie sakle, poprawione na ile się dało, stanowiły nasze pomieszczenia.

Pierwsze spojrzenie na realia życia mocno mnie zmartwiło. Początkowo cieszyłem się, że przyjechałem tu sam, ponieważ waszej mamie z dziećciem byłoby tu nie do zniesienia. I jeszcze jedna paskudna osobliwość tego glinianego kotła, a mianowicie, że w tym okresie były tam miliony pcheł, które razem z komarami bardzo męczyły ludzi. Na początku oddział mieścił się pod namiotami, ale po ustaleniach z adiutantem pomyślałem, żeby zająć sakle kokańskiego beka, to jest komendanta, które od zimy pozostawały puste. Ale kiedy pojawiłem się tu w mundurze, momentalnie obskoczyły mnie pchły, aż przerażony wyskoczyłem na dwór i szybko pozbyłem się nieproszonych gości. Zmusiło mnie to do postawienia specjalnej pałatki na jednej baszcie i tam przymieszkalem do jesieni.

O ostatniej dla mnie zimie można by opowiadać i dziwić się, do czego zmusza człowieka byt, jak on żyje i czym się żywi. W głowie się to nie mieści, dużo o tym mówił Trubecki¹⁶⁶ i sporządził na ten temat dużo rysunków przedstawiających cierpienia garnizonu.

Trubecki już jako chorąży powrócił do Orenburga, a stamtąd z kolei zwolono mu na powrót do Petersburga, gdzie po wstąpieniu na tron Jego Cesarskiej Mości Aleksandra Mikołajewicza przywrócono mu wcześniejsze prawa. Wkrótce wydał swoją córkę, zadziwiającą piękność, za francuskiego posła Morni, późniejszego księcia i pierwszego faworyta Napoleona III¹⁶⁷.

Mój zwierzchnik Fitinhof¹⁶⁸ okazał się pustym człowiekiem, prawdziwie kurlandzkim baronem, pełnym fantazji. Drobiazgowość, samouwielbienie, małostkowość wychodziły na każdym kroku. Poglądy miał ograniczone, je-

¹⁶⁵ Sakle – umocnienia; tu też: pomieszczenia.

¹⁶⁶ Zob. przypis 146.

¹⁶⁷ Prawdopodobnie księżę Karol August de Morny, ur. 1811, syn Hortensji de Beauharnais i Karola de Flahaut, syna Talleyranda.

¹⁶⁸ Zob. przypis 158.

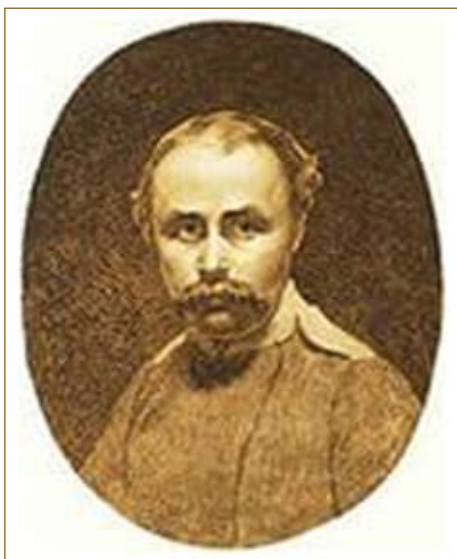
dyne w nim dobre to, że był człowiekiem bezinteresownym i na swój sposób uczciwym. Nasza linia znajdowała się w położeniu wojennym, dlatego też protest przeciwko zwierzchnikom wymyślającym liczne głupoty był nie do pomyślenia. Z Fitinhofem znałem się z Orska i wiedziałem, jak można się mu sprzeciwić, w związku z tym umiałem tak działać, aby ukierunkować go należycie do sprawy. Gdybym powiedział mu wprost, że coś jest celowe, to zepsułbym rzecz całą. Powoli więc wkładałem mu do głowy o słuszności danego przedsięwzięcia i wtedy uzyskiwałem oczekiwane rozkazy.

Przyznaję, że ciężko mi było z tym panem, ale tak czy owak sprawy szły, a porządek ogólny nie był naruszony. Największą naszą troską było przygotowanie się do zimy, to jest przyszykowanie pomieszczeń, zabezpieczenie drewna, siana i ciepłej odzieży dla żołnierzy; jednym zdaniem, zabezpieczenie zdrowia i przygotowanie się na spotkanie z Kokańcami, o których krążyły niepokojące słuchy.

Wszystko to działo się w pośpiechu, otrzymaliśmy rozkazy o zaciągu Kirgizów, umocnienia poprawiliśmy, pomieszczenia na składy zbudowaliśmy, drewna i siana mieliśmy do woli; tylko biednym żołnierzom przyszło mieszkać w kibitkach (ogromne namioty z wojułoku), po dwudziestu w każdej. Zbliżała się jesień, a zimy były surowe; żołnierze zwrócili się do mnie z prośbą o wybudowanie koszar z darni, wyjaśniając, że zrobią to bez uszczerbku dla innych prac. Zwróciłem się z tym do Fitinhofa, zapomniawszy o swojej zwyczajowej metodzie, i otrzymałem odmowę; długo z nim się dochodziłem, w końcu się zgodził. Wyobraźcie sobie, że żołnierze po nocach księżycowych wybudowali sobie z darni całkiem wygodne koszary, z piecami i oknami, jednym zdaniem, tak jak się należy, bez żadnej pomocy. Jesień była długa i sucha; nacięli też dużo suchego drewna i przywieźli przez najętych wozaków z transportem byków. Rąbali drewno z krzywego, cienkiego miejscowego lasu, spławiali je po rzece i przybywało ono zgodnie z potrzebami. Ze wszystkich materiałów tylko szyby do okien były rządowe i, zauważcie, że robota szła nocą, chociaż koszary powinny być zbudowane przez rząd. Piszę to celowo, żeby powiedzieć, że z żołnierzem rosyjskim wszystko jest możliwe, jeśli się go zrozumie.

Zwycięstwo Szkupa¹⁶⁹ i zdobyte łupy przyciągnęły do nas kupców. Ja sam już znalazłem dwa sklepy: Dijewa i Putałowowa, a następnie zaczęli przyjeżdżać kolejni, tym bardziej że Kirgizi z rejonu naszego fortu byli bogaci. Tak więc pojawiły się u nas różne towary, ale o cenach ogromnych, co mimo wszystko czyniło życie lżejszym. Sam tylko Trubecki zostawił u tych kupców masę pieniędzy, zamówił dużo towaru, ale jak wyjechał, to wszystko pozostało dla nas.

¹⁶⁹ Zob. przypis 155.



17. Taras Szewczenko

W garnizonie były jedynie dwie kobiety, żona popa i żona kapitana artylerii Remiszewskiego, też starożołnierza z Wojska Polskiego, wziętego do niewoli. Był to wspałały człowiek, odznaczony Orderem św. Jerzego za służbę w stepie. Wspomniane „hrabiny” jako jedyne przedstawicielki płci żeńskiej cieszyły się zasłużonym i niezasłużonym uznaniem; żadna uroczystość bez ich udziału nie mogła się odbyć i oddawano im palmę pierwszeństwa.

Kiedy ogarnęliśmy się nieco, to i ja wybrałem się do domu beka, życie popłynęło stałym porządkiem. Wszelkiej dziczyny i ryb było pod dostatkiem i niewiele to kosztowa-

ło. Polowania i połowy ryb należały do rządu; żołnierze i kozacy zjadali się przepyszną rybą, a konkretnie jesiotrami, a Uralcy byli najlepszymi rybakami. Ludzie żyli w przyjaźni, odbywały się częste spotkania, a jak w batalionie było dużo confirmowanych¹⁷⁰, młodych, mądrych i z dobrym wykształceniem, to i nasze spotkania nie tylko były przyjemne, ale i pożyteczne. Orenburg od dawna był i jest miejscem zsyłki, tamtejsi kozacy żyli z zesłańcami, ci uczyli ich dzieci, a także ich samych czytania, pisania i życia w zgodzie. Najlepszym okresem dla confirmowanych były rządy Perowskiego¹⁷¹. Ten władca tymczasowy polepszył ciężką dolę wielu „zdrajcom”. Każdy był świadom, że w przypadku niesprawiedliwych szykan będzie miał obrońcę u tego władcy. Kiedy Perowski szedł na Ak-Mechet, to wielu zesłanych do karnej służby wojskowej wciągnięto do ekspedycji, ale taki krok mógł zrobić tylko Perowski, bo wysyłanie w step confirmowanych było przez władzę surowo zakazane z powodu obawy ucieczki i ich wpływu na orde.

Przy szturmie wielu z nich zostało zabitych i kiedy oficerowie, a przede wszystkim Chrulew¹⁷², uczestniczący w ekspedycji Perowskiego odezwali się,

¹⁷⁰ Confirmowani żołnierze – skazani na karną służbę.

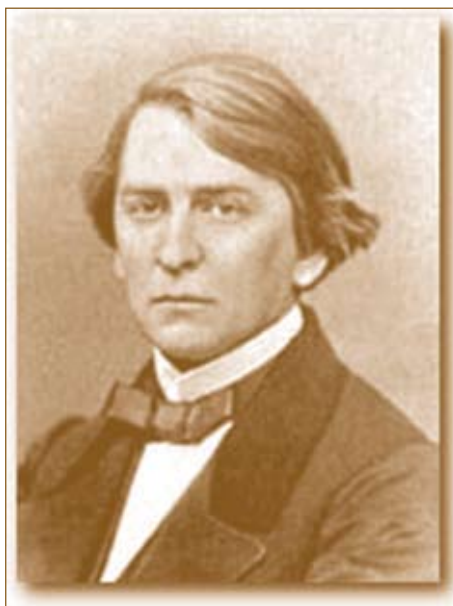
¹⁷¹ Zob. przypis 139.

¹⁷² Stiepan Aleksandrowicz Chrulew (1807–1870), generał, brał udział w tłumieniu powstania listopadowego i rewolucji węgierskiej w 1849 r. W 1853 r. dowodził szturmem na Ak-Mechet.

że zesłańcy przyczynili się do zwycięstwa, Perowski, na ile było to możliwe, wciągnął ich do ekspedycji. Gdy na tronie osiadł imperator Aleksander Mikołajewicz, wszyscy oni powrócili do społeczeństwa na podstawie amnestii¹⁷³. Pośród nich wspomnę między innymi Szewczenkę¹⁷⁴ i Pleszczewę¹⁷⁵.

Wszyscy ci młodzi ludzie byli przyjęci przeze mnie bardzo dobrze, w przyszłości razem spędzaliśmy codziennie wieczory. Szczerze i otwarcie powiem, że towarzystwo ich oraz częste rozmowy z nimi dały mi dużo i wyraźnie ociepliły moje serce. Wszyscy oni rozsypali się po bezmiernej Rosji. Wielu z nich już zmarło, ale wspominam ich wszystkich i w tej chwili czuję jakieś ciepło w sercu i dziękuję losowi, że pozwolił mi zetknąć się z tymi wyjątkowymi i nieszczęśliwymi osobami. Niektórych z nich udało mi się spotkać po powrocie do Rosji oraz w okresie wyjazdu do Warszawy. Spotkania te były bardzo przyjemne i radosne; odpłacili mi oni za wszystko, co mogłem dla nich zrobić.

Kiedy przybyliśmy na miejsce, to zgodnie z życzeniem Fitinhofa poczta z Orenburga za pośrednictwem Kirgizów jeździła co każde dziesięć dni,



18. Aleksiej Pleszczew

¹⁷³ Amnestia koronacyjna Aleksandra II z 1856 r. objęła prawie wszystkich zesłańców politycznych.

¹⁷⁴ Podkreślenie autora. Taras Hryhorowicz Szewczenko (1814–1861), ukraiński poeta narodowy, malarz. Za udział w Bractwie Cyryla i Metodego zesłany w 1847 r. do Korpusu Orenburskiego. Przyjaźnił się z Polakami zesłanymi do karnej służby wojskowej. Szczególnie bliskie kontakty utrzymywał z Bronisławem Zaleskim, zesłanym do karnej służby wojskowej na linii orenburskiej za udział w spiskach młodzieżowych na Litwie w latach 1846–1848. Por.: W. Dżakow, *Polscy przyjaciele Tarasa Szewczenki*, Warszawa 1964; W. Caban, *Z Orenburga do Paryża. Bronisław Zaleski 1820–1880*, Kielce 2006.

¹⁷⁵ Podkreślenie autora. Aleksiej Mikołajewicz Pleszczew (1825–1893), poeta, krytyk. Uczestnik kółka Pietraszewskiego. Aresztowany w 1849 r. i wcielony do Korpusu Orenburskiego. Szerzej o Pietraszewcach zob.: W. Śliwowska, *Sprawa Pietraszewców*, Warszawa 1964. Najnowsza publikacja rosyjska na ten temat zob.: Л. С. Пустельник, *Жизнь и творчество А. И. Плещеева*, Москва 2008.



19. Muzeum im. Tarasa Szewczenki w Orsku

to jest trzy razy w miesiącu. Z waszą mamą pisywałem stale, moje finanse poprawiły się i dzięki okazjom miałem możliwość przesyłania wystarczającej ilości pieniędzy. Życie waszej mamy także nieźle się ułożyło, mieszkanie w oficynie było bardzo przyjemne, dobrzy Chołmscy polubili mamę jak kogoś ze swej rodziny, Sasza podraślał i stawał się zdrowym chłopcem. Katarzyna Aleksiejewna, córka Chołmskich, właściwie mieszkała u mamy, a że była to młoda, mądra i przyjazna istota, to i mama całą duszą się do niej przywiązała, dlatego też samotność jej tak nie dokuczała. Prawdę mówiąc, kiedy Bóg nas nie opuszcza, to nawet w dalekim kraju ludzie bywają nie gorsi od krewnych, a nawet lepsi.

W końcu listopada 1854 roku zaczęła mnie boleć prawa noga, z początku nie bardzo, ale później coraz mocniej i mocniej. Nie zwracałem na to uwagi, uznając, że to z powodu jazdy konnej, dlatego że często musiałem wyjeżdżać z fortu, a inaczej niż wierzchem i z konwojem kozaków jechać nie było można. Wreszcie zrozumiałem, że od nogi zaczęła się choroba, z powodu której znalazłem się w szpitalu w Moskwie serce ogarnęła mi trwoga, bo nie widziałem już nadziei na pozostanie wśród żywych. Zajmującemu się mną doktorowi Lubomudrowowi powiedziałem, że na pewno będzie to wrzód na plecach, ale on śmiał się i rozповідаł po forcie, jaki jestem przeczulony. Innemu młodemu doktorowi, Tutołminowi opowiedziałem o pierwszej mojej chorobie i jej następstwach; przyjął moje słowa poważnie i zaczął mnie leczyć. W szpitalu

był wtedy z prawdziwego zdarzenia pomocnik lekarza Istomin, leczący z pijactwa; on również często doglądał mnie i uspokajał. Choroba przedłużała się, cierpienie było nieznosne, ból w nodze i w prawym boku okropny, ale nie przejmowałem się tym i zajmowałem się dalej sprawami. Mogę oddać honor generałowi baronowi Fitinhofowi, że w tym czasie pomagał mi w wypełnianiu zadań w forcie. Do pomocy przydzielono mi życzliwego Remiszewskiego, który osobiście pilnował i przekazując mu sprawy, byłem spokojny o bieg służby. W końcu stycznia miałem operację, wrzód okazał się mniejszy, ale były chwile, że niektórzy myśleli, iż nie przeżyję nocy. Wychudłem jak szczapa; apetytu i snu nie miałem, a były i momenty zupełnego omdlenia. Po operacji znowu zacząłem się poprawiać; zażyłem sobie piwa, ale go nie było. Ktoś powiedział, że w sklepie Dijewa przywieziono porter dla Trubeckiego, ale jako że wyjechał, to mój Grisza przechwycił całą skrzynkę i piłem go jak sknera, spoglądając, żeby ktoś przypadkiem nie zobaczył i nie wypił nawet szklanki. Było to oczywiście pojedyncze zdarzenie, taka osobliwa niewytłumaczalna chęć piwa lub portera, wynikająca z przekonania, że dobrze mi to zrobi. Zawsze lubiłem piwo i porter, ale tylko w tej chorobie piłem je z taką chciwością i myślałem, że umrę, jeżeli go nie będzie. Teraz nie piję portera, a nawet takiej chęci nie mam.

Mamie nic nie pisałem o mojej chorobie, żeby jej nie denerwować, chociaż był taki czas, kiedy myślałem, że nie pozostanę wśród żywych. Ażby mama pozostała w niewiedzy, pisałem różne listy o jakichkolwiek sprawach, chociaż wymagało to nie lada trudu i cierpienia, ale miałem na tyle silnej woli, że wytrzymywałem i to. Był u nas adiutant Perowskiego Barikow; wyjechał on do Orenburga w tym czasie, kiedy było ze mną bardzo źle. Przybył do Orska, był u komendanta i tam przekazał wyrazy żalu z powodu mojej choroby, a na zakończenie zastanawiał się, czy jestem jeszcze żywy, podkreślając mój beznadziejny stan. Wieść ta rozniosła się po Orsku; dowiedzieli się i Chołmscy, ale żeby mamy nie dobijać, milczeli. Wreszcie dowiedzieli się o tym nasi służący i oczywiście powiedzieli mamie, że umarłem. Możecie sobie wyobrazić jej sytuację. Na szczęście dostała mój list i przeczytawszy go, uspokoiła się, żeby zaraz po tym stwierdzić, iż to nie moja ręka go pisała, a to wszystko dlatego, że ze względu na chorobę i cierpienie charakter pisma zmienił mi się nieznacznie. Porównawszy go jednak z wcześniejszymi listami, uspokoiła się.

Pocztą z Orska szła do mnie równo dwadzieścia pięć dni. Mama, dowiedziawszy się, że byłem chory, wyrzucała mi, dlaczego o tym nie napisałem, a ja gdy już się poprawiłem, w szczegółach opisałem jej wszystko, dodając, iż zrobiłem to z miłości do niej.

W marcu zacząłem o kulach wychodzić na ulicę, moje siły poprawiły się zauważalnie i wiosna 1855 roku była dla mnie jednym z najprzyjemniejszych okresów w życiu. Ogólnie byłem w dużo lepszym nastroju po tej chorobie, bo

otrzymałem w tym czasie list od mamy, a w nim zapiskę oficera sztabu korpusu Rukina, który gratuluje mamie jako pani podpułkownikowej. Była to dla mnie przyjemna nowina, tym bardziej, że pierwszą przekazującą była wasza mama. Poza tym nie oczekiwałem od nikogo takich dobrodziejstw, wiedziałem bowiem, że Fitinhof nie przedstawił mnie do awansu, a nie dają go bez takiego wniosku. Okazało się, że winowajcą był generał inżynieryjny Biurno¹⁷⁶, który był w stepie i nie dochodził do porozumienia z Fitinhofem, który przeszkadzał mu w jego pracach. Dlatego Biurno zwracał się do mnie i ja jako komendant, z obowiązkami w zakresie umocnienia obrony fortu, współpracowałem z nim, rzadko kontaktując się z Fitinhofem. Dlatego też Biurno na złość Fitinhofowi wstawił się u Perowskiego o awans dla mnie. Przyznam, że zdziwiłem się z tej nagrody i uradowałem tak jak z żadnej innej jeszcze, a dowiedziawszy się szczegółowo o okolicznościach tego awansu, pomyślałem sobie, że gdy dwóch generałów pokłóci się, to byłoby jeszcze lepiej, gdyby się pobili ze sobą.

W tymże marcu otrzymałem oficjalne powiadomienie o tym, że zdecydowano o rodzinnych odwiedzinach w Forcie Perowskiego. Ta informacja jeszcze bardziej mnie ucieszyła; zaraz też i napisała wasza mama, że Perowski napisał do komendanta Sendenhorsta, by wysłać ją we wzmocnionym konwoju przy pierwszej okazji i dać dwanaście koni rządowych.

Z radością przystąpiłem do przygotowania mojego mieszkania, zajmowanego przeze mnie w domu beka. Dom był obszerny, ale na początek przygotowałem tylko trzy pokoje. Zdecydowałem się jednak na dalsze przeróbki i przybudówki. W końcu przygotowałem cztery pokoje. Mieszkanie było oryginalne – dach płaski, podłoga tu wyżej, tam niżej i różnica między nimi dochodziła do dwóch stopni; podłoga była ceglana, w szachownicę i gładka. Aby ukryć jej wady, w saloniku rozłożyłem bucharskie dywany, które wtedy były piękne i tanie. Znamie je zresztą, moje dziatki, bo leżą one w oficynie na podłodze naszego domu już od dwudziestu lat. Ze względu na to, że w lecie było bardzo gorąco w tym glinianym garnku, to wymyśliłem, by wybudować dachę na lato poza twierdzą. Jeszcze na jesieni wyznaczyłem miejsce na ogrody warzywne dla wojska. Położone one były wzdłuż rzeki Syr-Darii w odległości około wiorsty od fortecy. Miejsce było przepiękne, zacienione przez drzewa daktylowca, który daje owoce znane jako daktyl, ale tam ich się nie zrywa. Kwiatostan ma pięknie żółty, o aromacie zbliżonym do jaśminu. Ogród mój był jednym z piękniejszych. Tam właśnie wymyśliłem sobie

¹⁷⁶ Karl Iwanowicz Biurno (ur. 1796 na Sardynii), uczestnik wojny polsko-rosyjskiej w 1830–1831 r., generał-major od 1844 r., od 1848 r. w stanie spoczynku; w latach 1855–1856 w dyspozycji orenburskiego i samarskiego generała-gubernatora; C. B. Волков, *Генералитет*, t. 1, s. 224.

zbudowanie małego domku rodzinnego, którego budowa była możliwa jedynie rękami żołnierzy. Zebrawszy feldfebli, powiedziałem im, żeby poprosili żołnierzy o wybudowanie dla mnie dachy i żeby zapytali, jakiego chcą za to wynagrodzenia. Na drugi dzień odpowiedzieli mi, że żołnierze nie chcą ode mnie żadnej zapłaty, bo zrobią to z zadowoleniem. Niebawem przy zbiorce batalionu sam rozmawiałem o tym z żołnierzami, ale odmówili oni jakiegokolwiek zapłaty, oznajmiając jednomyślnie, że zrobią to szybko i z ochotą, tym bardziej, że dach nie będzie moją własnością, a zostanie na zawsze w batalionie. Podziękowałem tym dobrym żołnierzom i zająłem się budową.

W miejscu bardzo pięknym, naprzeciw małej wysepki na rzece, pojawił się szybko przyjemny domeczek z dachem o dwóch pokojach, z przedpokojem, małą obórką, stajenką, lodownią i kuchnią. Wszystko to pokryte było gliną i oddzielone; nad wejściem był duży nawis, który zastępował balkon. Będący w batalionie zesłany polski ogrodnik o nazwisku Hrup wydzielił i urządził niewielki ogród, w którym postawił namiot w różne wzory, będący trofeum po Kokańcach. Jednym zdaniem, żołnierze spisali się na schwał i ugościłem ich wódką. Na początku maja wszystko było gotowe do przywitania drogiego gościa, waszej mamy. Budowa, zajęcie i cała ta krzątanina dostarczyły mi niewymownego zadowolenia. W końcu otrzymałem pismo, że 8 maja wasza mama wyjeżdża z Orska i wyobraźcie sobie moją irytację – była ona aż dwa miesiące w drodze. Zjawiła się u mnie 28 czerwca. W podróży towarzyszyła jej siostra kapitanowej Remiszewskiej, panna Dawidowa, dobra i miła dziewczyna. Dowódcy byli troskliwi, ale przyspieszyć nikt nie mógł, dlatego mama umęczyła się. W końcu wiozący mamę woźnica Kirgiz przybył i zameldował, że będzie ona nocować na ostatnim postoju, oddalonym o dwadzieścia osiem wiorst. W przekazanym mi liście mama prosiła, abym wyjechał jej na przywitanie. Na moją biedę oczekiwałem właśnie spotkania w forcie z moim dobroczyńcą generałem Biurno i pojechać do niej nie mogłem. Przyznaję się, że mocno tego Biurno w duszy rugałem jako przeszkodę w moim szczęściu, a mama, przyjechawszy na postój i nie znalazłszy mnie, do tego stopnia przejęła się, że całą noc płakała, tym bardziej że Remiszewscy wyjechali powitać siostrę. Po spotkaniu z Biurno pojechałem na przywitanie mamy i pięć wiorst za fortem zobaczyłem jadący oddział. Mamie też powiedzieli, że jadę na spotkanie, oboje bieглиśmy do siebie, upał był straszny i spoceni rzuciliśmy się [sobie] w objęcia. Podobnej radości i chwili w życiu nie miałem, nie wierzyłem swojemu szczęściu i długo nie mogliśmy wypowiedzieć słowa, łyzy ciekły nam po policzkach. Oprzytomnieliśmy dopiero wtedy, kiedy podjechał do nas tarantas i zobaczyłem mojego syna Saszę. Ze spotkania ich obojga byłem zachwycony, mamę i jej niebieski płaszcz do teraz pamiętam. Sasza był zdrowym chłopcem i rozumiał już, że przyjechał do ojca. Wszystko podobało się mamie; nie wyobrażała sobie, że znajdzie tu takie ładne mieszkanie, tym

bardziej że nieustannie pisałem o niewygodach tutejszego życia, ale o ostatnich przebudowach nie wspominałem. Nasza dacha także się jej spodobała i zamieszkaliśmy tam jak się należy.

Już w końcu kwietnia generał Fitinhof pojechał na przepustkę do Orenburga i zostałem sam dowodzącym linią oraz głównym komendantem twierdzy. Pełna swoboda działania, obecność waszej mamy i synka mocno mnie ożywiły. Wyraźnie poprawił mi się stan zdrowia. Mama i syn zamieszkali w domku, a ja w namiocie. Wieczorami zbierali się u nas dobrzy znajomi i przesiadywaliśmy tam długo, spędzając czas na przyjemnych pogawędkach. Lato 1855 r[oku] zostanie na zawsze w naszej pamięci; były to najlepsze dni naszego życia.

Klimat w Forcie Perowskiego był dobry, pomimo wielkich upałów. Od Orenburga do samego fortu była pustynia, a tu po tej stronie aż do Turkiestanu i dalej do Kokandy była bardziej żywa roślinność. Ogromne przestrzenie pokryte były ciernistymi krzewami, które służyły jako opał. Krzewy te przyjemnie oglądało się wczesną wiosną, kiedy od dołu widzi się masę różowego, białego i purpurowego koloru kwiecica. Chociaż nie mają one żadnego zapachu, to dla oczu jest to przyjemność. Poza tym znajduje się tu znaczna ilość zagajników, tak zwanych sakauła¹⁷⁷. Są to nie większe niż na dwa sążnie drzewa, rosnące na gołych placach solnych. Opał z tych sakauł daje nadzwyczajny żar i jest wykorzystywany przez parowce. O daktylowcach już mówiłem, bo i tego rodzaju drzew jest tu dużo. Jednak najważniejszym surowcem służącym za opał była tu trzcina zwana kachwil, której był tu ogrom, zajmująca duże przestrzenie. Trzcina ta była zawsze potrzebna, a jej wysokość tak duża, że kozaka na koniu nie było widać. Kiedy w miesiącach czerwiec – lipiec przy wylewach Syr-Darii pojawiała się w nich woda, w trzcinach tych zamieszkiwały tygrysy, dziki i różna zwierzyna. W zimie zaś było to doskonałe miejsce dla przezimowania dla Kirgizów, dlatego w tym czasie było ich wielu na bazarach w forcie, co z kolei przyciągało nasze orenburskie kupiectwo do prowadzenia handlu wymiennego.

W czasie naszego pobytu tygrysów było mnóstwo. Ponieważ przysparzały one wiele kłopotów, to z rozkazu Perowskiego za każdego zabitego tygrysa państwo płaciło myśliwemu po piętnaście rubli srebrem, a skóry pozostawiano na jego użytek. Chociaż skóry te z początku były tanie, to i tak sprzedawano je za nie mniej jak piętnaście do dwudziestu rubli. Dzikizny również były ogromne ilości. Uwierzcie, że bażanty do tego stopnia się znudziły, że ludzie ich nie chcieli i często latem w lodowniach psuło się ich mięso. Były poza tym gęsi, kaczki, przepiórki i inne ptaki. Pelikany, zwane tu babami, gromadnie

¹⁷⁷ Sakauła – rodzaj krzewu lub niedużego drzewka.

zasiedlały jeziora i rozlewiska; łabędzi było mnóstwo. Mój myśliwy często przynosił mi ubite, a także młode żywe zwierzęta, które chodziły stadami jak domowe i szybko przyzwyczajały się do ludzi. Kiedy przyjechałem do fortu, u nikogo nie było kur, a zbliżało się święto Paschy, dlatego Rosjanie potrzebowali kolorowych jajek. Przyszli do mnie feldfebrzy i prosili, żeby wydać rozkaz wysłania ludzi w poszukiwaniu jajek. Z początku zdziwiłem się, ale w końcu stanęło na tym, że można je zebrać i od dzikich ptaków. Na Paschę znalazły się całe stosy kolorowych jaj, których żołnierze szukali z nabytymi karabinami, gdyż Kokańcy śledzili ich i nieraz pojmali do niewoli Rosjan. Nadto okazało się, że nasi Kirgizi również łapali żołnierzy i sprzedawali Kokańcowi, ale ich tego oduczono, gdyż schwytani na tym płacili za to życiem.

Syn nasz, a wasz brat, niespodziewanie zachorował na zapalenie głowy i w ciągu tygodnia, pomimo pełnej ofiarności doktora, zmarł. Jego śmierć była dla nas wielkim cierpieniem i mama długo nie mogła się uspokoić. Sasza zmarł 22 sierpnia 1855 roku.

W grudniu generał Fitinhof wrócił i przywiózł ze sobą pułkownika Beringa¹⁷⁸ wyznaczonego na komendanta Fortu Perowskiego. Po Nowym Roku 1856 zdałem fort nowemu komendantowi i zostałem dowódcą 4. batalionu. Przyznaję, że byłem tym mocno zasmucony, ponieważ utraciłem tysiąc rubli rocznie.

Zimę przeżyliśmy bardzo dobrze; zjechało się dużo towarzystwa, urządzaliśmy spotkania i nierzadko tańczyliśmy. Te tańce były oryginalne, ponieważ podłogi były ceglane; kładliśmy na nich dywany, które skrapialiśmy, a jeżeli nie udawało się zatrzymać wydostającego się z nich kurzu, to po każdym tańcu polewano dywany wodą z lejka, oczekując, by trochę obeschły, a w tym czasie publika wychodziła do innego pokoju i gościła się azjatyckimi smakołykami, takimi jak kalina, suszone morele, nierzadko bucharskie winogrona i cukierki, osobiwie wyglądające. Ogólnie przy wszystkich tych niewygodach czas spędzaliśmy przyjemnie i radośnie, a nastroje były przyjazne, wesołe i życzliwe.

Komendant Bering okazał się niedobrym człowiekiem; jego traktowanie całego garnizonu sprawiło, że stosunki służbowe stały się napięte. Wymagał rzeczy niemożliwych, naciskał na oficerów, a dla żołnierzy był tyranem. Z początku myślałem, że można to ułożyć na ludzkich zasadach, ale jak wszystkie starania okazały się daremne, to z racji koleżeństwa i służby popierałem stanowisko uciśnionych. Pojawiły się konflikty i nie obyło się bez ostrej korespondencji, którą musiał się zajmować Fitinhof. Na nieszczęście ten pan był zainteresowany żoną komendanta i nie zawsze byłem usatysfakcjonowany z jego decyzji. Żeby dotrzeć do prawdy, sprawy przekazywałem do Orenburga

¹⁷⁸ Pułkownik Bering w 1855 r. został mianowany komendantem Fortu Perowskiego. Do tej pory dowódca 4. batalionu był jednocześnie komendantem fortu.

i chociaż uzyskiwałem oczekiwany sukces i prawda zwyciężała, to wszystko to mnie denerwowało.

Korespondując z wpływowymi znajomymi w Orenburgu, prosiłem ich o rady i Dandewil¹⁷⁹, ulubieniec Perowskiego, stwierdził, że lepiej będzie, jak wyjadę ze stepu, bo Fitinhof nie jest mi przychylny, o czym dobrze mi wiadomo. Wyobrażając sobie całą sytuację i trudną służbę z racji nieprzychylności dowódcy, miałem nadzieję, że w Orenburgu będę miał poparcie. Niedługo myśląc, wziąłem zaświadczenie lekarskie i rozpocząłem starania o przeniesienie na linię orenburską z powodu słabości zdrowia. Wasza mama także życzyła sobie w duchu tego wyjazdu, jej serce bowiem rwało się do rodziny, którą całą duszą kochała. Ojca uwielbiała i jeżeli kiedykolwiek odezwałem się o nim zgryźliwie, to w ciszy gniewała się i nierzadko płakała.

24 marca 1856 roku Bóg podarował nam drugiego syna, Rafała. Mama była zdrowa, ale sama karmić nie mogła i maluszek był karmiony przez mamkę. Lato spędziliśmy na dacy dosyć wesoło, mimo małych utarczek. W lipcu przyszedł rozkaz o moim przejściu do Orenburga do 2. batalionu, ale osobiście stanowiska nie przejąłem. Napisano, że jestem przeniesiony z powodu choroby i otrzymam 2. batalion przy pierwszym powstałym wakansie.

Zaczęły się zebrania i zdawanie batalionu, które zakończyłem szybko i z powodzeniem. Batalion przekazałem Temnikowowi, na drogę przygotowałem trzy dobre ekwipáže; miałem swoich dziesięć koni, z których jeden był moim wierzchowym.

Zapiski z roku 1872 spisane we wsi Michajłowskoje

Pożegnawszy się z Fortem Perowskiego i licznymi dobrymi przyjaciółmi, a także z Fitinhofem, który w pełni docenił moją pracę i już rozczerował się nie tylko samym komendantem, ale też i jego połowicą, w sierpniu 1856 roku ruszyłem zgodnie z rozkazem do Orenburga. W drodze zachorował Rafał i biedna wasza mama mocno się tym zmartwiła.

¹⁷⁹ Generał Wiktor Deziderowicz Dandewil (1826–1907), syn francuskiego oficera, który dostał się do niewoli rosyjskiej w 1812 r. Brał udział w kampanii węgierskiej. W latach 1855–1865, pełniąc wysokie stanowiska na linii orenburskiej, odegrał ważną rolę w podbojach Azji Środkowo-Wschodniej. Został pierwszym naczelnikiem sztabu Turkestańskiego Okręgu Wojskowego. Brał udział w wojnie rosyjsko-tureckiej w 1877 r.

Zapomniałem powiedzieć, że w 1855 roku fortyfikacje aralskie zlikwidowano, a utworzono nowy Fort Nr 1, do którego przemieszczono z Fortu Aralskiego garnizon, jego majątek, flotyllę i mieszkańców. Ten fort był także na Syr-Darii położony, w odległości 50 wiorst od wcześniejszego, na głównej drodze do Buchary i przy bardzo wygodnej przeprawie do Orenburga. Do fortu tego przyjechaliśmy w dziesięć dni, ale z synkiem było coraz gorzej; tam zatrzymaliśmy się i prowadziliśmy dalsze leczenie, które w niczym nie pomogło. Straciliśmy drugiego synka, którego w tymże Forcie Nr 1 pochowaliśmy; obecnie fort ten jest już miastem powiatowym o nazwie Kazalińsk¹⁸⁰.

Zasmuceni pojechaliśmy dalej i przybywszy do Orska do Olgi Iwanownej Chołmskiej, która razem ze swoimi dziećmi przyjęła nas jak matka rodzona, gościliśmy tam przyjemnie cały tydzień, odpoczywając po długiej i męczącej drodze. Już w październiku dotarliśmy do Orenburga, gdzie rozmieściliśmy się w przygotowanym wcześniej przez dobrych znajomych przepięknym mieszkaniu. Konie z wyłączeniem trojki sprzedałem, zaczęliśmy żyć spokojnie i przyjemnie.

Życie w stepie i wyobcowanie ze społeczeństwa dawało o sobie znać teraz, po przybyciu do dużego miasta, gdzie znajdowaliśmy się w pewnego rodzaju szczególnym nastroju. Z początku odczuwaliśmy radość i zadowolenie, wszystko, co widzieliśmy wydawało nam się nowe, wszystko nas interesowało. Dobrzy nasi przyjaciele opowiadali nam wiele o wszystkim i okazało się, że przyszłość ułożyła się dla nas pomyślnie, ale z czasem utwierdzaliśmy się w przekonaniu, że wszyscy myślą tylko o sobie. Ale inaczej przecież być nie mogło, były i chwile, że tęskniliśmy do spokojnego i służbowego życia w stepie, lecz na to było już za późno.

Dowództwo przyjęło nas życzliwie, ale zauważyłem, że wakanse otrzymywali ich znajomi. W Orenburgu odnowiliśmy stare kontakty, nawiązaliśmy nowe, a że i środki nasze były nienajgorsze, to i żyło nam się dobrze i niezależnie. Wasza mama myślała o swoich krewnych i rozumiałem, że jej dusza ciągle tam się rwała. Pojmując doskonale te uczucia, obiecałem waszej mamie, że przed świętami Bożego Narodzenia pojedziemy do Michajłowskoje. Radości nie było końca; wtedy to właśnie na nowo zaczęła się korespondencja z ojcem i siostrami. Sprawy przedstawiały się tak – Fosieńka wyszła za mąż za smoleńskiego geometrę gubernialnego, pięknego pana. Ślub wzięli w Moskwie w tamtejszym kościele katolickim, dlatego też umówiliśmy się, żeby wszyscy w jednym czasie zjechać do Moskwy w wyznaczone miejsce na ulicy Twerskiej w hotelu Paryż, by spędzić tam okres Nowego Roku. Kie-

¹⁸⁰ Kazalińsk (kazachska nazwa: Kazały) – miasto w guberni orenburskiej. Twierdza Kazalińsk została założona w 1853 r., a następnie jej nazwę zmieniono na Fort Nr 1. W 1867 r. Kazalińsk otrzymał status miasta.

dy otrzymałem dwumiesięczny urlop, przygotowałem piękny powóz i wraz z waszą mamą, Ignacym i Praskowią, 19 grudnia 1856 roku wyjechaliśmy weseli i szczęśliwi.

Do Symbirsk¹⁸¹ dojechaliśmy doskonale, ale tam z wielkim trudem mogliśmy przejechać na stromy, drugi brzeg Wołgi. Śniegu właściwie nie było, tak więc i nawet woźnica podróżował pieszo. Nasz wyjazd nastąpił w przededniu Bożego Narodzenia; co za pech, bo tak daleka droga była bez sensu. Pomyślałem, że przyjdzie nam zawrócić i wymyśliłem, aby w tej sytuacji pierwszy dzień świąt spędzić w Symbirsku, a na drugi dzień wracać.

Wasza mama zgodziła się w milczeniu. Dobrze wiedziałem, jakie myśli najskrytsze dzieją się w jej sercu; nie wytrzymała i zalała się łzami. Smutno spędziłem dzień i jeszcze smutniej noc; nawet Ignacy i Praskowia przycichli, bo oni też chcieli być w rodzinnych stronach. Wczesnym rankiem przy dzwonach cerkiewnych usłyszałem stukanie do drzwi. Na dworze było ciemno i to mnie zdziwiło, zapytałem: „Kto tam?”. Usłyszałem głos Ignacego: „Aleksandrze Iwanowiczu, spadł śnieg, i to duży”. Mama wstała, a Ignacy zaczął opowiadać, że od północy idzie wielki śnieg, droga stała się przejezdna i możemy jechać. Mama o mało nas nie zacałowała, zaraz prosiła, aby przygotować konie; napiiliśmy się tylko herbaty i bez bułek, bez jedzenia, jeszcze przed świtem ruszyliśmy w drogę. Żebyście widziały, moje drogie dziatki, ten zachwyt u waszej mamy. Martwiła się, co by tu zrobić, by śnieg nie zniknął. Nigdzie nie zatrzymując się, jechaliśmy aż do drugiej godziny i na jakimś postoju poczuliśmy silny głód, ale niczego nie było na stacji, a my niczego przy sobie nie mieliśmy. Pierwszy dzień Bożego Narodzenia przeszedłby o głodzie, gdybym nie pomyślał, aby poprosić gospodarza. Zapytany stary chłop powiedział, że na postoju niczego ciepłego nie ma, bo prowadzą to miejscowi chłopci, ale jeśli pan pułkownik jest głodny, to jego baba ma trochę kaszy i zupy. Zaraz podstawili nam konia i całym taborem udaliśmy się do tego chłopca. Chociaż kapuśniak okazał się być z prawie surowej i grubej kapusty ze słoniną, to kasza za to była dobra, prawdziwie rosyjska, gryczana i podano do niej doskonałe masło. Zasiadliśmy z rodziną w jednym końcu stołu, a Ignacy z Praskowią w drugim; poucztowaliśmy smacznie, przyjemnie i wesoło. Rzadko kiedy jedliśmy taki obiad. Wasza mama i teraz często wspomina, jak jej smakowała ta chłopska kasza.

Marzenie waszej mamy spełniało się i zbliżaliśmy się do Moskwy. Przez ostatnie trzy dni nigdzie nie zatrzymywaliśmy się na odpoczynek, jechaliśmy w dzień i w nocy i przy tym droga była świetna. Jazda po lasach muromskich w zimie jest zachwycająca, konie były znakomite, a woźnica, pochodzący z okolic Włodzimierza, był twardym chłopem. 29 grudnia o godzinie trzeciej po

¹⁸¹ Symbirsk – miasto nad Wołgą założone w 1648 r. W 1780 r. stało się siedzibą nowo powołanej gubernii symbirskiej.

południu dojechaliśmy do Moskwy. Zgodnie z umową podjechaliśmy do hotelu Paryż i nie znaleźliśmy tam dziadka Franciszka, a poza tym wolnych pokoi też nie było. Pojechaliśmy więc do hotelu Bekietowa, a adres zostawiliśmy portierowi, z wielką prośbą, by przekazał go temu, kto o niego będzie pytał.

Hotel Bekietowa był przepiękny, zamówiliśmy też i pokój dla dziadka, a ja jako stary mieszkaniec Moskwy, który lubi wykapać się po drodze, rozgościłem się. Ignacego odesłałem i zacząłem przygotowywać [się] do ślubu. Wasza mama, nie znalazłszy dziadka, znowu się przejęła i przybiegła do mnie, mówiąc: „Wiesz co, ja pojadę popytać o tatę, może go znajdzie i dlatego zabiorę Ignacego”. Nie rozumiejąc, w jaki sposób mama może nocą w Moskwie znaleźć dziadka, przyznaję, że zakłopotalem się, lecz z drugiej strony, rozumiałem jej sytuację. W ciągu dnia długo spacerowałem; kiedy wróciłem i wszedłem do przedpokoju hotelowego, to zdziwiłem się z powodu mocnego oświetlenia i szumu rozmów różnych osób. Nagle wybiegła wasza mama i wzruszona opowiadała, że znalazła nie tylko dziadka, ale jeszcze ciocię Fosię, jej narzeczonego i zabrała ich wszystkich oraz rozmieściła w tymże hotelu razem z nami. Mama cała płonęła z radości; rozpalona, zaprowadziła mnie do gości, krzycząc do nich: „Sasza, Sasza przyjechał!”. Przywitaliśmy się, z zadowoleniem i radością objąłem drogich gości, i – jak przystoi – wysłuchałem ich. Zabrawszy woźnicę, mama jeździła po tych hotelach, w których dziadek zatrzymywał się, przyjeżdżając do Moskwy po dzieci na wakacje. Dlaczego nie przyjechał, nie mogła pojąć. W końcu na Ilwince u Wojejkowa, gdzie właścicielem był znajomy, powiedziano jej, że Franciszek Suski nie dalej jak pół godziny temu chciał się tu zatrzymać, lecz nie było wolnego pokoju i dlatego odjechał, a gdzie, to tego już nie potrafią powiedzieć. Biedna mama i stąd odjechała z niczym, czas dłużył się i myślała, że powinienem zaraz wrócić, i ze spuszczoną głową wracała do domu. Na ulicy Nikolskiej nie można było przejechać, na drodze stały dwie pary dużych sań i było słychać jakąś kłótnię; zbliżywszy się, mama zobaczyła kryte sanie i krzyknęła do Ignacego: „Biegnij, wydaje się, że to tata”. Ignacy zeskoczył, otworzył drzwi powozu, chciał pocałować dziadka w rękę, ale ten nie rozpoznał go w wielkiej czapie i myśląc, że jest to jakiś moskiewski żulik, odepchnął Ignacego, zaczął krzyczeć na woźnicę i wtedy zjawiała się wasza mama i rzucając się na szyję, dziadka, krzyczała: „Witaj tato!”. Dopiero wtedy dziadek rozpoznał waszą mamę i rozegrała się wzruszająca scena.

Sprawa wyglądała tak – dziadek przyjechał jeszcze przed świtem, był w ponad pięciu hotelach, lecz nigdzie miejsca nie znalazł, woźnica zmęczony jazdą po Moskwie powiedział w tej sytuacji: „Nie, gospodarzu, dalej nie pojadę, dopóki za darmo chcesz wynająć mieszkanie”. Rozłośćdziło to dziadka, zganił woźnicę, ale ten nie chciał dalej jechać. W tej samej chwili wasza mama znalazła dziadka i przywiozła go do nas do hotelu. Radości i opowie-

ściom nie było końca. Z samych siebie mieliśmy ochotę się śmiać, spotkanie wywołało u wszystkich zachwyt, a dziadek mówił, jaki to jest zadowolony z córek, z mieszkania i z tego, że nie przyszło mu nocować na ulicy.

W Moskwie przebywaliśmy do Trzech Króli 1857 roku, często chodziliśmy do teatru i robiliśmy zakupy dla niewiast. Fosia była w wyśmienitym nastroju, jej mąż Fortunat Grontkowski, syn Józefa, był poważnym młodym człowiekiem, z wyglądu przystojnym, pełnym dobrych manier i dobrze wychowanym. Jego przyjacielem był družba Witalis Dąbrowski, syn Andrzeja, także młody, miły i wszechstronnie wykształcony pan. Nasze rozmowy były czasem zażarte i na różne tematy, a przyjemne do tego stopnia, że do późnych godzin przesiadywaliśmy i rozchodziliśmy się, wcale nie mając ich dosyć. Porozmawiać oczywiście było o czym, czteroletnia rozłąka i nasze życie stanowiły ogrom materiału.

Jednak do ślubu w Moskwie nie dochodziło, a rozmowy z księdzem nie przynosiły pozytywnych rezultatów, dlatego też postanowiliśmy urządzić ślub w Michajłowskoje i w tym celu zaprosiliśmy księdza ze Smoleńska. 7 stycznia [1857] pojechaliśmy z waszą mamą do Juchnowa do Poźniakowów, a dziadek wraz z towarzystwem miał wyjechać później, żeby nie zatrzymywać się przy zmianach koni.

Spotkanie z Poźniakowami i ich dziećmi było kolejną radością. Juleńka zachwycała się nami, a Aneta, to jest wasza mama, skakała jak kozaczka. Cio-cia Julia i wasza mama karmione były przez jedną i tę samą mamkę, więc ich przywiązanie było szczególne. Poźniakowie prowadzili życie towarzyskie, wielu u nich bywało i dlatego ich liczni znajomi zjechali się, aby popatrzeć na przybyśzy z odległych stepów. Niebawem przyjechał i dziadek i tak gościliśmy tu ponad dwa tygodnie. W końcu wszyscy pojechaliśmy do Michajłowskoje, a Dąbrowski prosto z Moskwy pojechał do Smoleńska, żeby na umówiony czas przywieźć tu księdza.

W Michajłowskoje dom był już zbudowany, czym byliśmy przyjemnie zaskoczeni. Wszyscy dworscy ludzie witali mamę, która dla niektórych przygotowała podarki. Ignacy i Praskowia pojechali do rodziny, a my korzystaliśmy ze spokojnego, wiejskiego życia. W końcu stycznia przyjechał ksiądz ze Szczawińskim, którego wy, drogie dzieci, znacie tak jak Dąbrowskiego. Ślub cioci Fosi był cichy i skromny, a w gościnnym pokoju u dziadka przygotowano ołtarz, gdzie po obiedzie udzielono ślubu cioci Fosi z Grontkowskim. Żadnych gości nie było, nawet Poźniakowów; ciocia Julia musiała wyjechać. Kilka dni przed ślubem przyjechał wujek Romuald; był wtedy porucznikiem i służył w pułku kwaterującym w Arzamasie¹⁸². Starszych Poźniakowów też

¹⁸² Arzamas – miasto w europejskiej części Rosji na południe od Niżnego Nowogrodu.

nie było; sam Nikifor Polikarpowicz był poważnie chory. Smucili się tam bardzo, bo ukochany syn Nikita zginął na wojnie krymskiej. Ciocia Natalia była zamężna za Kraińskim, a ciocia Fruzia została przy rodzicach.

Po dwóch tygodniach od ślubu Grontkowscy wyjechali do Smoleńska, a i my musieliśmy zbierać się do drogi powrotnej, bo urlop kończył się 1 marca. Przez cały okres pobytu w Michajłowskoje dziadek był bardzo poważny, czym mama przejmowała się bardzo. Kiedy zbieraliśmy się w podróż, dziadek dał mamie trzysta rubli na drogę, co i mnie ucieszyło.

Gdy tylko zaczęliśmy się zbierać, wasza mama zauważyła, jak szybko ten czas zleciał i zamyśliła się, ale trzeba było wracać i 15 lutego przyjechaliśmy do Juchnowa. Przebywaliśmy tam tydzień i pożegnawszy się pewnie już na wieki, ruszyliśmy dalej do Orenburga. W Moskwie trafiliśmy na maslenicę¹⁸³ i zostaliśmy tam cztery dni. Zapraszaliśmy ciocię Maszę, która była już wtedy na pensji u madame Sewenard, to jest tam, gdzie wychowała się wasza mama. Podróż była przyjemna, czas i droga pomyślna, tak że 1 marca powróciliśmy do swojego mieszkanka. W domu został Siemion i ordynans Andriej, dobry kucharz.

Zapomniałem wam powiedzieć o moim pocziwym Griszy. On jeszcze w 1854 roku wypracował swoje lata i podlegał zwolnieniu ze służby, lecz z powodu wojny krymskiej otrzymać go nie mógł, dlatego pozostał do 1856 roku, tj. do momentu zawarcia pokoju. Gdy po naszym powrocie ze stepów pocziwy Grisza otrzymał zwolnienie, nastawałem, by został u mnie na utrzymaniu, jednak ten stary Ukrainiec bardzo chciał wrócić do ojczyzny i tam złożyć swoje kości. Pożegnawszy się z nim i nagradzając go należycie za służbę i zasługi, jak dobrego przyjaciela odprawiłem do dalekiego, drogiego mu kraju. Czy ty żyjesz dobry człowieku? Jeśli tak, to Bóg niech ześle ci zdrowie, a jeśli umarłeś, to pozostanie po tobie wieczna pamięć!

I rozpoczęło się na nowo codzienne życie w służbie, ale teraz było ono już martwe i mało interesujące. Nie dowodząc żadnym oddziałem i pozostając w batalionie na prawach młodszego sztabsoficera, byłem tym dotknięty i czułem się niezręcznie¹⁸⁴. Dobrzy przyjaciele trochę pomagali i żebyśmy całkowicie nie podupadł, odkomenderowali mnie do sztabu korpusu, abym był bliżej głównego dowództwa. Udało się to z korzyścią.

Pułkownik Rejtern, główna osoba w sztabie, zapytał, czy nie chciałbym otrzymać miejsca w delegacji w step, której celem była rewizja wszystkich

¹⁸³ Maslenica – u prawosławnych święto pożegnania zimy, trwające tydzień; ostatni tydzień karnawału i czas zabawy.

¹⁸⁴ *Posłużnyj spisok* Skolimowskiego informuje, że 14 czerwca 1856 r. został on przeniesiony do 2. batalionu, do którego przybył 20 września tego roku, a dopiero 8 maja 1858 r. został mianowany pełniącym obowiązki komendanta Fortu Nr 1.

umocnień w zakresie gospodarczym. Nie mając lepszej propozycji i biorąc pod uwagę dochody, podwójny przejazd w tę [stronę] i z powrotem, oraz posiadając swoje konie, które tylko jedzą i nic nie robią, zgodziłem się po naradzie z waszą mamą.

W tym czasie wyznaczono na inspektora wszystkich umocnień pod względem uzbrojenia oraz we wszystkich sprawach służbowych generała-lejtnanta Ładwiżenskigo¹⁸⁵. Chociaż moje zadanie miało na celu inspekcję gospodarczego zaplecza umocnień, to Ładwiżenski zażyczył sobie, by moja wizytacja przebiegała jednocześnie z jego inspekcją i dołączyli mnie do niego.

Nowe decyzje nie były mi w smak, nie znałem bowiem Ładwiżenskigo, a długa jazda ze zwierchnictwem nie obiecywała niczego dobrego. Ostatecznie pogodziłem się z tym, a w Ładwiżenskim znalazłem nie tylko dobrego dowódcę, ale również dobrego przyjaciela.

Po odprawieniu się do Orska wygodnym furgonem woźnicy Siemiona, dotarłem tu wraz z waszą mamą, bo Orsk był wyznaczony jako miejsce spotkania członków inspekcji. W Orsku gościliśmy u Chołmskich, a 4 czerwca pożegnałem się z waszą mamą, która odprowadziła mnie do tego punktu; według ustalonego porządku ruszyliśmy w step. Chociaż nasza rozłąka nie wydawała się za długa, trwała zaledwie lato, to i nasze rozstanie nie było takie trudne jak pierwsze. Wasza mama wróciła do Orenburga i żeby za bardzo nie tęsknić, wzięła ze sobą młodszą córkę Chołmskich – Lizę, mającą lat trzynaście.

Zgodnie z instrukcją inspekcja miała się zacząć od Fortu Perowskiego i dlatego bez zastanowienia skierowaliśmy się tam jako do skrajnego punktu. Podróż naszą zorganizowaliśmy dobrze, a w tym czasie nie każdemu śmiertelnikowi to się udawało. Jednym zdaniem, pozwolenie na marsz w środku Rosji ma swoje znaczenie, szczególnie w stepach. Konwoje liczyły po stu ludzi, wielbłądów była masa, wszystko się wlokło, ślaniało, choć z początku przeżyło jak struna. W umocnieniach linii spotkania były trudne i bardzo służbowe, ale w czasie inspekcji panowało ugrzecznienie i uwaga. Od pierwszego dnia Ładwiżenski okazał mi swoją przychylność i poszanowanie. To wielki hrabia i nawet w stepie nie zatrzymywał się bez odpowiedniego komfortu i szyku. Byłem stale zapraszany do jego stołu i przyznam się, że byłem z tego zadowolony, bo mój Siemion był słabym kucharzem. Ładwiżenski, chociaż już starszy człek, to język miał ironiczny i swawolny. Od początku dzielił się ze mną swoimi wrażeniami. A kiedy był krytyczny i w złym humorze, to wszyscy grali przed nim komedię i dawali strawę, bojąc się jego ostrego i złego języka. Były też chwile pełne tryumfu, kiedy bez słowa słuchając jego złej, ale celnej mowy,

¹⁸⁵ Michaił Wasiliewicz Ładyżenskij, generał-major od 1844 r., generał-lejtnant od 1858 r. i komendant Orenburga; C. В. Волков *Генералитет*, t. 1, s. 10. Skolimowski konsekwentnie pisał jego nazwisko: Ładwiżenski.

wewnętrznie umierałem ze śmiechu, błogosławiąc los, że to nie ja jestem na jego języku. Ogólnie przez pięciomiesięczną naszą podróż czas spędzaliśmy wesoło, na ile to było możliwe, oraz życzliwie i przyjemnie. Czego oczywiście nie można by oczekiwać, gdybym to ja sam robił wszystko, i jak wcześniej zauważyłem, mógłbym mieć nieprzyjemności, ale pod osłoną jego autorytetu miałem możliwość wykonania i zakończenia swoich spraw z powodzeniem.

Wymiana listów z waszą mamą odbywała się regularnie. W kopertach urzędowych inspektora wysyłana była do Orenburga. W połowie lata mama pisała, że jest jej ciężko, że jest jej smutno i żal z powodu mojego wyjazdu, jednym zdaniem, była ona w odmiennym stanie, który poprzedzało pojawienie się na świecie was, moje drogie Maszeńko i Lenoczko. Szczerze powiem, że wyjeżdżając, domyślałem się, że będę miał radość, to jest milutkie dzieciątko, ale do głowy mi nie przyszło i nie spodziewałem się takiej szczodrości. Jednym zdaniem, ty Lenoczka nie byłaś przewidywana i dlatego dodam, iż niespodziewana pomyłka w rachubach bywa przyjemna i przynosi radość i pożytek rodzinie.

W końcu września zakończyła się inspekcja w Forcie Nr 1 i dalej cygańskim taborem zmierzaliśmy do umocnień uralskich. Pogoda zrobiła się paskudna, zaczął wiać silny i zimny wiatr, nie było żadnej zieleni, tylko jeden wielki goły step i turlające się po nim kępy suchej trawy. Samotność i maszerowanie do tego stopnia stały się uciążliwe, że można było stracić cierpliwość.

W takim to nastawieniu ducha wjechaliśmy do nieprzyjemnego Fortu Uralsk. Nadskakiwanie władz miejscowych męczyło nas do tego stopnia, że i sam Ładwiżenski ustał w uszczypliwościach. Żeby się ukryć, piechotą wszedłem do fortu przez furtkę i dostałem się do przygotowanego mieszkania. Nie rozbierając się, usiadłem na kanapie i jeszcze bardziej ogarnął mnie smutek, ale od niechcenia spojrzałem na przygotowany do pisania stół i zobaczyłem kopertę. Jak drapieżny zwierz chwyciłem ją i chciwie zacząłem czytać list od waszej mamy. List zaczynał się smutno, a na końcu był pełen rozpaczy. Serce mocno mi ścisnęło, chwyciłem się za głowę i ze łzami zaszlochałem. Kiedy opuściłem ręce, ujrzałem obok koperty niewielki kawałek papieru, podniosłem go i zobaczyłem charakter pisma waszej mamy. W zapisce było: „Winszuję Ci mój drogi Olesiu dwóch córeczek. Mam jeszcze na tyle siły, żeby cię powiadomić o tej radości, czuję się nieźle i dziękuję Bogu”.

Ot, Maszeńko i Lenko, jaką zrobiłyście mi niespodziankę! Wcześniej płakałem z goryczy, a teraz zacząłem płakać z radości i przyznaję się wam, że na wieść o waszych narodzinach beczałem jak baran. Te łzy ukoili moje smutne serce na wiele dni, ale dlaczego, do dziś nie wiem. Jednym zdaniem, nigdy nie cieszyłem się tak, jak w tej chwili, kiedy [się] dowiedziałem, że urodziły mi się dwie „niedobre” dziewczynki. Do dziś nieprzerwanie radujecie mnie i żeby Bóg tak dał do samej śmierci, żebyście na zawsze takie były.

Podczas obiadu podzieliłem się moją radością z Ładwiżeńskim, a on szczerze mi z duszy pogratulował. Za wasze i mamy zdrowie wypiliśmy po kieliszku dobrego xeresa, bo szampana nie było. Nie obeszło się przy tym bez uszczypliwych słów ze strony Ładwińskiego, ale obiad zjedliśmy w wesołym i przyjemnym nastroju.

Do mamy wróciłem w listopadzie, to jest kiedy wam, Maszo i Lenko, było po sześć tygodni, i zastałem zarówno was, jak i mamę w zdrowiu, a ja napisałem raport z inspekcji. Masza była pełnym, białym jak mleko niemowlakiem, główkę miała gołą jak kolano, a Lena była malutka, mizerna, czarna i cała owłosiona. Włosów na głowie było tak dużo, że można je było kręcić, choć i one same się kręciły i były długie, że aż zakrywały szyję. Byłem bardzo zadowolony, tym bardziej że nie byliście znanadto krzykliwie, a szczególnie Lenka, która ciągle spała.

Ucałowawszy mocno waszą mamę za to, że podarowała mi takie na schwał dzieciaki, zacząłem spokojnie urządzać się. Przed wyjazdem w stęp zmieniliśmy mieszkanie na mniejsze i bardziej wygodne u pułkownika Wasiliewa, którego i wy znacie. Rozumiejąc sytuację i samotność mamy, prosiłem naszego poczcziwego księdza Zielonkę¹⁸⁶, by był jej opiekunem i ten, mogę powiedzieć, święty człowiek był dla mamy prawdziwym pocieszycielem. Codziennie ją odwiedzał i pomagał jej we wszystkich sprawach, w których nawet ja przy szczerych chęciach nie mógłbym pomóc. Wezwał najlepszego lekarza, akuszerkę, najął dobrą mamkę, a jak jednej okazało się za mało, to załatwił jeszcze niańkę. Nasza ekipa stała się gromadą, bo wszystkich było równo pół tuzina; na szczęście kuchnia była obszerna, a oni służyli dobrze. Wasze urodzenie, moje drogie córeczki, stało się osobliwym wydarzeniem, można je nazwać cudem, tak uważamy razem z mamą.

Oto, co opowiedziała mi wasza mama. W końcu ciąży czuła się paskudnie, na ciele pojawił się w wielu miejscach obrzęk, nogi do tego stopnia nabrzmiały, że nie mogła nosić żadnego obuwia, i wszystko to sprawiało jej mękę do tego stopnia, że z ledwością się poruszała. Samotność, rozłąka ze mną i cała ta sytuacja strasznie ją przygniatały, dużo płakała i często wpadała w rozpacz. Wezwany doświadczony doktor akuszer, rozumiejąc położenie mamy, nie mógł zarazem jej pomóc. Żeby nie kłamać i tym samym nie pogarszać jeszcze sprawy, uspokajał ją, że wszystko będzie dobrze.

U państwa Wasiliewów mieszkała ich krewna wdowa Wasiliewna. Wy, moje miłe córeczki, znacie ją, bo wcześniej uczyłyście się u niej; to ta sama przepiękna kobieta, która zawsze dobrze żyła z waszą mamą, stale ją odwiedzając. W Orenburgu we wrześniu przywozili obraz Matki Bożej Tobyn-

¹⁸⁶ Zob. przypis 134.

skiej¹⁸⁷. Spotkanie z obrazem uważanym za cudowny i jego wędrowka zawsze są uroczyste. Nie tylko ludzie, ale nawet władze i wojsko wychodzą na spotkanie tego czczonego obrazu.

Wasiliewna w pełni rozumiała trudną sytuację waszej mamy, robiła co mogła i za to ją mama lubiła i szanowała. Kiedy Matka Boża była już w Orenburgu, to Wasiliewna, bardzo religijna kobieta, radziła mamie pomodlić się do tego cudownego obrazu. Ta myśl przyszła mamie do głowy, nie chcąc jednak naruszyć zasad wiary katolickiej, zapytała o radę księdza Zielonkę. Ten starzec, prawdziwy pasterz Chrystusowy, odpowiedział: „Jeśli chcesz modlić się do Matki Bożej ukazanej na obrazie Tobyńskiego monasteru i prosić naszą Orędowniczkę o pomoc, to mogę ci odpowiedzieć na to, że Bogurodzica jest jedna i czy ja, czy prawosławny pop będą wspierać cię w tej modlitwie, to Bogu i Bogurodzicy jest wszystko jedno; Chrystus powiedział: »Twoja wiara uratuje cię«”.

Wśród mieszkańców Orenburga panował zwyczaj odwiedzania przez ten obraz mieszkań według ich życzenia, dlatego jeszcze długo przed świtem noszono go po mieście. Tak było i u Wasiliewów. Wasiliewa, wiedząc o prośbie mamy, by mieć obraz u siebie w domu, powiedziała jej, że jutro o piątej rano będzie on w domu u Wasiliewów i dlatego można go będzie wziąć do mamy. Aby zrealizować ten pomysł, mama wstała wcześniej, poszła do Wasiliewej, tam wysłuchiwała modlitwy i całą duszą modliła się do Orędowniczki naszej Bogurodzicy. Wszystko zakończyło się przed świtem i mama z niepokoju i wysiłku tak mocno osłabła, że nie zgasiła świecy i położyła się w pościeli. Jak sama mówi, we śnie widziała, jak pojawiła się Bogurodzica w postaci jak na obrazie i mówiła: „Nie smuć się i nie martw, będziesz miała bliźniaki i podziękuj Bogu”. Wystraszona mama zerwała się, ale nikogo przed nią nie było, bardzo się tym przejęła, obudziła Lizę i zaraz opowiedziała o wszystkim Wasiliewej. Mądre słowa wdowy i Boża zapowiedź uspokoiły mamę i bardzo szybko jej sen się spełnił. Wtedy w ciągu czterech godzin wy pojawiłyście się, moje drogie córeczki Maszeńko i Lenko. Mama była przekonana o spełnionym dla niej cudzie, dlatego powierzyła was opiece Matki Bożej, i wy wiercie w to i zawsze pamiętajcie o tym świętym wydarzeniu.

Nasze życie potoczyło się dalej, mieliśmy środki na utrzymanie i ogólnie nie było źle. Przed moim przyjazdem i po waszym urodzeniu mamusia i znajomi uważali, że nie pozostaniecie wśród żywych, a szczególnie Lenka;

¹⁸⁷ Chodzi o Tabyńską Ikonę Bogarodzicy, znajdującą się w cerkwi pod tym wezwaniem, najważniejszej świątyni kozaków południowego Uralu i Kraju Orenburskiego; Н. Н. Модестов, *Село Табынское и Вознесенская пустынь. Табынская Икона Божией Матери в крестный ход из села Табынского в г. Оренбурге и другие места Оренбургской епархии*, Оренбург 1913, s. 32–37.

dlatego, żeby się uspokoić, mama prosiła księdza Zielonkę o chrzest z wody i poczekanie z innymi obrzędami do mojego powrotu.

29 listopada 1857 roku odbył się wasz chrzest, a świadkami byli: lekarz ze szpitala Bogatkiewicz i ciotka madame Ceyzik, żona aptekarza¹⁸⁸, oraz Słobodzka. Urodziłyście się moje miłe córeczki z 22 na 23 września tegoż 1857 roku w mieście Orenburg w domu pułkownika Wasiliewa przy ulicy Pietropawłowskiej.

Chociaż moje rachuby na otrzymanie dowództwa zostały przyjęte przez przełożonych życzliwie i oczekiwałem ich formalnego spełnienia, lecz jak zwykle nic z tego nie wychodziło. Ostatecznie pozostałem bez przydziału i wysłano mnie do sztabu. Mój nowy przyjaciel [Ładyżenski] stale mnie popierał i mogę powiedzieć szczerze, że jemu jedynie zawdzięczam nowe stanowisko.

Po świętach 1857 roku przyszła wiadomość, że zmienia się komendant Fortu Perowskiego, to jest, że musiał on podać się do dymisji, a był to mój dawny znajomy pułkownik Bering. Pojawiła się więc ciepła posadka, dlatego wszyscy rzucili się na nią jak sępy. Najlepsze jednak warunki do jej przyznania miałem ja, ale koledzy nie spali i zauważyłem, że ten kasek przechodzi mi obok.

Zapomniałem dodać, że w minionym 1857 roku, kiedy jeździłem po stepach, w Orenburgu ustanowiono nowego generał[a]-gubernatora, dowódcę korpusu generała-lejtnanta Aleksandra Andriejewicza Katienina¹⁸⁹, a Perowski¹⁹⁰ z powodu rozstroju zdrowia został uwolniony i zmarł na Krymie.

Katienin, jak mi się wydaje, był dobrym gospodarzem i – jak pamiętam – niegłupia to była głowa, lecz na nieszczęście przeważało w nim krasomówstwo i dlatego cała działalność jego na tym też się kończyła. Mówił pięknie, a robił mało. Na moje szczęście Katienin na spotkaniu z Ładwiżeńskim w trakcie rozmowy o sprawach w stepie powiedział, że jest potrzebny kandydat na komendanta Fortu Perowskiego, tym bardziej iż nowy dowódca linii Syr-Daria jest niezadowolony z porządków zastanych po tamtym komendancie. Poczciwy Ładwiżenski wspomniał o mnie, podkreślając, że jestem osobą

¹⁸⁸ Michał Ceyzik, aptekarz, był powszechnie szanowanym mieszkańcem Orenburga, przewodniczył radzie parafii katolickiej. Nie wiadomo, czy przybył tu dobrowolnie, czy też może pozostał po odbyciu kary; H. H. Модестов, *Бывший префект Гродненской гимназиию*, s. 63–64. Zob. też: W. A. Djakow, *Polscy przyjaciele*, s. 87. Nie wiadomo też, czy zachodziło jakieś pokrewieństwo między Michałem Ceyzikiem a braćmi Ignacym i Feliksem Ceyzikami. Por.: W. Śliwowska, *Zesłańcy polscy*, s. 92–93.

¹⁸⁹ Aleksandr Andriejewicz Katienin (1800–1860), uczestnik wojny polsko-rosyjskiej w 1830–1831 r., generał-lejtnant od 1853 r., dowódca oddzielnego Korpusu Orenburskiego oraz orenburski i samarski generał-gubernator; C. B. Волков, *Генералитет*, t. 1, s. 628.

¹⁹⁰ Zob. przypis 139.

w pełni odpowiednią na to stanowisko. Na drugi dzień wysłał do Katienina notatkę uzupełniającą, której kopię przesłał mi na dowód tego, iż dobrze życzy [zarówno] mnie, jak i całej sprawie, bo nie zapomniał o moim udziale w inspekcji. Od tej chwili moje notowania poszły w górę. Wezwany zostałem najpierw przed oblicze władzy, następnie poszło zapytanie do generał[a]-majora Danzasa¹⁹¹ o mój awans i otrzymano odpowiedź zadowalającą. Wystawiono już dokumenty i rozkaz o przydziale. Cieszyliśmy się z mamą, bo i miejsce nam było znane, i mieliśmy tam wielu przyjaciół; zaczęliśmy myśleć o drodze. Mama potrzebowała pieniędzy na odpowiednie ubiory i stroje, jednym zdaniem, wszystko szło po mojej myśli. Kiedyś zaszedłem do sztabu i spotkałem Rejterna, a ten, jak mnie zobaczył, zapytał: „Czy wie pan pułkowniku, że przyjdzie panu jechać nie do Fortu Perowskiego, ale do Fortu Nr 1?”. Słowa te zaskoczyły mnie, tym bardziej że nie spodziewałem się czegoś podobnego. Niewiele myśląc, odpowiedziałem: „Myślę, że nie poślą mnie tam bez mojego życzenia, ale nie bardzo mam ochotę tam jechać”. Pocziwy Niemiec, zdaje się, obraził się i powiedział zimno: „To zależy od pana, a poza tym nie wypada nie przyjąć, bo wystawiono już w związku z tym dokumenty”, i wsunął mi do ręki plik papierów, dodając: „Na służbie wszyscy są mocni w słowach, ale jak przyjdzie wykonywać zadania, to powinno się wykonywać, co rozkażą”. Wziąłem przekazane mi papiery; zły i zatrwożony poszedłem do domu.

Ta zmiana bardzo mamę zasmuciła, podczas powrotu ze stepów widziała ten żałosny fort; poza tym zmarł tam nasz syn Rafał. Na myśl o tym, że przyjdzie żyć w takim ohydny miejscu, o mało się nie rozplakała, i ja także. Przez cały miesiąc w zeszłym roku w trakcie inspekcji poznałem tamtejsze porządki. Budowa fortu była zbyt pośpieszna, ponieważ kierowała nią osoba tępa i o złych zamiarach. Nieporządek i różne intrygi były wszechobecne. Od wyznaczonego przydziału nie było jednak odwrotu i w takim to miejscu przyszło mi żyć i służyć.

Po pierwsze, wymyśliliśmy, [aby] odwołać się od tej decyzji. Mama zwróciła pieniądze i niczego nie chciała kupować, a kiedy odpowiedź na pismo nie nadchodziła, utwierdziliśmy się w tym, że nie ma innego wyjścia jak wyjazd do tej wstrętnej głuszy. Dowódca linii generał-major Danzas co prawda zgadzał się na wyznaczenie mnie do Fortu Perowskiego, ale zaraz po tym wyszła sprawa Fortu Nr 1 i wniknąwszy w panujące tam nieporządki, chciał je zakończyć, dlatego nastawał na zwolnienie dowódcy podpułkownika Michajłowa, a na jego miejsce wyznaczył mnie, dodając, że jak już byłem w Forcie Perowskiego, to najpierw należy przydzielić mnie tu, a później do Fortu Nr 1.

¹⁹¹ Aleksandr Łoginowicz Danzas (1810–1880), generał-major od 1855 r., generał-lejtnant od 1861 r. Uczestnik wojny z Polską w 1830–1831 r., dowódca linii Syr-Daria od 1857 r. Autor wspomnień; C. B. Волков, *Генералитет*, t. 1, s. 428.

Poza tym nie miałem osobiście żadnej protekcji, mogłem nie otrzymać żadnej propozycji i na zawsze zostać młodszym sztabsoficere. Smutni i zrozpaczeni, zbieraliśmy się do podróży. Mama nie zakupiła niczego dla siebie i często płakała, a ja z nienawiścią patrzyłem na nowy przydział, no ale jak sprawy nie udało się załatwić, to trzeba było działać i wkrótce wszyscy się przygotowaliśmy. Poza nami i bliźniaczkami było jeszcze sześć osób: dwóch woźniców, Ignacy z Praskowią, mamka i niania. Zakupić trzeba było dużo różności, żeby móc żyć w takiej głuszy. Dzięki Bogu, pieniądze jeszcze były, a i stawkę dzienną podniesiono mi podwójnie. Podwojono także stawkę samego przejazdu, dlatego udało się nam nieźle; mogę powiedzieć, komfortowo. Przed wyjazdem pomodliliśmy się w naszym przepięknym orenburskim kościele, gdzie i o was, moje drogie córeczki, zanosiliśmy modlitwę u zacnego i dobrego księdza Zielonki. 27 maja 1858 roku wyjechaliśmy na swoich koniach do fortu orskiego.

Samopoczucie było przygnębiające. Do Orska jechaliśmy długo i sama droga była zabójcza; ciągle deszcze i zimno umęczyły nas bardzo. Dla was, Maszeńko i Lenko, był specjalny furgon i jechałyście z karmiącą mamką i nianią. Miałycie nie tylko pościel, lecz i kołyski dla was przygotowane, tak żeby w stepie móc je podwiesić, i podróżowałyście tak, jakbyście były w waszym pokoju. W Orsku u Chołmskich gościliśmy cały tydzień, a 10 czerwca wjechaliśmy w step razem z konwojem; wszyscy marszem, z noclegami na odkrytym polu w namiotach z wołoku.

Myśleliśmy, że droga z maleństwami będzie niespokojna i trudna, ale było przeciwnie. Wy, moje drogie, poczułyście się lepiej na powietrzu i wszyscy nie tylko byliśmy zdrowi, lecz nadzwyczaj zadowoleni. Miałycie osiem miesięcy i wszystko was interesowało, a w trakcie noclegów z zadowoleniem pełzałyście po trawie i jak krety ryłyście w piasku. W obozie była też nasza słynna krowa i stale warzyli wam kaszkę, którą z apetytem zajadałyście, a poza tym było całe stadko kur z kogutem, mieliśmy więc i świeże jajka. Ogólnie nasza podróż była taka jak w czasach, kiedy patriarchowie chodzili po stepach Palestyny. Pod koniec podróży już okrzepłyście i wyglądałyście jak Cyganki, bo byłyście opalone na ciemno od słońca.

W tymże 1858 roku zgodnie z Rozkazem Najwyższym z Orenburga wysłano misję do Chiwy i Buchary pod dowództwem pułkownika Ignatiewa¹⁹².

¹⁹² Hrabia Nikołaj Pawłowicz Ignatiew (1832–1908) ukończył Akademię Sztabu Generalnego. W 1856 r. został wysłany w misji wojskowej do Londynu. Uczestniczył w konferencji paryskiej w 1856 r., kończącej wojnę krymską. W 1858 r. stanął na czele misji wojskowo-dyplomatycznej do Chiwy i Buchary, i doprowadził do zawarcia porozumień handlowych z obu chanatami. Z tą chwilą zaczęła się jego wielka kariera. Był m.in. ambasadorem w Turcji, następnie pełnił funkcję gubernatora oraz ministra spraw wewnętrznych.

W tej misji uczestniczyło wielu specjalistów z różnych dziedzin nauki; ruszyła ona w końcu maja razem z Katieninem. Wiodła prosto przez step do Morza Aralskiego w celu zapoznania się z trasą karawan do Chiwy pomiędzy Morzem Aralskim a Kaspijskim. Gubernator Katienin, dochodząc do Morza Aralskiego, miał na Syr-Darii przedostać się do Fortu Nr 1 i od niego rozpocząć inspekcję fortów stepowych. Dojeżdżając do fortu, zorientowałem się, że generał ze swoją wielką świtą już tam jest. Katienin był wielkim hrabią, żył ponad stan, otaczał się mnóstwem oficjeli i wszyscy oni żyli na jego rachunek.

Pokazane nam mieszkanie wyglądało na obórkę dla bydła, w sam raz dla człowieka. Mama rozplakała się i wróciła do ekwipażu, a mamka i niania, też rozczarowane, pochorowały się. Dobrze, że my, woźnice, Ignacy i Praskowia byliśmy z prawdziwego zdarzenia ludźmi i zabraliśmy [się] do przygotowania wszystkiego. Położyliśmy dywany, przed wieczorem dostaliśmy jakieś meble, żeby jakoś móc żyć. Tego dnia stawilem się u generała-gubernatora i otrzymałem rozkaz niezwłocznego objęcia stanowiska, bo panujące tu porządki doprowadzały go do bezsilności.

Dostało mi się, biednemu grubasowi, w ciągu tygodnia pobytu Katienina prawie się roztopilem, bo upały były niemożliwe, a pracy tyle, że nie do przerobienia. Kiedy moje sadelko spadło, nie wiem, ale położyłem za to ciężką rękę na wszystkie niegodziwości, wszystkie paskudztwa, w czym dużo pomagał mi Katienin, od razu [zarówno] rozliczając bezsensowne prace, jak i potwierdzając moją samodzielność.

Sam Bóg sprawił wszystko tak, że generał-gubernator i dowodzący linią uczestniczyli przy przejmowaniu przeze mnie fortu, by wszystkimi możliwymi środkami poprowadzić sprawę ku lepszemu. Przyjechałeś sam, to i sam tak działaj, jak na złamanie karku. Pismami ciężko wyrwać zło z korzeniami.

Po powrocie z Fortu Perowskiego Katienin przebywał u mnie jeszcze cztery dni i w tym właśnie czasie miałem przedstawić wykonane prace. Wtedy też otrzymałem zadowalające decyzje. Po zakończeniu sprawy zająłem się z dużą energią zaprowadzeniem porządku w forcie. Przede wszystkim trzeba było uspokoić Kirgizów, którzy obserwując samowolne zarządzanie, patrzyli na nas z niedowierzaniem i odchodzili z fortu. Nawet karawany bucharskie, wiedząc o ogromnych kradzieżach, przeniosły swoją trasę o pięćdziesiąt wiorst od fortu. Wszystko to zmusiło mnie do przyjęcia surowych zasad wojskowych, na których opierała się linia Syr-Daria. Stan zabudowań fortu potrzebował fachowców do wykonania prac. Znajdujący się w forcie inżynier nie podzielał mojego zdania, dlatego odprowadziłem go do Orenburga i otrzymałem innego, młodego inżyniera, i sprawy poszły pomyślnie. Dowódca 5. batalionu liniowego zżył się z wcześniejszymi porządkami panującymi w forcie. Jak rozumiałem, chciał przeciwdziałać, ale obecność komendanta korpusu i tu mi

pomogła. Dowódcą batalionu był major Sosinowicz¹⁹³, znany mi człowiek, ziomek, nie tylko zdolny, ale przygotowany i chętny do wykonania zadania.

Pracy było dużo i dzięki Bogu do jesieni wszystko wykonaliśmy, zaprowadzając nie tylko ciszę i spokój, ale również porządkując wygląd zewnętrzny fortu. Nasze składy i inne pomieszczenia nabrały właściwego wyglądu. Wyczerpała mnie trwająca do 10 października przebudowa dużego domu, spełniającego już w pełni warunki kwatery komendanta, którą urządziłem przyjemnie i wygodnie, tak że mamka i niania poweselały. W tym czasie mama czuła się źle i z trudem chodziła, co oznaczało, że pojawi się na świecie Waniusza. Położenie mamy zmusiło mnie do pośpiechu w wyposażeniu mieszkania i kiedy wszystko się powiodło, niezwłocznie przeprowadziliśmy się do nowego domu i wszyscy się uspokoili.

23 października 1858 roku zjawiłeś się na świecie ty, mój drogi Waniusza; akuszerki akurat nie było w forcie, ale była żołnierka¹⁹⁴, która zajmowała się takimi sprawami. Sam poród przebiegał bez przeszkód, lecz oczyszczenie poporodowe niestety nie, pojawił się krwotok. Mama popadła w niemoc, poprosiłem lekarza, młodego jeszcze człowieka, nic się jednak nie poprawiało. Pozostawałem z nadzieją, że wszystko skończy się dobrze, ale czas mijał, a mama czuła się coraz gorzej, w końcu omdlała. Wystraszony pobiegłem do doktora Suworowa i zbudziwszy go, prosiłem o ratunek dla żony. Ten dobry człowiek przybył do nas natychmiast i obejrzawszy chorą, ocucił ją i zaraz przystąpił do operacji, którą zakończył z sukcesem. Cierpienia mamy były wielkie, a od upływu krwi jeszcze wiele razy traciła przytomność. Biedna mama, drogo zapłaciła za urodzenie ciebie, mój przyjacielu Waniuszo. Ponad dziesięć dni była w beznadziejnym stanie, a były i chwile, że nie tylko ja, ale i doktor myśleliśmy, że przyszła ostatnia godzina jej życia. Mama miała słaby puls i oddech; myślałem, że umiera, przyprowadziłem was wszystkich do łóżka i jej ręką błogosławiłem. Ty, Masza i Lena, byłyście już na nogach, Waniuszę przyniosła mamka i tak jak i ja, wy moje córeczki, razem płakaliśmy, a później odmawialiśmy u nóg mamy różne modlitwy. Nie tylko ja, ale

¹⁹³ Chodzi o kapitana Adolfa Sosinowicza (ur. 1820). Był synem Józefa, skazanego w 1834 r. do Zakładów Nerczyńskich, zmarłego w 1839 r. Adolf zdobywał szlify wojskowe w walkach na Kaukazie. Stąd został przeniesiony na linię orenburską. W 1856 r. uzyskał stopień kapitana. W *posłużnym spisku* przechowywanym w RGWIA (f. 1433, op. 3, d. 2, k. 101–108) odnotowano same pochwały odnoszące się do jego zdolności wojskowych. Przeszłość ojca nie przeszkodziła mu w uzyskiwaniu kolejnych awansów. Podkreślamy to dlatego, bo nie ukończył on żadnej szkoły wojskowej. Odebrał wychowanie domowe, ale w szerokim zakresie. Być może skazanie ojca nie pozwoliło synowi podjąć dalszej nauki i zdecydował się na robienie kariery wojskowej najpierw na Kaukazie, a później na linii orenburskiej. Za odszukanie danych dziękujemy prof. dr. hab. Stanisławowi Wiechowi.

¹⁹⁴ Czyli żona żołnierza.

i mama nie zapomnimy nigdy tego trudnego dla nas okresu. Chociaż mama nie dawała znaku życia i była nieprzytomna, to wszystko wiedziała, wszystko rozumiała, ale nie umiała tego nam przekazać. Ogólnie twoje urodzenie, drogi Waniuszo, prawie kosztowało życie mamy; chorowała jeszcze ponad siedem tygodni i potem jej stan poprawił się, by wreszcie całkowicie wyzdrowieć.

Pułkownik Ignatiew, naczelnik misji (teraz generał-lejtnant, poseł przy Porcie Ottomańskiej w Konstantynopolu), który udał się do Chiwy i Buchary, dotarł do Chiwy, ale tam dopadli go barbarzyńscy Chiwańcy i ich władze, które złowrogo odnosiły się do naszej misji. Te wiadomości otrzymałem dosyć szybko od posłanego od Ignatiewa Kirgiza, który dostarczył mi zaszyfrowaną depeszę do generał[a]-gubernatora z prośbą o doręczenie jej niezwłocznie do Orenburga. Przybyły jako posłannik Kirgiz przekazał, że zarówno konwój, jak i cała świta boją się nocnego napadu i śmierci. Wszyscy Rosjanie nie śpią w nocy i czuwają z karabinami, jednym zdaniem, ich sytuacja jest bardzo trudna. Chiwański chan kluczy i nie chce żadnego porozumienia. Chociaż nie wierzyłem Kirgizowi, to wiedziałem, że misja ta nie odniesie sukcesu w Chiwie.

Szybko po wysłaniu depeszy do Orenburga otrzymałem osobisty rozkaz komendanta, aby przygotować pięciusetosobowy oddział uzbrojony w dwa działa i czekać w gotowości na wieści od Ignatiewa. Oczekując jego rozkazu, wysłałem zaszyfrowaną depeszę do Ignatiewa. Wypełniwszy oba rozkazy, nie bez zdenerwowania oczekiwałem na skutki, które przy naszej słabej władzy w stepie mogły spowodować potyczki i niepokoje.

W Forcie Nr 1 znajdowały się garnizony: 1. batalion piechoty liniowej nr 5, dwie setki kozaków uralców, ćwierć kompanii artylerii fortowej, dwadzieścia jeden dział, no i pluton z czterema działami artylerii kozackiej. Było jeszcze trzysta czterdzieści rodzin kozaków orenburskich w osadzie.

Do końca lipca tegoż 1858 roku nie miałem żadnych wieści o Ignatiewie. W końcu doszedłem do wniosku, że udało mu się dotrzeć do Buchary na wynajętych przez niego w Chiwie bucharskich wielbłądach i że pobyt jego w Bucharze był udany.

Przy Ignatiewie, poza liczną dwudziestoczeroosobową świtą, był konwój w liczbie stu ludzi, pośród których jedną piątą stanowili kozacy uralscy i dwudziestu pięciu strzelców konnych. Sam dobór konwoju zarówno kozaków uralskich, jak i żołnierzy strzelców był bardzo dobry. Byli rośli, silni, zdrowi, dobrze odziani i dobrze uzbrojeni w gwintowane karabiny i rewolwery, co w tym czasie należało do rzadkości.

Na początku października 1858 roku otrzymałem od Ignatiewa polecenie przysłania mu na spotkanie przed naszą granicą przygotowanego oddziału, w celu zabezpieczenia wszystkich uczestników misji, konwoju oraz poselstwa bucharskiego jadącego do Petersburga z różnymi podarkami, wśród których znajdował się słoń. W tym okresie nie było żadnych granic naszej władzy

i byłem w dużym kłopotcie, gdzie właściwie wysłać oddział. Sam Ignatiew też tego nie wiedział, dlatego że do słowa „granica” wstawił odsyłacz i poniżej nazwał ją wymyślnie: „studnie Bakała”, które były oddalone od fortu o dwieście pięćdziesiąt wiorst. Ten zwrot ostatecznie określił naszą granicę na ogromnym obszarze, a nie jak dotychczas uważaliśmy ją na Syr-Darii, biegnącej zaraz przy naszym forcie. Nową granicę przedstawiono wysłannikowi bucharskiemu, który podróżował z Ignatiewem i na naszej nowej granicy misję witaly rosyjskie wojska, a Ignatiew prezentował je posłowi bucharskiemu.

23 listopada tegoż roku nasza misja i bucharskie poselstwo przybyły do fortu; pamiętam, było to w niedzielę, dzień był mroźny, ale pogodny i cichy. Syr-Daria pokryta była lodem i spotkanie w forcie przy udziale garnizonu było udane. Wyruszyłem na spotkanie z gośćmi za Syr-Darię; z daleka widziałem zbliżającą się masę podróżników, widok był przepiękny. Na czele jechał Ignatiew na dobrym bucharskim argamaku podarowanym mu przez emira. Ignatiew był w mundurze, a wszyscy pozostali w nieznanych mi ubiorach. Świta była w różnego rodzaju ciepłych płaszczach o zagranicznych fasonach, prawie wszyscy mieli modne wtedy kapimony z mysimi kitkami na czubku głowy. Konwój był w żółtych pikowanych kozuchach, przewiązanych jedwabnymi paskami, czapki w całym konwoju były podobne do woreczka na głowie. Za naszą misją podążał bucharski posłaniec, także na przepięknym argamaku, i wraz z nim liczna świta. Wszyscy w drogich jedwabnych ubiorach i szyszakach na głowie. Na końcu szedł ogromny słoń, cały nakryty przepiękną pstrokatą narzutą w rodzaju dywanu, a na nim stała altanka na czterech kolumnach, z baldachimem, cała złocona. W altance tej siedział jeździec, młody, przystojny i kolorowo ubrany afganiec, z żelaznym młotkiem w ręku, służącym do powożenia, którym w razie potrzeby uderzał słońca w głowę. Wszystkie konie szły w kawalkadzie, nie wykluczając osiodłanego konwoju.

Spotkanie przybyłych Rosjan ze mną było nadzwyczaj radosne i wzruszające. U wielu z nich widać było w oczach radość i szczęście z powrotu do ojczyzny; wielu z nich obejmowało mnie jak najlepszego przyjaciela czy krewnego. Zaraz po tym poprowadziłem ich do fortu; wskazując drogę, jechałem z Ignatiewem. Nie zdążyliśmy jeszcze wjechać w bramę fortu jak zabrzmiało bicie dzwonów na nabożeństwo. Wszyscy zatrzymali się, zdjęli czapki, przeżegnali i dopiero teraz zorientowali się, że jest niedziela, dlatego bez czapek pojechali do cerkwi na placu, zostawili konie i tam po wspólnej modlitwie uczestniczyli we mszy.

Z zadowoleniem oglądałem dziwne to nabożeństwo. Cała cerkiew nabitą była narodem w przeróżnych nieznanych mi ubiorach. Wszystkie twarze były mocno opalone i zmęczone przedłużającą się podróżą, lecz po wielu tych dziarskich twarzach ciekły łzy i wyczuwało się wewnętrzne wzruszenie. Byłem przekonany o tym, że wszyscy modlili się szczerze i gorąco błogosławili

Boga za udany powrót. Po mszy wszyscy z garnizonu przyjęli do siebie świętą dowódcę misji, a Ignatiew został u mnie w domu.

W tym czasie Ignatiew był jeszcze młodym człowiekiem – miał dwadzieścia dziewięć lat, okazaną przeze mnie gościnę przyjął z przyjemnością i cały czas opowiadał mi szczegółowo wszystkie swoje przeżycia w tej nieznannej jeszcze Azji Środkowej.

Cała misja przebywała w naszej gościnie ponad tydzień, organizowane były obiady; pierwszy był od święty Ignatiewa, a drugi tego ostatniego dla święty. Pomieszczeń na obiady poza moim domem nie było, więc przychodzili do mnie, korzystali z mojej zastawy, a że w sprzedaży u nas było jedynie mięso i niczego poza tym, to wszystko to zapisywało się na mój rachunek, bo nie mogłem przecież brać od nich pieniędzy. Nie był on jednak ogromny, ale w sumie, przy chorobie waszej mamy, doprowadziło mnie to po wyjeździe gości do lekkiej choroby; nie wychodziłem z domu ponad dwa tygodnie.

Przedłużające się duże mrozy nie pozwalały słoniowi podróżować do Orenburga; powożący słoniem powiedzieli, że słoń temu nie podoła i dlatego na rozkaz Ignatiewa musiał u mnie przezimować. Wszyscy uczestnicy misji już ruszyli w drogę do Orenburga. Ignatiew pojechał ostatni i chociaż przewidziano dla niego specjalne środki podróży, to i on odczuł wszystkie niedogodności podróżowania zimą przez stepy. Gdy wreszcie wyzdrowiałem i odpocząłem, zająłem się należącymi do mnie sprawami fortu. Wszystko szło sprawnie, więc i w duszy zapanował spokój.

Rozpoczęto w Warszawie w 1874 roku

Kiedy zdrowie waszej mamy i Wani poprawiło się, to życie nasze w Kazale stało się spokojne i bezpieczne, choć mama nieczęsto otrzymywała listy od rodziny. Dziadek Franciszek i ciocie – Julia i Fosia – żyły bardzo dobrze.

Wiosną 1860 roku dowódca flotylli aralskiej kapitan 1. rangi Aleksy Iwanowicz Butakow¹⁹⁵ otrzymał rozkaz stawienia się do powierzonej mu flotylli przez Morze Aralskie, do rzeki Amu-Daria i miasta Kungrad¹⁹⁶, które oderwało się od Chiwy. W Kungradzie główną rolę odgrywali Turkmeni. Pojecha-

¹⁹⁵ Aleksiej Iwanowicz Butakow (1812–1869), kontradmirał, geolog wybrzeży Jeziora Aralskiego. W jego wyprawach brali udział zesłańcy polscy pracujący w zakładach górniczo-hutniczych na terenie Królestwa Polskiego i skazani na karną służbę wojskową za działalność spiskową.

¹⁹⁶ Kungrad – obecnie miasto w Uzbekistanie.

li oni do Orenburga do generała[a]-gubernatora, by przyjął ich pod rosyjską ochronę, jak za czasów rządów imperatorowej Katarzyny, gdyż czują się poddanymi Rosji.

Wyprawa flotylli była trudna, odbywała się rzekami, a do przeprawy przez wzburzone Morze Aralskie potrzeba było przystosowania parostatków. Zaczęły się pośpieszne działania, tak żeby rejs po rzece był możliwy. W końcu maja dwa parostatki z dwiema barkami i desantem rozpoczęły z trudnościami nowy dla nich rejs. Ekspedycja ta zakończyła się niczym. Turkmeni według starych przyzwyczajęń oszukiwali, ale dowódca flotylli odkrył wejście z morza w Amu-Darię i postanowił kierować się po tej rzece powyżej Kungradu.

25 lipca 1861 roku urodziła się nam córka Anna, lecz żyła tylko do 4 sierpnia. Ten poród wasza mama bardzo przeżyła, bo trzeba było wykonać operację, a wykonał ją z sukcesem lekarz Koszkadamow. Był to bardzo młody, dopiero co po ukończeniu szkoły doktor, i jemu właśnie mama dużo zawdzięcza. Doktora Suworowa już nie było w Kazale; w 1860 roku wyjechał do Petersburga zdawać egzamin na doktora medycyny, który przeszedł w 1863 roku pomyślnie, i wrócił już żonaty i zajął miejsce starszego doktora linii Syr-Daria. W chwili obecnej, to jest w 1874 roku, zajmuje stanowisko w Turkmeńskim Okręgu Wojennym jako urzędnik w randze rzeczywistego radcy stanu.

Dowódca linii Syr-Daria, generał-major Danzas, wyjechał w 1860 roku do Petersburga, a na jego miejsce wyznaczono generała[a]-lejtanta Debu¹⁹⁷. Przejeżdżając przez Kazal, przez długi czas mieszkał on u mnie w domu i miałem okazję dobrze się z nim zaznajomić. Ten wielki hrabia był zarazem człowiekiem praktycznym i niegłupim. Mieliśmy dobre relacje i dlatego też służba pod jego dowództwem była spokojna. Generał Debu zmarł nagle w 1863 roku i na jego miejsce wyznaczono pułkownika Nikołaja Aleksandrowicza Wierewkina¹⁹⁸, który w chwili obecnej jest generałem-lejtnantem i atamanem uralskiego wojska kozackiego.

W 1863 roku pułkownik Nikołaj Grigoriewicz Czerniajew¹⁹⁹, pełniąc funkcję dowódcy sztabu Korpusu Orenburskiego, prowadził rozpoznanie od Fortu Perowskiego do kokańskiego Fortu Suzak. W 1864 roku tenże Czernia-

¹⁹⁷ Aleksandr Osipowicz Debu (1802–1862), generał-lejtnant od 1859 r., uczestnik kampanii w Azji Środkowej, od 1859 r. dowódca linii Syr-Daria; C. B. Волков, *Генералитет*, t. 1, s. 434.

¹⁹⁸ Nikołaj Aleksandrowicz Wierewkin (1820–1878), generał-major od 1864 r., generał-lejtnant od 1871 r., od 1865 r. ataman uralskiego kozackiego wojska, w 1873 r. dowodził orenburskim oddziałem w pochodzie na Chiwę; C. B. Волков, *Генералитет*, t. 1, s. 252.

¹⁹⁹ Michał Grigoriewicz (nie mylić z jego bratem Nikołajem Grigoriewiczem) Czerniajew (ur. 1828), generał-major od 1864 r., od 1862 r. naczelnik sztabu Korpusu Orenburskiego; C. B. Волков, *Генералитет*, t. 2, s. 710–711.

jew wraz z Sybirakami zdobył od strony Syberii kokański Fort Auleta; w tym samym czasie Wierewkin z Fortu Perowskiego zdobył kokański Fort Turkistan. Za te czyny zarówno Czerniajew, jak i Wierewkin awansowali do stopni generalskich, ale przy tym zostali swoimi strasznymi wrogami.

W styczniu 1864 roku napisano na mnie donos polityczny do generał[a]-gubernatora Bezaka²⁰⁰. Napisał go dowodzący Kirgizami urzędnik miejski Nikołaj Karłow, lecz głównym prowodyrem był nadzorujący magazynem prowiantowym w Forcie Nr 1 – Gabin. Ten przechrzczony Żyd, straszny oszust, nie lubił mnie, dlatego że nie pozwoliłem mu okradać Skarbu Państwa. W celu przeprowadzenia śledztwa, rzecz jasna tajnego, przyjechał do Kazały urzędnik do specjalnych poruczeń gubernatora Bezaka, pułkownik Kuźmin Korowajew. Długo nie miałem pojęcia o tym donosie. Zaraz po przyjeździe Korowajew był u mnie jako u komendanta, później ja bywałem u niego, ale o donosie niczego nie wiedziałem, a w tym czasie Korowajew w tajemnicy prowadził dochodzenie. W końcu zostałem poproszony do niego oficjalnie i sprawa się wyjaśniła. Rozpoczęły się pytania, sprawdzanie i nieprzyjemności. Sam donos sporządzony był nadzwyczaj mądrze, obmyślono go w szczegółach. Aby nadać mu wiarygodności, opisano w nim niektóre fakty, które mogły wprowadzić w błąd śledczego. W donosie obwiniano mnie o: a) wypuszczenie do Buchary przestępcy politycznego jadącego z Troicka, zaopatrzenie go w konie i wszystko co potrzebne; b) przekazywanie na zbiórce osiedlonych kozaków negatywnych spostrzeżeń na temat Jego Wysokości; c) zaniedbania powstałe w trakcie sprawowania dowództwa w forcie.

Kiedy zapoznałem się z treścią donosu, wpadłem w przerażenie – jestem katolikiem i Polakiem, a w tym czasie panowała straszna nagonka na Polaków. Katkow w głównej rubryce „Moskowskich Wiedomości” dążył do zniszczenia szkodliwego i zdrazieckiego polskiego plemienia²⁰¹.

Śledczego Kuźmina Korowajewa nie znałem wcześniej osobiście, ale wieść głosiła, że wszystkie przeprowadzone przez niego śledztwa kończyły się jednoznacznym oskarżeniem i oddaniem pod sąd. Wszystkie jego sprawy kończyły się surowymi wyrokami. Wygląd Korowajewa był srogi, miał twarz ze śladami kontuzji i ze śladami prochu, nic więc dziwnego, że w zupełności

²⁰⁰ Aleksandr Pawłowicz Bezak (1800–1869). Brał udział w likwidacji powstania listopadowego, za co otrzymał donację kozienicką. W 1858 r. został generałem artylerii, a w 1860 r. orenburskim generałem-gubernatorem. Przyczynił się do usprawnienia zarządu administracyjnego i rozwoju ekonomicznego guberni orenburskiej. Kluczowe stanowiska w administracji obsadzał swoimi bliskimi, tam też zatrudnił swego zięcia Trubeckiego (zob. przypis 146). Był w konflikcie z wieloma wysokimi oficerami.

²⁰¹ Michaił Katkow (1818–1887), rosyjski działacz polityczny, publicysta, wydawca. Po powstaniu styczniowym atakował bezpardonowo Polaków; zwłaszcza polską szlachtę i duchowieństwo uznał za głównych przeciwników państwa rosyjskiego.

wierzyłem w to co usłyszałem, zarówno co do jego bezwzględności, jak i pragnienia śmierci oskarżonych.

Dowiedziawszy się o treści donosu, pamiętając o słowach Katkowa i surowości śledczego, stwierdziłem, że mój los jest przesądzony i nie ma dla mnie ratunku, tym bardziej iż donos obmyślono sprytnie, a wrogowie moi byli przebiegli. Bóg nie dał jednak skrzywdzić niewinnego, obronił mnie i niechaj będzie błogosławiony. Z wszystkiego tego wybrnąłem z trudem, postępowanie wobec mnie zakończyło się pozytywnie.

Śledztwo ciągnęło się miesiąc i przez cały ten czas stałe byłem przesłuchiwany, wzywany na różne rozmowy, oględziny; jednym zdaniem, rozgryzali mnie jak jakiegoś strasznego przestępcę. Dzięki Bogu, nie upadłem na duchu i umiałem zachować się z godnością. Główny udział w uratowaniu zawdzięczam pułkownikowi Kuźminowi Korowajewowi. Wtedy zrozumiałem, jak trzeba być ostrożnym w osądzie człowieka, jak niewiele można wierzyć ludzkiemu gadaniu i jak bardzo można się pomylić, kierując się wyglądem zewnętrznym człowieka. Głównymi cechami Korowajewa była sumienność i dążenie do poznania prawdy.

Gdybym chociaż trochę czuł się winnym zarzucanych mi przestępstw, to w tym strasznym dla Polaków czasie byłbym niechybnie oskarżony i ostatecznie przepadłbym gdzieś tam na Syberii, tocząc swoje nieszczęśliwe życie, a wy, moje drogie dziatki, zostałybyście tutaj z waszą dobrą mamą bez środków do życia. Do wykrycia prawdy nie wystarczyła opinia śledczego, do tego potrzeba było przenikliwego umysłu i analiza niskich pobudek natury ludzkiej. Mój śledczy wszystko to posiadał i dlatego doszedł do właściwego rezultatu śledztwa. Cała prawda wyszła na jaw i zostałem oczyszczony z każdego zarzutu zgodnie z prawem.

Po wyjeździe śledczego odetchnąłem swobodnie, ale sprawa ta całkowicie mnie wyczerpała i wyraźnie zacząłem tracić siły. Opuściła mnie moja wcześniejsza energia, sprawy wymykały mi się z rąk, a sam fort – moje dzieło, stał się moim przeciwnikiem. W takim nastroju napisałem oficjalne pismo do generała[a]-gubernatora Bezaka, opisując moje położenie, i zwróciłem się z prośbą o przydział na linię orenburską. W tej chwili uważałem to za stosowne, gdyż władza moja i prawna sytuacja zostały przez donos podważone. Szybko otrzymałem odpowiedź od Bezaka, który osobiście napisał, że rozumie moje położenie, ale prosi o pozostanie na stanowisku komendanta, będąc pewnym tego, iż będę władzę sprawował tak jak wcześniej i zgodnie z prawem. Jednym zdaniem, napisał, że jestem niezbędny dla Fortu Nr 1. Poza tym powiadomił mnie, że postanowił mianować mnie pułkownikiem. Odpowiedź ta musiała mnie uspokoić i ułagodzić. Natychmiast zacząłem zajmować się sprawami służbowymi i niezauważalnie upłynęły wiosna, lato i jesień. Jednak czułem coś osobliwego, nie wiedząc czemu wpadałem w jakąś tęsknotę, nic mnie

nie cieszyło, drobiazgi denerwowały, jednym zdaniem, z wcześniej wesołego człowieka stałem się ponurym odludkiem.

17 grudnia rankiem po wypiciu herbaty siedziałem w gabinecie i zastanawiałem się razem ze sprzedawcą nad zakupem wielbłądów dla naszych potrzeb, głowę miałem opartą na ręce, byłem zupełnie spokojny i w pełni zmysłów, ale po odjęciu ręki spod głowy poczułem, że ta opadła, nie trzymając się na szyi. Zaraz wyskoczyłem do sali i ujrawszy waszą mamę, krzyknąłem: „Niedobrze ze mną, czuję, że nie mogę utrzymać się na nogach”. Chciałem wybiec na dwór, ale w przedpokoju upadłem i uderzyłem się mocno w wargę o stojącą tam szafę. Niedługo znajdowałem się w takim stanie. Wasza mama oblała moją głowę i pierś chłodną wodą i zaraz po tym przybyli doktorzy, którzy obejrzawszy mnie, przenieśli na łóżko, gdzie zaraz zaczął się silny ból w jednej żyłę. Niedługo potem ułożyli mnie w pościeli, obłożyli plastrami z gorczycy i przed obiadem już wstałem, czując się zupełnie dobrze.

Tak minęły święta Bożego Narodzenia. Brałem udział w przygotowaniach, ale nie czułem się za dobrze. Przed świętami prosiłem o upuszczenie krwi i poczułem się lepiej, ale szybko pojawiły się zawroty głowy i utraty przytomności, zmuszające mnie do leżenia w łóżku. Im dalej, tym było gorzej. Rozchorowałem się i odstawiłem wszystkie zajęcia, nawet przy wielkich chęciach robić niczego nie byłem w stanie. Nie mogłem czytać, wszystkie litery się zlewały i chociaż głowa była sprawna i myślenie prawidłowe, nie mogłem dobierać słów. Mój stan był przerażający, samopoczucie straszne, towarzyszyły mi stale nawracające zawroty głowy, które wymagały polewania wodą i zimnych okładów. W takim stanie znajdowałem się do marca 1865 roku; od tego czasu zaczęło mi się poprawiać, ale bardzo powoli. Wszyscy lekarze w forcie twierdzili, że mam za duży przypływ krwi do głowy, że miałem atak apopleksji i że mój stan jest beznadziejny. Jak to określił w Orenburgu doktor Rapelewski, miałem problemy z sercem, które dzięki jego pomocy stały się mniejsze. Czując się ogólnie źle, w nadziei na zrozumienie mnie przez generała Bezaka, znowu zwróciłem się do niego z prośbą o czteromiesięczny urlop z powodu choroby. Na moje nieszczęście Bezaka wezwali do Petersburga w celu odesłania go do Kijowa, a władzę sprawował generał Kriżanowski²⁰² i do niego właśnie dotarła moja prośba o urlop. Kriżanowski był znanym polakożercą, przy czym zajmowane

²⁰² Nikołaj Andriejewicz Kriżanowski (1818–1888). Naczelnik sztabu rosyjskiej I Armii Czynnej, następnie pełnił obowiązki warszawskiego generała-gubernatora w latach 1861–1862, realizator kursu silnej ręki. Z tego stanowiska został usunięty za nieprawidłowości. W 1865 r. awansował do stopnia generała artylerii i został gubernatorem orenburskim. Przyczynił się do podboju Chiwy. Po odsunięciu ze służby czynnej zaczął się uczyć języka polskiego z myślą o napisaniu historii powstania styczniowego.

przeze mnie miejsce potrzebne mu było dla swego szwagra, majora Junija, dlatego usunęli mnie z tego miejsca i nazaczyli jego.

W sierpniu 1865 roku Kriżanowski, kontrolując forty stepowe, był i u mnie w Forcie Nr 1. Bardzo szczegółowo analizował moją działalność służbową, wyraził duże zadowolenie i przekazał mi wiele pochwał. W końcu wyraził zgodę na moją prośbę oddelegowania mnie na służbę do Rosji w związku ze złym oddziaływaniem na mnie klimatu stepowego, tym bardziej że właśnie na ten moment dysponuje sztabsoficere majorem Junijem, który z zadowoleniem przejmie zadania tak dobrze prowadzonego przeze mnie fortu.

Niedługo po tym otrzymałem pismo w sprawie zdania fortu i wyjazdu do Orenburga, gdzie miałem oczekiwać na nowy przydział. W piśmie tym znalazły się również pochwały i dobre oceny, włącznie z tym, że sam Kriżanowski z żalem przychyła się do mojej prośby o przeniesienie mnie do Rosji. Poza tym Kriżanowski osobiście pokazał mi dokument napisany przez niego do ministra wojny, w którym podkreślając moje zasługi, prosi o wyznaczenie mi odpowiedniego przydziału wewnątrz Rosji. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie całą komedię, odgrywaną, jak widać, wyłącznie w celu obsadzenia na moje miejsce bliskiego mu członka rodziny.

Fort zdałem w bardzo krótkim czasie. Wraz z rodziną ruszyłem 12 września 1865 roku w daleką i niewygodną podróż z Kazały do Orenburga.

Cieężko, moje drogie dzieci, zostawiać przyjemny i spokojny kąt, gdzie mieszkalo się tak długo i gdzie urodził się mój syn Waniusza. Lecz dla mnie najtrudniejsze było pozostawienie Kazały, zbudowanej trudem moich rąk. Serce mi się krajało i jedyną pociechą było współczucie garnizonu i żyjącego tam kupiectwa. Wszystkie moje dzieci, Masza, Lena i Wania, były małeńkie, ale cała ta podróż przeszła pomyślnie. Czy pamiętacie, jak siedziałyście ze mną w furgonie, przywiązane do siebie sznureczkami, wyobrażając sobie, że powozicie, krzycząc i skacząc w furgonie, a przyjechawszy na postój, bardzo prosiłyście o datek dla woźnicy, i jak wam dawałem po dziesięć kopiejek, to skakałyście z zachwytu? Ja też wspominam ten przyjemny czas; teraz nic podobnego was tak nie raduje, a wtedy razem z mamą cieszyliśmy się, patrząc na waszą radość.

Po przyjeździe do Orska gościliśmy cały tydzień u Olgi Iwanowny Chołmskiej, a do Orenburga przyjechaliśmy w końcu października.

Obietnice Kriżanowskiego spełzły na niczym; stale mnie obserwował, przy każdej wizycie u niego zawsze niby pamiętał o swojej obietnicy, ale wszystko to nie cieszyło mnie. Kriżanowski bardzo często, udając przychyłność, mówił o zmianie wiary na prawosławną, przytaczając przykłady podobnych zachowań, które przyniosły korzyści i uznanie, zestawiając to z moim losem, niepowodzeniami, niedostatkiem i nieszczęściem całej rodziny. Odrzucałem takie rady od tak wysoko postawionej osoby, dlatego też w rezultacie wyższych

przepisów rozkazem z dnia 25 lutego 1866 roku pozbawiono mnie funkcji komendanta Fortu Nr 1, z przeniesieniem do piechoty aralskiej i przydziałem do wojsk rezerwowych.

Mocno mi się ścisnęło serce – oto rezultat mojej długiej i oddanej służby, ale cóż było robić? Do innych zajęć byłem nieprzygotowany. Zresztą niepodobna było znaleźć inną pracę, gdy chętnych było wielu, a stanowisk mało. Na szczęście pozostała mi jeszcze nagroda roczna, która poprawi moją sytuację. Na początku myślałem podać się do dymisji i żyć w Orenburgu, ale zauważyłem, że panuje tu straszna nagonka na Polaków, którą podgrzewał Kriżanowski, który mógł i mnie zrobić nieprzyjemności, dlatego postanowiłem pojechać do Rosji na wieś do waszego dziadka Franciszka Suskiego.

Na początku zgodnie z regulaminem powiadomiłem sztab korpusu o zmianie miejsca zamieszkania i równocześnie wysłałem pismo do ministra wojny o wciągnięcie do służby czynnej. 16 sierpnia 1866 roku wyprzedłem wszystkie rzeczy i ruszyliśmy w podróż w kierunku guberni smoleńskiej powiatu jelnieńskiego do wsi Michajłowskoje.

Nasza podróż była trudna zwłaszcza dla waszej biednej mamy, bo na rękach u niej jechał Kola, tuż przed drogą odebrany od mamki. Z Orenburga do Samary jechaliśmy w ekwipażu, a z Samary do Niżnego Nowogrodu podróżowaliśmy parostatkiem. Jeśli w tarantasie było ciepło, wręcz gorąco, to na statku było już przyjemnie, przestrzennie i chłodno. Tak przyjemnej drogi trwającej trzy doby nie miałem jeszcze nigdy. Jechaliśmy w pierwszej klasie, mimo że było to w końcu sierpnia, wtedy kiedy kończą się jarmarki, dlatego też i pasażerów nie było dużo. Zajmowaliśmy cały przedział i mogliśmy się swobodnie poruszać. Kuchnia była stosunkowo niedroga. Z Niżnego Nowogrodu pojechaliśmy niedawno otwartą koleją w drugiej klasie; do Moskwy także jechało się nam znakomicie.

W Moskwie zatrzymaliśmy się w hotelu, gdzie dowiedzieliśmy się o Rozanowach i pojechaliśmy do nich. Do Moskwy przyjechaliśmy 1 września 1866 roku. Nasz syn Mikołaj całą drogę z Orenburga do Moskwy przejechał naprawdę pomyślnie, był zdrowy i nie było z nim dużo kłopotów, ale kiedy pojechaliśmy do mieszkania Rozanowów, poczuł się tak źle, że wezwaliśmy doktora. Jednak pomimo wszelkich starań Kola umarł! Śmierć malutkiego Koli doprowadziła nas do rozpacz, szczególnie waszą mamę, która całą drogę troszczyła się o niego. Pochowaliśmy syna w Moskwie na cmentarzu innowierców²⁰³ i wyjechaliśmy do dziadka Franciszka do Michajłowskoje. Zakupiłem dla nas dobry tarantas i telegę²⁰⁴ na rzeczy; ruszyliśmy w podróż i 12 września po południu wjechaliśmy do wsi Michajłowskoje.

²⁰³ Prawdopodobnie Skolimowski miał na myśli obecny cmentarz katolicki w Moskwie.

²⁰⁴ Telega – rosyjski, prosty wóz.

Powitanie dziadka nie było radosne; widać, że nie był zadowolony z naszego przyjazdu i odniósł się do nas obojętnie. Patrzyłem na to wszystko z zimną krwią, bo już dawno przejrzałem mojego teścia, ale waszą mamę, która tak bardzo ojca kochała, dobiła ta okazywana jej obojętność.

Rozejrzawszy się co nieco, zorientowaliśmy się, że u teścia jest obecnie gospodyni [Anastazja] ciesząca się szczególnymi względami dziadka Franciszka i rządząca się sama. To jej nie podobał się nasz przyjazd i ona właśnie nastawiła dziadka przeciwko nam.

Zrozumcie, moje drogie dzieci, zatroskanie waszej mamy, która nie widziała ojca przez piętnaście [?] lat i tak marzyła o spotkaniu z nim, a teraz sama dostrzegła jego chłód i niezadowolenie. Dużo łez przelała mama podczas spotkania ze swoim najbliższym, mocno smuciło się jej serce, i długo jeszcze nie mogłem jej uspokoić.

O naszym przyjeździe szybko dowiedziała się wasza ciocia Julia Pożniakow i jak najszybciej przyjechała do Michajłowskoje. Przy niej właśnie wasza mama odpoczęła, w dzieciństwie bowiem przyjaźniły się obie i do tego Juleńka była nadzwyczaj wesołego usposobienia.

Od dawna byłem prenumeratorem gazety „Russkij Inwalid”²⁰⁵; wyjeżdżając z Orenburga, prosiłem o przesyłanie jej do Michajłowskoje. Zaraz po moim przyjeździe przeczytałem tę gazetę i dowiedziałem się, że rozkazem najwyższym z 6 września 1866 roku zostałem przeniesiony z wojsk zapasowych do czynnej służby w 2. sofijskim pułku piechoty. Wiadomość ta mocno mnie przejęła; najbliższa przyszłość nie zapowiadała się interesująco. Znowu miałem być w armii prostym sztabsoficere, znowu czekało mnie wojskowe, koczownicze życie, znowu koń i siodło, jeśli będę dowódcą batalionu. Pomodliłem się do Boga i zastanawiałem się, jak sobie pomóc w tym zmartwieniu.

Pogościwszy u teścia dwa tygodnie, postanowiłem pojechać do pułku, który, jak dowiedziałem się od Juleńki, mieści się w Dorogobużu, to jest w miejscu zamieszkania Pożniakowów, odległym od Michajłowskoje o sześćdziesiąt wiorst. Zastanawiałem się, jak swojemu losowi dopomóc i wymyśliłem, że najpierw pojadę do Petersburga i stawię się osobiście przed ministrem wojny, by prosić o siebie i o was, moje drogie dziatki, to jest o wasze wychowanie. Nie myśląc długo, zebrałem się i 25 września wyjechałem z Michajłowskoje do Petersburga.

Przed samym wyjazdem teść Franciszek Suski powiedział mi, że w Petersburgu mieszka jego brat Romuald²⁰⁶, który jest bogatym człowiekiem, ale już

²⁰⁵ „Russkij Inwalid” – wpływowa gazeta przeznaczona dla wojskowych, wychodząca w latach 1813–1917.

²⁰⁶ Romuald Suski był asesorem kolegiąlnym w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i kawalerem Orderu św. Włodzimierza 4. stopnia i św. Stanisława 4. stopnia; *Месяцослов*

dawno odsunął się od rodziny i chociaż obiecał dla wszystkich córek dać po trzy tysiące rubli, w tym również dla waszej mamy, to kiedy teść przypomniiał mu to podczas ślubu Juleńki, Romuald rozzłościł się i przestał pisać. Teść prosił mnie, abym odwiedził jego brata, dał mi też list do niego.

Chociaż uczyłem się w Pitrze²⁰⁷, to nie byłem tam przez dwadzieścia osiem lat i mało miasto znałem, dlatego po przyjeździe tu – po moim życiu w stepie – byłem przyjemnie zaskoczony bogactwem, czystością i porządkiem. W tym czasie oczekiwano ślubu następcy tronu cesarzewicza Aleksandra Aleksandrowicza, dlatego Petersburg był przygotowany na świętowanie. Przez tydzień szukałem pomocy, ale nic się nie wydarzyło. Polakom było ciężko w tym czasie, a wyznanie katolickie zamykało drzwi i umysły, żadna protekcja nie pomagała. Moi znajomi mówili mi: „Za Panem jako katolikiem nie mogę nawet słowa powiedzieć, to teraz nie w modzie”²⁰⁸. Załamany i jak zbity poszedłem do swojego pokoju w hotelu przy ul[icy] Kuźnickiej. Nie wiem, czy wiecie, moje drogie dzieci, ale był to budynek czterokondygnacyjny. Tam, przeglądając papiery, znalazłem list do Romualda Suskiego, który dał mi mój teść, o którym to liście, przyznam się, że zapomniałem. Obawiając się, iż może mnie nie przyjąć, postanowiłem nie iść tam osobiście, tylko napisałem do niego list i oczekiwałem odpowiedzi. A napisałem tak: „Jaśnie Wielmożny Panie, brat Pański, a mój teść F. Suski, upoważnił mnie do spotkania z Panem w imieniu rodziny, jeżeli zechce Pan mnie przyjąć. Jeżeli wyraża Pan zgodę, aby spotkać się ze mną w celu przekazania listu, to proszę o wskazanie miejsca i czasu spotkania”. List ten wysłałem pocztą miejską.

Na drugi dzień zjawił się u mnie znany wam kamerdyner Filip i przekazał mi list od Romualda Suskiego, oczekując na potwierdzenie. W liście tym Romuald Suski pozdrowiał mnie i zapraszał na herbatę na godzinę ósmą wieczorem, wyrażając ogromne zadowolenie z tego, że będzie miał przyjemność poznania się z kimś tak bliskim z rodziny. Wszystko to wpłynęło na mnie bardzo pozytywnie i zadowolony udałem się do Romualda Suskiego. Jako pierwsza przywitała mnie Taisa Grigoriewna Sagowska i bardzo uprzejmie poprosiła, żeby spocząć, oznajmiając, że Romuald Suski jeszcze się nie ubrał, ale za chwilę przyjdzie.

и обичий имам Российской империи на 1831, cz. 1 [1831], s. 280.

²⁰⁷ Piter – potoczna nazwa Petersburga.

²⁰⁸ Na temat atmosfery panującej w Petersburgu w okresie powstania styczniowego zob.: W. Śliwowska, *Petersburg i społeczeństwo rosyjskie wobec kwestii polskiej w przededniu i w czasie powstania styczniowego*, w: *Powstanie Styczniowe 1863–1864. Wrzenie – Bój – Europa – Wizje*, red. S. Kalemka, Warszawa 1990, s. 541–571; H. Głębocki, *Co zrobić z Polską. Kwestia polska w koncepcjach konserwatywnego nacjonalizmu Michaila Katkowa*, Warszawa 1998.

Ja, moje drogie dzieci, naprawdę nie znałem rodziny waszej mamy. Przed ślubem nikogo nie widziałem, mało znałem nawet tatę mamy, przyjechałem na ślub ponad dwa tysiące wiorst, a w domu teścia mieszkalem tylko miesiąc i wyjechałem z waszą mamą w orenburskie stepy, w których przeżyliśmy całe trzynaście lat. W tym długim okresie tylko jeden raz byliśmy w Michajłowskoje, i to na krótko. Kiedy więc spotkałem u Romualda Taisę Grigoriewną, nie wiedziałem, kim ona jest; i tak zaczęła się nasza znajomość.

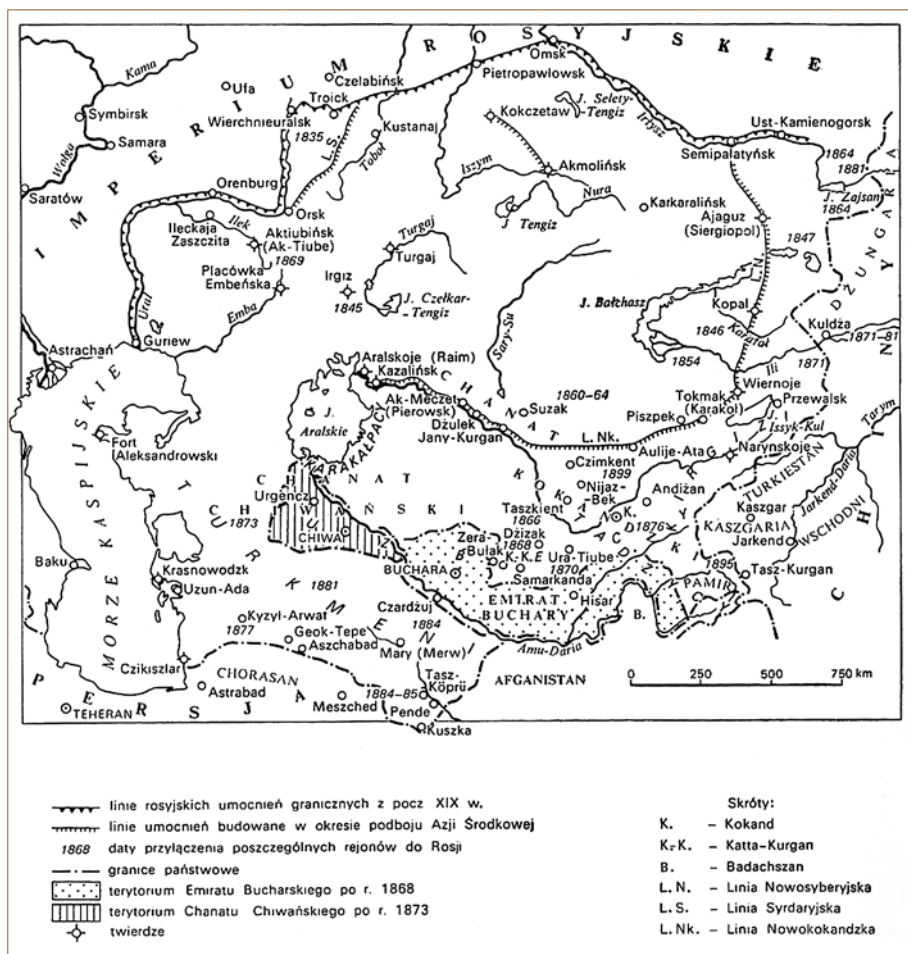
W niedługim czasie, otwierając drzwi, wyłonił się wysoki staruszek w mundurze dymisjonowanego generała i [z] orderem na szyi. Domyślając się, że jest to Romuald Suski, zbliżyłem się i przedstawiłem. Okazało się, że popełniłem błąd, ponieważ to nie był on, a Grigorij Jakowlewicz [Sagowski], ojciec Taisy Grigoriewnej. Te okoliczności postawiły mnie w jeszcze bardziej kłopotliwym położeniu, ale kontynuowałem rozmowę z zupełnie nieznanymi mi ludźmi i nie mogłem zrozumieć, jaką rolę odgrywają oni w domu Romualda Suskiego. Rozumiałem tylko, iż te dwie osoby czują się jak u siebie w domu. W końcu po przedłużającym się oczekiwaniu kamerdyner poprosił nas do gabinetu Romualda Suskiego.

Z opowiadań Franciszka Suskiego wiedziałem jedynie, że jego brat Romuald był niewidomy, ale w gabinecie ujrzałem starszego człowieka, który kiedy tylko wszedłem do pokoju, wstał z kanapy, wyszedł na moje spotkanie i wyciągając rękę, serdecznie mnie przywitał, po czym poprosił, abym zajął miejsce na fotelu stojącym z boku, a sam usiadł obok mnie na kanapie.

Romuald Suski był ubrany w szlafrok z czerwoną generalską wypustką; broda, włosy i wąsy były czarne, przygładzone z dbałością, na nosie okulary, jednym zdaniem, fizjonomia jego była przyjemna. Oczy miał bystre i skierowane na osobę, z którą rozmawiał. Przebywałem u niego do godziny drugiej w nocy; piliśmy w tym czasie herbatę i rozmawialiśmy. Nasza rozmowa była ożywiona, bo Romuald Suski był wykształconym i uprzejmym gospodarzem. Okazało się, że znał nie gorzej ode mnie wszystkie sprawy linii orenburskiej i syberyjskiej²⁰⁹. Z uwagą śledził ruchy naszych wojsk w kierunku Turkiestanu i Taszkientu, i to właśnie mocno mnie zdziwiło, tym bardziej że uważano go za niewidomego.

Podczas pożegnania Romuald Suski bardzo uprzejmie powiedział: „Mam nadzieję, że mój szanowny krewny Aleksandr Iwanowicz w czasie pobytu w Petersburgu będzie u mnie gościł”. Odpowiedziałem na to, że wiem o jego poważnych zajęciach i nie chciałem go niepokoić, jednocześnie podziękowałem za uprzejmość i powiedziałem, że będę szczęśliwy, gdy znajdzie dla mnie trochę wolnego czasu. Wtedy na jego zaproszenie niezwłocznie zjawie się u niego w domu w umówionym czasie.

²⁰⁹ Linia orenburska przechodziła w linię syberyjską (zob. mapę – il. 20).



20. Azja Środkowa w drugiej połowie XIX wieku

Jak można sądzić, nasze pierwsze spotkanie było dla nas obu przyjemne. Uczestnicy rozmowy, Grigorij Jakowlewicz i Taisa Grigoriewna, także ją ożywiali, gdyż byli to ludzie wykształceni i dobrego serca. Romuald Suski ze współczuciem dopytywał się o moich sprawach i dawał dobre rady, jednym zdaniem, zachowywał się jak mój najbliższy krewny i zacny człowiek.

Inną sprawą było moje pochodzenie, które w Petersburgu nie cieszyło się uznaniem. Przekonałem się, że jako katolik nie otrzymam żadnego przydziału, bo w wyższych sferach obowiązuje zasada niedopuszczania Polaków do żadnej służby, a tych, którzy zostali jeszcze na stanowiskach, wydalano ze względów politycznych, cicho i delikatnie. Staralem się o audiencję u mi-

nistra wojny i zostałem wreszcie przyjęty. Generał Milutin²¹⁰ przyjął mnie uprzejmie i nawet rękę uściśnął, ale na wszystkie moje prośby odpowiadał tylko, że więcej zrobić nie może.

U Romualda Suskiego byłem wiele razy, oczywiście na jego prośbę. Zawsze był wobec mnie przychylnie nastawiony, wypytywał o moje kłopoty i stwierdził, że niczego lepszego w służbie nie osiągnę. Uważał to za niemożliwe, ale zrobił rozeznanie, czy nie dałoby się ulokować dzieci w szkole na koszt rządu, co też się nie udawało, bo i zgoda na to również zależała od władz. Była to czysta loteria, mimo to przygotowałem dokumenty Maszy i Leny i starałem się o przyjęcie was do jakiegokolwiek instytutu.

W tym czasie w Petersburgu panowało duże podniecenie z powodu ślubu następcy tronu Aleksandra Aleksandrowicza z duńską księżniczką Dagmarą, następnie Marią Fiodorowną. Dlatego z zaciekawieniem i zadowoleniem śledziłem i obserwowałem wszystko, co się tam działo, tym bardziej iż przeżywszy już tyle w stepach, nigdy niczego podobnego nie widziałem. Zachwycałem się bogactwem i wytwornością dworu, jak i samego Petersburga. Jako wojskowy miałem wstęp wolny do Pałacu Zimowego i na odbywające się tam uroczystości, dlatego byłem przy modlitwach z okazji przejścia księżniczki na prawosławie, a później na jej zaręczynach i wreszcie na balu w dniu ślubu. Wszystko co widziałem zadziwiała mnie i po powrocie do domu opisywałem to w listach posyłanych do waszej mamy, żeby podzielić się swoimi odczuciami.

Bywając w tym czasie u Romualda Suskiego, dużo i często rozmawiałem z Taisą Grigoriewną, częściowo na tematy dotyczące moich spraw, głównie związanych z wychowaniem dzieci. Taisa Grigoriewna poradziła mi skierować prośbę o przyjęcie córek do instytutu do cesarzowej.

Po powrocie do domu długo zastanawiałem się nad radami Taisy Grigoriewny, myślałem, czy podpisać prośbę swoim nazwiskiem, czy bez jego podawania, bo pozostając na służbie, regulamin nakazywał mi zwracać się za pośrednictwem swego dowództwa. Myśląc jednak, żeby dopomóc sprawie i nie widząc innego wyjścia poza pomocą rządu, postanowiłem napisać do księżniczki Dagmary prośbę w imieniu żony. Wziąłem kartkę papieru pocztowego, szybko i składnie przedstawiłem moją sytuację i poprosiłem księżniczkę o skierowanie was, Maszo i Leno, do Instytutu Pawłowskiego²¹¹. Prośbę włożyłem do koperty i po dopisaniu adresu wrzuciłem do skrzynki pocztowej.

²¹⁰ Dmitrij Aleksiejewicz Milutin (1816–1912), generał, od 1861 r. minister wojny, autor reformy wojsk rosyjskich.

²¹¹ W 1798 r. powołano do życia zakład opiekuńczo-wychowawczy dla sierot oficerów, zarówno dla chłopców, jak i dla dziewcząt. W 1807 r. zakład został przekształcony w szkołę dla dziewcząt. Oddzielne klasy były dla sierot po oficerach i oddzielnie dla sierot

Podczas wyjazdu z Petersburga, gdzie przebywałem miesiąc, Romuald Suski powiedział, że bardzo się cieszy z poznania mnie. Chciał też przekazać prezent dla swojej krewnej, ale nie znał jej gustu, podał więc list z pytaniem o prezent do swego brata Franciszka oraz mile i przyjemnie pożegnał się ze mną.

List Romualda Suskiego do mamy był rodzinny i serdeczny do tego stopnia, że kiedy czytaliśmy go razem, płakaliśmy jak dzieci, bo od nikogo z rodziny takiej serdeczności nie zazналиśmy, a sam ojciec Franciszek Suski przyjął nas tak chłodno, że aż zastygły nam serca.

W drodze powrotnej do Michajłowskoje zjechałem w Moskwie do Rozanowów, a zabrawszy stąd Zuzannę Iwanownę [Perkowską], do której Franciszek Suski pisał, żeby przyjechała zamieszkać u niego. Wreszcie przybyłem do Michajłowskoje, gdzie spotkałem waszą mamę i was dzieci w zdrowiu oraz szczęśliwie z mojego powrotu.

Po moim wyjeździe mama z wami wszystkimi pojechała do Julii do Dorogobuża, gdzie przeżyłyście bardzo przyjemnie tydzień. Mama z Julią pojechały do Smoleńska do siostry Faustyny, a wy zostałyście w Dorogobużu. Fosia również ucieszyła się z przyjazdu mamy, ale jej mąż, Fortunat Grontkowski, był ciężko chory na zapalenie mózgu i bez świadomości. Mocno to mamę zgnębiło, tym bardziej że Fortunat był naprawdę zacnym i życzliwym człowiekiem. Pogościwszy u siostry, mama wraz z wami, moje drogie dzieci, pojechała do Michajłowskoje na moje przywitanie.

Tu właśnie czytaliśmy list od Romualda Suskiego i od tego momentu polubiliśmy tego krewnego, nie wiedząc, co jeszcze zrobi w przyszłości dla nas i dla was ten nasz łaskawca. Mama odpisała mu, dziękując za jego życzliwość i miłość oraz pisząc, że z przyjemnością przyjęłaby od niego baszłyk²¹², modne wtedy zimowe damskie okrycie głowy. Poczciwy Romuald Suski spełnił jej życzenie i mama długo cieszyła się pięknym i obszytym złotem baszłykiem.

Gościliśmy tu z mamą tydzień, ja zacząłem zbierać się do wyjazdu na służbę do pułku sofijskiego, który kwaterował w Dorogobużu, o sześćdziesiąt wiorst od Michajłowskoje, a mama pozostała z wami. 8 listopada 1866 roku przyjechałem do Pożniakowów, a następnego dnia stawilem się u dowódcy pułku z prośbą o tygodniową przepustkę, żeby odwiedzić ciocię Fosię, ale i stawić się u dowódcy pułku oraz dowódcy dywizji generała-lejtnanta Szejdemana²¹³, do którego miałem pismo rekomendacyjne z Petersburga od gene-

zołnierzy. W 1829 r. szkołę przekształcono w Pawłowski Instytut. Od 1850 r. w instytucie mogły się kształcić tylko dzieci szlachty i oficerów. Szerzej zob.: И. С. Шумигорский, *Павловский институт (1798–1898)*, С.-Петербург 1898, s. 51.

²¹² Kaptur z długimi końcami do wiązania.

²¹³ Karl Fiodorowicz Szejdeman (1816–1869), generał-lejtnant od 1861 r.; С. В. Волков, *Генералитет*, т. 2, s. 737.

rała-adiutanta Mierchilewicza²¹⁴, znanego mi ze służby w stepach, który był u mnie w Kazale jako inspektor do specjalnych poruczeń.

Na drugi dzień po otrzymaniu przepustki pojechałem do Smoleńska. Fosią przyjęła mnie bardzo gorąco, a dowódca dywizji, przeczytawszy okazane przeze mnie pismo, potraktował mnie szczególnie. Po powrocie do Dorogobuża 14 listopada otrzymałem list do waszej mamy z Kancelarii Ogólnej Jego Wysokości, w którym napisano, aby przesłać tam dokumenty córek – Marii i Eleonory. Będąc przekonany, że wasz los, moje miłe córeczki, został rozstrzygnięty oraz że zostaniecie przyjęte do instytutu, wpadłem w nieopisaną radość. Odpowiedziałem w imieniu waszej mamy do Oddziału IV i napisałem mamie do Michajłowskoje o naszym szczęściu. Rozmyślając, jak to się stało, doszedłem do wniosku, iż przyczyną naszego szczęścia była Taisa Grigoriewna [Sagowska], która to poddała mi ten pomysł. Zaraz napisałem do Taisy Grigoriewny list z podziękowaniami za pomoc w naszym ogromnym szczęściu.

Po przyjeździe do Dorogobuża poinformowano mnie, że zostałem dowódcą 1. batalionu, który stacjonuje w mieście Jelnia, o czterdzieści wiorst od Dorogobuża i o pięćdziesiąt pięć wiorst od Michajłowskoje. Po krótkim pobycie u Pożniakowów wyjechałem do miasta Jelnia. Tu przygotowałem mieszkanie i 2 grudnia pojechałem do Michajłowskoje na imieniny dziadka.

Mamę zastałem smutną; ciężkie było jej życie u ojca; panowały ciągle nieporozumienia z rozliczeniami w folwarku, który w życiu ojca zajmował największe miejsce, co z kolei mocno dręczyło mamę. Ojciec był nadal chłodny; jedynie Zuzanna Iwanowna [Perkowska] była dla mamy serdeczna, ona też przejmowała się wszystkim. Tam właśnie doszło do bitwy na śmierć i życie pomiędzy Zuzanną a Anastazją, między dwiema obcymi sobie rywalkami.

Z tego wszystkiego, co ujrzałem w Michajłowskoje, doszedłem do wniosku, że wasza mama i wy nie możecie mieszkać z ojcem pod jednym dachem, mieszkanie bowiem w rozłące tylko może polepszyć z nim kontakty. Dlatego też umówiliśmy się z mamą, żeby przeprowadziła się do mnie do Jelni, zażywając od nowa wojskowego żywota.

Zaraz po imieninach wyjechałem, a mama z wami przyjechała do mnie na dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem. Moje ładne mieszkanie podobało się wszystkim, razem szczebiotaliśmy w nim jak ptaszki, a ja sam poweselałem. Na Boże Narodzenie przyjechał do nas Franciszek Suski z Zuzanną Iwanowną i dowiedzieliśmy się od niego, że Anastazja wyjechała do Smoleńska i zerwała wszelkie kontakty.

²¹⁴ Sigismund Wieniediktowicz Mierchilewicz. Uczestnik wojny polsko-rosyjskiej w 1830–1831 r. Dowódca artylerii w Sankt-Petersburgu; C. B. Волков, *Генералитет*, t. 2, s. 141.

Boże Narodzenie przeżyliśmy przyjemnie i wesoło, a przed chrztem Ma-szy i Wani pojechaliście wraz z gośćmi do Dorogobuża do Poźniakowów; ja sam pozostałem w domu. 25 stycznia 1867 roku mama razem z wami pojechała od Juleńki do Smoleńska do Fosi, która dawno was nie widziała. Tego dnia był straszny mróz, około [minus] 30 stopni²¹⁵. Znając datę waszego wy-jazdu i wiedząc o takim mrozie, byłem przekonany, że nie pojedziecie, jednak dowiedziałem się, iż pojechaliście, i rozpaczalem, spodziewając się jakiegoś nieszczęścia. Lecz Bóg nad wami czuwał i szczęśliwie dojechaliście do cioci. Ciocia natomiast, zobaczywszy takie białe kruszynki na mrozie, wystraszyła się, a wy nie przejmowaliście się, tylko śmiałyście i z radością ciocię przywi-taliście; tylko na drugi dzień rączki wam spuchły, ale nie chorowaliście. Bar-dzo spodobałyście się cioci Fosi, tym bardziej że byliście skromne, posłuszne i akuratne, a wasza ciocia była do tego stopnia skrupulatna, że ja nawet sam bałem się tam czasem chodzić.

Podczas powrotu ze Smoleńska mama przyjechała do mnie, żebym pojechał do Dorogobuża i stamtąd, pogościwszy trochę u Poźniakowów, mieliśmy wrócić razem do domu. Tak też zrobiłem i wyjechałem z Dorogobuża w lu-tym, skąd pojechaliśmy lichym transportem i końmi do Jelnia. Całą drogę dużo śmialiśmy się, a po przejechaniu dziesięciu wiorst nasz woźnica przewrócił się na bok. Ponieważ drzwi były zamknięte, okna opuszczone, poleciliśmy jedno na drugie. Wy zapiszczałyście jak myszy; myślałem, że was zgmiotę moim cię-żarem, bo wszystkie byłyście pode mną. Mama krzyknęła głośno, a ja podnosi-łem się, żeby was nie przygnieść. Udało mi się wybić szybę w oknie w drzwiach, które było nad moją głową, i jakimś sposobem otworzyć drzwi, z których wyskoczyłem i wraz z woźnicą znaleźliśmy ludzi i podnieśliśmy powóz.

Kiedy wszystko opanowaliśmy, to stwierdziliśmy, że nikomu nic się nie stało i znowu rozweseliliśmy się. Mama była wystraszona do tego stopnia, że niezbyt szybko się uspokoiła, bo i zajęcie to miało przebieg nieprzyjemny, ale o tym później opowiem. Późnym wieczorem przyjechaliśmy do domu i pijąc herbatę, dziękowaliśmy Bogu, że tak sobie poradziliśmy.

W ciągu półtora tygodnia mama jeździła do Michajłowskoje za jakimiś rzeczami i niczego złego się nie spodziewała. Mocno bolała ją głowa, ale nie zwracała na to uwagi i zajmowała się codziennymi sprawami. Podczas masle-nicy znowu przyjechał do nas Franciszek Suski z Zuzanną Iwanowną, później przyjechał też Akinfij Nikiforowicz Poźniakow. Mamusia przyjęła drogich gości, ale nocą dostała krwotoku, słabo się poczuła, a niedługo potem straciła przytomność. Ruszyłem po doktora, ale takiego w mieście nie było; przypo-mniałem sobie w ostatniej chwili, że jeszcze nie wyjechał chyba doktor z Do-

²¹⁵ Czyli minus 36 stopni w skali Celsjusza.

rogobuża, który był w Jelni przy poborze rekrutów. Była to godzina trzecia w nocy, kiedy podjechałem do mieszkania tego doktora, ale u niego stały już konie przygotowane do wyjazdu, i co zrozumiałe, zabrałem doktora do mamy. Leżała ona biedna bez czucia, a Zuzanna Iwanowna polewała ją chłodną wodą i wtedy mama wzdychała, co było dowodem, że jeszcze żyje. Biedny doktor przejął się, wypisał receptę i obiecał, że będzie pomagać mamie. Od lekarstwa i w wyniku pomocy doktora mamie się poprawiło, krwotok został zatrzymany i do obiadu niebezpieczeństwo minęło. Ten zacny doktor nazywał się Iwan Afanasjewicz Tutorski.

Nasze życie w Jelni toczyło się w spokoju, jednak razem z mamą niepokoiłiśmy się o wasze wykształcenie i przez cały ten czas sami was uczyliśmy. Nauki tej jednak było tak niewiele, że można powiedzieć, nie wiedziałyście niczego, a przecież wy, Masza i Lena, miałyście już po dziesięć lat. Obowiązkowo trzeba było myśleć o poważnej nauce, dlatego postanowiliśmy oddać was do instytutu na własny koszt, chociaż środki nasze były ograniczone. Napisałem prośbę, zebrałem potrzebne dokumenty i wszystko to wysłałem do Instytutu Pawłowskiego z prośbą o przyjęcie was na koszt własny. Byliśmy też w kontakcie z Taisą Grigoriewną [Sagowską] i zaraz po wysłaniu pisma do Petersburga napisaliśmy też do niej, żeby nam pomogła. Rozpoczęcie przez was nauki poprzedziło wiele niespodzianek. Na początku pisali, że nie ma miejsc, później pojawiło się jedno miejsce dla Maszy, która miała się stawić w sierpniu, ale że byłyście bliźniaczkami, odwołaliśmy się od tej decyzji. Denerwowaliśmy się, że za własne pieniądze nie można dzieciom dać odpowiedniego wychowania.

Na początku maja wraz z batalionem weszliśmy do Dorogobuża. Stąd pod koniec miesiąca przeszliśmy do Smoleńska w celu wystawienia warty. Do Smoleńska wyjechałem sam, a mama razem z wami pojechała do Michajłowskoje, żeby pogościć u ojca do chwili, kiedy się urzędzę. Kiedy mama przyjechała do ojca, mocno zdziwiła się, gdy zastała tam Nastię. Zuzanna Iwanowna przed świętami wyjechała do Moskwy do siostry Rozanowej, a zaraz po niej zjawiła się Nastia. Ta sytuacja mocno mamę zdenerwowała, bo Nastia była głupią i bezmyślną kobietą. Widać Bóg pokarał dziadka, zakrywając mu oczy, i kazał związać się z tą kobietą, która tylko dostarczała goryczy i przyczyniała się do rozkładu rodziny.

W czerwcu wszyscy przyjechaliście do Smoleńska i cieszyliście się moim pięknym mieszkaniem w parku w przytulnym domu. Lato mijało i myśleliśmy o tym, że wy, Masza i Lena, znowu zostanieie w domu, a wychowanie wasze będzie wstrzymane. Lecz Bóg czuwający nad nami znowu doświadczył nas radośnie i niespodziewanie.

Pod koniec lipca Taisa Grigoriewna napisała, że dla was obu są miejsca i jesteście przyjęte do Instytutu Pawłowskiego. Ta wiadomość ożywiła nas i nagle zaraz po tym liście przyszedł także list od Romualda Suskiego. Ten

zaczny człowiek, informując nas o przyjęciu córeczek, proponował przywieźć je jak najszybciej i jeśli by brakowało nam pieniędzy na opłaty, to prosi nie przejmować się tym zbytnio, bo on postara się tego jakoś dopilnować. Wy, moje drogie dzieci, chyba rozumiecie naszą radość, że wreszcie udało się was posłać do instytutu. Poza tym zainteresowanie i słowa Romualda Suskiego dawały nam nadzieję na to, że da nam pieniądze na opłatę pierwszego półrocza w instytucie, a było tego dwieście trzydzieści rubli.

W wesołym nastroju zawieźliśmy was, Maszo i Leno, do instytutu, a wy byliście dzielne, przygotowując się do nowego i trudnego życia. Wanię zostawiliśmy u cioci Fosi i 18 sierpnia 1867 roku ruszyliśmy do Petersburga.

Ledwo zdążyliśmy rozłożyć się w pokoju w hotelu przy Kuźnickiej, gdy zjawiała się pocziwa Taisa Grigoriewna z serdecznym powitaniem i powiedziała, że Romuald Suski oczekuje nas i wydaje się jej, że szykuje coś dobrego, lecz co to takiego, nie mówiła, a my nie chcieliśmy na nią nastawać. Zaraz po wyjściu Taisy Grigoriewnej otrzymaliśmy [przez kamerdynera] Filipa list od Romualda Suskiego, w którym zapraszał nas razem z wami, Maszo i Lenko, na herbatę na godzinę ósmą wieczorem i zapowiedział, że przyśle po nas swoją karetkę. O wyznaczonej godzinie zjawiliśmy się u Romualda Suskiego, którego uprzejmość była nieoceniona. Szczegółowo wypytywał, kiedy będziemy oddawać córeczki, radził mi iść rano do instytutu, dowiedzieć się wszystkiego i opłacić już ich pobyt.

O godzinie drugiej w nocy, pożegnawszy się, pojechaliśmy z powrotem [do hotelu], chociaż od domu Romualda Suskiego było nie więcej jak czterysta kroków. Ułożyliśmy się do snu i razem z mamą zaczęliśmy rozmowę o dziadku i o tym, że nawet słowem nie wspomniał o obiecanej nam pomocy i że radził mi już rano iść i zapłacić za was. Mimowolnie na sercach smutno nam się zrobiło, bo chyba lepiej by było, gdyby Romuald Suski nie obiecywał nam niczego. W końcu doszliśmy do wniosku, że zakończy on naszą znajomość na tym spotkaniu i smutni poszliśmy spać.

Na drugi dzień, kiedy ubrałem się, żeby stawić się przed dowództwem, mama poradziła mi, abym zajrzał do Taisy Grigoriewnej, która nas lubiła, a u której z kolei jeszcze nigdy nie byłem. Taisa Grigoriewna w domu przebywała tylko do dwunastej, bo później szła do Romualda Suskiego na dyżur, żeby zmienić swojego ojca, który przychodził do domu na obiad i odpoczywał. Również o godzinie dziesiątej zadzwoniłem do drzwi Taisy Grigoriewnej. Wyszła pokojówka i powiedziała, że baronowej nie ma w domu. Zdziwiłem się i poprosiłem, aby przekazała jej, że byłem. Kiedy rozmawiałem ze służącą, wyszła jakaś pocziwa staruszka i dowiedziawszy się, kim jestem, poprosiła na pokoje. Była to matka Taisy Grigoriewnej. Powiedziała mi, że jej córka poszła do generała, to jest do Romualda Suskiego, bo prosił ją, aby przyjść wcześniej. Stamtąd ma do nas przyjść z poleceniem od niego.

Chociaż matka Taisy Grigoriewnej była bardzo miła i chciała poczęstować mnie kawą, musiałem grzecznie odmówić. Szybko podjechałem do domu, żeby uprzedzić waszą mamę o spotkaniu z Taisą Grigoriewną. Rozmawialiśmy z mamą o tym, że Romuald Suski zapewne przyśle pieniądze na zapłatę za was, niczego bowiem więcej nie oczekiwaliśmy. Niebawem zjawiała się Taisa Grigoriewna i przekazała mamie dużą opieczętowaną kopertę. Posadziwszy gościa, mama zaczęła czytać; patrzyłem na nią, z początku obserwowałem jej zdziwienie, zaraz potem radość, a później łzy. Mama przekazała mi kopertę i list, zaczęła ścisnąć i obejmować Taisę Grigoriewnę. Na początku nie rozumiałem niczego, ale po przeczytaniu listu dowiedziałem się, iż Romuald Suski podarował nam dwadzieścia tysięcy rubli, co list ten potwierdzał, a poza tym przekazuje pięćset rubli na opłatę pobytu Maszy i Leny w instytucie.

Zrozumcie, moje drogie dziatki, naszą radość. Od tej chwili staliśmy się ludźmi samowystarczalnymi, nasza przyszłość i wasze wychowanie zostały zabezpieczone i w spokoju mogliśmy oczekiwać starości. Dlatego serdecznie dziękowaliśmy Bogu za naszego dobroczyńcę oraz posłańca naszego szczęścia, dobrą Taisę Grigoriewną.

Wasza mama z powodu silnego przeżycia aż się rozchorowała, więc do instytutu odwiozłem was sam. I wy, moje drogie Maszeńko i Lenko, poczułyście się tam wspaniale, bo po pierwsze, spokojnie pojechaliście do instytutu, można powiedzieć wesołe, przy pożegnaniu z mamą nie płakałyście, a przy rozstaniu ze mną w instytucie tylko Maszeńka trochę zapłakała, a Lena trzymała się dzielnie. Ogólnie byłem pod wrażeniem zachowania moich córek, które były posłuszne naszym planom i już w wieku dziesięciu lat rozumiały swój los. A wszystko to wynikało z tego, że kochaliśmy was miłością rozumną, pilnowaliśmy, ucząc i rozwijając w was potrzebne i niezbędne pojęcia. Jeżeli wam z kolei przyjdzie mieć własne dzieci, kochajcie je również rozumnie, a w przeciwnym wypadku złoście się tylko sami na siebie.

Pożegnawszy się z wami i dziękując naszemu dobroczyńcy, wróciliśmy do Smoleńska, gdzie przywitał nas nasz synek i ciocia Fosia. Romuald Suski nie tylko nam, ale i członkom rodziny podarował po dwadzieścia tysięcy rubli, to jest: cioci Julii i Fosi, a bratu Franciszkowi dwadzieścia pięć tysięcy rubli. Poza tym rozdał [pieniądze] i dalszym swoim krewnym, razem około trzystu tysięcy rubli.

W następnym roku, to jest w sierpniu 1868 roku Wania również pojechał uczyć się w Piterze. Przyjęto go do pensjonatu Szturmera, inspektora Niemieckiej Pietropawłowskiej Szkoły. Ciebie, mój drogi Wania, zawoziła i odbierała mama; także byłeś zadowolony i odważnie chciałeś się uczyć, ale więcej smuciłeś się i płakałeś. Za ciebie płaciliśmy trzysta pięćdziesiąt rubli rocznie, a wszystkie ubrania i inne potrzeby pensjonatu kosztowały nas pięćset rubli.

Ja służyłem dalej w sofijskim pułku, ale służba tu nie była dla mnie przyjemna, bo po służbie w stepie raczej poniżała i przytłaczała mnie. Znosiłem to cierpliwie, nie pokazując po sobie i nie użalając się na moją sytuację. Do września 1868 roku mieszkaliśmy w Smoleńsku, a w tym miesiącu przeszliśmy z batalionem do Dorogobuża. W kolejnym roku znowu przenieśliśmy się do Smoleńska, gdzie obozowaliśmy.

Pomyślałem sobie w tym okresie o odejściu ze służby w stan spoczynku, tym bardziej że miałem już wysłużonych trzydzieści lat i nie spodziewałem się niczego pozytywnego w przyszłości. Przygotowałem potrzebne do tego papiery i w spokoju oczekiwałem września, aby przedłożyć podanie o zwolnienie mnie ze służby, ale wtedy stało się coś zupełnie nieoczekiwanego, w wyniku czego moja sprawa się opóźniła i miałem zmartwienie.

Pisałem już wcześniej, że w 1864 roku byłem poddany poważnemu śledztwu z powodu napisanego na mnie donosu o przestępstwa natury politycznej. Zakończyło się ono pomyślnie dla mnie i po tym otrzymałem awans na pułkownika i order²¹⁶. Od tego czasu upłynęło ponad pięć lat i o wszystkim tym już nie myślałem. Wyobraźcie sobie moje zdziwienie i irytację, kiedy w czasie obozowania dowiedziałem się, że wspomnianą sprawę śledztwa przesłano z Orenburga do 1. dywizji piechoty, to jest do miejsca obecnej mojej służby, w celu dalszego rozpatrzenia.

Kwalifikacja sprawy była dla mnie bardzo niekorzystna. Przechodziła ona z dywizji do pułku, z jednego działu do drugiego, niewielu zaglądało do jej treści, bo i była to sprawa nadzwyczajnego znaczenia. Jedni więc patrzyli na nią z przerażeniem, a drudzy ze współczuciem, a ja tym wszystkim przejmowałem się i denerwowałem. W końcu zrozumiałem, że do chwili jej załatwienia nie powinienem odchodzić ze służby, bo też zasłużonej odprawy nie otrzymam.

Moje zdrowie, poczynszy od pierwszej sprawy z donosem, było nadwężone i wszystko to dalej odbijało się na moich nerwach. Byłem stale podenerwowany i tylko na siłę próbowałem zachować spokój. Po powrocie z obozu zamykałem się w domu i oczekiwałem zakończenia sprawy. Na początku myślałem, że ona nigdy się nie skończy. Podczas rozpatrywania jej w pułku postanowiono, iż powinna ona być załatwiana w Orenburgu lub w Taszkencie²¹⁷ na zasadach obowiązującego wówczas prawa sądowego. Później w dywizji uznali jednak za stosowne przedstawienie sprawy w sztabie okręgowym do rozpatrzenia. W Moskwie też myśleli, ale niczego nie wymyślili. Na moje

²¹⁶ Informacja częściowo zgodna z *Posłuznym spiskom*. Order św. Anny 2. stopnia Skolimowski otrzymał dwa lata później.

²¹⁷ Prawdopodobnie pomyłka Skolimowskiego. Taszkent został włączony do Rosji w 1866 r.

szczęście przyjechał do Smoleńska prokurator okręgowy i będąc w gościnie u dowódcy sztabu 1. dywizji pułkownika Duchonina²¹⁸, porozmawiał z tym dobrym człowiekiem o mojej sprawie, która na szczęście dzięki jej kuriozalnemu nagłówkowi utkwiała w jego pamięci. Duchonin przedstawił prokuratorowi moją niełatwą sytuację oraz to, że jestem po chorobie i powinienem być zwolniony ze służby. Ten ostatni powiedział, iż sprawa moja może być zakończona przed sądem okręgowym w Moskwie. Zaraz po tym Duchonin w imieniu dowódcy dywizji zapytał w sztabie okręgowym, czy mogę być zwolniony ze służby. Prosił dowództwo o przyznanie mi praw i przywilejów, które nabyłem w służbie z dniem 1 grudnia 1869 roku, na co odpowiedziano, że sprawa śledcza rozpoczęta w Orenburgu nie ma wpływu na zwolnienie mnie ze służby oraz nabyte przeze mnie prawa i przywileje przy przejściu do tego stanu.

Równocześnie napisałem list do ministra wojny z załączonym pismem generała Bezaka²¹⁹, w którym prosił on, aby wraz z odejściem ze służby awansowano mnie do stopnia generał[a]-majora. Przyznaję, że wysyłając ten list, nie miałem żadnej nadziei na spełnienie moich oczekiwań. Po pierwsze, wedle prawa nie spełniałem warunków, po drugie zaś, znając uprzedzenie ministra do Polaków, nawet gdyby to było możliwe, to i tak by odmówił.

Do 2 marca 1870 roku mieszkałem w Smoleńsku; jako chory pozostawałem nadal w służbie, biorąc w tym czasie urlop²²⁰. Do chwili odejścia ze służby wyjechaliśmy do waszego dziadka Franciszka, który już wcześniej zapraszał nas na zamieszkanie w Michajłowskoje.

Po przyjeździe do dziadka pozostaliśmy u niego cztery dni. Zamieszkaliśmy w oficynie, która od jesieni czekała na nas. Tam też trafiły nasze rzeczy przywiezione przez woźnicę Iwana. Razem z pakunkami Iwan przyprowadził również mojego konia wierzchowego i nasz ekwipunek. Zaraz po święcie Paschy przystąpiliśmy do urządzenia oficyny. Przerobiliśmy dwa okna, w ogrodzie zbudowaliśmy dużą altanę, wszystkie pokoje wytapetowaliśmy; jednym zdaniem, nasze mieszkanie stało się bardzo przyjemne i przytulne.

W końcu maja pojechaliśmy z mamą do Petersburga, żeby zabrać was na wakacje. W czasie powrotu mama zachorowała na różyczkę. Biedna męczyła się w drodze, a po przyjeździe do Smoleńska do cioci Fosi padła do łóżka i przez dwa tygodnie była w niebezpieczeństwie. Zapalenie przeniosło się na

²¹⁸ Michaił Ławrentowicz Duchonin (1837–1895), pułkownik od 1869 r., generał-lejtnant od 1886 r., uczestnik polskiej kampanii w 1863–1864 r. Od 1866 r. naczelnik sztabu 1. dywizji; C. B. Волков, *Генералитет*, t. 1, s. 490–491.

²¹⁹ Zob. przypis 199.

²²⁰ Skolimowski, będąc chorym, został zaliczony do stanu pułku, co nie przeszkadzało mu we wzięciu urlopu.

głowę, która w całości opuchła. Pomoc lekarzy i różnych znachorów uleczyła w końcu chorobę i 17 czerwca wraz z ciocią Fosią pojechaliśmy do Michajłowskoje, odwiedzając po drodze Pożniakowów w Dorogobużu.

Kiedy przyjechaliśmy do domu, ciocia Fosia wpadła w zachwyt nad naszym mieszkaniem, kwiatami i życiem. Nasze gospodarstwo rodzinne było oddzielone od dziadka; mieliśmy swoje konie, ekwipaże i ludzi. Nasz kucharz Jakow karmił nas wybornie; z tego co miał pod ręką przygotowywał przepyszne dania.

Nigdy nie zapomnę naszych wakacji w 1870 roku; jakież to był przepiękny czas, jak wszyscy radowaliśmy się i weseliliśmy. Przyjechała do nas z dziećmi ciocia Juleńka. Dzieci było dużo, ciągle bawiły się w przeróżne zabawy, a my siedzieliśmy i często też z wami szaleliśmy. Wiele razy bywałem tak zmęczony, że nie mogłem nawet słowa powiedzieć, ale czułem się lekko. Zdrowie poprawiło się zauważalnie, a wszystko z tego powodu, że byłem wolny, a wy w tak miłym gronie byliście szczęśliwe.

Jednak wszystko ma swój początek i koniec, więc i nasze wakacje zbliżały się ku końcowi. Wasze osobowości rozwinęły się, często się zamyślałyście. Pewnego pięknego ranka pojechaliśmy do Petersburga. W Smoleńsku gościliśmy u cioci Fosi i zabrawszy ją ze sobą, ruszyliśmy w dalszą podróż. Z Dźwińska wy, moje drogie dzieci, z mamą i ciocią Fosią pojechałyście do Petersburga, a ja pojechałem w lewo i skierowałem się do Warszawy.

Czytając losy całego mojego życia, wiecie dzieci, że przez ponad [trzydzieści dwa] lata byłem wszystkiego raz w ojczyźnie, i to tylko dwa tygodnie, dlatego też zapominałem o tym, co ojczyste. Po przejściu w stan spoczynku odpocząłem od wszelkich życiowych i służbowych niewygód. Mimowolnie zacząłem wspominać lata dzieciństwa, dlatego posiadając ku temu środki, udałem się do Warszawy.

Zapomniałem wam opowiedzieć o odejściu ze służby. Kiedy w końcu maja byłem z waszą mamą w Petersburgu, wykorzystałem wszelkie możliwości, żeby poznać sztab generalny – co w nim słychać i czego mogę oczekiwać przy odejściu ze służby, czyli inaczej mówiąc, jaki jest skutek mojego pisma do ministra wojny. Oczywiście nikt tam o niczym nie wiedział. Kiedy już mieszkalem w Michajłowskoje i kiedy gościli u nas siostra Julia Pożniakowa z dziećmi, guwernantką Wierą Michajłowną Suworową oraz siostrą Faustyną, siedzieliśmy w gościnnym pokoju po herbacie i przyniesiono mi pocztę, którą otrzymywałem raz na tydzień. Chociaż zawsze oczekiwałem jej z niecierpliwością, to tym razem położyłem ją na etażerze i rozmawiałem dalej z gośćmi. Około dwunastej w nocy, kiedy uprzątnięto już stół po kolacji, przyszedł do nas dziadek Franciszek z gazetą w rękę i z wyrazem niepokoju na twarzy. Wiedząc o tym, że o godzinie jedenastej dziadek zawsze był już w łóżku, zaniepokoił się. Ale kiedy dziadek krzyknął do mnie, tytułując mnie: „Panie

generale”, po czym wziął gazetę i zaczął czytać o mojej nominacji i odejściu ze służby z pełnym uposażeniem, to radości nie było końca. Prawie do świtu siedzieliśmy, rozmawiając.

Był to dar od Boga, także ten okropny donos, który wtedy wydawał się moim nieszczęściem; wróżył nawet Syberię. Dzięki temu donosowi właśnie dostałem dwóch awansów, na pułkownika i generał[a]-majora, z pełną pensją generalską. Pułkownika dał mi Bezak, żeby mnie zaspokoić, a generała-majora dał mi jego list napisany na zakończenie śledztwa, który w oczach ministra wojny był wyrazem uznania za moją dobrą służbę w stepie. Jak widać, służbę ową ocenił minister wysoko, skoro luki i niedostatki prawne tak dostośował, by dać mi tak wielką nagrodę. Według bowiem przepisów pułkownik, który wysłużył się na tym stanowisku dziesięć lat, za nienaganną służbę może otrzymać stopień generała razem ze zwolnieniem ze służby, ale nie inaczej jak na wniosek i z poparciem swojego dowództwa. Ja byłem pułkownikiem tylko pięć lat, od nikogo w tej sprawie poparcia nie było, bo i być nie mogło; jedynie dzięki załączonemu listowi Bezaka otrzymałem zadośćuczynienie za poniesione obrazy i nieprzyjemności.

Zarazem ta decyzja ministra Dmitrija Aleksiejewicza Milutina²²¹ udowodniła wielkoduszność tego dostojnika. Dotychczas znałem tylko jego negatywne nastawienie do Polaków, a przeprowadzone przez niego zmiany w armii blokowały awanse oficerów polskiego pochodzenia. Pomimo to moja sprawa została załatwiona pozytywnie; można nawet powiedzieć, że otrzymałem więcej niż mogłem się spodziewać. Moje odejście w stan spoczynku narobiło szumu w całej dywizji i w Smoleńsku. Nowy dowódca po przeczytaniu tego w gazecie był przekonany, że jest to pomyłka, bo nic podobnego nie mogło się zdarzyć. Rzecz zrozumiała, razem z waszą mamą cieszyliśmy się i dziękowaliśmy Bogu.

Mój wyjazd do Warszawy, do rodzinnych miejsc, również był pełen wzruszeń i radości. Nigdy nie zapomnę chwili, kiedy zobaczyłem moje rodzinne miasto – Warszawę, gdzie do siedemnastego roku życia się wychowywałem. Ze wzruszeniem patrzyłem na znane mi ulice, budynki, kościoły, wśród których jeszcze jako młody człowiek spacerowałem i modliłem się. Do Warszawy przyjechałem o godzinie siódmej wieczorem. Na drugi dzień o szóstej rano byłem już w kościele św. Ducha²²². W tym kościele modliłem się zawsze i jako chłopiec służyłem do mszy; tu przyozdabiałem ołtarze i wszystko co pamiętam stąd, było dla mnie bardzo przyjemne. Dlatego też, moje drogie dzieci, rozumiecie chyba moje wzruszenie, moje łzy podczas modlitwy. Tam, w kaplicy Matki Bożej, dziękowałem Bogu za daną mi możliwość ujrzenia

²²¹ Zob. przypis 210.

²²² Kościół św. Ducha przy ul. Długiej.

jeszcze raz drogich mi miejsc oraz za okazaną łaskę i miłość. Odwiedziłem też grób mojego łaskawcy, stryja księdza Rafała Skolimowskiego, przy którym w modlitwie prosiłem o błogosławieństwo dla całej rodziny.

Z Warszawy pojechałem do Płocka, gdzie spotkałem się z moim siostrzeńcem kanonikiem Gracjanem Rzewuskim, synem mojej zmarłej siostry Zofii. Spotkanie było pełne wzruszeń. Pamiętałem go jako pięcioletnie dziecko, a teraz ujrzałem dostojnego duchownego. Stąd pojechałem do Częstochowy i tam, będąc po raz pierwszy przed obrazem Matki Bożej, uderzyła mnie wiara narodu. Widziałem tam masy ludzi modlących się i przybywających z dalekich stron. Potem pojechałem do swojego rodzinnego gniazda Skolimowa-Wojnowa i przejeżdżając tędy, odwiedziłem nasz cmentarz parafialny w miasteczku Mordy, gdzie pokłoniłem się prochom moich rodziców i krewnych; byłem w naszym kościele parafialnym i słysząc znajomy śpiew kościelny, płakałem, zasłaniając twarz książką. W Wojnowie zatrzymałem się u Andrzeja Rzewuskiego, ojca kanonika [Gracjana], gdzie gościłem cały tydzień. Ten czas także należał do najlepszych w moim życiu; ujrzałem tam mych krewnych, którzy pozostali wśród żywych, ale było ich tylko dwóch, mój gospodarz Andrzej Rzewuski i drugi – jego zięć Karol Raczyński; pozostałych pochłonęła ziemia. Nowe pokolenie nie знаło mnie oczywiście, ale z życzliwością przywitało swojego krewnego generała i było z tego dumne.

Po powrocie do Warszawy otrzymałem należne mi po śmierci ojca tysiąc pięćdziesiąt rubli (siedem tysięcy złotych polskich). Przyznam się, że i bez nich byłbym szczęśliwy, a będąc dobrze sytuowany, postanowiłem rozdać te pieniądze swoim krewnym, którzy bardziej ich ode mnie potrzebowali. W ten sposób trzy tysiące złotych polskich podarowałem Florentynie, córce siostry Agnieszki zamężnej za Moczulskim; dwa tysiące złotych Kornelii Korycińskiej, siostrze kanonika, a córce mojej siostry Zofii; oraz dwa tysiące złotych siostrze Marii Dąbrowskiej, córce mojego stryja Feliksa Skolimowskiego, z którą wychowywałem się w dzieciństwie.

Tak rozporządziwszy w czasie trzytygodniowego pobytu w ojczyźnie, ze smutkiem żegnałem się z Warszawą i 6 września 1870 roku pojechałem z powrotem do Smoleńska, gdzie u cioci Fosi spotkałem waszą mamę, która tymczasem oddała was do instytutu, do którego wyjechałyście 24 sierpnia. U Fosi gościliśmy tydzień; opowiadałem o tym, co widziałem i co przeżyłem w Warszawie, i 14 września wróciliśmy do Michajłowskoje. Wygodne i przyjemne zacisze okazało się dla nas niezbędne do odpoczynku i rozmów o moich peregrynacjach. Wasza mama z uwagą słuchała moich opowieści i już wtedy polubiła Warszawę, do której w następstwie pojechalśmy zamieszkać.

Po długiej podróży nasz kącik w Michajłowskoje wydał nam się jeszcze bardziej przyjemny i wygodny. Było tu tak czysto i schludnie; mieliśmy pełną niezależność, zupełny spokój i wspomnienia o was, moje drogie dzieci. To

wszystko sprawiało, że byliśmy w pełni szczęśliwi. Dużo spacerowaliśmy, wieczorami czytaliśmy, a czytać mieliśmy co, bo prenumerowałem pisma, gazety; poza tym u dziadka była mała biblioteka, złożona ze starych wydawnictw i książek o różnej tematyce. Ponadto, jak zawsze o tej porze, gdy zbliżała się jesień, zajmowaliśmy się gospodarstwem domowym, przygotowywaliśmy różne zapasy na zimę, karmiliśmy ptactwo, którego jak pamiętacie, było u nas mnóstwo. Wy też lubiliście ptasie gospodarstwo, zawsze na wakacjach karmiłyście i cichutko podrzucałyście kaszę i inne ziarna swoim ulubieńcom, a jak wyjeżdżałyście, zawsze prosiłyście, aby zostawić i oszczędzić je do wazszego powrotu, co my staraliśmy się spełniać.

Z opowiadań powyższych wiecie, moje dzieci, że do piątego roku życia mieszkałem na wsi, a od tego czasu w miastach, nie mając dużego pojęcia o życiu na wsi. Dlatego też po oddaleniu się z ciężkiej wojskowej służby i zakończeniu jej tak szczęśliwie, można powiedzieć zwycięsko, z upodobaniem podchodziłem do życia wiejskiego. To życie wracało mi zdrowie tak mocno nadszarpnięte przez ostatnie niedogodności na służbie i powodowało powrót mojej energii, której upadek zauważyłem. Poza tym to spokojne i bezpieczne życie było zwycięstwem moralnym nad nielicznymi moimi wrogami, co na nowo wskrzesiło moją wiarę w ludzi i z miłością patrzyłem na przepiękny Boży świat.

Zaczynając opis mojego życia po odejściu ze służby, zawrę go w osobnej części, która powinna być ostatnia. Zgodnie z moimi wpływającymi latami, wy kochani również dorośliście, dlatego sami będziecie śledzić nasze życie, pozostawiając je w swojej pamięci.

Życie w stanie spoczynku

Po wszelkich niedogodnościach, o których wspominałem w poprzednim rozdziale, rozkazem z dnia 24 czerwca 1870 roku zostałem w końcu mianowany generał[em]-majorem z generalskim uposażeniem, które wraz z emeryturą stopnia pułkownika, płatną za pięć lat, dawały mi dożywotni dochód w wysokości tysiąca i trzech rubli i siedemdziesięciu pięciu kopiejek. Suma ta wraz ze środkami, które mieliśmy wcześniej, zabezpieczały nam dostatnie bytowanie.

W Michajłowskoje urządziliśmy się zupełnie dobrze, można powiedzieć, komfortowo. Żyliśmy z waszą mamą swobodnie, w niczym nie przeszkadzając dziadkowi Franciszkowi. Dziadek w charakterze miał wrodzone skąpstwo, a my, nie potrzebując od niego niczego, żyliśmy tylko ze swoich środków, nie

mieszając się w żadne jego sprawy i starając się troszczyć o niego w różnych życiowych drobnostkach.

Wasze pierwsze wakacje w Michajłowskoje już opisałem, okres ten w tej chwili mam przed oczami i mimowolnie powrócę do niego, żeby i wam pozostał na stałe w pamięci. Czy pamiętacie przyjemną podróż ze Smoleńska do Michajłowskoje? Wasza mama była już zdrowa po ciężkiej chorobie i wesoła, dlatego wszyscy się cieszyliśmy. A pamiętacie, kiedy razem z ciocią Fosią wciskaliśmy się do naszej arki, dużego tarantasu, a nasz woźnica przestraszył się takiej nas ilości i zaprowadził do poczty, wyjaśniając, iż jego nieszczęsne trzy koniki nie podołają temu? Później nasz pobyt u ciotki Julii w Dorogobużu, gdzie bałyście się wielkich karaluchów i prosiłyście, żeby ciocia i mama wzięły was do łóżek? Czy jak jechaliśmy w górach obok Aleksiejna?²²³ I jak biegałem z wami po zboczach? Pamiętacie, jak ciocia Fosią zachwycała się naszym mieszkaniem, a wy tak byłyście zadowolone ze swojego pokoiku, podczas gdy Wania spał za parawanem w korytarzu? Czy pamiętacie nasze spacerunki po polach i lasach Michajłowskoje, kiedy zabieraliśmy słodkości w zrobionych dla was przez mamę torbach? Kiedy gościliśmy ciocię Julię i Konstantynowiczów z dziećmi? Cóż to była za radość, jakież zadowolenie, kiedy jak mrówki wypuściliśmy was na spacer. Od śmiechu, szumu, krzyków było głośno i nawet ja z dziadkiem brałszy udział w zabawach, a potem wesoło jedliśmy obiad, piliśmy herbatę w altanie, huśtaliśmy się na huśtawkach i długo w noc księżycową siedzieliśmy w ogródku przed domem. Tak, moi drodzy, wspominajcie jak najczęściej ten szczęśliwy, ten święty czas. Czekam was bowiem dużo dobrego, ale czy doświadczyć takiej zgody i takiego uczucia?

Na ogół pierwszy rok w stanie spoczynku był dla mnie bardzo udany i bardzo przyjemny. Mój wyjazd do ojczyzny wprowadził do mojej duszy szczególne ciepło; wspominałem przeszłość, to co ojczyste i bliskie żywo na mnie oddziaływało. Po powrocie do domu, do swojego spokojnego kąca, w ciszy zimowego wieczoru dzieliłem się z waszą mamą przeżyciami z ojczyzny, znajdując w jej oczach prawdziwe zainteresowanie, i byłem bardzo szczęśliwy, a czas mijał niezauważalnie. Ale nigdy nie ma radości bez smutku; jak widać, takie zestawienie musi być zawsze, żeby człowiek się nie przesycił i nie stał bezwolnym.

2 października 1870 roku otrzymałem wiadomość z Dorogobuża, że wasza ciocia, a siostra rodzona mamy – Julia Pożniakowa, dnia 1 października oddała duszę Bogu przy porodzie. Na początku nie wiedziałem, jak dziadek i mama przyjmą tę straszną wiadomość. Mama stwierdziła, że gdy otrzyma-

²²³ Być może Aleksino – wieś w powiecie kowrowskim w guberni włodzimierskiej.

łem pismo od posłańca, to powinienem powiedzieć wszystko i że jest ono napisane przez pisarza Pożniakowów. Wasza mama bardzo mocno to przeżyła, ale udało mi się szybko ją uspokoić; ustaliliśmy, że to ona musi o tym powiadomić dziadka w odpowiedni sposób. I powiedzieć mu, że ciocia jest chora i prosi o przyjazd do niej. Mama uspokoiła się szybko. Plan się udał, więc 2 października dziadek z mamą wyjechali do Dorogobuża, a ja z powodu braku miejsca w tarantasie dziadka zostałem w domu. Mama za mało przygotowała dziadka, ale wszystko przebiegało bez większego dramatu. Biedna mama dużo wycierpiała, widząc masę dzieci, wraz z którymi zjawilo się i maleństwo – winowajca śmierci matki.

11 października mama z dziadkiem wrócili do domu i słuchałem ich smutnych opowiadań o śmierci waszej cioci Julii. Zimą 1871 roku przeżyliśmy spokojnie, wiele razy jeździliśmy do Dorogobuża i Smoleńska, a w listopadzie byliśmy w Moskwie z Fosią, gdzie jeździłem za swoimi sprawami finansowymi. W końcu maja 1871 roku mama znowu pojechała z wami do Petersburga, a 11 czerwca przywiozła was do mnie zdrowe i dzielne.

Znowu zaczęły się wakacje i znowu Michajłowskoje ożyło. Przyjechali w goście młodzi Pożniakowie z guwernantką Saszą Konstantynowicz, przyjechała Masza Rozanowa z małymi synkami, i brzęczałyście jak pszczoły, a śmiechu nie było końca. Wakacje minęły, wy zaś pojechaliście, a czas swoim rytmem uciekał i się toczył. Do Petersburga odwoziliśmy was oboje; wróciliśmy szczęśliwie, myśląc cały czas o was i oczekując na listy. Co do mnie, to życie w Michajłowskoje układało się dobrze, byłem w pełni spokojny i zadowolony, lecz dla mamy to życie miało swoje niedogodności i troski.

U dziadka mieszkała wówczas gospodyni, znana wam Anastazja. Sama jej obecność w Michajłowskoje była nieszczęściem dla całej rodziny, bo i sama ta kobieta w dużym stopniu do tego się przyczyniała. Żeby chociaż przynosiła ona spokój dziadkowi, to i życie dla mamy w Michajłowskoje byłoby inne i inaczej wpływało na naszą sytuację. Ale Nastia była czystą furią i złym duchem, więc mama, pomimo miłości do ojca, denerwowała się. Ta niedobra kobieta rozsiewała plotki, skłócała ludzi, innymi słowy, stwarzała piekło. Miała na dziadka silny wpływ, czym i on się bardzo przejmował, ale nie miał siły wyrwać się spod władzy tej kobiety. Na początku patrzyłem na to wszystko z uśmiechem, w ogóle się tym nie przejmując, bo i nie leżało mi to na sercu. Radziłem mamie nie brać sobie tak bardzo tego wszystkiego do serca, a żyć w Michajłowskoje do waszego powrotu, by później przeprowadzić się do jakiegokolwiek innego miasta. I tak zdecydowaliśmy w zimie 1872 roku. Lecz wiosną, kiedy Nastia zaczęła do tego stopnia nastawiać dziadka, to jest czynić nieprzyjemności mamie, a ta z tego powodu dużo cierpiała i płakała, postanowiliśmy pozostawić Michajłowskoje i przeprowadzić się do Warszawy, którą to z moich opowiadań ona tak polubiła.

Przyznam się, że nie bardzo chciało mi się opuszczać zbyt wcześnie Michajłowskoje. Pozostając tam tylko do waszego powrotu, mogliśmy zebrać trochę więcej pieniędzy potrzebnych na wyjazd, w tym i na wasz ekwipunek. Ale cóż było robić. Dopiero teraz cieszę się, że uratowaliśmy się od nieszczęścia. Wiosną tegoż 1872 roku zacząłem otrzymywać nieprzyjemne informacje o tobie, Wania; uczyłeś się słabo, przy czym stałeś się niegrzecznym i grubiańskim chłopcem. Żeby zapobiec złu, postanowiliśmy zabrać cię z Petersburga i umieścić w Kadeckim Korpusie w Orle²²⁴.

Na Boże Narodzenie 1871 roku pojechaliśmy z mamą do Smoleńska i stąd chcieliśmy jechać na Nowy Rok 1872 do Orła do Rozanowów, ale mama zachorowała i pojechałem tam sam. W Orle przygotowałem wszystko dla Wani, a po powrocie do Smoleńska zastałem mamę ciężko chorą, leczoną przez doktora Krauzego. Wasza biedna mama przeleżała w łóżku ponad dwa miesiące, a jej cierpienia były ogromne. Choroba była poważna, ale znany lekarz Wasilij Iwanowicz Krauze postawił mamę na nogi i po jakimś czasie poczuła się zdrowsza i silniejsza. Przez cały czas choroby mama była u cioci Fosi, która poświęcała jej mnóstwo troski i uwagi. Ja wyjechałem wtedy do Michajłowskoje i często mamę odwiedzałem.

Ostatnie wakacje w Michajłowskoje również spędziliśmy wesoło i mieliśmy w tym czasie jeszcze więcej gości niż to wcześniej bywało. Pod koniec wakacji przyjechali Rozanowie z całą trójką dzieciaków; cieszyliście się, dołączając do swojej kompanii Jana Suskiego, który także długo gościł w Michajłowskoje. Jak już postanowiliśmy o zamieszkaniu w Warszawie, to wy, moje drogie, żegnałyście się z Michajłowskoje być może już na zawsze; często spacerowałyście po polach i lasach, wspominając ulubione miejsca.

W tymże 1872 roku ja, mama i wy, cała trójka dzieciaków, pojechaliśmy do Juchnowa, a stąd na mogiłę waszej babci Eleonory Suskiej, urodzonej Izbińskiej, do wsi Buturlino. Ta babcia była mamą waszej mamy i umarła, kiedy mama miała dziewięć lat i kiedy dziadek Franciszek Suski zarządzał majątkiem księcia Jusupowa i mieszkał w Klimowie. Na mogile babci nie znaleźliśmy żadnego śladu postawionego przez dziadka ani ogrodzenia, a krzyż zniszczał. Nie tylko mama, ale i ja pamiętałem, gdzie babcię pochowano, gdyż po naszym ślubie jeździliśmy od Pożniakowów z Dorogobuża i tu modliliśmy się z waszą mamą gorliwie za jej duszę i prosiliśmy o jej błogosławieństwo w naszym życiu. Jestem przekonany, że wstawiennictwo tej świętej kobiety pomogło nam przejść przez nasze trudne życie.

²²⁴ Orłowski Kadecki Korpus Bachtina został założony w 1843 r. dzięki ogromnym środkom pieniężnym bogatego kupca Bachtina. Nauka w korpusie trwała sześć lat. W 1864 r. został przemianowany na gimnazjum wojskowe.

Pewnego roku wszyscy pojechaliśmy do Dorogobuża do Pożniakowów z Rybek do Marii Borisowny, matki Akinfija Nikiforowicza Pożniakowa, już staruszki, którą lubiłem za jej radość i dobre serce. Pisałem wam wcześniej, że razem z mamą i dziadkiem po naszym ślubie pojechaliśmy do domu do Michajłowskoje, lecz w Dorogobużu otrzymaliśmy zaproszenie od starych Pożniakowów, żeby koniecznie do nich przyjechać jako młode małżeństwo.

Wielka gościnność i radość Pożniakowych zostanie na zawsze w mojej pamięci. Starzec ten już dawno jest w mogile, a dobra staruszka jeszcze do tej chwili, t[o] j[est] gdy to piszę 5 października 1874 roku, zadziwia wszystkich swoją dobroduszością.

Jeździliśmy także do Kurowa do dobrych Kraińskich, którzy przyjmowali nas z otwartymi ramionami. Żona Kraińskiego, Natalia Nikiforowna, to siostra rodzona Pożniakowa, męża waszej zmarłej ciotki Julii.

W ostatnie wakacje odwiozłem Wanię do Orła i przekazałem Iwanowom, żeby go przygotować do egzaminów do gimnazjum wojskowego. Wyjechaliśmy z Michajłowskoje 22 czerwca [1872], a mama razem z cicią Fosią, Maszą i Leną pojechały do Dorogobuża. Później jeździły do Sławkowa do Konstantynowiczów, gdzie bardzo przyjemnie spędziły czas. W końcu i wam, Maszo i Leno, przyszło wybierać się do instytutu. Pamiętam dobrze, jak stałyście smutne, żegnałyście się z Michajłowskoje, którego już chyba nie będziemy widzieć. Dziwiliśmy się, jak ten czas szybko umyka. 5 sierpnia po obiedzie podjechały dwa tarantasy i kiedy pożegnałyście się z dziadkiem i ze wszystkim, co lubiłyście – z waszym ulubionym pieskiem Fidelką i nawet z kurami, indykami, gęśmi, kaczkami, usiadłyście z nami i Rozanowami i odjechałyście z płaczem, aby w końcu śmiać się.

Do Rosławia²²⁵ jechaliśmy razem. Czy pamiętacie tę przepiękną noc księżycową, podczas której śpiewaliśmy chórem, śmialiśmy się, skakaliśmy, jednym zdaniem, starzy stali się chłopcami? W Rosławiu rozdzieliliśmy się – ja z Rozanowami pojechałem do Orła, żeby być przy egzaminie Wani i umieścić go w gimnazjum, a wy, Masza i Lena, razem z mamą pojechałyście do Smoleńska, żeby chwilę tam gościć, a następnie jechać do Petersburga.

Jak w tej chwili pamiętam, do Orła przyjechałem w niedzielę 6 sierpnia 1872 roku, dokładnie w południe. Zatrzymałem się u Rozanowów. Wanię zastałem w zdrowiu, ale zacząłem martwić się o jego przyjęcie. Egzaminy poszły mu niezbyt dobrze i Wania nie został przyjęty na koszt własny, a tylko jako wolny słuchacz. Kiedy przyjechaliśmy, przywitała nas Zuzanna Iwanowna, matka Rozanowej z dziećmi; było wesoło, zaczęły się opowiadania o życiu w Michajłowskoje, a druga strona mówiła o swoim życiu w Orle, jednym

²²⁵ Rosław – miasto w guberni smoleńskiej.

zdaniem, Wiktor Wiktorowicz jako ojciec rodziny cały ten czas był w dobrym nastroju.

Długo spacerowałem z Rozanowem. W czwartek byliśmy z Wanią i starszym Rozanowem w parku miejskim i piliśmy tam wodę z syropem. Kiedy siedzieliśmy na ławce, Rozanow powiedział, że niepotrzebnie piliśmy wodę, bo w Orle panuje cholera i niezbyt dobrze mu teraz na żołądku. Prędko więc wstaliśmy i zaczęliśmy szybko chodzić, żeby pobudzić krew. Ból Rozanowa uspokoił się i zapomnieliśmy o tym. Wieczór spędziliśmy wesoło; na drugi dzień, to jest w piątek, Rozanow wybrał się do sądu, bo troszczył się o dokumenty dla syna Wicia, przygotowane w celu umieszczenia go w gimnazjum. Ja załatwiałem sprawy Wani, a o godzinie trzeciej usiedliśmy do obiadu, który przebiegał w jak najlepszym nastroju. Po obiedzie Maria Francевна przyniosła jabłka i serdecznie częstowała mnie nimi. Co zrozumiałe, odmówilem, tłumacząc się niepełnym uzębieniem, a Wiktor Iwanowicz, śmiejąc się, wziął jabłko i zaczynając je jeść, mówił, że ma zęby, ale za chwilę przypomniał sobie o cholery i rzucił jabłko, bo jak stwierdził, robi głupoty, jedząc je w tak niedobrym czasie. Dobrze pamiętam, że po tym jeszcze długo spacerowaliśmy po salonie we dwóch i wesoło gadaliśmy o różnych sprawach. Po jakimś czasie Rozanow podszedł do bufetu, wziął kieliszek, znalazł wódkę i wlewał jakieś krople. Na moje pytanie odpowiedział, że jest osłabiony i niedobrze mu na żołądku, dlatego też stosuje krople Botkina²²⁶.

Około szóstej wieczorem poszedłem pospacerować i wróciwszy o siódmej, zastałem Rozanowa w łóżku, z doktorem obok niego oraz całą rodziną w strasznym niepokoju. Doktor stwierdził, że ma cholerę. Możecie sobie wyobrazić, jak dotknęło to całą szczęśliwą i wesołą rodzinę. Cała noc upłynęła na nacieraniu, przygotowywaniu naparów, a dwaj lekarze nie odstępowali chorego. Ja również brałem w tym czynny udział, nacierając chorego. Wszyscy cały czas robili co się dało, lecz choroba nie ustępowała, ale chory uspokoił się; pewnie rozmyślał o swoich sprawach i nad ranem w sobotę poprosił mnie o napisanie w jego imieniu prośby do dyrektora o przyjęcie jego syna Wiktorra. Przygotowaną prośbę podpisał o jedenastej rano i podpis ten był ostatnim w jego życiu.

Wspomnianą wyżej prośbę osobiście zaniósłem do dyrektora, a kiedy o trzeciej po południu wróciłem do domu, zastałem ogromną zmianę u chorego. Jego twarz pociemniała, oczy mocno zapadły, a głos bardzo osłabł. Wymiotów nie było. Zebrane konsylium co jakiś czas zmieniało lekarstwa, wlewali w niego ogromne ich ilości, a poza tym podawali mu bardzo często szampana z lodem. Przyznaję, że w myślach nie pochwalałem takiej metody

²²⁶ Krople Botkina – ich wynalazcą był Siergiej Botkin (1832–1889), znany lekarz rosyjski.

leczenia, niepokoiło mnie tak częste przyjmowanie różnych leków przy tak groźnej i postępującej chorobie. Sobota minęła w strasznej trwodze, cała rodzina i służący byli wykończeni; lekarze oznajmili, że chory jest uratowany i że cholera zwyciężona, ale stwierdzili u niego przypadek tyfusu jako następstwo po ciężkiej cholera. Poza tym chory ponad dwie doby nie oddawał moczu i to powodowało jego cierpienie, dodatkowo wszystkie przyjmowane środki okazały się nieskuteczne.

Ja też byłem wykończony...

[Na tym wspomnienia się urywają]

Indeks osób

A

Aleksander, syn wielkiego księcia Konstantego 34
Aleksander I 14, 34, 61, 153
Aleksander II 60, 61, 170, 173
Aleksander Aleksandrowicz, cesarz-wicz 205
Aleksander Iwanowicz 206, 207
Aleksander Mikołajewicz *zob.* Aleksander II
Aleksandra Fiodorowana, cesarzowa 58, 61
Aleksandrowicz, płk 93
Anastazja (Nastia), gospodyni Franciszka Suskiego 204, 210, 222
Andriej, ordynans 185
Aneta *zob.* Skolimowska z Suskich Anna
Aspijew Jewstiegniej Siemionowicz 77–80, 84, 85, 87, 88

B

Bachtin, kupiec 223
Barikow, adiutant 175
Batalionowie, rodzina 148, 151
Batalionow Zina 148
Bazyłow Ludwik 79
Bazanowa, żona gen. rosyjskiego 44
Beauharnais Hortensja de 170
Bekietow, właściciel hotelu 183
Bering, płk 170, 179, 190
Bestużew-Marliński Aleksandr Aleksandrowicz 75

Bezak Aleksandr Pawłowicz 152, 199–201, 216, 217
Bezobrazow, por. 80, 81, 83, 89, 90, 92, 93
Bezoobrazowowie 81–83, 85, 89, 90
Bielecki Robert 38
Biurno Karl Iwanowicz 176, 177
Bobrinsky, rodzina 96
Bobrinski Aleksiej Aleksiejewicz 95
Bogatkiewicz, lekarz 190
Boniecki Adam 28
Borodkin, oficer 92, 93, 98, 99
Botkin Siergiej 225
Brzozowski Franciszek 118, 119
Butakow Aleksiej Iwanowicz 197

C

Caban Wiesław 7, 11, 12, 73, 173
Ceyzik Feliks 190
Ceyzik Ignacy 190
Ceyzik Michał 190
Ceyzik, żona Michała 190
Ciesielski Stanisław 22
Chaniewicz Wasilij Antonowicz 7
Chanykowie, ziemianie 78
Chołmska Katarzyna Aleksiejewna (później Mikołajew) 155, 156, 174
Chołmska Liza 186, 189
Chołmska Olga Iwanowna 155, 181, 202
Chołmski Aleksiej 155
Chołmscy, rodzina 155, 163, 174, 175, 186, 192

Chrulew Stiepan Aleksandrowicz, 172
Czapska-Jordan Wanda 20
Czerep Stanisław 12
Czerniajew Michał Gregorowicz 198,
199

D

Dagmara, księżna duńska 58, 61, 208
Dandewil Wiktor Deziderowicz 190
Danzas Aleksandr Łoginowicz 191, 198
Dawidowa, siostra Remiszewskiej 177
Dąbrowska Maria 122, 219
Dąbrowski Andrzej 184
Dąbrowski Witalis 184
Debu Aleksandr Osipowicz 198
Dijew, kupiec 171, 175
Djakow Władimir Anatoliewicz 22, 156,
173, 190
Dobrycz Stefan, ojciec 37, 39
Dobrycz Stefan, syn 37
Duchonin Michał Ławrentowicz 216
Dziekoński, kadet 56

E

Englam, płk 167
Epsztein Tadeusz 13
Erenkrejc Afanasij Filipowicz 107, 108,
110, 111, 113, 114

F

Fel, lekarz 109
Feliks *zob.* Skolimowski Feliks
Filip, kamerdyner 205, 213
Fitinhof Aleksandr Maksimowicz 163,
169–180
Flahaut Karol de, syn Talleyranda 170
Forcman, płk 54, 55
Fosia *zob.* Grontkowska z Suskich Fau-
styna
Franciszek Józef I 99
Fruzia *zob.* Poźniakow Eufrozyna Niki-
forowna

G

Gabin, wojskowy 199
Gerber Rafał 38, 42
Gernst von, płk 70, 77
Gesze Paweł Iwanowicz 103

Głębocki Henryk 205
Głuchow Chrysanf Wasilewicz 147
Gołowow, mjr 161
Gorczycki Andrzej 20
Griczaninowie, ziemianie 78
Grigorij *zob.* Posocznik Grigorij Kyrło-
wicz
Grisza *zob.* Posocznik Grigorij Kyrło-
wicz
Grontkowscy, rodzina 185
Grontkowska z Suskich Faustyna (Fosia)
111, 113, 124, 125, 132–135, 137,
139, 141, 181–184, 197, 209–211,
213, 216, 217, 219, 221, 222–224
Grontkowski Fortunat 184, 209
Grontkowski Józef 184

H

Hildebrand, lekarz 109
Hrup, ogrodnik 177

I

Ignacy, lokaj 139, 142, 143, 146, 151,
152, 163, 182–184, 192, 193
Ignatiew Nikołaj Pawłowicz 192, 195–
197
Istomin, pomocnik lekarza 175
Iwan, woźnica 216
Iwanowie 224
Izbińska Eleonora *zob.* Suska z Izbiń-
skich Eleonora
Izdebska ze Skolimowskich Jadwiga 38
Izdebscy, rodzina 36–38, 123
Izdebski Antoni, mąż Jadwigi 29, 38, 48
Izdebski Gracjan, syn Antoniego 38, 42,
122
Izdebski Zenon, syn Antoniego 38, 42,
122

J

Jakow, kucharz 217
Janion Maria 14
Jankiel 120
Jankowski Antoni, gen. 43
Joniej płk. 147, 151
Jordan Wanda *zob.* Czapska-Jordan
Wanda

Judycka Agata 11
Judycki Zbigniew 11
Junij, wdowa 96, 202
Jusupow Nikołaj Borisowicz 16, 107,
223

K

Kalembka Sławomir 205
Kamieński Jan 38, 43
Karłow Nikołaj 199
Katarzyna II 49, 73
Katienin Aleksandr Andriejewicz 190–
193
Katkow Michaił 199, 200
Kasperek Norbert 42
Kieniewicz Stefan 57
Kisielow, kupiec 84
Kisielowie 84, 85
Kola *zob.* Skolimowski Mikołaj
Konarski Stanisław 28
Konstanty Mikołajewicz, wielki książę
61
Konstanty Pawłowicz, wielki książę 34
Konstantynowicz Sasza, guwernantka
222
Konstantynowiczowie, rodzina 221, 224
Kopaliński Władysław 134
Korowajew 199, 200
Korycińska Kornelia 47, 219
Kostylew, płk 101
Koszkadamow, lekarz 198
Kraińscy, rodzina 224
Kraińska z Poźniakowów Natalia 137,
138, 185, 224
Kraiński, mąż Natalii 185, 224
Krauze Wasilij Iwanowicz, lekarz 223
Krich Anna Aleksiejewna 7
Kriżanowskij Nikołaj Andriejewicz 201,
203
Kuczyński Antoni 22
Kulik Mariusz 12
Kumor Bolesław 43
Kutuzow Michaił Iłarionowicz 53

L

Legieć Jacek 7, 11, 73, 78, 96

Lena *zob.* Skolimowska Eleonora
Leończyk Sergiusz 7
Lewandowski Józef 143
Lewicki, płk 102, 104, 106, 107, 110,
114

Lipień, ksiądz 135
Lipiński Wenant 38, 119
Liszyn Piotr Stiepanowicz 73, 75, 78
Lubomudrow, lekarz 174
Lwowicz Nikita Jelisiejewicz 23

Ł

Ładwiżenski *zob.* Ładyżenskij Michaił
Wasiliewicz
Ładyżenskij Michaił Wasiliewicz 186–
188, 190
Łoginow, kpt. 95
Łubieński Tomasz Andrzej Adam 57

M

Maciejewski, kadet 56, 58, 62–64, 67,
71–73, 82
Maciejewski, płk 67
Majkowie, ziemianie 78
Malinin, lekarz 108, 110
Mant, lekarz 109
Mańkow Aleksandra Aleksiejewna 82,
83, 87, 89
Mańkow Liza Piotrowna 82, 83, 85, 87,
90
Mańkow Maria Piotrowna 82–90, 93
Mańkow Piotr Afanasjewicz 82, 86–91
Mańkowie, rodzina 81–86, 88–90, 92,
93
Maria, krewna Mańkowych 83
Maria Fiodorowna *zob.* Dagmara, księż-
na duńska
Maria Francówna 225
Maria Nikołajewna, wielka księżna 58,
61
Mazurkiewicz, kadet 52
Michajłow, ppłk 191
Michaił Mikołajewicz, wielki książę 64
Michaił Pawłowicz, wielki książę 55, 64
Mierchilewicz Sigismund Wieniedikto-
wicz 210

Mikołaj I 34, 41, 55, 58, 60, 73, 99, 108, 116, 152

Mikołaj Mikołajewicz, wielki książę 61, 64

Mikołaj Pawłowicz *zob.* Mikołaj I
Milewski Wacław 20

Milutin Dmitrij Aleksiejewicz 18, 208, 218

Moczulska Florentyna 219

Morny Karol August de 170

Mulina Swietłana Anatoljewna 7

N

Nagajew Aleksiej S. 156

Nam Iraida Władimirowna 7

Napoleon I 14

Napoleon III 170

Narmus, kpt. 75

Nastia *zob.* Anastazja

Natasza *zob.* Skolimowska Eleonora

Nikołajew, adiutant 156

Nowak Andrzej 11

Nowosielska Katarzyna *zob.* Skolimowska z Nowosielskich Katarzyna

Nowosielski Franciszek 38

Nowosielski Ignacy 37, 38, 43, 119

Nowosielski Wojciech 38

Nowosielski 31, 38

Nowosilcow Mikołaj 43

O

Ogariew Michał Wasiliewicz 151, 153, 155 156, 158–161, 168

Olga Nikołajewna, wielka księżna 58, 61

Olszewski Daniel 10

P

Paskiewicz Iwan 15, 16, 45, 116, 117

Pawłowski, kpt. 54

Penczulidzew Aleksandr Aleksiejewicz 71

Perkowska Zuzanna Iwanowna 113, 114, 133, 135, 209–212, 224

Perowski Wasilij Aleksiejewicz 22, 131, 143–150, 152, 153, 160, 161, 163,

170, 172, 173, 175, 176, 178, 180, 190

Peterson Karol Iwanowicz 56, 58

Piotr I 58

Piotrowski Walerian 29

Plater J. 22

Pleszczejew Aleksiej Nikołajewicz 17, 163, 173

Posocznik Grigorij Kiriłowicz (Grisza, Grigorij), ordynans 74–76, 81 82, 87, 89, 91, 99, 105, 116 117, 123, 125, 130, 143, 163, 165, 175, 185

Pożniakow Akinfj Nikołajewicz 111, 124, 125, 134, 135, 141, 211, 224

Pożniakow Eufrozyna Nikiforowna 137, 138, 185

Pożniakow z Suskich Julia, siostra Anety Skolimowskiej 111, 114, 124, 125, 132–135, 141, 184, 197, 204, 205, 209, 214, 217, 221, 222, 224

Pożniakow Maria Borysowna 137, 138, 224

Pożniakow Natalia Nikiforowna *zob.* Kraińska z Pożniakowów Natalia

Pożniakow Nikifor Polikarpowicz 137, 139, 185

Pożniakow Nikita Nikoforowicz 137–139, 185

Pożniakowie, rodzina 124, 134, 137, 138, 141, 184, 204, 209, 210, 217, 222–224

Praskowia, kucharka 139, 142, 143, 151, 163, 182, 184, 192, 193

Puszczyn Wsiewołod Pawłowicz 53, 55, 71

Putalów, kupiec 171

R

Raczyńscy, rodzina 40, 46, 47, 120

Raczyńska ze Skolimowskich Agnieszka, siostra Aleksandra 31, 33, 41, 45, 46, 48, 119–123

Raczyńska Flotentyna *zob.* Moczulska Florentyna

Raczyńska Gloria 121

Raczyńska Zofia 31, 33, 47, 48, 122, 219
 Raczyński, ojciec Karola 33
 Raczyński Aleksander 121
 Raczyński Józef 45
 Raczyński Karol 33, 48, 119–122, 219
 Raczyński Konstanty 121
 Rakitin, kwatermistrz 108, 110, 111, 114
 Rapelewski, lekarz 201
 Rejtern Michał Christoforowicz 152
 Rejtern, brat Michała, płk 152, 153, 185, 191
 Remiszewscy, rodzina 177
 Remiszewska, kapitanowa 177
 Remiszewski, kpt. 172, 175
 Romanow, dynastia 48
 Romanowicz Iwan Ignatiewicz 99, 101, 102, 110, 114, 126, 127, 132, 143–147
 Rostowcew Jakow Iwanowicz 63
 Rozanow 225
 Rozanow Wiktor, syn 225
 Rozanow Masza 212, 222
 Rozanowie, rodzina 203, 209, 223, 224
 Rukin, oficer 176
 Rzewuscy, rodzina 47, 121
 Rzewuska Kornelia *zob.* Korycińska Kornelia
 Rzewuska ze Skolimowskich Zofia 47, 122, 219
 Rzewuski Andrzej 47, 48, 121, 122, 219
 Rzewuski Gracjan 47, 219
 Rzewuski Paweł 38, 43
S
 Sagowska Taisa Grigorjewna 205–208, 210, 212–214
 Sagowskij Grigorij Jakowlewicz 206, 207
 Samkow, por. 84
Sapargalijew Gajart 22
 Sasza *zob.* Skolimowski Aleksander
 Sendenhorst, płk 162, 176
 Sewenard, właścicielka pensji 111, 185
 Siemion, ordynans 125, 132, 142, 143, 163, 185, 186
 Sierżputowski Adam Osipowicz 117
 Sikorski Władysław Eugeniusz 18, 20
 Skolimowscy, rodzina 17, 20, 28
 Skolimowska Agnieszka *zob.* Raczyńska ze Skolimowskich Agnieszka
 Skolimowska Anna, córka Aleksandra 18, 198
 Skolimowska Eleonora (Lena), córka Aleksandra 17–19, 27, 130, 187–189, 192, 194, 202, 208, 210, 212–214, 224
 Skolimowska Elżbieta, córka Feliksa 122
 Skolimowska Jadwiga, córka Jana *zob.* Izdebska ze Skolimowskich Jadwiga
 Skolimowska Maria, córka Feliksa *zob.* Dąbrowska Maria
 Skolimowska Maria (Masza, Natasza), córka Aleksandra 17–19, 27, 130, 187–189, 192, 202, 208, 210–214, 224
 Skolimowska z Nowosielskich Katarzyna, matka Aleksandra 15, 28, 31
 Skolimowska z Suskich Anna (Aneta) 16–18, 108, 111–114, 123, 125, 130, 133, 136, 139, 141, 142, 145, 184
 Skolimowska Zofia *zob.* Rzewuska ze Skolimowskich Zofia
 Skolimowski Aleksander, syn Aleksandra 17, 155, 174, 177, 179
 Skolimowski Feliks, stryj Aleksandra 28, 32, 33, 38, 40, 43, 45, 47, 122, 219
 Skolimowski Jan, ojciec Aleksandra 15, 28, 122
 Skolimowski Mikołaj, syn Aleksandra 18, 203
 Skolimowski Rafał, ksiądz 15, 28, 29, 33–35, 37–42, 45, 46, 54, 66, 72, 86, 93, 95, 114, 118, 119, 128, 132, 219
 Skolimowski Rafał, syn Aleksandra 18, 180, 191
 Skolimowski Roch, syn Feliksa 38, 43

- Skolimowski Wania (Jan), syn Aleksandra 18, 19, 27, 194, 195, 197, 202, 211, 213, 214, 221, 223–225
- Skolimowski Wawrzyniec, syn Feliksa 45, 122, 213
- Skolimowski Wincenty, syn Feliksa 40, 46, 48, 53, 122
- Słobodzka 190
- Smoliński Józef* 12
- Sochański, ppłk 91
- Sołncew Diemid Michajłowicz 110
- Sosinowicz Adolf 194
- Sosinowicz Józef 194
- Stella-Sawicki Jan* 13
- Stella-Sawicki Marek* 13
- Stempke, mąż 96
- Stempke, żona 96
- Stępkowscy, rodzina 37, 38, 40, 47
- Stępkowska, siostra Jana Skolimowskiego, żona Jana 31, 33, 38
- Stępkowski Feliks 37, 42
- Stępkowski Jan, wuj Aleksandra Skolimowskiego 29, 35, 36, 38, 40
- Stępkowski Sylwester 35, 37, 39, 42, 119
- Stołypin Piotr 7
- Suchcitz Andrzej* 20
- Suscy, rodzina 16, 110, 111
- Suska Anna (Aneta) *zob.* Skolimowska z Suskich Anna (Aneta)
- Suska z Izbińskich Eleonora, matka Anety Skolimowskiej 223
- Suska Faustyna *zob.* Grontkowska z Suskich Faustyna
- Suska Julia *zob.* Poźniakow z Suskich Julia
- Suska Masza 185
- Suski Franciszek, ojciec Anny (Anety) Skolimowskiej 16–18, 28, 108, 110–114, 124, 125, 128, 130, 132–138, 141, 183, 197, 203–205, 209–211, 214, 217, 220
- Suski Gracjan 124
- Suski Jan 110, 223
- Suski Józef 28, 111
- Suski Ludwik 110
- Suski Romuald 17, 124, 141, 184, 204–209, 212–214
- Suszyński Piotr, syn, lekarz 53
- Suszyński Piotr, ojciec 53
- Suworow, lekarz 194, 198
- Suworowa Wiera Michajłowna 217
- Szaniawscy 123
- Szaniawski Józef 123
- Szarejko Piotr* 43
- Szczepański Jerzy* 7, 21, 56, 59, 68
- Szejdemna Karl Fiodorowicz 209
- Szenic Stanisław* 29, 117
- Szczawiński 184
- Szewczenko Taras Hryhorowycz 17, 172–174
- Szkup Władysław 156–161, 168, 169, 171
- Szmul 46
- Szturmer, inspektor szkolny 214
- Szwejkowski, właściciel Reszewki 74
- Śliwowska Wiktoria* 11, 22, 37, 131, 173, 190, 205
- T**
- Talleyrand-Périgord Charles Maurice de, hr. 170
- Temnikow, dow. batalionu 180
- Timofiejew Wasilij Iwanowicz 93, 94, 101
- Tirala, por. 57
- Tokarz Wacław* 33
- Tołmaczew 146, 147
- Tomaszewicz Władysław* 13
- Trisztatnyj Aleksandr Lwowicz 77
- Trombala A.* 22
- Trubecka Maria Wasiliewna 152
- Trubecki Siergiej Wasiliewicz 22, 152–155, 161, 170, 171, 175, 199
- Tutołmin, lekarz 174
- Tutorski Iwan Afanasjewicz 212
- W**
- Walewski (Colonna) Antoni 56
- Walewski, hrabia, syn Antoniego 56, 62

Wasilewa Liza 189, 190
Wasiliew, płk 188
Wasiliewna, wdowa 188, 189
Wasiliewowie 188, 189
Wiech Stanisław 7, 194
Wieriewkin Nikołaj Aleksandrowicz
198, 199
Wiktor Wiktorowicz 225
Wojejkow, właściciel hotelu 183
Woroncow Michał Siemionowicz 152
Woroncow Siemion Michajłowicz 152
Wójcicki Kazimierz Władysław 29
Z
Zakriewskij Arsienij Andriejewicz 155
Zaleski Bronisław 144, 173
Zielonka Michał ksiądz 130–132, 188,
189, 190, 192
Zuzanna Iwanowna *zob.* Perkowska Zu-
zanna Iwanowna
Ż
Żak Jakub 12
Żemczużnikow Aleksiej Michajłowicz
153
Żadimirowska Lawinia 152
Żadimirowski, kupiec 152

В
Волков Сергей Внадимирович. 11, 53,
63, 70, 77, 93, 99, 117, 147, 151, 176,
186, 190, 191, 198, 209, 210, 216
З
Змеев Л. Ф. 53
К
Крих Анна Апексеевна 9
Крыпов В. М. 50
Л
Легеч Я. 9
Леончик Сергей 9
М
М. Д. 163
Маевский Н. С. 13
Модестов Н. Н. 131, 189, 190
Мулина Светлана Анатопевна 9
Н
Нам Ираида Внадимировна 9
П
Пустельник Л. С. 173
Х
Ханевич Василий Антонович 9
Ц
Цабан Веслав 9
Ш
Шумигорский И. С. 209
Щ
Щепанский Ежи 9

Indeks nazw geograficznych

A

Abakan 7
Ak-Mechet 17, 143, 148, 149, 151, 172
Aleksino 221
Ałma Ata 7
Amu-Daria, rzeka 126, 197, 198
Arałsk 167
Arałskie Jezioro 126, 163, 166, 167, 193, 197, 198
Arałskie Morze *zob.* Arałskie Jezioro
Arzamas 184
Astrachań 43
Austria 45, 98
Azja 168
Azja Średnia 21, 151
Azja Środkowa 126, 197, 207
Azja Środkowo-Wschodnia 13, 21, 126, 143, 180

B

Babienki 82
Baden-Baden 107
Balaszew 96
Berlin 29
Biała 123
Białoruś 49
Bielew 96, 99, 100
Bobrujsk 120, 123, 124
Bogorodsk 89, 91–93, 96, 102
Borożno 100–102
Brześć Litewski 29, 31, 48, 49
Bucharą (emirat Buchar) 126, 135, 160, 169, 181, 192, 195, 199

Bug, rzeka 49

Buturlino, wieś 223

C

Carskie Sioło 49
Cesarstwo Rosyjskie *zob.* Imperium Rosyjskie
Chałuj 80
Charków 43
Chiwa 169, 193, 195, 197, 201
Chodynia 98
Czernihów 102, 106, 124
Częstochowa 219

D

Dorogobuż 16, 28, 135, 137, 138, 204, 209–212, 215, 217, 221–224
Drohiczyn 30
Duszałow, wieś 79
Dźwińsk 217

E

Epifań 92, 93
Europa 14

F

Fort Arałski 144, 156, 181
Fort Auleta 199
Fort Karabutak 163, 165
Fort Nr 1 22, 95, 181, 187, 191, 193, 199, 200, 202, 203
Fort Perowskiego 17, 22, 151, 153, 156, 160–163, 167, 168, 176, 178–180, 186, 190, 191, 193, 198, 199
Fort Suzak 198
Fort Turkiestan 199

Fort Uralsk 187
 Francja 38, 42, 45
G
 Głuchów 32
 Grochów (dziś dzielnica Warszawy) 37, 43
 Grodno 130
 Guberlińskie Góry 154
I
 Irgiz, rzeka 165
 Ilinskoje, wieś 80
 Ilwinka, dzielnica Moskwy 183
 Imperium Rosyjskie 14, 17, 23, 45, 48, 110, 153
J
 Janów Podlaski 28, 29
 Jarosław 77, 78
 Jekaterynburg 7
 Jelnia 28, 210, 212
 Juchnow 124, 132–135, 140–142, 185, 223
K
 Kalisz 42, 48
 Kaniły-basz, jezioro 167
 Kara-Kum, pustynia 165, 166
 Kaspijskie Morze 162, 166, 193
 Kaukaz 152, 168
 Kazachstan 7, 22
 Kazalińsk 181, 197–199, 202
 Kazał, Kazała *zob.* Kazalińsk
 Kielce 7, 38
 Kijów 201
 Kirgizja 157, 164
 Klimów 223
 Kokand (chanat Kokandy) 143, 156, 169, 178, 179
 Kokan *zob.* Kokand
 Konstantynopol 195
 Kowno 46
 Kowrow 78, 79, 81, 82, 86, 89, 90
 Kozielsk 106
 Królestwo Polskie 16, 42, 43, 45, 48, 56, 67, 156, 197
 Kungrad 197, 198

Kurów 224
L
 Leszno (dziś dzielnica Warszawy) 123
 Litwa 173
 Londyn 18, 20, 192
M
 Malewka 95
 Mananki 96
 Michajłowka *zob.* Michajłowskoje
 Michajłowskoje 16–18, 20, 28, 93, 134, 135, 138, 140, 180, 181, 184, 185, 203, 204, 206, 209–212, 216, 217, 219–224
 Mons 11
 Mordy 29, 31, 119–121, 219
 Moskwa 7, 12, 16, 17, 64, 67, 68, 77, 91, 96–98, 101, 106–109, 111, 112, 114, 115, 123–125, 132, 135, 142, 174, 181–185, 203, 209, 212, 215, 216
 Mosty 38
 Murom 78
N
 Nerczyńskie kopalnie 37
 Niżnyj Nowogród 184, 203
 Nowogród Wielki 67
 Nowosielec 29, 31, 38–40, 42, 122
 Nowosybirsk 7
O
 Odojew 99
 Odessa 81
 Omsk 7
 Or, rzeka 161
 Orenburg 17, 18, 93, 102, 111, 123–132, 142–145, 148, 151, 157, 160, 168, 175, 178–180, 185–187, 189, 190, 192, 193, 195, 197, 198, 201–204, 215, 216
 Orenburska gubernia 199
 Orenburski Kraj 143, 163, 189
 orenburska linia 16–18, 126, 163, 180, 194, 200, 206
 Orsk 17, 151, 154, 155, 161–163, 174, 175, 177, 181, 192, 202
 Orzeł 18, 223–225

P

Paryż 29, 33
Patków 38
Penza 16, 63, 64, 66, 69, 70–73
Peterhof 58, 59, 61
Petersburg 7, 13, 15, 18, 19, 23, 27, 41,
46–50, 55, 57, 64, 65, 67, 68, 96, 106,
107, 116, 143, 152, 170, 195, 198,
201, 204–210, 212–214, 216, 217,
222–224

Pietropawłowska Twierdza 152

Piter *zob.* Petersburg

Płock 219

Podkowa 42, 122

Polska 7, 14, 19, 28, 31

Praga, dzielnica Warszawy 15, 35, 37,
44

Prusy 42, 45

R

Radom 42

Reszewka 74

Rosja 14, 17, 18, 28, 46, 49, 50, 78, 85,
101, 107, 113, 126–128, 169, 173,
184, 186, 198, 202, 203, 215

Rosław 224

Rybki 137, 224

S

Samara 203

Sankt-Petersburg *zob.* Petersburg

Sardynia 176

Siedlce 7, 16, 29, 31, 36, 38, 39, 43, 47,
48, 119, 121, 122

Skolimów-Cierpigórz *zob.* Skolimów-
-Czesnigorz

Skolimów-Czesnigorz (Cierpigórz) 28,
32

Skolimów-Ptaszki 28

Skolimów-Rogoziec 28

Skolimów-Starowieś (Stara Wieś) 28,
32, 122

Skolimów-Wojnów 15, 18, 20, 28, 29,
38–40, 46–48, 119, 121, 123, 219

Sławków 224

Smoleńsk 16, 28, 135, 184, 185, 209–
212, 214–217, 224

Sokołów 42

Stiegllice, wieś 79

Syberia 7, 43, 126, 200, 218

syberyjska linia 206

Symbirsk 182

Syr-Daria, linia 163, 190, 198

Syr-Daria, rzeka 126, 128, 143, 156, 163,
167, 176, 178, 181, 191, 193, 196

Szuja 84

T

Taszkent 206, 215

Tobolsk 43

Tomsk 7, 68

Torżek 68

Troick 199

Tuła 72, 73, 76, 77, 96, 145

Turecja 192

Turkiestan 178, 206

Tyfilis 152

U

Ukraina 91

Ural 162

Ural, rzeka 151, 161, 189

Uralsk 169

Uzbekistan 197

W

Waldajska Wyżyna 68

Warszawa 15, 18–20, 28, 29, 33–48, 50,
53, 54, 58, 63, 66, 115, 117–119, 123,
124, 126, 148, 173, 217–219, 222,
223

Węgry 16, 98, 99

Wiaźma 107

Wilno 43

Wisła, rzeka 35

Włodzimierz 93, 182

Wojnów *zob.* Skolimów-Wojnów

Wołga, rzeka 182

Wołyń 16

Wyspa Zajęcza 152

Z

Zawada 32

Ziemie Zabrane 7, 11, 13

Spis ilustracji

1. Autograf wspomnień Aleksandra Skolimowskiego (początkowe strony, bez numeracji). Fot. J. Szczepański	21
2. Kadet i sztabsoficer	51
http://content.foto.mail.ru	
3. Fontanna „Samson” w Peterhofie. Fot. J. Szczepański	59
4. Aleksander II	60
http://yandex.ru	
5. Pałac Zimowy w Petersburgu	65
http://yandex.ru	
6. Samowar. Zbiory Muzeum Krajoznawczego w Tomsku. Fot. J. Szczepański	68
7. Mapa guberni smoleńskiej. 1855 rok	112
<i>Pamjatnaja kniżka smolenskoj gubernii</i> , http://book-old.ru/BookLibrary/41001-Pam-kn-Smolenskoy-gub.html	
8. Plac Zamkowy w Warszawie	117
https://www.google.pl	
9. Kościół pw. św. Anny w Warszawie	118
https://www.google.pl	
10. Kościół pw. św. Michała Archaniola w Mordach	121
https://www.google.pl	
11. Widok Orenburga. Zbiory prywatne W. Cabana	129
12. Ksiądz Michał Zielonka	131
B. Zaleski, <i>Wygnańcy polscy w Orenburgu</i> , „Rocznik Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu” 1866/1867, s. 88.	
13. Wnętrze Ak-Mechetu	149
B. Zaleski, <i>Szerzenie się Rosyi w Azji Środkowej</i> , „Rocznik Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu” 1868, s. 138.	
14. Generał Wasilij Perowski	150
https://ru.wikipedia.org	
15. Orenburg. Kupcy z Kirgizji. Zbiory prywatne W. Cabana	157

16. Rosyjski generał w Kirgizji	164
Zbiory prywatne A. deLazariego	
17. Taras Szewczenko	172
http://yandex.ru	
18. Aleksiej Pleszczew	173
http://ru.wikisource.org	
19. Muzeum im. Tarasa Szewczenki w Orsku	174
http://yandex.ru	
20. Azja Środkowa w drugiej połowie XIX wieku	207
L. Bazyłow, <i>Dzieje Rosji 1801–1917</i> , Warszawa 1970, s. 356.	

Na stronie śródtytułowej (25) – Święte drzewo Kirgizów. Zbiory prywatne W. Cabana



Druk i oprawa
Wydawnictwo UJK